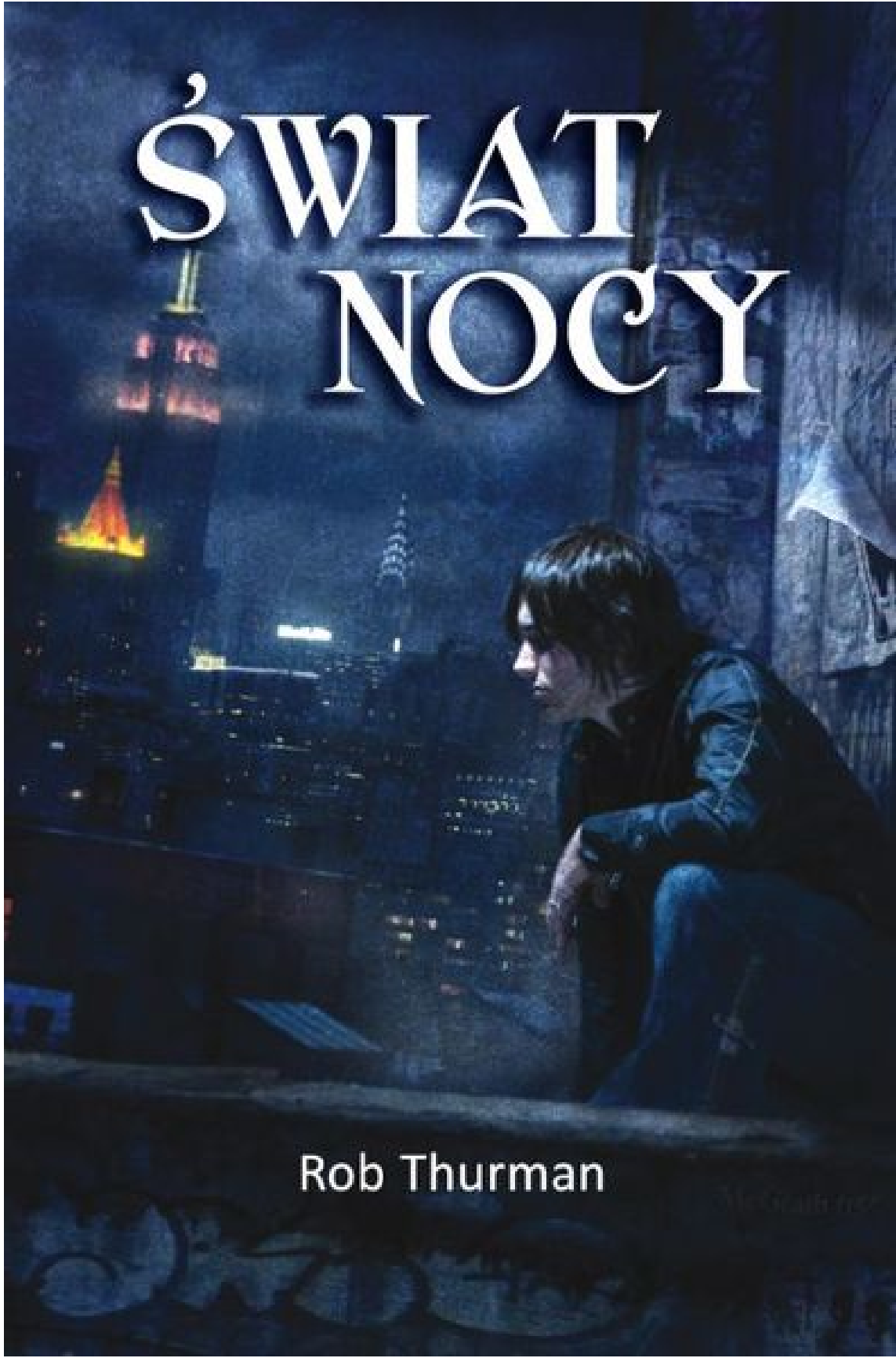


ŚWIAT NOCY

A movie poster for the film 'In the Company of Men' (Świat Nocy). The image shows a man with dark hair, wearing a dark jacket and jeans, crouching on a ledge and looking out over a city at night. The city lights are visible in the background, including a prominent building with a red sign. The title 'ŚWIAT NOCY' is written in large, white, serif font at the top. The name 'Rob Thurman' is written in white at the bottom.

Rob Thurman

Thurman Rob

Cal Leandros 01

Świat nocy

Potwory są wśród nas. Żyły tu od niepamiętnych czasów i na zawsze tu pozostaną. Wiedziałem o tym przez całe życie – co więcej, miałem świadomość, że sam jestem jednym z nich... .. no, przynajmniej w połowie. Witajcie w Nowym Jorku. W tym mieście można spotkać trolla pod Mostem Brooklyńskim, boboka w Central Parku i piękną wampirzycę w apartamencie na Upper East Side – a to tylko początek. Większość ludzi nie ma pojęcia o istnieniu świata nocy, ale Kal Leandros jest tylko w połowie człowiekiem. Jego ojciec to złośliwy demon, wcielony nocny koszmar – a teraz cały jego lud zjednoczył się w pogoni za Kalem. Dlaczego? Kal nie zamierza odwlekać ucieczki, by się tego dowiedzieć. Wraz ze swym przyrodnim bratem, Nikiem, ucieka przed potworami już od czterech lat, ale teraz jego demoniczny ojciec znów trafił na ich ślad. Kal już niedługo dowie się, dlaczego demony tak uparcie go ścigają – chłopak jest bowiem kluczem do ich potęgi, ostatnim elementem wielkiego planu, który pozwoli im rozpętać piekło na ziemi. Walka o losy ludzkości splecie się z walką o życie Kala...



MÓJ STARUSZEK

Od strony okna dobiegł mnie jakiś dźwięk. Nie wydawał mi się ani przerażający, ani nienaturalny. Nie był nawet niepokojący. Ot, grzeczne pukanie w szybę. Puk, puk. Lekkie, miarowe uderzenia. Równie dobrze mógł to być twój kumpel z wakacji, przyjaciel ze szkoły... po prostu przechodził obok. Pukanie było znajome, przyjazne. Cześć stary, co słychać?

A zatem spojrzałem w okno nad łóżkiem. Na ułamek sekundy zapomniałem, że odkąd się tu przeprowadziliśmy, nie miałem już żadnych przyjaciół. Nie znałem nikogo w tej okolicy, żaden z sąsiadów nie mieszkał dość blisko, by zajrzeć do nas po drodze.

Nikt prócz rodziny.

Stał w oknie, skapany w świetle księżyca. Jedną rękę przyłożył do szyby, jego długie, chude palce były blade jak światło księżyca. Wąska, spiczasta twarz uśmiechnęła się do mnie tysiącem ostrych zębów, przybierając radosną minę lisa wpuszczonego do kurnika. Migdałowe oczy z pionowymi źrenicami błysnęły czerwonymi białkami, szkarłatnymi jak krew. Uszy przyciskał mocno do czaszki, a długie włosy, delikatne jak pajęczyna, lśniły w powietrzu, tworząc świetlistą koronę. Znów zastukał paznokciem w okno, aż zadźwięczało metalicznie, po czym otworzył usta. Jego głos brzmiał jak syk węża przebijający przez szum płynącej wody, jakby ktoś płukał gardło tłuczonym szkłem. Jedno słowo. Tylko jedno.

-Mój...

PROLOG

Ludzie robią czasem najdziwniejsze rzeczy.

Wiem, wiem. Nie jest to najgenialniejsze spostrzeżenie. Ale biorąc pod uwagę, że poczyniłem je z nożem wbitym w brzuch, to chyba i tak nieźle. Musiałem przyznać, że nie bolało tak bardzo, jak się tego obawiałem. Po prostu poczułem zimno... zimno i odrętwienie, jakbym miał w brzuchu pełno lodowatej wody.

Ocknąłem się dopiero, gdy po palcach pociekł mi znacznie cieplejszy płyn. Krew. Moja własna. Zacisnąłem palce wokół dłoni trzymającej rękojęść. Krew zalała nam ręce, i jego, i moją. Naprawdę to zrobił... Zranił mnie. To wcale nie było w tym wszystkim najdziwniejsze — nie, nie. Najdziwniejsza rzecz, istne szaleństwo, od którego chciało się wyć do księżycy, polegało na tym, że tak bardzo starał się tego uniknąć. Ale taki właśnie był mój brat, prawda? Uczciwy, lojalny do szpiku kości. Zbyt dobry dla własnego dobra. I-jak się w końcu okazało - także dla mojego.

-No proszę... - powiedziałem smutno. - Spójrzcie na to. -Potem kolana mi się ugięły i padłem na ziemię, ześlizgując się z ostrza. Puściłem jego rękę, przyciskając dłoń do rany. Krew była taka ciepła, a jednak wciąż miałem wrażenie, że zamarzam. Spojrzałem w górę, w jego oczy, identycznego koloru co moje, jasnoszare jak zimowe niebo. Uniosłem kącik ust i uśmiechnąłem się krzywo.

- Mylilem się. Wygląda na to, że jednak masz jaja.

Ostrze wysunęło mu się z ręki i upadło na podłogę, dźwięcząc metalicznie jak dzwon.

-Jak to? Nie weźmiesz pamiątki? - spytałem z zaciekawieniem. Coraz trudniej było mi mówić, słowa zlewały się ze sobą

i znikaly. Tak jak ja. Jak poranna mgla rozwiewajaca sie ze wschodem słońca. Jak ranny ptak spadajacy z nieba. Mroczne stworzenie umykajace przed blaskiem dnia. Kurwa, powinienem to zapisać. Umieranie zrobilo ze mnie poetę.

Ustyszalem, ze brama zamyka sie za nami - byl to grzmiacy i dziwnie ostateczny odglos, od ktorego budynek zatrzast sie w posadach. Ściany zadrzaly dziwnym dreszczem biegnącym w gore, od podłogi do sufitu, a kawalki gipsu i metalu zaczely spadać jak deszcz. Skoro i tak mialem zginac, rownie dobrze moglem odejść z fasonem.

- Uciekaj, Kurczaku Mały, bo niebo spadnie ci na glowe -powiedzialem szyderczo. Cytat z bajki dla dzieci nabral w tych okolicznosciach drapieznego rysu. Słowa nie byly glębokie ani brzemiennie znaczeniem, ale mialy kły. Jak kazdy prawdziwy drapieznik, zamierzalem umrzeć, czujac w ustach slodki smak krwi.

On oczywiscie nie uciekl. Bohaterowie tak nie robią i najwyrazniej bracia tez nie. Chwycil mnie i przerzucil sobie przez ramie w chwycie strazackim, jeszcze zanim zdolalem sie zamachnac. Wymagaloby to zalozenia, ze mialem dosc sil, by zacisnac dlon w pieść. Trudno bylo wyobrazic sobie bardziej naciagane zalozenie. A potem rzucil sie biegiem. Za nami klebily sie potwory, napierajac bezskutecznie na brame, zamknietą i nieprzenikalną. Tym razem zamknela sie na dobre i one tez to wiedzialy. Wtedy wszystkie waskie, spiczaste twarze odwrócily sie w naszą strone, wszystkie oczy koloru płynnej lawy, wypelnione trujacą, czarną nienawiscią. Runely na nas jak morska fala, jak przyplyw pelen morderczej ządzy. Potwory złe znosily porażki. Dobrze o tym wiedzialem.

W koncu sam bylem jednym z nich.

1

Większość dzieciaków szybko przestaje wierzyć w bajki. Kończą sześć czy siedem lat i wszystko idzie w zapomnienie -Kopciuszek i jego fetysz obuwia, Trzy Małe Świnki i ich brak poszanowania dla norm budowlanych, panna Muffet i jej mały stołeczek. Może tak właśnie musi być. Aby przeżyć w prawdziwym świecie, trzeba zostawić za sobą fantazje i wyobrażenia. Problem polega na tym, że nie wszystko to jest fantazją. Niektóre elementy baśni są zbyt prawdziwe, zbyt rzeczywiste. Może i nie ma Czerwonego Kapturka, ale na pewno istnieje Duży Zły Wilk. Nie ma Królowy Śnieżki, za to jest Zła Królowa. Nie ma słodziutkich blond skrzatów, ale pożerająca dzieci wiedźma... o, tak.

Potwory są wśród nas. Zawsze tak było i pewnie już tak zostanie. Zawsze o tym wiedziałem i miałem świadomość, że sam jestem jednym z nich - przynajmniej w połowie. Niezależnie od tego, jakie nikczemne instynkty mogłem odziedziczyć po przodkach, z zewnątrz byłem stuprocentowym człowiekiem. Niko powtarzał mi, i to całkiem często, że mam więcej ludzkich odruchów niż zdrowego rozsądku. Nigdy nie wahał się podkreślić, że niezależnie od tego, z czym musiałem się borykać, wciąż byłem jego zasmarkanym młodszym bratem. Jeśli chciałbym się zadreć z tego powodu, musiałbym najpierw przejść przez niego. W głębi duszy Niko był prawdziwym skautem - tyle że zabójczo groźnym. Miał nawet sprawność z wykorzystania zabójczych broni.

Mimo całej swej fascynacji ostrymi przedmiotami nie miał w sobie ani kropli krwi potwora. Moim zdaniem jego ojciec nie

powinien zostać sklasyfikowany jako człowiek, ale, technicznie rzecz biorąc, spełniał standardy definicji. Bezwartościowy gnojek. Niko nawet go pamiętał - miał dwa tygodnie, gdy jego staruszek dał dyla i nigdy nie wrócił. Doskonały przykład miłości rodzicielskiej. Dwa tygodnie i w długą. Chyba nawet ja więcej widywałem swojego ojca - przynajmniej raz w miesiącu. Obserwował mnie. Nie było żadnych gadek ojca z synem, żadnych zaproszeń na herbatę do kuzynów-potworów, w ogóle żadnej interakcji. Tylko cień przyczajony w zaułku, który mijałem, albo sylwetka odcinająca się cienką, wijącą się linią i ostre zęby na tle szyby w nocy. Oczywiście nie nosił na szyi tabliczki z napisem „Tata” ani nie zostawiał mi prezentów urodzinowych przewiązanych wstążką nienaturalnie długimi, szponiastymi palcami. Nie miałem żadnego dowodu, że to właśnie jest ten demoniczny dawca spermy, ale dajcie spokój. Jeśli własna matka co chwilę powtarza ci, że jesteś potworem, ohydą, którą powinno się wyskrobać na kafelki w łazience, to myślisz sobie: w jakim celu ten potwór miałby mnie śledzić? Najśmieszniejsze jest to, że ten potwór okazywał mi znacznie więcej zainteresowania, niż moja matka kiedykolwiek raczyła wykazać.

W miarę upływu lat przyzwyczałem się do tego. Kilka razy próbowałem się do niego zbliżyć - z ciekawości, a może z powodu braku instynktu samozachowawczego, któż to wie? Jednak on zawsze zniknął, roztopiał się w ciemności. Zwykle czułem wtedy ulgę. Być półkrwi potworem to jedno, a zaakceptować to nietypowe dziedzictwo to drugie. Gdy miałem czternaście lat, wszystko się zmieniło. Przestałem szukać potworów.

Zacząłem uciekać.

A raczej zaczęliśmy uciekać razem, Niko i ja. Przez cztery lata, które ciągnęły się jak czterdzieści, stale byliśmy w biegu. Zrobiliśmy z tego styl życia. Zawsze uważałem, że Niko zasługuje na coś więcej. Myślicie, że mnie słuchał, gdy mu to mówiłem? Cholera. Nic z tych rzeczy. Mój brat z utrzymywania mnie przy

życiu uczynił swój zawód. Kiepska praca, bez żadnych świadczeń i dodatkowych korzyści.

Podobna do tej, którą ja wykonuję teraz, pomyślałem ponuro. Wetknąłem mopa z powrotem do wiaderka i zamieszałem w szarej, śmierdzącej wodzie, po czym znów wziąłem się za mycie podłogi. Nie uwierzylibyście, ile rzygów może wyprodukować bar pełen pijanych ludzi. Teraz z kolei nie mogłem uwierzyć, że posprzątanie tego zajmuje aż tyle czasu. Ironia losu polegała na tym, że dzięki fałszywemu dowodowi, który postarzył mnie z dziewiętnastu lat na dwadzieścia jeden, mopowałem podłogę z przetrawionego alkoholu, zamiast przetrawiać go sam.

- Kai, wychodzę. Zamknij za mnie, dobrze?

Spojrzałem przez ramię. Stara dobra Meredith „Zamknij za mnie”. Zawsze można było na nią liczyć - a konkretnie na to, że zostawi cię z robotą na głowie i urwie się przed czasem.

- Aha, idź. - Machnąłem ręką. Postanowiłem sobie, że któregoś dnia powiem, by pocałowała mnie gdzieś i sama dokończyła swoją pracę, ale po cichu liczyłem na to, że owego dnia będzie miała na sobie inną bluzkę, mniej obcisłą i nie tak głęboko wyciętą. - Mam cię odprowadzić?

- Nie trzeba, mój chłopak już na mnie czeka. - Pociągnęła mnie za kucyk. - Do zobaczenia jutro. - A potem zniknęła za drzwiami. Jej długie falujące włosy i krągła figura pozostały mi w oczach jak fluorescencyjne powidoki. Meredith przykładła dużą wagę do swojego wyglądu. Wyrzeźbiła swoje ciało z pasją i precyzją artystki. Prawdopodobnie sama nie pamiętała, jaki był jej prawdziwy kolor włosów - albo rozmiar stanika. Była żyjącą, chodzącą reklamą lepszego życia, jakie można było zyskać dzięki chirurgii plastycznej.

Mimo że dziewięćdziesiąt dziewięć procent jej ciała było sztuczne, to jednak było to cholernie atrakcyjne ciało. Dzięki fantazjom o nim nieprzyjemna praca polegająca na mopowaniu ludzkich płynów ustrojowych wydawała się trochę krótsza. Szczerze mówiąc, nie miałem nic przeciwko zamykaniu lokalu.

Po całym wieczorze za barem miło było pobyć samemu, w cichej i pustej sali. Zacząłem podejrzewać, że ta praca zrujnuje moje wyobrażenie o dobrej imprezie. Pijani ludzie tracili swój czar - nawet więcej, przestawali być zabawni. Po iluś razach patrzenie na pijanego gościa, który spada ze stołka i rozbija sobie głowę, nie jest już śmieszne. A w każdym razie nie tak jak na początku.

Teraz w barze panowała cisza. Zdawała się miła, przytulna, jak te miękkie kocyki sprzedawane w sklepach, w których nie stać cię nawet na przejście przez próg. Było miło... spokojnie. Oprócz tego było też niebezpiecznie i Niko pewnie skopałby mi tyłek, gdybym o tym zapomniał. Sam, zamyślony, w opuszczonym miejscu stawałem się chodzącym, gadającym celem. Byłem zbiegiem, ofiarą i ani na sekundę nie mogłem o tym zapomnieć. Odstawiłem mopa, zamknąłem drzwi i wyszedłem na ulicę koło wpół do piątej. Nawet o tej porze ulice w Nowym Jorku nie są całkiem puste, ale na kilka godzin stają się rzadziej uczęszczane. Październikowy chłód dawał się już we znaki. Zapiąłem pod szyję czarną skórzaną kurtkę, którą kupiłem od handlarza w chińskiej dzielnicy za dwadzieścia pięć dolarów. Była to podróba podroby, ale najważniejsze, że pozwalała mi się wtopić w mrok.

Szedłem do domu, trzymając rękę w kieszeni, zaciśniętą na zabójczym prezenciku, który dostałem od Nika. Nie miałem daleko, od Avenue D. dzieliło mnie jakieś pięć przecznic. Nie była to najlepsza dzielnica, ale my nie byliśmy najlepszymi lokatorami. Trzymałem oczy otwarte, czujny niczym królik, który zwęszył wilka. Choć trzeba przyznać, że byłem królikiem z dużymi zębami i zabójczym prawym sierpowym. Jednak tym razem udało mi się dotrzeć z powrotem, nie natykając się po drodze na nic ze szponami, czerwonymi oczami ani apetytem na moją krew - bardzo udana noc. Wraz z Nikiem wynajmowaliśmy mieszkanie w kilkupiętrowym budynku - trochę zniszczonym, ale dalekim od kompletnego slumsu, choć wszystko zależy od definicji.

Drzwi na klatkę schodową chyba kiedyś się zamykały, teraz jednak były wiecznie uchylone na kilka cali, jak szczerbaty uśmiech starego człowieka. Wszedłem po schodach sześć pięter, burcząc i przeklinając pod nosem. Nie było tu windy - najwyraźniej właściciel budynku uważał normy budowlane za lekturę nieobowiązkową. Wszystko jedno. Nawet gdyby znalazła się tu winda, to pewnie i tak by nie działała, a nawet gdyby była sprawna, to nie chciałbym w niej kiedyś utknąć. Metalowa pułapka, powiedział kiedyś Niko. Mój brat nie miał w zwyczaju przesadzać, więc unikałem wind. Nie próbowałem sobie wyobrazić, co mogłoby mi spaść na głowę albo wleźć do środka od dołu. Dotarłem do naszych drzwi, otworzyłem je kluczem i wkroczyłem do ciemnego przedpokoju. Namacałem stary plastikowy przełącznik i nacisnąłem. Nic się nie stało.

Pewnie przepaliła się żarówka - tak pomyślałby każdy normalny człowiek. Mnie trudno nazwać normalnym. Szybko zrzuciłem kurtkę - skrzywienie skóry zdradziłoby moją pozycję, zanim zrobiłbym krok. Postarałem się, by jak najciszej opadła na ziemię, po czym zacząłem posuwać się wzdłuż ściany, krok za krokiem. Jej dotyk był chłodny, nawet przez koszulkę, jak muśnięcie lodem po plecach. Nasłuchiwałem w skupieniu. Nie dobiegał mnie żaden dźwięk, żadnego szurania stóp po podłodze, nawet oddechu. Jednak ktoś tu był. Nie musiałem dzwonić do wróżki i płacić 2,99 dolara za minutę, by być tego pewnym. Przykucnąłem i powoli wyciągnąłem przed siebie rękę. To był zły pomysł.

Coś chwyciło mnie za nadgarstek, więząc go w uścisku jak stalowy potrzask. Napastnik szarpnął, aż dosłownie straciłem grunt pod nogami. Wymierzył mi cios w żołądek, a ja obróciłem się, by wylądować na plecach, czując, jak upadek boleśnie odbiera mi oddech. Wtedy ten ktoś chwycił mnie za gardło i wysyczał:

- Ostatnie słowo, trupie?

Zakaszlałem, odetchnąłem z trudem, po czym wycedziłem ochryple:

- Ależ z ciebie dupek, Niko. Powinieneś sobie znaleźć jakieś hobby.

- Utrzymywanie cię przy życiu to moje hobby. Szkoda, że go nie dzielisz.

Rozległo się ostre klaśnięcie i nagle wokół zapłonęły światła. Cudownie. Okazało się, że mamy teraz nowy system oświetlenia, klask włącz, klask wyłącz, żeby tym lepiej wyeksponować moją porażkę.

Skrzywiłem się i z irytacją odrzuciłem długi blond warkocz, który wisiał mi nad twarzą.

- Połowa rodziny już od dawna próbuje mnie wykończyć albo gorzej. Może chociaż ty mógłbyś wrzucić na luz?

- Nie. - Niko wzruszył ramionami, odrzucił warkocz na plecy i wstał. - Chyba szybciej zdołałbym wyszkolić kuchenny stółek - dodał, potem podał mi rękę i spytał kwaśno: - Gdzie jest nóż, który ci dałem?

Chwyciłem jego dłoń i pozwoliłem postawić się na nogi.

- W kieszeni kurtki - przyznałem. Niko spojrzał na kłęb skóry przy drzwiach i unióśł brwi w niemym, ale wyraźnym geście dezaprobaty. - No cóż, przynajmniej dzięki temu uniknąłem pokusy skrojenia ci tego chudego tyłka.

- Daj już spokój - odparłem sucho. - Na pewno jesteś postrachem wszystkich okolicznych domokrążców.

Niko otrzepał czarny golf i spodnie z kurzu.

- Zamknij drzwi - polecił. - Nie ułatwiamy grendelom zadania.

Imiona to zabawna rzecz. Zawsze coś znaczą, nieważne jak bardzo chcielibyśmy wierzyć, że są wybierane przypadkowo. To Niko wymyślił grendele. Nie dość, że był blondwłosym Bruce'em Lee - był też piekielnie inteligentny. W szóstej klasie przeczytał Beowulfa i właśnie wtedy ochrzcił moich prześladowców mianem grendeli. Sam byłem wtedy dopiero pierwszakiem, więc nie miałem pojęcia, o co chodzi. Jednak nazwa szybko się przyjęła - w końcu potwory to potwory.

A teraz byłem tylko o trzy lata młodszy od mojego wielkiego brata. Niezła sztuczka, co?

„Kaliban” to też niezłe imię. Nie ma to jak napiętnować dziecko na całe życie. Nasza mama mieszkała w ciasnej kawalerce nad salonem tatuażu. Zarabiała na życie przepowiadaniem przyszłości, obskubując z pieniędzy naiwnych, zdesperowanych i głupich klientów. Była równie skłonna wymierzyć mi klapsa, co wychylić butelkę taniego wina, ale jedno należało jej przyznać: doskonale znała Szekspira. Kaliban, bohater *Burzy*, zrodzony ze związku wiedźmy i demona. Pół człowiek, pół potwór, niszczący wszystko, czego się dotknął.

Dzięki, mamó. Naprawdę wiesz, jak dodać synowi poczucia własnej wartości.

Zamknąłem drzwi i skierowałem się do łazienki.

- Czemu jeszcze nie śpisz? Chyba wiesz, że wszyscy grzeczni ninja powinni już spać i śnić o krwiożerczych owieczkach?

Niko mruknął coś z rezygnacją i podniósł moją kurtkę z podłogi. Zobaczyłem, że zwisa z czubka jednego z jego licznych ostrzy, po czym spada na oparcie naszej wysłużonej kanapy.

- Wcale nie są krwiożercze. - Skrzywił wargi w uśmiechu, podszedł i niedbale oparł się o drzwi łazienki. - Dostałem wiadomość w sprawie pilnego zlecenia na ochronę. Jakaś aktorka z podrzędnego teatru wmówiła sobie, że śledzi ją armia zboczonych prześladowców. Bardzo męczące.

- Jasne. - Udałem obleśny uśmiech i podszedłem do umywalki. Ściągnąłem gumkę z włosów, a wtedy czarne kosmyki, proste jak druty, opadły mi na oczy. Wycisnąłem odrobinę pasty na szczoteczkę i wziąłem się za szorowanie. Niko regularnie współpracował z jedną agencją ochroniarską. W zasadzie całą agencję stanowił jeden facet, który miał mnóstwo kontaktów, niektóre z nich nawet legalne. Ale płacił dobrze i do tego pod stołem. Żadnych podatków. Żadnych urzędów. Żadnego śladu dla grendeli. Co prawda nie potrafiłem sobie wyobrazić grendela w okularach i krawacie, jak wspina się mozolnie po szczeblach

kariery w dużej instytucji, jednak potwory lubiły czasem wykorzystywać ludzi, a niektórzy ludzie nie mieli nic przeciwko temu, by ich wykorzystano.

Niko patrzył w milczeniu jak płuczę usta i zdejmuję koszulkę.

- Niko, co się stało?

Jeśli znasz kogoś przez całe życie, nie potrzebujesz migającego neonu, by wiedzieć, że coś jest nie halo. Cień w oczach, lekkie zaciśnięcie ust. Czymś się martwił.

- Widziałem dziś jednego - powiedział z lekkim wahaniem. Trzy słowa. Tyle wystarczyło, żeby ziemia osunęła mi się spod nóg, te trzy cholerne słowa. Zmiałem koszulkę rękami, które nagle zdawały się należeć do kogoś innego.

- Ach! - Jak zawsze elokwentny. Wrzuciłem koszulkę do umywalki, zamknąłem klapę od sedesu, usiadłem i zacząłem zdejmować trampki.

Niko podszedł bliżej - jego obecność dodała mi otuchy.

- Byłem w parku. Wyszedłem na wieczorny jogging.

- W parku - powtórzyłem głucho. - To ma sens.

O ile wiedzieliśmy, grendele nie przepadały za miastami, wołały mniej cywilizowane okolice: lasy, strumienie, milczące, ponure wzgórza. Jednak Nowy Jork był tak cholernie wielki. W tym miejscu bankowo można było natknąć się na jakiegoś potwora. Grendela, wampira, ghula, boboka... cokolwiek. Jeden grendel w Central Parku to jeszcze nie powód, żeby robić w gacie, prawda?

Prawda?

- Zostajemy czy nie?

Niko stukał rytmicznie w umywalkę. Raz, drugi, trzeci.

-Myślę, że powinniśmy zostać, przynajmniej póki nie natkniemy się na kolejnego. To mało prawdopodobne, by ten konkretny potwór miał coś wspólnego z nami.

- Miał? - Przeczesałem palcami włosy i spojrzałem na brata podejrzliwie. - Wiesz, Nik, nie mam wprawdzie dyplomu z językoznawstwa, ale to brzmiało jak czas przeszły.

- Na to wygląda - zgodził się łagodnie. Wyjął moją koszulkę z umywalki i podał mi ją z powrotem. - Idź spać. Wezmę pierwszą wachtę.

A zatem wróciliśmy do punktu wyjścia. Przez pierwszy rok po moim powrocie z... nie wiadomo skąd, wystawialiśmy warty z religijną gorliwością, ale po jakimś czasie trochę wyluzowaliśmy, i całe szczęście. Przez ten rok chodziłem permanentnie niewyspany. A ja naprawdę uwielbiam spać. Czy nie tak wygląda definicja nastolatka? Nienasycona śpiączka na dwóch nogach. Pozbawiony prawnie mi należnych dziesięciu godzin snu dziennie, robiłem się drażliwy.

Skrzywiłem się, ale skinałem głową.

-Okej. Obudź mnie za cztery godziny - przypomniałem, po czym walnąłem się na materac, przykryłem kocem i natychmiast odpłynąłem. Potrafiłem zasnąć zawsze i wszędzie. Była to bardzo przydatna umiejętność, jeśli człowiek spędza całe życie na umykaniu przed potworami. Krótkie drzemki tu i tam to czasem było najlepsze, na co mogłem liczyć.

Spanie oznaczało jednak sny, a sny oznaczały koszmary. W moim przypadku te dwie rzeczy działały zamiennie. Mógłbym się założyć, że Niko też miał swoje zmary, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał - twierdził, że jego umysł jest na tyle zdyscyplinowany, by położyć kres wszystkim podświadomym hecom. Znikajcie, mdłe upiory, tako rzekę ja, Niko Wspaniały. Nik potrafił sprawić, że nawet oczywiste łgarstwa zdawały się szlachetną prawdą.

Co do mnie, to regularnie odbywałem wycieczki po mieście koszmarów i, jak dotąd, nie potrafiłem nikogo oszukać... Nawet samego siebie. Zawsze śniłem ten sam sen. Może to powinno mnie ostrzec, nawet w śnie mógłbym się jakoś przygotować. Nigdy mi się to jednak nie udało. Zawsze zaczynało się tak samo, tym samym uczuciem, tym samym smakiem czegoś miłego, pełnego nadziei.

A potem straszliwy zawód.

Obudziłem się przed upływem moich czterech godzin. Zerwałem się z bijącym sercem, zlany potem jak człowiek chory na malarię. Przełknąłem żółć i zacisnąłem ręce na kołdrze, jakby tylko ona powstrzymywała mnie przed upadkiem w przepaść. Usiadłem na skraju łóżka i sięgnąłem do lampki. Światło natychmiast zalało pokój, ale niektóre cienie pozostały. Czasem zostawał o jeden za dużo. Zerwałem się i wcisnąłem przycisk w ścianie. Za każdym razem przyplątywał się jakiś grendel.

We śnie znów miałem czternaście lat. Byłem rozrabiaką, ale chyba nie gorszym niż większość chłopaków w moim wieku. Próbowałem alkoholu. Parę razy ukradłem coś ze sklepu czy zwagarowałem ze szkoły. Normalne rzeczy. Jednego nie robiłem: nie wdawałem się w bójki. Nigdy. Myślicie, że to wy macie w życiu pod górkę? Albo wasz kumpel Joe Junior, synek alkoholika? Wsadźcie sobie waszą genetyczną skłonność do uzależnień i porównajcie to z pełnym wiadrem DNA potwora. Podczas gdy on martwił się, że piwo przyrośnie mu do ręki, ja umierałem ze strachu, że zaraz wydrę serce temu beczelnemu dupkowi, który siedzi przede mną w ławce. Nic takiego się nie stało, ale nigdy nic nie wiadomo. Zawsze istniała taka możliwość, niezależnie od tego, czy widziałem sygnały, czy nie.

Jednak tamtego dnia było inaczej. To był dobry dzień. Może nawet wspaniały. Niko znalazł sobie pracę i mieszkanie i niedługo mieliśmy się wyprowadzić. Był na pierwszym roku w stanowym college'u - otrzymał pełne stypendium. Mógł trafić w lepsze miejsce, ale chciał studiować blisko domu. Byle tylko mieć mnie pod ręką - mnie, swojego demonicznego albatrosa. Oczywiście, zachowałem tę myśl dla siebie. Lubiłem swój tyłek i chciałem zachować go w jednym kawałku, a Niko przykopałby mi w niego z buta, gdyby tylko wiedział, o czym myślę. Ale, do cholery, myślałem tylko o tym, co mama powtarzała mi przez wszystkie lata. A jeśli ktoś znał się na demonach, to właśnie ona.

Przecież w końcu przeleciała jednego.

Nie płakała na wieść o moim wyjeździe. Moja matka, Sophia Leandros, nigdy nie miała zbyt rozwiniętego instynktu macierzyńskiego, nawet w stosunku do swego ludzkiego syna. Czasem czułem się jak uczestnik eksperymentu na zwierzętach, które pokazują w telewizji. Zwierzęta urodzone i wychowane w niewoli, które nigdy nie widziały narodzin młodych, nie wiedziały, co zrobić z własnymi dziećmi, gdy już je miały. Obwąchiwały z niesmakiem małe, wilgotne stworzonka, obrzucały je czujnym spojrzeniem i odchodziły, nie oglądając się za siebie. Czasem myślę sobie, że nasza stara dobra mamusia zdążyła dotrzeć do baru po przeciwnej stronie ulicy, jeszcze nim pielęgniarzka skończyła obmywać mnie z krwi. Tak samo było z Nikiem. Może bardziej go tolerowała, ale też nigdy nie traktowała go z miłością i czułością, raczej tylko z nieco mniejszym obrzydzeniem.

A zatem w wieku czternastu lat byłem już gotowy, by otrząsnąć proch ze stóp i zostawić ją za sobą. Nie mogłem się doczekać, kiedy umknę z tych ciemnych, mrocznych wzgórz i cienistych kotlinek, które mogły skrywać tysiące rzeczy. Grendele nie nękały nas wtedy - po prostu obserwowały. W mieście było lepiej - tam widywaliśmy je naprawdę rzadko. W zasadzie był to jeden i ten sam osobnik: mój kochany tatuś. Jednak z czasem to się zmieniło - zaczął przyprowadzać kumpli. A na wsi widywałem grendele prawie każdego dnia. Czasem po zachodzie słońca w mroku widać było tyle migoczących czerwonych oczu co robaczków świętojańskich. Było to - nie będę ściemniał - za-jebiście przerażające. Nie mogłem się przyzwyczaić, choć widywałem je całe życie. Jeden czy dwa to było dosyć. Gdy zjawiało się ich więcej, niż mogłem zliczyć, niemal czułem jak powietrze zamarza mi w piersiach i rozdziera płuca.

W mieście było lepiej, ale Sophię wyrzucili z mieszkania, bo przez chłanie straciła swoich najlepszych klientów, a oprócz tego narobiła długów i przeprowadzka na wieś nagle stała się nieunikniona. Wyruszyliśmy zatem, by prowadzić proste wiejskie życie w rdzewiejącej metalowej przyczepie rozkraczonej na kawałku

ziemi, jak najbardziej oddalonej od najbliższych sąsiadów. Nie wiedziałem nawet, kto jest właścicielem tej działki i nie byłem pewien, czy Sophia to wie. Znalazła to miejsce za pomocą swojego szóstego zmysłu, udoskonalonego przez lata kombinowania, oszukiwania i zwykłych kradzieży. Mieszkaliśmy w tym blaszanym Tadź Mahal już od dwóch miesięcy. Dobrze, że były wakacje, bo nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się najbliższa szkoła, a nawet gdybym wiedział, to i tak nie jeździł tędy żaden autobus.

Jednak dziś miał być nasz ostatni dzień na tym zadupiu. Właśnie pakowałem graty do mojej podróźnej walizki zrobionej z torby na śmieci, gdy Niko usiadł obok na materacu i skrzywił się z dezaprobatą.

- Chyba nie zamierzasz tego zabierać, co, Kai?

- Kaliban - poprawiłem odruchowo. Jakiś czas temu uznałem, że nie chcę, by nazywano mnie Kai. Imię Kaliban oznaczało potwora, a przecież tym właśnie byłem i nie zamierzałem o tym zapomnieć, nawet na chwilę. Spojrzałem na bluzę, którą trzymałem w ręku. - Dlaczego nie? To moja ulubiona. Bez przerwy ją noszę.

Niko nie odpowiedział na zaczepkę, ale wiedziałem, że nie podda się w kwestii imienia. Dał mi chwilę spokoju, ale wiedziałem, że albo ustąpię, albo rzuci się na mnie, gdy akurat najmniej będę się tego spodziewał. Nigdy nie byłem wzorem psychicznego zrównoważenia, ale Niko nie zamierzał się poddawać. Znów wrócił do tematu bluzy; pochylił się i wetknął palec w dziurę przetartą na łokciu.

- Tak, zauważyłem. Chyba zalubiłeś ją na śmierć. Nie mówiąc już o kolorze.

- Co masz przeciwko fioletowi? - Wepchnąłem bluzę do torby i rzuciłem bratu ostrzegawcze spojrzenie. Nie miał wyboru -musiał zaakceptować mnie razem z moimi ciuchami.

- Wszystko na świecie, a poza tym ten odcień ledwo kwalifikuje się jako pempoprawy kolor. To raczej gwałt na wzroku.

Wyszczrzyłem zęby.

- Ech, wy studenci i wasze wyszukane słowa. - Zacząłem właśnie zawiązywać worek, gdy w głębi przyczepy rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Nie sądziłem, że w tej norze zostało jeszcze coś do stłuczenia. - Silna ręka opadła mi na ramię; był to mocny, kojący uścisk. Po raz pierwszy od dawna nie próbowałem jej strącić ani odepchnąć jak każdy szanujący się czternastolatek.

- Pewnie jakiś talerz. Łatwiej jest je tłuc niż zmywać, prawda? - Wyciągnąłem kolejną torbę. Dłoń Nika przesunęła się z mojego ramienia na włosy i zmierzwiła je bez litości.

- Biorąc pod uwagę, jak je myjesz, to chyba bardziej higieniczne rozwiązanie. - Niko wstał i ruszył w stronę drzwi. - Dalej bracie. - Westchnął. - Pakuj się dalej. Wyjeżdżamy za godzinę.

A potem zademonstrował, co to znaczy „nie spoglądać wstecz”. Kończąc pakowanie, słyszałem jego spokojny, cichy głos i bełkotanie Sophii dobiegające z kuchni. Ścisłe rzecz biorąc, słyszałem każde słowo. Do kuchni było w końcu jedynie trzy i pół metra - nie miałem wyboru.

- Jeszcze tu jesteście? - spytała obojętnie. Kiedyś jej głos brzmiał jak przydymiony błękitny aksamit, teraz przypominał raczej wytarty poliester, wystrzępiony po brzegach i poplamiony tanią whisky. Myślę, że to dlatego była tak popularną wróżką. Ludzie płacili nie tyle za jakość jej przepowiedni, ile za sposób, w jaki je wygłaszała. W ustach Sophii Leandros nawet takie oklepane słowa, jak: „Poznasz przystojnego bruneta”, brzmiały tajemniczo i uwodzicielsko. A przynajmniej kiedyś tak było.

Odziedziczyłem jej głos, a także kruczoczarne włosy i ciemnoszare oczy, ale już nie jej oliwkową cerę. Byłem blady jak grendele. Gdy miałem jakieś osiem lat, mama spojrzała na mnie w zamyśleniu. Było to dziwne spojrzenie, pełne obrzydzenia zmieszanego z niechętnie ujawnianą dumą.

- Może i jesteś potworem, ale za to jakim pięknym - powiedziała.

Po prostu świetnie - byłem nikczemnym, krwiożerczym stworem owiniętym w strzęp pozłotki. Nawet w wieku ośmiu lat nie uznałem tego za komplement.

Zbierając zakurzone, sponiewierane książki, usłyszałem głos Nika.

- Odjeżdżamy, jak tylko skończymy pakować rzeczy Kala. To nie potrwa długo. - Przerwał, po czym bez entuzjazmu spytał: -Dasz sobie radę?

Rozległ się śmiech i stukot kostek lodu podskakujących w szklance.

- Bez ciebie i tego diabłego pomiotu? Cholera, kochanie, odtąd może być już tylko lepiej.

A potem nagle stałem w wąskim korytarzu, patrząc na matkę... kobietę, której należałoby wyciąć macicę zaraz po przyjściu na świat. Siedziała przy kiwającym się stole, ściskając w rękę szklanę. Czarne włosy, bez śladu siwizny, spływały jej na plecy i czerwony jedwabny szlafrok, który pamiętał lepsze czasy. Jej oczy były zimne i lśniące jak stal. Chwilę wpatrywała się w Nika, po czym opróżniła szklanę dwoma haustami.

- Gdzie pieniądze?

Patrzyłem, jak mój brat wyciąga z kieszeni zwitek banknotów i kładzie na stole. Odkąd dostał pierwszą pracę - miał wtedy czternaście lat - oddawał Sophii część pieniędzy. Matka oczekiwała, że będę robić tak samo, ale na tym pustkowiu ciężko było o jakąś pracę, a byłem jeszcze za młody, by dostać prawo jazdy. Sophia zgarnęła banknoty i zrecznie je przeliczyła.

- Płać regularnie, kotku, inaczej potworek wraca do mnie, do domu. Rozumiemy się? - Jej wzrok na chwilę przygwoździł mnie do podłogi - potem szybko wycofałem się do ciemnego pokoju.

Zastanawiałem się, dlaczego Niko nie przestał przysyłać jej pieniędzy, gdy wyjechał na studia i wyprowadził się do akademika. Ale było tak, jak przypuszczałem - Sophia trzymała nas w garści. Miałem tylko czternaście lat. Matka wcale nie musiała

się zgodzić, żebym mieszkał z bratem, a prawo było po jej stronie. Jak Niko zdołał płacić czynsz, oddając jej przy tym prawie całą wypłatę - widział tylko on. Nawet gdybym znalazł jakąś robotę, i tak cienko byśmy przędli. Ale darmowy akademik był częścią stypendium. Nie przewidywano tam płacenia czynszu. Nie przewidywano też jednak młodszych braci.

Usiadłem na łóżku, czując, jak zapada się pode mną materac, i spojrzałem na swoje „bagaże”. Nagle każda z tych toreb zaczęła wyglądać jak łańcuch wykuty tylko po to, by ciążyć mojemu bratu. Musiałby rzucić szkołę i znaleźć drugą pracę. Był cholernie inteligentny, ale doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

W życiu dostaje się tylko kilka szans.

Przyciągnąłem do siebie najbliższą torbę i zacząłem ją rozwiązywać. Nagle czyjaś ręka złapała mnie za nadgarstek i ścisnęła na tyle mocno, że puściłem plastik.

- Nawet o tym nie myśl albo posadzę twoje graty na siedzeniu, a ciebie zapakuję do bagażnika.

To był cały Niko. I do tego wkurzony. Mój brat potrafił doskonale opanować gniew i większość ludzi nawet by się w tym nie zorientowała, ale ja wyczuwałem jego wzburzenie za każdym razem. I nigdy, w żadnym wypadku, ten gniew nie był wymierzony we mnie. Teraz też nie.

- Nie zostaniesz tutaj. Pod żadnym pozorem - oznajmił stanowczo, po czym zawiązał torbę. - Będzie dobrze, Kai. Damy radę. Obiecuję.

Ja wcale nie byłem tego taki pewien, ale wiedziałem jedno. Niko nie zamierzał mnie zostawić. Przez ostatni rok widywałem go tylko w weekendy. Przez cały ten czas planowaliśmy i oszczędzaliśmy. Ale teraz przyszła pora na działanie, a ja pomyślałem, że może jednak się uda. Może wystarczy tylko trochę wiary. A jeśli mnie jej brakowało, to Niko miał jej dość dla nas obu.

- Mówisz poważnie? - Mój głos nie zabrzmiał tak sceptycznie jak zamierzałem.

Nieważne. Niko i tak by mnie przejrzał.

- Mówię - odparł, a kąciki ust uniosły mu się lekko. - Oczywiście, oznacza to tyle, że odtąd będziesz musiał odrabiać lekcje, sprzątać po sobie, pomagać staruszkom przechodzić przez jezdnię i słuchać się każdego mojego... - Nie wiem, co jeszcze zamierzał powiedzieć, bo walnąłem go poduszką.

Pasmo nieszczęść zaczęło się już w samochodzie - nie chciał zapalić. Porażka? Tak. Czy byłem zaskoczony? Ani trochę. Takie życie. Znacnie to powiedzenie, prawda? „Gdy życie daje ci cytryny...” Cóż, w takim przypadku możecie je sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi, bo i tak nie doczekacie się lemoniady.

Niko grzebał przy wozie prawie cztery godziny, zanim uparty silnik zaczął współpracować. W końcu z trzaskiem zamknął maskę i pokazał, żebył przekręcił kluczyk z powrotem. Podszedł do okna, ocierając rękę szmatą zrobioną z mojej starej koszulki.

- Chyba lepiej będzie tu przenocować i pojechać rano. Nie chciałbym się rozkraczyć po drodze.

Skrzywiłem się i walnąłem w kierownicę.

- Co za gówno! - mruknąłem, osuwając się na siedzeniu.

- Tak, dwieście pięćdziesiąt dolarów to już nie te pieniądze, co kiedyś - zgodził się złośliwie Niko. - Powinienem był wziąć Jaguara.

A zatem postanowiliśmy zaczekać do rana. Nie powinno to mieć większego znaczenia, w końcu to tylko jedna noc. Ale wyjście z rozpadającego się samochodu Nika i powrót do przyczepy... Nie była to najlepsza chwila mojego życia. Czułem się jak niedoszły topielec, którego ktoś wciągnął do łódki, a potem wyrzucił po drugiej stronie. Innymi słowy: było fatalnie.

Mimo wszystko starałem się myśleć pozytywnie. Jedna noc, tylko jedna noc w perspektywie całego życia nie wydawała się tak znowu istotna. Powtórzyłem to sobie kilka razy, szorując zęby w naszej maleńkiej zagraconej łazience. Tyle razy odcinali nam prąd, że przyzwyczyłem się robić wszystko po ciemku.

Gdy pochyliłem się nad umywalką, by wypłukać usta, nagle dostrzegłem coś w lustrze. Coś przesunęło się za mną, cień pośród cieni.

- Nik?... - Odwróciłem się, ale był tam tylko ręcznik rozwieszony na stojaku. Drżij śmiertelniku, drżij przed straszliwym gniewem frotowej tkaniny. Prychnąłem w duchu i poszedłem spać. Leżałem na wyboistej powierzchni udającej materac i bez powodzenia usiłowałem zasnąć. Co za niespodzianka. Po pewnym czasie, zbyt rozemocjonowany myślą o rychłej ucieczce, przewróciłem się na bok, uklepałem poduszkę i na jakiś czas odpuściłem sobie spanie. Z drugiego pokoju, gdzie Niko rozłożył się na kanapie, słychać było jego równy, spokojny oddech. Cały on - zawsze wyluzowany, prawie jak pacjent w śpiączce. Zastanawiałem się, czy nie wetknąć mu ręki do miski z ciepłą wodą i przekonać się, ile prawdy jest w tych legendach, że człowiek sika wtedy do łóżka, ale w tej samej chwili pojawił się cień innej legendy. Mroczniejszej, bardziej ponurej, która nawiedzała mnie całe życie.

Wygląda na to, że zwykłe nawiedzanie dobiegło końca.

Od strony okna dobiegł mnie jakiś dźwięk. Nie wydawał mi się ani przerażający, ani nienaturalny. Nie był nawet niepokojący. Ot, grzeczne pukanie w szybę. Puk, puk. Lekkie, miarowe uderzenia. Równie dobrze mógł to być twój kumpel z wakacji, przyjaciel ze szkoły... po prostu przechodził obok. Pukanie było znajome, przyjazne. Cześć stary, co słychać?

A zatem spojrzałem w okno nad łóżkiem. Na ułamek sekundy zapomniałem, że odkąd się tu przeprowadziliśmy, nie miałem już żadnych przyjaciół. Nie znałem nikogo w tej okolicy, żaden z sąsiadów nie mieszkał dość blisko, by zajrzeć do nas po drodze.

Nikt prócz rodziny.

Stał w oknie, skąpany w świetle księżyca. Jedną rękę przyłożył do szyby; jego długie, chude palce były blade jak światło księżyca. Wąska, spiczasta twarz uśmiechnęła się do

mnie tysiącem ostrych zębów, przybierając radosną minę lisa wpuszczonego do kurnika. Migdałowe oczy z pionowymi źrenicami błysnęły czerwonymi białkami, szkarłatnymi jak krew. Uszy przyciskał mocno do czaszki, a długie włosy, delikatne jak pajęczyna, lśniły w powietrzu, tworząc świetlistą koronę. Znow zastukał paznokciem w okno, aż zadźwięczało metalicznie, po czym otworzył usta. Jego głos brzmiał jak syk węża przebijający przez szum płynącej wody, jakby ktoś płukał gardło tłuczonym szkłem. Jedno słowo. Tylko jedno. -Mój...

Oczy koloru płynnej lawy spoglądały na mnie z większą dumą niż kiedykolwiek dostrzegłem to u matki. Może nie tyle była to duma, co nieposkromiona zachłanność. Widywałem już w życiu grendele, ale nigdy z tak małej odległości. Żaden z nich nie podszedł na tyle blisko, bym dostrzegł nagą żądzę w jego wzroku, gładką, pozbawioną porów skórę i całkowicie obcy szept.

Jezu Chryste - moja matka naprawdę przeleciała coś takiego?

Próbowałem przełknąć ślinę, ale zaschła mi w ustach, a mięśnie zmieniły się w galaretę. Nie mogłem oderwać oczu od ślepi potwora patrzącego na mnie zza okna. Z trudem chwytalem powietrze. W tamtej chwili byłem w stanie jedynie oddychać i to ledwo, ledwo. Grendel przekrzywił głowę i znow zachrypiał:

- Mój. - W głosie przebijały duma i zadowolenie.

A ja wciąż nie mogłem się ruszyć. Ta istota, ten potwór przyszedł po mnie, a ja nie mogłem nawet ruszyć palcem. Przynajmniej do chwili, gdy blada ręka przebiła szkło i chwyciła mnie za gardło. Ostre pazury wbiły mi się w ciało niczym rzeźniczkę haki. Dopiero wtedy odzyskałem zdolność poruszania. Krzycząc jak opętany, padłem na plecy, a grendel, przesuwał się po ostrej krawędzi szkła gładko niczym woda, poleciał moim śladem. Wylądował mi na piersi - był znacznie cięższy, niż sugerowała jego chuda sylwetka. Spokojnie ważył tyle co ja. Wąskie szparki nozdrzy znalazły się o cal od mojej twarzy. Potwór odetchnął głęboko - poznawał mój zapach.

- Krew z mojej krwi, kość z mojej kości. Tchnienie z mego tchu. - Poczułem, że po szyi spływa mi coś ciepłego. Cień uśmiechu przemieścił się w bok, a ochryply głos mruknął mi do ucha. - Czas wracać do domu.

Tym razem nie krzyknąłem. Zawyłem. W czystym, pozbawionym słów przerażeniu zacząłem szarpać rękę zaciskającą mi się na gardle i uniosłem kolana, by odepchnąć grendela. Ten potwór jednak nawet nie drgnął. Drugą ręką chwycił mnie za nogę - czułem się, jakbym wpadł w sidła na niedźwiedzie. Potem nagle uniósł mnie w górę i rzucił tak, że wyleciałem przez resztki okna na zewnątrz. Uderzyłem o ziemię tak mocno, że straciłem oddech. Chwytałem powietrze ustami i próbowałem przetoczyć się na plecy. Gwiazdy tańczyły mi przed oczami, w duecie z okrągłym księżycem. Na chwilę odleciałem, moje myśli płynęły wolno i lekko jak melasa.

Potem usłyszałem Nika. Jego głos, zwykle tak spokojny, odbierałem teraz jak kłęb drutu kolczastego, był pełen rozpaczy i furii. Przerwał mój trans, jakby przeciął go nożem. Zdołałem unieść się na łokciach. Świat wciąż wirował, ale teraz widziałem przyczepę. Choć oddałbym wszystko, byle tylko stracić wtedy na chwilę wzrok.

Sophia stała w drzwiach... Moja matka. Przez chwilę, jedną sekundę wyrwaną poza czas, była tak chłodna i piękna jak zawsze. A potem zmieniła się w żywą pochodnię. Jej koszula rozgorzała płomieniami. Ciało poczerniało, a włosy buchnęły ogniem, tworząc świetlistą aureolę. Chyba krzyczała, a może to byłem ja. Potem zniknęła, wpadła z powrotem w szalejące w głębi przyczepy piekło. Krzyki nie ucichły, a zatem musiałem to być ja. Sophia zniknęła, a Niko... Nie widziałem go ani nie słyszałem.

Rozpaczliwie drapiąc trawę i ziemię, zdołałem w końcu unieść się na czworaki. Nie byłem w stanie iść, ale próbowałem pełznąć. Pokonałem tak najwyżej parę kroków, gdy czyjeś dłonie chwyciły mnie za ręce, nogi i włosy. Grendele były wszędzie,

wyskakiwały z płonącej przyczepy, rozdzierając mrok. Kopałem je, biłem pięściami i wołałem Nika, aż straciłem głos. Wtedy dwa grendele stojące obok mnie zrobiły coś z powietrzem, bo rozdzieliło się wzdłuż pionowej linii - pulsującej wstążki tru-piosinego światła. Szpara rozszerzała się, rozciągała, aż w końcu pośrodku mroku ukazał się poszarpany otwór. Wtedy potwory pociągnęły mnie za sobą, a ja wciąż wzywałem brata, choć wiedziałem, że spłonął w przyczepie. Wiedziałem, że mój brat, jedyny człowiek, jaki mnie kiedykolwiek kochał, jedyny, którego obchodził mój los, zginął. Nie tyle za mnie, co z mojego powodu.

Poddałem się. Nie było powodu, by dalej walczyć. Nie zdołałbym pokonać ich wszystkich ani uciec, a teraz nie byłem nawet pewien, czy tego chcę.

- Moja krew... - wyszeptał ktoś. - Mój potomek. Mój. - Skóra zimna niczym kość przyłgnęła mi do policzka, a szpony wbiły się w ramiona. Miejsce, do którego mnie zaciągnęli, to jednak nie była dziura, lecz drzwi. Wrota do piekła.

Tatuz dotrzymał słowa i zabierał mnie do domu.

Teraz był to tylko sen, ale to wszystko zdarzyło się naprawdę. Na szczęście - albo niestety - nie pamiętałem, co się działo później. Niko musiał mi wszystko opowiedzieć.

Nie zginął tamtej nocy. Moim zdaniem, było to spore osiągnięcie, nieważne jak bardzo Niko je bagatelizował. Zdołał wyskoczyć przez okno w pokoju. Miał trochę poparzeń i zadrapań od szkła, ale przeżył. Obiegł płonąca przyczepę w samą porę, by zobaczyć, jak grendele przeciągają mnie przez wrota. Szczelina zamknęła się za nami i Niko został sam. Sophia nie żyła, a ja przepadłem bez śladu. Tylko on i dymiący stos stopionego metalu i plastiku. A jednak nie odszedł. Nie wszedł do samochodu, by stamtąd odjechać. Nie uznał, że i tak nie zdoła mi już pomóc. Został tam, Bóg jeden wie dlaczego. Nie przyjechała straż pożarna ani policja. Mieszkaliśmy na takim odludziu, że nikt chyba nie zauważył pożaru.

Niko usiadł na trawie, w miejscu, gdzie zniknąłem, i czekał. Przez dwa dni czuwał w tym samym miejscu. Nigdy mnie nie opuścił, więc to chyba nic dziwnego, że wtedy też zaczekał.

Dziwne było dopiero to, że wróciłem.

Drugiej nocy, w tym samym miejscu i prawie o tej samej porze co zniknąłem, nagle wypadłem z ciemności. Bezwładny, zupełnie nagi i oszołomiony. Gdy Niko ukląkł przy mnie na trawie, zawarczałem jak wściekły pies i może nawet wbiłbym mu zęby w rękę, gdybym w porę nie otrząsnął się z oszołomienia i nie rozpoznał jego twarzy. Nikowi dojście do siebie zabrało trochę więcej czasu. W końcu dla niego minęły tylko dwa dni.

Dla mnie były to dwa lata.

Oczywiście, były to tylko przybliżone szacunki. W miejscu, do którego zaciągnęły mnie grendele, czas najwyraźniej płynął inaczej, bo wróciłem znacznie starszy. Włosy, wcześniej krótko przycięte, teraz sięgały mi do ramion. Urosłem o kilka cali, barki mi się rozrosły, byłem też nieco lepiej obdarzony przez naturę. Był to najwyraźniej drobny efekt uboczny odbycia pozaczasowej wycieczki przez piekło amnezji.

Nie pamiętałem niczego, co stało się po przekroczeniu bramy. Wszystko spowijał tak nieprzenikniony mrok, że prawie nie zdawałem sobie sprawy z jego obecności. Gdyby nie fizyczne zmiany, przysięgłbym, że ani na chwilę stąd nie odszedłem.

Ja miałem z tym spory problem, ale Niko miał dziesięć razy gorzej. Jasne, Sophia nie była wzorową matką; Bóg widział, że wyprowadzaliśmy się od niej z radością. Mieliśmy nadzieję, że więcej jej nie zobaczymy, ale na pewno nie życzyliśmy jej śmierci. Są różne rodzaje śmierci, a konanie w płomieniach jest chyba jednym z najgorszych. Potem wróciłem ja - wyjący szalencie z zanikiem pamięci, który nie miał pojęcia, że w ogóle gdzieś zniknął - na dwa dni czy dwa lata, wszystko jedno. Wiedziałem, że było mu ciężko. Ale zacisnął zęby, a potem pięści, i wziął się do roboty. Dał mi zapasowe spodnie, które trzymał w bagażniku. Moje stare ciuchy, które leżały spakowane na tylnym siedzeniu

wozu, były o wiele za małe. Gdy już się ubrałem - niezręcznie, drżącymi rękami - Niko zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Widziałem krew - powiedział cicho. - Gdy cię zabierali, widziałem krew na twoich ramionach i szyi. - Dotknąłem palcem blizn. Po tych ranach zostały brzydkie blizny. - Jezu, Kai, to naprawdę ty!

Uwięziony w mocnym uścisku, ledwie zdołałem wydyszeć:

- Kaliban.

Wtedy nawet Niko nie mógł zaprzeczyć, że jestem potworem.

* * *

- Kai, co się dzieje?

A jednak. Po czterech latach ucieczki przed grendelami Niko ani razu nie nazwał mnie Kalibanem. Nigdy nie pogodził się z moją pesymistyczną wizją. Cholerna Polyanna. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak Niko wyłania się z półmroku.

- Cztery godziny? - wzruszyłem ramionami. - Kto chciałby tyle spać? Idź do łóżka, ja już wstałem. - Szturchnąłem go w ramię. - I postaraj się nie chrapać, Cyrano. Jak mam usłyszeć nadchodzących złoczyńców, skoro ich zagłuszasz?

Niko miał tak zwany rzymski nos i w ogóle ładny profil. Kobiety oglądały się za nim bez przerwy, ale przecież tego mu nie powiem. Wymyślałem mu za to różne złośliwe przezwiska (Cyrano było chyba najmniej obraźliwe), a on uwielbiał je wszystkie - wyrażał to energicznym trzepnięciem mnie w tył głowy.

Tym razem jednak nic nie powiedział, nie zachnął się nawet, że okłamałem go w sprawie powracającego koszmaru. Doskonale wiedział, co go wywołało. Bez słowa podążył w stronę swojego pedantycznie, po wojskowemu zasłanego łóżka, po drodze ściągając z siebie ubranie. Ja z kolei nie powiedziałem nic na temat dużego noża, który schował pod poduszkę. Wszyscy mamy swoje ulubione maskotki, po prostu niektóre są trochę ostrzejsze.

2

Gdy poranek w końcu przywłókł do nas swój zmęczony tyłek, postanowiłem zrobić śniadanie. Moja wachta minęła zupełnie spokojnie. Tylko ja, zbyt jasno oświetlone mieszkanie i przyczajony koszmar.

- Dla mnie wafle sojowe ze świeżymi owocami -- oznajmił Niko. Wszedł do kuchni, już ubrany, i ściągnął w kucyk włosy sięgające mu prawie do pasa. - I trochę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, jeśli można.

- Jajecznicą i piwo, tak jest, już się robi - odparłem z kamienną twarzą.
- Chyba moja kolej iść po zakupy, co?

- Można tak powiedzieć - zgodził się Niko, siadając przy nakrytym stole. Po drodze wyjął za mnie ketchup z lodówki. -W zasadzie twoja kolej była co tydzień przez cały zeszły miesiąc. - Uniósł kpiąco brew. - Nie żebym liczył czy coś.

- Uhm - mruknąłem sceptycznie. Podzieliłem zawartość patelni pomiędzy dwa talerze, po czym wstawiłem ją do zlewu, przysunąłem sobie krzesło, obróciłem oparciem do stołu i usiadłem na nim okrakiem. Szczodry kleks ketchupu na pulchną, żółtą masę i śniadanie gotowe. Niko stanowczym ruchem postawił przede mną szklanekę zimnego mleka.

- To nie wygląda jak Budweiser - wymamrotałem z pełnymi ustami.

- Wyobraź sobie, że to takie białe piwo z beczki w kształcie krowy - poradził Nik, po czym zaczął wsuwać swoją porcję, popijając piwem z krowy. Potem lekko stuknął widelcem w talerz.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy dziś pójść do Central Parku i pogadać z Bobokiem. Warto by go zapytać o tego grendela.

- Boboka? - spytałem z ożywieniem i skrzywiłem usta w złośliwym uśmiešku. - Tylko zapytać? Nie możemy przy okazji skopać mu tego ubłoconego tyłka? Trochę ćwiczeń jeszcze nikomu nie zaszkodziło. - Wprawdzie nie byłem tak zabójczo skutecznym wojownikiem jak Niko, ale potrafiłem o siebie zadbać. Czasy, gdy unikałem walk, obawiając się, że obudzą we mnie potwora, dawno minęły. Po wycieczce do piekła przemyślałem sprawę i podjąłem decyzję. Nie da się obudzić czegoś, co już dawno zerwało się z łańcucha, szamoce się i szczyrzy kły.

Brat spojrzał na mnie z lekką dezaprobatą.

- Póki zjada tylko bandytów, nie ma co komplikować sytuacji.

- Jęknąłem rozczarowany, ale Niko po namyśle dodał: - Chyba że nie zechce współpracować.

- Wypijmy za nadzieję. - Wzniosłem toast szklanką mleka. Tak, potwory naprawdę są wszędzie. Biorąc pod uwagę, jak

wygląda ten świat, nie było to wcale zaskakujące. Najdziwniejsze, że większość ludzi nie miała o tym bladego pojęcia. Potwory przemykały wszędzie, wystarczyło otworzyć oczy i rozejrzeć się wokół. Jednak ignorancja to błogosławieństwo, na świecie żyje zatem wiele miliardów błogosławionych ludzi. Do tej pory nie mogłem otrząsnąć się ze zdziwienia, gdy zobaczyłem na ulicy, jak ghul przemyka wśród cieni, całkowicie ignorując zwyczajowe reguły poruszania się i absolutnie nikt nie reaguje. Kiedyś nawet udało mi się napotkać wyszczerzonego w uśmiechu wilkołaka, półtora raza większego od każdego z wilków pokazywanych na Animal Planet, biegnącego po chodniku i podziwiającego nocne życie. I nikt nie uznał, że to trochę dziwne. Jakiś miłośnik zwierząt nawet pogonił za nim, żeby sprawdzić numer na obroży. Może ludzka głupota jest demonem sama w sobie.

Gdy znaleźliśmy się w parku, nocny ziąb złagodniał już do zwykłego jesiennego chłodu. Biegaliśmy truchtem po ścieżkach

prawie dwadzieścia minut, nim zanurzyliśmy się w las, kierując się w mniej uczęszczane miejsce - zarośnięte trawą bagno, wypełnione gęstym błotem, w którym dobrze czułoby się tylko prosię. Albo bobok.

Oparłem się o drzewo, założyłem ręce na piersiach i gwizdnąłem przeciągle.

- Puk, puk, Bobby. Masz gości. Jak dobrze wstać, skoro świt. - Błoto pozostało gładkie i nieruchome. W ciszy rozległ się odgłos metalu trącego o skórę - Niko dobył krótkie, szerokie ostrze, długości swojego przedramienia.

- Widzisz, Bobby? - ciągnąłem dalej. - Udało ci się wkurzyć Nika. To niegrzeczne. I niespecjalnie mądre. - Odszedłem od drzewa, zbliżyłem się do błota i przykucnąłem, opierając łokcie na udach. - Wiem, że tam jesteś, Bobby. Wyczuwam cię. Mam to po tacie.

Dwoje oczu wielkości piłek softballowych zamrugało leniwie z błota.

- Dupek z ciebie, Kai. To też masz po nim.

Nie wiedziałem wprawdzie, jak długo żyją boboki, ale byłem gotów się założyć, że całkiem długo. To miejsce stanowiło dom Boba, jeszcze zanim nazwano je Central Parkiem. Domyślałem się, że swój nowojorski akcent zawdzięczał zaglądającym tu biegaczom, wrotkarzom i rabusiom. Zakołysałem się na piętach i parsknąłem śmiechem.

- To akurat nie jest sprawa genetyki - to wyłącznie moja zasługa.

Błoto zabulgotało i spłynęło po olbrzymich barkach, gdy bobok wstawał.

- I to, że za każdym razem chcesz mi dokopać, też? Nie wydaje mi się.

Wyprostowany na całą wysokość miał ponad osiem stóp - potężna postać ociekająca brązową mazią i oblepiona zaschniętym błotem. Nie miał szyi - głowa łączyła się bezpośrednio z ramionami. Bezwargie usta pełne były dużych zębów, nachylonych do

środka jak u rekina. Miał ręce wielkości tac, u każdej po dwa palce i kciuk, z grubymi czarnymi szponami mierzącymi prawie dziesięć cali. Niezły okaz, ten nasz Bobby. Delikatny kwiatusek. Kropelka porannej rosy. Kuweta kociego żwirku, w którą ktoś tchnął mordercze życie.

- Czego chcecie, żule? - spytał.

- Kulturalnie porozmawiać. - Niko postukał ostrzem o kolano. - Chyba nie masz nic przeciwko?

Bezduczne oczy, równie pozbawione złości, co i sympatii, przez dłuższą chwilę obserwowały błyski stali. Potem stwór wzruszył ramionami.

- Chcecie pogadać, co? Jasne, po to tylko żyję. Co chcecie wiedzieć?

- Grendel - podsunąłem. - Buszował wczoraj po parku. - Zerknąłem w stronę Nika i szybko dodałem: - A w każdym razie przez jakiś czas. Ciekawi jesteśmy dlaczego.

- Może powinienes go był zapytać, zanim obciąłeś mu głowę

- burknął Bobok. - Byłoby znacznie prościej.

Górna warga Nika uniosła się o milimetr, odsłaniając równe białe zęby.

- Ale gdzie tu zabawa?

Tak jest. Niko umiał gadać. Twardy jak stal, zimny jak lód. Ale wbrew temu blefowi, zrobił to tylko z jednego powodu. Obiecał sobie, że żaden grendel już się do mnie nie zbliży. Mój brat wolał nie ryzykować.

- Naprawdę obciąłeś mu głowę? - spytałem zaciekawiony. Niko dotknął ostrza opuszką kciuka i potrząsnął głową.

- Miałbym stępić to cudeńko na kościach grendela? Bez sensu. Co on tu robił, Boboku? - Bez ostrzeżenia wrócił do tematu.

- Tylko sobie przechodził czy robił coś podejrzanego?

- Podejrzanego? - Bobok parsknął ochryłym bulgoczącym śmiechem, aż prysnęły krople błota. - Chyba żartujesz. Nieważne, co robił ten mały gnojek, ale na pewno nic dobrego. Powinienes to wiedzieć. Elfy po prostu takie są.

Przez wiele lat nie mieliśmy pojęcia, czym są grendełe. Dla mnie były to po prostu potwory, demony, poza tym niewiele mnie obchodziły. Niko, oczywiście, był ciekaw. Jego umysł pracował non stop, ciągle domagając się odpowiedzi: co, jak, dlaczego. Chodził od jednej biblioteki do drugiej, studiował mitologię i demonologię, aż zaczęła mu wychodzić uszami, ale i tak nie zdołał ich namierzyć. Dopiero Bobok oświecił nas w tym temacie.

Elfy. Grendełe były elfami. Pewnie dotąd wyobrażaliście sobie, że elfy to eteryczne istoty o łagodnych rysach, blond włosach i tajemniczym spojrzeniu. Może uważaliście, że przechadzają się odziane w przejrzyste tkaniny lśniące klejnotami i jeżdżą na białych koniach. A może jesteście bardziej nowocześni. Może wyobrażaliście sobie elfy prowadzące miejskie życie. Ubrane w skórzane ciuchy, jeżdżące na motocyklach, skrywające spiczaste uszy pod kaskami. To też niezła fantazja, prawda? Ogólnie rzecz biorąc, wierzyliście, że elfy są dobre. No, może nie wszystkie. Od czasu do czasu zdarzała się jakaś czarna owca. Ale większość z nich jest dobra i wygląda odłotowo. Każdy gracz RPG wam to powie.

A zatem jak to możliwe, by ktoś dopatrył się takich istot w czerwonoookich bestiach, które mnie ścigały? Cholera, kto to wie? A jakim cudem żeglarze dopatryli się syren w krowach morskich? Jasne, krowy morskie to fajne zwierzęta, ale alabastrowe piersi, seksowne kształty, zwinny ogon, pełne usta? Nic podobnego.

Nigdy nie przestawiłem się na to nowe określenie. Grendełe to grendełe, nie ma sensu wchodzić w szczegóły. Trudno mi było ogarnąć to, że potwory prześladowające mnie od dzieciństwa miałyby należeć do tego samego gatunku co niezwykły wojownik Shealendil albo Beoric Blondwłosy. Grendełe nawet nie nosiły ubrań, nie mówiąc już o koronkach i jedwabkach.

- A to „nic dobrego” to taka generalizacja czy konkretna wiedza? - zagaił Niko, podchodząc coraz bliżej, aż w końcu stanął na skraju błota.

- Tylko pogłoski. - Szpony zazgrzytały, gdy Bobok podrapał się po szorstkiej, łuskowatej skórze. - Ja tam nie widziałem żadnego. Nie mam pojęcia, co miałyby tu robić. To nie są miejskie stworzenia. Pewnie tylko przechodził.

Powiedział to z takim brakiem zainteresowania, że mu uwierzyłem. Najwyraźniej był tym znudzony, nie próbował nas oszukać. Nie widział tego grendela i nie miał pojęcia, czego mógł tu chcieć. Zatem zostawiliśmy go w błocie, żeby pożerał sobie bandytów w spokoju, i dokończyliśmy rundkę po parku. Przez całą drogę burczałem z niezadowolenia, ale Niko nie zwracał na mnie uwagi i nawet przyspieszył kroku. Lubił powtarzać, że podczas ucieczki trzeba umieć uciekać.

Potem zatrzymaliśmy się na lunch, jako że w domu odczuwaliśmy dotkliwy brak podstawowych produktów spożywczych. Ja zaproponowałem hamburgery, ale Niko upierał się przy czymś zdrowym i całkowicie pozbawionym smaku. A zatem zawarliśmy kompromis: zajrzeliśmy do małej pizzerii i zamówiliśmy pizzę wegetariańską. Zawierała ciasto i żółty ser, więc uznałem, że będę w stanie ją przełknąć, a Niko może sobie zjeść warzywa z wierzchu, ile tylko zapragnie. Siedział tyłem do ściany i wpatrywał się we mnie. Ja zaś wpatrywałem się w szklankę.

- W mojej coli jest jakiś owad.

Niko pochylił się i skinął głową w zamyśleniu.

- Na to wygląda - zawyrokował i odchylił się na oparcie. -Ale to też pełnowartościowe białko. Podejrzewam, że jest bardzo odżywczy. Daj mu szansę.

Prychnąłem, zastanawiając się przy tym, czy wyłowić robaczka łyżką, czy odesłać colę do kuchni. Decyzje, decyzje.

Tymczasem mój brat, zupełnie niewzruszony moim dylematem, dobrał się do gorącej pizzy. Odstawiłem szklankę, pozostawiając decyzję w rękach natury. Walcz albo giń. Niech przetrwają najsilniejsi. Chwyciłem trójkącik pizzy i przeciągnąłem na grubo, fajansowy talerz, po czym wrzasnąłem i podmuchałem na

poparzone palce. Niko podniósł swój kawałek i spojrzał na mnie z wyższością:

- To kwestia dyscypliny. Przewaga umysłu nad materią.

- Aha, założę się, że potrafisz też łamać deski swoim fiutem. Prawdziwy twardziel z ciebie. - Zdjąłem z pizzy coś zielonego i obrzuciłem krytycznym spojrzeniem. To był brokuł. - Co teraz robimy? Uznajemy, że grendel przyszedł tylko pozwiedzać miasto, czy kopujemy głębiej?

- Wiesz, Kai, nie zapisywałem się ostatnio do Klubu Niepoprawnych Optymistów. A ty?

- Tak właśnie myślałem. - Spojrzałem na zegarek. - Nie masz dzisiaj lekcji? - Oprócz zleceń z agencji ochrony, Niko dorabiał sobie jako instruktor sztuk walki w pobliskim dojo. Dzięki temu zyskiwaliśmy więcej środków na nasz fundusz finansujący akcję zwiewania, gdzie pieprz rośnie.

- Później - odparł niedbale. - Musimy się z tym uporać. Jedz brokuły, zanim wystygną.

Skrzywiłem się, ale posłuchałem.

- Wyszoruj podłogę, Kopciuszku. Jedz brokuły, Kopciuszku -burczałem z ustami pełnymi ciasta.

Nawiasem mówiąc, owad zdołał wydostać się ze szklanki. Zuch robił.

3

Mama występowała kiedyś jako wróżka na prawie każdym jarmarku, w każdej zapyziałej dziurze, chociaż wolała mieszkać w mieście, niż podróżować z wesołym miasteczkiem. Mieszkała w ciemnych, ciasnych mieszkaniach, gdzie wygłaszała oczywiste banały i kłamstwa, które sprzedawała desperatom - wtedy nie musiała z nikim dzielić się pieniędzmi. Sophia bardzo lubiła pieniądze... a raczej to, co mogła za nie kupić: alkohol, prochy i inne doczesne atrakcje. Forsa nigdy się jej nie trzymała, a ona zrobiłaby wszystko, by ją zdobyć. Naprawdę mam tu na myśli wszystko.

Właśnie tak zaszła w ciążę. Gdy byłem młodszy, czasem myślałem, że mogło być inaczej. Była młodą kobietą, piękną niczym burza - dzika i nieokiełznana. Może to jej uroda sprawiła, że jakiś potwór nie mógł jej się oprzeć i wziął ją siłą, skrzywdził ją, sprawił, że przestała się troszczyć o kogokolwiek poza samą sobą. Jej destrukcyjne zachowanie zaczęło niszczyć wszystkich wokół. Jak mogła mnie kochać, jeśli przez cały czas pamiętała, skąd się wziąłem? Jak mogłaby zapomnieć o tak przerażającym przeżyciu? Jak mógłbym nie przebaczyć komuś, kto przeżył takie piekło?

W rzeczywistości sprawy miały się całkiem inaczej. To było życie, a nie film, pełen mdłej, przejaskrawionej szlachetności Aleja byłem młody, głupi i... cholera, rozpaczliwie chciałem ją usprawiedliwić. To drugie słowo w rodzaju tych, których lubi używać Niko, ale w tym przypadku było prawdziwe. Ostatecznie

wszystkie dzieci, nawet te najbardziej twarde i cyniczne, chcą mieć mamę. Wszystkie.

W przypadku Sophii jak zwykle chodziło o pieniądze. Nie było żadnej ofiary, żadnego napastnika, zwykła umowa handlowa. Mówiła potem, że to najgorszy interes, jaki zrobiła w życiu. Pieniądze szybko się rozeszły, do tego musiała się sporo natrudzić, żeby wymienić złoto i srebro na gotówkę. Chichocząc nad pustą szklanką, dodawała wtedy:

- Ale ty wciąż tu jesteś, Kalibanie. Pieniądze zniknęły, a ty wciąż tu jesteś, do diabła. - Jej śmiech miał zapach whisky. Jasne, miałem szczęście, że zaczekała z wyznaniem prawdy, aż skończyłem dziesięć lat. Sophia była wróżką, ale mi mówiła tylko prawdę.

Nic dziwnego, że po tym doświadczeniu nie darzyliśmy wróżów i jasnowidzów szczególnym zaufaniem, ani ja, ani Niko. Jednak kiedy dwa lata temu przybyliśmy do Nowego Jorku, przeżyliśmy pewną niespodziankę. Przyczyna naszego zaskoczenia miała na imię George. Prawdziwa, autentyczna jasno-widzka. Ciepło i nadzieja. Wiara, gdy człowiek myśli, że już wszystko przepadło.

A poza tym miała siedemnaście lat, więc mogliśmy z nią pogadać dopiero po szkole. Siadywała wtedy w pobliskiej lodziarni prowadzonej przez staruszkę, który przymykał oko na stale przesuwany się sznur klientów. George zawsze prosiła ich, by kupili przed wyjściem lody albo jakiś napój. Prawdopodobnie to dzięki niej to miejsce wciąż jeszcze istniało. Czekaliśmy przy stoliku, gdy nadeszła. Wszystko w niej było ciepłe i łagodne, a w świecie, gdzie trudno o takie cechy, nauczyłem się cieszyć każdym ich okruczem.

- Cześć Georgie. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Co słychać, Piegowata Królowo?

Stosowałem pewną sztuczkę, która utrzymywała mnie w ryzach. Pomagała zachować zdrowy rozsądek. Traktowałem ją jak młodszą siostrę - dziecko, które właśnie zeszło z karuzeli.

Nadawałem jej pieszczotliwe, irytujące przezwiska. Przewracałem oczami, ciągałem za włosy i niemalże klepałem po głowie. Starłem się, jak mogłem, by te dwa lata różnicy pomiędzy nami wyglądały na dwadzieścia. Jednak mimo wszystkich tych wysiłków, mimo machania rękami, powtarzania w duchu: „Patrz tam, patrz tam. Cokolwiek zrobisz, nie patrz tu, nie patrz na mnie. Nie zwracaj na mnie uwagi ani na to, o czym tak bardzo staram się nie myśleć”. Mimo tego... Nic mi to nie dawało.

Georgina potrząsnęła głową, ciemnorude loki podskoczyły wokół ramion.

- Moi koledzy z klasy są poważniejsi od ciebie - rzuciła wesoło.

Niko bezlitośnie szturchnął mnie łokciem. Wiedział, dlaczego tak się zachowuję, i robił mi niezwykłą przysługę, nigdy tego me komentując. Ani ja, ani mój wewnętrzny potwór nie byliśmy gotowi na przedyskutowanie tego zagadnienia, i on o tym wiedział.

- Od lat mu to powtarzam, Georgino. Nigdy mnie nie słucha, George obrzuciła go współczującym spojrzeniem brązowych oczu.

- Jak dzieci, jak dzieci. - Zawsze umiała się tak odciąć, że rumieniec wypełzał mi na policzki. Byłem twardym, bezwzględny typem, gotowym skopać tyłek komukolwiek i czemukolwiek... a ta dziewczyna sprawiała, że zaczynałem się wiercić nerwowo na krześle.

Podczas gdy Niko z Georginą debatowali nad moim infantylnym zachowaniem, podszedłem do lady i zamówiłem trzy koktajle lodowe. Ananasowy dla George, nudny waniliowy dla Nika i czekoladowo-wiśniowy dla siebie. George natychmiast zabrała się za swój napój, prawie tak duży jak ona. Nigdy nie brała pieniędzy za swoje wizje. Kategorycznie odmawiała przyjmowania zapłaty, ale poczęstunki akceptowała. Biorąc pod uwagę, ilu ludzi do niej przychodziło, to cud, że jeszcze nie ważyła dwieście kilo.

- Co u twojej rodziny? - spytał poważnie Niko, mieszając słomką w koktajlu. - Co z twoim ojcem?

Dziewczyna przycisnęła grzbiet dłoni do ust, a jej piegowata karmelowa skóra zaczerwieniła się lekko. Sięgnęła po serwetkę.

- W porządku - odparła równie poważnie.

Ojciec George był tak chory, że „w porządku” to zdecydowanie najlepsze, na co mógł liczyć. Miał AIDS. Gdy George i jej rodzeństwo byli młodszy, nie zachowywał się jak dobry opiekun, ale w końcu wziął się w garść i przeszedł odwyk narkotykowy. Okazało się jednak, że było już za późno. George i jej rodzina odzyskali go tylko po to, by za chwilę musieć stracić go znowu, tym razem na zawsze. Ale Georgie widziała świat w nieco innym świetle, którego większość ludzi nigdy nie dostrzegała. Przynajmniej tak mówił Niko. Ja należałem do krótkowzrocznych. Jeśli rzeczywiście istniało takie światło, to nigdy nie dostrzegłem nawet krótkiego rozbłysku. To światło stanowiło ostateczną odpowiedź, całą układankę, a ja miałem do dyspozycji najwyżej trzy elementy, które ledwie zdołałem dopasować do siebie.

- To dobrze - powiedział Niko, kładąc dłonie płasko na stole. - Georgina, potrzebne nam widzenie.

-Wiem - odparła, po czym uśmiechnęła się bezczelnie. -W końcu jestem jasnowidzem.

Niko uniósł kąciki ust w - rzadkim u niego - uśmiechu.

- To zaczynamy?

Georgina starannie wytarła serwetką rękę i położyła ją na dłoni Nika. Jej mała dłoń wyglądała przy jego łapach na jeszcze drobniejszą. Dziewczyna zamknęła oczy i zaczęła nucić coś pod nosem. Widziałem już wcześniej, jak to się odbywa... z innymi ludźmi. Było to nasze pierwsze widzenie, ale Georgie wcale się nie zdziwiła. Boże, ile już razy zastanawiałem się, czy George jest w stanie zobaczyć, gdzie byłem przez te dwa lata, które wyrwano mi z życiorysu. Ale przed próbą sprawdzenia powstrzymywały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, byłem prawie pewien, że niezależnie od tego, gdzie mnie zaniósł,

George prawdopodobnie nie powinna tego zobaczyć. A po drugie, nie byłem pewien, czy sam chcę to wiedzieć. Może i nie pamiętałem, co się przez ten czas działo, ale mógłbym założyć się o wiele, że nie było to życie usłane różami. Jeśli mój własny umysł postanowił wyprzeć te wydarzenia, to na pewno nie zrobił tego bez powodu. Jeden cholernie dobry powód, albo tysiąc mniejszych, ale okropnych.

„Mętne, zamglone wspomnienia”, akurat.

Nucenie cichło z wolna, aż zastąpiła je wibrująca cisza. A potem padło jedno słowo, niczym kamień ciśnięty w studnię.

-Pytaj.

Niko nie tracił czasu. Zwięźle zapytał, czy prześladowcy wpadli na nasz trop i czy powinniśmy opuścić miasto. George przez chwilę nie odpowiadała. Nie otwierając oczu, przekrzywiła głowę, jakby usłyszała odpowiedź dochodzącą... jakby z lewej strony, z tyłu, a może z boku. Może właśnie tam znajdowała się przyszłość - tuż koło nas, tylko trochę pod kątem. Po dłuższej chwili wyprostowała się i potrząsnęła głową.

- Nie - oznajmiła spokojnie. - Jesteście bezpieczni. Grendele was tu nie widzą. Za dużo ludzi. Zbyt dużo światła, za głośno. Jesteście jak ziarnko piasku na bezkresnej plaży, jak liść w gęstym lesie, jak gwiazda na odległym niebie. - Otworzyła oczy i pokazała nam dołeczki w policzkach. - Na ostatniej lekcji była literatura.

- Bardzo poetyckie - stwierdził Niko z rozbawieniem. W żaden sposób nie zareagował na to, że Georgina użyła słowa „grendel”. Skoro my je tak nazywaliśmy, to dlaczego ona miałaby zrobić inaczej? Byłem ciekaw, czy zobaczyła je w naszych myślach, czy tylko odczytała to słowo. Zastanawiałem się też - dłużej niż powinienem - co by zrobiła, gdyby spojrzała na mnie i zobaczyła, że nie jestem człowiekiem. Jeśli już to widziała, to nie dała tego po sobie poznać, jej uśmiech był równie przyjazny i miły jak zawsze.

Jezu.

Dopiliśmy koktajle. Przez resztę spotkania George gadała o różnych babskich sprawach. Przystojni chłopcy i ciuchy. Przystojni chłopcy i jej niemożliwi bracia, i beznadziejnie próżne siostry. Potem znów wracaliśmy do przystojnych chłopaków. Przez cały ten czas nie spuszczała ze mnie wzroku. „Widzisz? -zdawała się mówić uspokajająco. - Nie martw się. Jeśli chcesz, to mogę się zachowywać jak dziecko. Będę bezpieczna i odległa, całkiem pogrążona w świecie szkolnych oper mydlanych. Nie musisz się martwić. Nie musisz się bać”.

I robiła to dla mnie - żeby mnie uspokoić. Podejrzewam, że trochę przesadzała. Jeszcze nigdy nie widziałem w lodziarni nikogo, kto mógłby zostać jej chłopakiem. Szczawie z liceum prędzej narobiliaby w gacie, niż zaprosili ją na randkę. George była... zjawiskiem. To chyba jedyne pasujące określenie. Zjawisko.

Mimo swojej osławionej żelaznej dyscypliny, w końcu nawet Niko wymiękł, zmęczony tą podrabianą dziewczynską gadką. Nim dopiliśmy koktajle, oczy zaczęły mu się szklić. Podziękował George za widzenie, grzecznie i formalnie jak angielski lokaj, a ja zamachałem, wołając:

- Do zobaczenia, Piegowata Królowo!

George skrzywiła się niefrasobliwie i pomachała, a potem wyszliśmy. Zardzewiały dzwonek nad drzwiami zabrzączał cicho. Poczujęm się trochę lepiej. Jeśli chodzi o przekazywanie wiadomości, zarówno dobrych, jak i złych, George była niezawodna jak agencja prasowa. Jeśli powiedziała, że nic nam nie grozi, to znaczy, że tak jest. Wierzyłem w nią tak mocno, jak tylko mogłem wierzyć w cokolwiek.

Przynajmniej dopóki nie odwróciłem głowy, by po raz ostatni spojrzeć na naszą małą jasnowidzkę. Już się nie uśmiechała. Schowała głowę w splecionych rękach, a ramiona trzęsły się jej wyraźnie. Płakała bezgłośnie za grubą szybą. Szlochała tak rozpaczliwie, jakby straciła przyjaciela, członka rodziny, a może nawet część własnej duszy.

Wiara to dziwna rzecz - dużo szybciej się ją traci niż zyskuje.

Powiedzieć Nikowi, czy nie powiedzieć... nie, Hamlecie, pytanie brzmi zupełnie inaczej. To nie kwestia tego, czy Niko się dowie, tylko kiedy. Miał w oczach promienie rentgenowskie. Wcześniej czy później domyśli się, że coś ukrywam - osobiście obstawiałem, że będzie to wcześniej. A zatem jeśli chciałem wcielić się w rolę Heathcliffa i porozmyślać nad tym ponuro, to musiałem sam stworzyć sobie okazję. I to szybko.

Wykorzystałem starą, sprawdzoną metodę, która jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Dziesięć sekund po przyjsciu do mieszkania padłem na kanapę i straciłem przytomność. Nie było w tym żadnego oszustwa. Potrafiłem wpaść w śpiączkę na zawołanie, jak jakiś jogin. Gdy się obudziłem kilka godzin później, drzwi frontowe były zamknięte na klucz, a Niko poszedł do swojego dojo. Przynajmniej tak wynikało z kartki, którą zostawił mi na stole. Dopisał na niej, że naczynia nie pozmywają się same, a grzyb w łazience zaczyna ewoluować do postaci rozumnej. Zrobiłem z kartki samolocik i posłałem go w najodleglejszy kąt pokoju. Wylądował zawadiacko na starym telewizorze. Zostawiłem go tam jako pomnik wolności grzybów na całym świecie.

Wyjąłem z szafki na wpeł opróżniony słoik masła orzechowego, usiadłem przy kuchennym stole i wziąłem się do roboty. Tylko ja, łyżka i masło orzechowe grubo po terminie ważności. Od razu można to wyczuć: jest chrupiące, choć tuż po kupieniu było gładkie. Mimo zmiany konsystencji wciąż smakuje tak samo. Przełknąłem kęs i pomyślałem o Georginie. Ufałem jej prawie tak samo jak Nikowi, a w moim przypadku to znaczyło bardzo dużo. Myślę, że to znaczyłoby dużo w każdym przypadku.

A jednak nas okłamała. Kłamstwa są jak kwas: wżerają się głęboko, powodując korozję. W mgnieniu oka potrafią zniszczyć nawet największe zaufanie. Mimo że przez cały czas spodziewałem się zdrady, ani razu nie przyszło mi do głowy, by spodziewać się jej ze strony George. Widziałem, jak pomaga wielu ludziom, wnosząc nadzieję w ich puste, ponure życia. Widziałem, jak wsłuchują się w jej spokojne, życzliwe słowa, malujące

lepszy świat, w żywszych barwach. Ale zawsze mówiła prawdę, obojętnie dobrą czy też nie. Aż do tej pory.

Zastanawiałem się, co się stało? Dlaczego George miałyby złamać swoją żelazną zasadę prawdomówności, zasadę związaną z nią nierozzerwalnie, tak samo jak rude włosy? Włożyłem do ust drugą łyżeczkę i poczułem, że masło staje mi w gardle. Może powinienem na chwilę odłożyć rozważania o przyczynach i skupić się na konsekwencjach. Dziewczyna nas okłamała, ale o co mogło chodzić? Czyżby grendele szukały mnie teraz po całym mieście? Czyżby nasze bezpieczeństwo okazało się fikcją? Może jedno i drugie? Odsunąłem słoik i położyłem brodę na rękach, opierając łokcie o plastikowy blat. Cholera. Cokolwiek się stało, należy stąd wiać, i to szybko.

Zamknąłem oczy i zakląłem - tym razem w głos. Pytania nie dawały się zagłuszyć myślami o ucieczce. Można by pomyśleć, że skwituję to wzruszeniem ramion - nic nowego - i pójde się pakować. Ale tym razem chodziło o George, a, jak się okazuje, przywiązałem się do niej bardziej niż powinienem. Jezu, co się mogło stać? Łyżka wypadła mi z ręki. Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem tę dziewczynę, wydawało mi się, że otacza ją jakieś światło. Wiem, brzmi to strasznie kiczowato, ale to prawda. Spotkaliśmy ją nieopodal targu rybnego na nabrzeżu; trzymała w ręku znoszoną psią obrozę. Koło niej stał jakiś starszy mężczyzna, jego siwe włosy sterczały na wszystkie strony, bo co chwila przeczesywał je nerwowo ręką. Miał przekrzywioną muszkę, ramiona mu obwisły.

- Zerwała się ze smyczy. Nie wiem, co jej się stało. Wenus to taki grzeczny piesek.

Niko i ja kręciliśmy się w pobliżu, gdy dostrzegliśmy ten mały dramat: człowiek traci ukochanego psa. Trąciłem Nika łokciem i prychnąłem z niesmakiem, patrząc, jak dziewczynka rozpracowuje staruszkę. Widziałem to już tysiące razy w wykonaniu Sophii. „Pomóż, wróżko, straciłem żonę, pieniądze, mamę, tatę,

dziecko. Pomóż, poradź, ratuj mnie". Zrozpaczeni ludzie byli wszędzie, jednak nigdy nie widziałem, by Sophia szukała w świecie duchów psa. Oczywiście, zrobiłaby to z ochotą, gdyby w grę wchodziły pieniądze. Za odpowiednią kwotę połączyłaby się duchowo nawet ze świnką morską.

Dziewuszka była profesjonalistką. Gładziła ręką obrożę, ciemne oczy zdawały się spoglądać do wewnątrz. Jej drobna twarz niemal świeciła wewnętrznym blaskiem, tak czystym, że musiał być udawany. Pomyślałem, że zaraz wygłosi parę uspokajających frazesów, weźmie od klienta pieniądze, schowa je do kieszeni i zniknie. Staruszek zostanie sam z psią obrożą w ręku.

Myślałem tak, póki nie zobaczyłem Wenus, jak wypada zza stosu drewnianych palet, jeżąc białe futro i ujadając jak szalona. Niko szturchnął mnie w ramię i mruknął:

- Kto by pomyślał?

Na pewno nie ja. Staruszek przytulił twarz do psiego pyska, a Wenus obsypywała go wilgotnymi buziakami. Dziewczynka podeszła tymczasem do nas. Była tak drobna, że wyglądała na dziecko z podstawówki. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że ma piętnaście lat i jest o jakieś dwa życia mądrzejsza ode mnie. Stała naprzeciw nas z włosami zaplecionymi w warkocze i powiedziała poważnie:

- W tej chwili nie ma tu nic do roboty. Wróćcie w przyszłym tygodniu. Będą potrzebować nocnego stróża. - A potem błysnęła uśmiechem, niewinnym i ciekawskim zarazem. - Kaliban. Zabawne imię.

To właśnie była George.

Słoiki kiepsko się tłuką, gdy są na wpół pełne masła orzechowego. Zamiast satysfakcjonującego trzasku rozlega się wtedy głuchy, miękki chrzęst. Klęczałem na podłodze, próbując pozbierać odłamki, kiedy nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Może George zrobiła to, co uznała za stosowne. Może nasza przyszłość została już nakreślona. Może niezależnie od tego, co teraz zrobimy, ostatecznie i tak nie zdołalibyśmy przetrwać.

Nieważne czy zostaniemy, czy wyjedziemy, i tak dobiórą nam się do tyłków. Może nawet George nie zdołała dostrzec w tej chmurze żadnych srebrnych przebłysków.

Bóg wie, że nigdy nie lubiłem się oszukiwać. Oduczyłem się tego w bardzo młodym wieku, ale teraz zamierzałem odstąpić od własnych zasad. Postanowiłem, że przekażę Nikowi złe wiadomości, spakujemy się i wyjedziemy stąd w cholere, ale przez cały czas będę święcie wierzyć, że George miała powód - ważny powód - by tak postąpić. Będzie to zapewne tylko żalosne samooszukiwanie, ale biorąc pod uwagę, że i tak wyjedziemy z miasta i znajdziemy się daleko od niej, będzie to zupełnie nieszkodliwe. Zapomnę o baśniach i bezsensownych nadziejach, gdy tylko miniemy granice miasta, wtedy wrócę do pełnoetatowego cynizmu. A gdy zobaczę kolejną dziewczynkę jasnowidza odnajdującą szczekliwego psa, zacznę oddalać się w przeciwną stronę. Nie był to zbyt dobry plan - szczerze mówiąc, czułem się jak pasażer „Titanica” proponujący: „Może wysłuchajmy jeszcze jednego utworu, zanim pobiegniemy do szalup?”. Ale dobry czy zły, był to jedyny plan, jaki wymyśliłem. Jak mówi utarte powiedzenie: albo grasz kartami, które dostałeś, albo odchodzisz od stołu.

Jak zwykle.

Niko przez całe życie był moim obrońcą. Stał za mną murem, gdy potrzebowałem wsparcia. Stał przede mną, gdy potrzebowałem jakiegoś bufora pomiędzy sobą a humorami Sophii. Zawsze stał pomiędzy mną a całym światem. Nieustannie był przy mnie i wspierał mnie, jak tylko mógł.

Teraz jednak wyglądał, jakby zamierzał wesprzeć mój tyłek podeszwą buta, aż przeleceć ponad księżycem.

- Przecież powiedziałem przepraszam - burknąłem, siadając na kanapie i obrzucając go spojrzeniem jednocześnie rozdrażnionym i pełnym skruchy.

- Kiedy? - spytał krótko. Stał naprzeciw mnie z założonymi rękami i wpatrywał się we mnie z czystą, niezmaconą irytacją. -Bo wiesz, ja nie przypominam sobie żadnych przeprosin. Może byłem w łazience? A może tylko ubzdurałeś sobie to wszystko w tym, co uchodzi za proces myślowy w twoim tycim mózdzku?

- A może zostałem zmiażdżony przez nadmiar sarkazmu i zmarłem tragicznie. - Podrapałem się w łydkę palcami stopy. -Mogło tak być.

- Nie, Kai, chyba nie. Myślę, że raczej zrobiłeś coś głupiego i nie chcesz się przyznać, nie mówiąc już o przeproszeniu.

Wyglądała na to, że rozmowa szybko się nie skończy.

-Wiesz co, wprawdzie świetnie się bawię - westchnąłem, postukując w zegarek palcem - ale muszę być w pracy za dwadzieścia minut. - Pochyliłem się, by poszukać trampek pod kanapą.

Niko błyskawicznie wyrwał mi buty z ręki i z rozmachem postawił je na stoliku.

- Według moich szacunków trochę się spóźnisz.

Według moich szacunków spóźnienie było teraz najmniejszym z moich problemów.

- Jezu, Nik. A co byś zrobił, gdybym powiedział ci o tym natychmiast? Raz już nas okłamała i nie ma żadnej pewności, że nie zrobi tego znowu. Po prostu będzie trzymała się swojej wersji. Kung-fu nie pomoże ci wycisnąć prawdy z małej dziewczynki.

- To prawda - odparł Niko. - Jednak nie jestem do końca przekonany, że ta rozmowa poszłaby na marne. Georgina jest naszym sprzymierzeńcem, Kai, i ma wyjątkowy dar. Powinniśmy przynajmniej zapytać, spróbować to zrozumieć. Może wcale nie płakała z naszego powodu.

Może rzeczywiście należało, może popełniłem pomyłkę. Ale co do jednego byłem przekonany: płakała z naszego powodu, może nawet nad nami. Jednak mój brat potrafił czasem być równie uparty co ja. Musiał zobaczyć wszystko na własne oczy.

- Może masz rację - rzuciłem niezobowiązująco. - Może spróbuj z nią pogadać, gdy będę w pracy? A nuż się czegoś dowiesz. -- Sięgnąłem po but i tym razem Niko nie próbował mi przeszkodzić. Związałem sznurówkę w niechlujną podwójną kokardkę. Potem włożyłem drugi. - Przepraszam, Nik, powinienem był ci powiedzieć. Po prostu... - Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem słowom rozpląnąć się w powietrzu.

- Sam nie chciałeś w to uwierzyć - dokończył za mnie Niko.

- Aha. - Oparłem dłonie na kolanach i spojrzałem na niego żałośnie. - Myślałem, że wyparcie to tylko taka choroba. - Zdobyłem się na prawie szczery uśmiech, bo Niko aż zrobił zęza z oburzenia. - Uspokój się, tylko żartowałem. Kurczę, powinieneś być nauczycielem w gimnazjum. Sztywny, poukładany i czepialski, że głowa mała.

Mój brat zmrużył oczy.

- Biorąc pod uwagę, że ty najwyraźniej nigdy nie wyrosłeś z podstawówki, nauczyciel z gimnazjum bardzo by ci się przydał. - Podał mi rękę i pomógł wstać z kanapy. - Uważaj na siebie, Kai.

Bardziej niż zwykle - dodał. - Przyjdę po ciebie przed zamknięciem, tak dla bezpieczeństwa.

- Widzę, że jesteś stróżem brata swego. - Uśmiech zniknął mi z twarzy.

Z tego powodu też było mi przykro.

Praca wyglądała jak zwykle. Zamknięta w czterech ścianach, przeraźliwa, zabójcza nuda, póki nie zjawiała się Meredith ubrana w nową bluzeczkę. Oczywiście zakładając, że pięć cekinów i skrawek błyszczącej siatki można uznać za samodzielny element ubrania. Hej - wprawdzie nie znam się na modzie, ale wiem, co lubię, a duża ilość gładkiej, nagiej skóry znajdowała się bardzo wysoko na liście. Jaskrawoczerwone paznokcie musnęły mój policzek i zatknęły kosmyk włosów za ucho.

- Cześć, Kai. Szef już przyszedł? Trochę się spóźniłam, wiem. „Trochę” w narzeczu Meredith oznaczało półtorej godziny

w świetle rzeczywistym. Nie przerywając przecierania lepkiego kontuaru, uniosłem brwi.

- A jak myślisz, Merry?

Jęknęła i dmuchnięciem odrzuciła z oczu rudą grzywkę.

- Pewnie się wkurzył, co? - Nie czekając na odpowiedź, obciągnęła top, powiększając jeszcze dekolt, i poprawiła włosy. -No dobra, czas iść pocałować starego w pomarszczony tyłek. Życz mi szczęścia.

- Mając takie argumenty, nie potrzebujesz szczęścia. - Wyszczrzyłem zęby.

Meredith z prawdziwą dumą spojrzała na swoje piersi w rozmiarze F.

- Pożyteczne są, prawda?

Wielokrotnie widziałem mężczyzn gapiących się na piersi kobiet. Do cholery, pracowałem przecież w barze - powyższy zbiór obejmował 99,99 procent naszych klientów. Ale Meredith była pierwszą znaną mi kobietą, która potrafiła wpatrywać się we własne piersi z równą fascynacją co jakiś przypadkowy zboczeniec. Dyskretnie poprawiła ułożenie bliźniaczek w miseczkach

i zniknęła na zapleczu, próbując oczarować nimi właściciela, pana Talleya, czy też, jak go nazywaliśmy, Tallywhackera. Była to postać równie tajemnicza i nieuchwytna co Potwór z Loch Ness albo Yeti. Większość czasu spędzał w biurze na zapleczu, licząc pieniądze i robiąc Bóg jeden wie co. Raz na jakiś czas wyłaził stamtąd niespodziewanie, pożądliwie spoglądał na kilka klientek, przeczesywał palcami swoje pięć czy sześć pasemek siwizny i znów znikał. Był to dziwny, niepokojący facet, który więcej pieniędzy wydawał na porno i chusteczki higieniczne niż na zaopatrzenie baru.

Wzruszyłem ramionami i cisnąłem brudną szmatę do zlewu. Człowiek musi mieć jakieś hobby. Jeśli Meredith tak bardzo zależy na tej pracy, że gotowa jest wdzięczyć się do Tallywhackera, to w końcu jej sprawa. Byle tylko obyło się bez krzyków - krzyki psuły nam interes. Barmani żyją z napiwków.

- Kolego, mógłbyś nam pomóc?

Odwrociłem się, klnąc w duchu. Niko nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem się tak podejść, ja sam też nie byłem zachwycony. Po przeciwnej stronie blatu stał jakiś mężczyzna, czekając na odpowiedź. Wysoki, czarnoskóry, z ogoloną głową i krótko przyciętą bródką. Na nadgarstku miał czerwono-czarny tatuaż przedstawiający konia, częściowo ukryty pod rękawem skórzanej kurtki. Przez chwilę cierpliwie mierzył mnie wzrokiem, a potem błysnął przyjaznym uśmiechem.

- Przyszedłem nie w porę?

Sięgnąłem po szklanę, nalałem mu coli i postawiłem na barze.

- Wybacz, chłopie. Co mogę dla ciebie zrobić? Mężczyzna ujął szklanę, lekko marszcząc brwi.

- Dzięki. - Upił łyk, odstawił szklanę, po czym wykrzywił wargi w smutnym uśmiechu. - Dobrze, że nie nalałeś mi piwa. Od jakiegoś czasu nie piję.

Wiedziałem o tym doskonale. Alkohol utrzymuje się w zapachu człowieka znacznie dłużej niż w jego krwi. Gdyby ten facet

wypił piwo w ciągu ostatniego miesiąca, na pewno bym to wyczuł.

-Aha, wyglądasz mi na trzeźwego i poważnego człowieka A teraz powiedz: co mogę dla ciebie zrobić?

Może zabrzmiało to za ostro, bo przestał się uśmiechać.

-Jestem z zespołu. - Oddał mi pustą szklankę. - Trzeba zacząć rozstawiać sprzęt. - Chciałem cię poprosić, żebyś otworzył tylne wejście.

-Zespół? - prychnąłem. - Żartujesz? Talley szarpnął się na zespół?

Mężczyzna zmienił pozycję na stołku i klepnął ręką w kontuar.

- Żebyś wiedział. Przyniesiemy tej spelunie sławę i pieniądze Twój szef potrafi rozpoznać okazję, gdy puka do drzwi.

- Dziwne, to chyba pierwszy taki przypadek. - Wytarłem ręce, zdjąłem klucz z haczyka i wyszedłem z za baru. - Mam nadzieję, że zapłacił wam z góry.

- Pracujemy za udział w zyskach. - Spojrzał na mnie z lekkim zakłopotaniem i wyciągnął rękę. - Jestem Samuel. Gitarzysta.

- Jestem Kai. - Nieważne, jak bardzo się upierałem, Niko w końcu zdołał mnie przekonać, że bym nie wygłupiał się z Kalibanem. Jednak ani na chwilę nie zapomniałem o swoim pochodzeniu.

Uścisnąłem dłoń Samuela pokrytą odciskami świadczącymi o wieloletniej grze.

-No cóż, Samuelu gitarzysto. Mam nadzieję, że zdołacie sprawiedliwie podzielić między siebie kompletne nic, bo zazwyczaj tyle tu zarabiamy.

Skierowałem się na zaplecze, nasłuchując jego kroków Nie był grendelem, ale to jeszcze nie oznaczało, że nie zamierzał obrobić lokalu. Mieliśmy tu już kilku rabusiów. Bardzo wkurzonych i zawiedzionych, gdy już zobaczyli, ile jest w kasie -Zajrzę tylko do Talleya i zaraz wam otworzę.

- Nie ma problemu - odparł spokojnie. - Może później pomógłbys mi rozładować graty z naszego vana? Zapłacę ci parę dolców.

- Aha. Dobra. - I tak nie miałem nic lepszego do roboty. Jak dotąd, nie zjawiał się jeszcze żaden klient, nie licząc jednego ze stałych bywalców, który siedział w kącie, gapiąc się w falujący i przeskakujący obraz w telewizorze. Wiedziałem, że Jeny w ogóle nie zauważy mojej nieobecności, chyba że skończy mu się butelka, a teraz miała jeszcze zawartości na jakieś pół godziny.

Tallywhacker potwierdził, że wynajął zespół na wieczór, a Meredith, korzystając z jego nieuwagi, wymknęła się z biura. Jej na wpół skrzywiona, na wpół zdeglustowana mina zmieniła się w olśniewający uśmiech, gdy tylko zobaczyła Samuela. Mamy wprawdzie miała chłopaka, ale nie przeszkadzało jej to bezwstydnie flirtować z kim popadło. Niko miał okazję przekonać się o tym wielokrotnie. Podejrzywałem, że gdyby tylko okazał jej choć odrobinę zainteresowania, rzuciłaby swego obecnego faceta jak gorący kartofel, ale Niko wołał kobiety podobne do niego. Uczciwe, zaangażowane i szczerze. Meredith nie miała żadnej z tych cech.

Stojąc na tyłach knajpy, patrzyłem jak Samuel otwiera vana. Był to starszy model, polakierowany na ciemnoczerwony kolor z wymalowanym z boku stylizowanym gotyckim pismem napisem „Orda”.

- Chodzi o Mongołów? - spytałem, wskazując ręką. Samuel przytaknął i otworzył drzwi.

- Nasz wokalista wybrał sobie pseudonim Dżyngis. Obciach, nie?

Szczerze mówiąc, nie miałem prawa się z tego nabijać, bo przyganiałby kocioł garnkowi, ale ja przynajmniej nie wybrałem sobie imienia sam.

- Straszny - zgodziłem się. W pół godziny wyładowaliśmy sprzęt, potem wróciliśmy do baru, gdzie nalałem Samuelowi kolejną szklanę gazowanego, bezalkoholowego drinka. Skinął mi głową i położył na blacie piętnaście dolarów.

Potrząsałem głową.

- Nie trzeba. I tak nie miałem nic do roboty. Poza tym było zabawnie. - Uśmiechnąłem się szeroko. - Dużo się nauczyłem.

Samuel był sympatyczny, wyluzowany i opowiadał historie, od których włosy stawały dęba i zwijały się w sprężynki. Różne wygłupy chłopaków z zespołu, od szalonych popijaw po seksualne ekscesy wielkiego chana. Ich wokalista najwyraźniej nigdy jeszcze nie spotkał fanki, której nie chciałby zaliczyć, albo gorzały, której nie chciałby wypić. Mieszanie jednego z drugim zaowocowało paroma nockami w areszcie i regularnymi wizytami w przychodni.

Samuel odpowiedział uśmiechem i spojrzał na swój ciężki chromowany zegarek.

- Za jakąś godzinę przekonasz się o tym na własnej skórze. Lepiej dodaj numer pogotowia do listy szybkiego wybierania. Ostatnim razem musieliśmy wezwać karetkę, żeby ściągnąć z Dżyngisa te jego skórzane spodnie. - Dopił napój i wrzucił pieniądze do słoika z napiwkami. - Zasłużyłeś na to. Dzięki za pomoc, Kai. Muszę sprawdzić akustykę. Do zobaczenia. - Pomachał mi ręką i przeszedł przez bar, niknąc w cieniu.

- Mniam. Ciacho. - Meredith stanęła obok mnie, dotykając językiem górnej wargi. - Silny i pewny siebie. Przystojny. Wielki, ognisty ogier.

Prychnąłem z politowaniem.

- To samo mówiłaś o kurierze UPS, póki nie usłyszałaś, że nazywa się Sara.

- Było ciemno, co nie? - burknęła Meny, rozdrażniona brakiem entuzjazmu dla swoich komentarzy, po czym poszła zabrać pustą butelkę Jerry'ego. Przy okazji wytarła małe jezioro śliny, które wyciekło mu z ust na blat. Nie ma to jak stały klient. Miałem nadzieję, że obudzi się na występ, bo zanosilo się na to, że będzie jedynym widzem. Skórzany Dżyngis i jego Orda będą bardzo zawiedzeni - nie mówiąc już o tym, że biedni. Ale przecież ostrzegałem.

Trzy godziny później Samuel i jego kumple dowiedli, że nie miałem racji. Może knajpa nie była tak napakowana jak autobus w godzinach szczytu, ale naprawdę nigdy wcześniej nie

widziałem tu tylu ludzi. Niko podkradł się do mnie bezszelestnie jak duch i powiedział z grubsza to samo.

- Wygląda na to, że ktoś podniósł wasz bar z martwych. To może być prawdziwy cud, nawet w oczach Watykanu.

-Aha - przytaknąłem krótko, pochylając się nad stołem. Pchnąłem krzesło stojące naprzeciwko, aż wskoczyło Nikowi do ręki. - Dotąd byłem przekonany, że to miejsce do niczego nie dojdzie, jeśli nie zaczniesz serwować przyzwoitej gorzały i przestrzegać podstawowych zasad higieny. Okazuje się, że potrzebny nam był tylko nowy zespół.

- Jeśli ten zespół jest nowy, to gdzie się podział stary? - Nie czekając na moją ripostę, usiadł z wdziękiem na krześle i spojrzał spode łba na mój obiad. - Apage Satanas.

Zignorowałem go i nadal dręczyłem swoją wątrobę, pochłaniając talerz smażonek z pobliskiej knajpy. Smażony ser, smażone papryczki, smażone ziemniaki, a do tego przybranie -smażone ziemniaki z serem i papryczkami. Był to najlepszy możliwy zestaw podstawowych składników odżywczych. Rozkoszowałem się każdą życiodajną cząsteczką tłuszczu.

- Jak poszła rozmowa z George? - spytałem z pełnymi ustami. - Nic nie zwojowałeś, co? - Spojrzałem na Nika i zobaczyłem, że w okolicach oczu widnieją wyraźne zmarszczki, ślady napięcia. Fortuna nam dziś nie sprzyjała - była równie bezwzględna suką co zwykle.

- Nie chciała ze mną rozmawiać. Jej matka nawet nie otworzyła drzwi. - Uśmiechnął się ponuro.

- A ty nie wyważyłeś ich z kopa? Co z ciebie za superboha-ter? - Pomachałem do Meredith i wskazałem na Nika. Kiwnęła głową i sięgnęła do lodówki po sok. Niko nie pijał zbyt wiele -co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, co spotkało naszą matkę. W tych sprawach zawsze miał więcej rozsądku ode mnie.

- Superbohater, który nie widzi potrzeby, by terroryzować małe dziewczynki i ich matki.

Skrzywiłem usta w uśmiešku, słysząc jego urażony ton.

- Aha. Odebraliby ci za to pelerynę.

Meredith zbliżyła się do stolika, prawdopodobnie ratując mnie przed odwetem w postaci kopniaka w tyłek albo bolesnego sztur-chańca w łydkę. Postawiła na blacie szklanę soku żurawinowego i uwiesiła się mojemu bratu na ramieniu jak silikonowy kociak.

- Nikki - zamruczała; stała tak blisko, że jej piersi lada chwila miały objąć szyję Nika w miłosnym uścisku. - Nie widziałam cię tu już od paru tygodni. Jeszcze sobie pomyślę, że mnie nie kochasz.

Wzrok Nika powędrował w jej kierunku, zrezygnowany jak skazaniec w drodze na krzesło, po czym powrócił do mnie, pełen furii zdolnej zatrzymać w miejscu szarżującego boboka. Zrobiło mi się go żal.

- Hej, Mer? Kończy mi się przerwa. Postoisz jeszcze chwilę za barem?

Westchnęła cierpiętniczo, a jej krągłe piersi napęczniały do olbrzymich rozmiarów. Niko znalazł się wprost na drodze tej erotycznej lawiny. Meredith pocałowała go w policzek i zniknęła w kłębiącym się tłumie, wołając przez ramię:

- Wisisz mi przysługę, Kai.

- Ustaw się w kolejce - mruknąłem. Zaciskając usta, zwróciłem się do Nika i zagwizdałem przeciągle. - Miałem wrażenie, że już po tobie, braciszku. Myślałem, że trzeba będzie wysłać bernardyny, żeby cię odkopały.

- Jednego nie rozumiem - wycedził przez zaciśnięte zęby -Dlaczego cię nie próbuje obdarzać swoimi nieposkromionymi wdziękami?

- Prawdopodobnie czuje, że wewnątrz skrywam obrzydliwego potwora - burknąłem filozoficznie, wycierając zatłuszczone palce w fartuch.

- Raczej widzi, że udajesz sarkastycznego chochlika. - Niko popukał mnie w czoło kostkami palców. - Jedyne potwór, którego skrywasz wewnątrz, to lenistwo. Choć przyznam, że jest dość zachłanny.

- „Podnieś skarpetki z podłogi”, tak? Zawsze wszystko do tego się sprowadza. - Tłumiąc ziewnięcie, podniosłem ze stołu papierowy talerz. - Dopij swój sok, dziadku. A potem pomożesz mi przy barze. Po raz pierwszy, odkąd się tu zatrudniłem, muszę rzeczywiście pracować. To męczące.

- Oto nasz potwór - podsumował cynicznie Niko, potrząsając głową.

Przez następnych parę godzin pracował równo ze mną, roznosząc napoje i napełniając miseczki tanimi precelkami. Przez większość czasu musiał umykać przed Meredith, ale postanowiłem, że potrączę mu to z napiwków. Właśnie mocowałem się z nową beczką, gdy usłyszałem znajomy głos:

- Ten nowy pomocnik nie jest tak ładny jak ten rudzielec. Zobaczyłem, że Niko unosi brwi.

-Ranisz moją dumę - odparł. Mówił niby żartobliwie, ale mierzył przy tym Samuela chłodnym, zdystansowanym spojrzeniem; warstwa lodu na jeziorze pełnym podejrzliwości. Wprawdzie niezły kawałek życia spędziłem uciekając, ale w konkurencji podejrzliwość nigdy nie zdobyłem złotego medalu. Niko był sprytny jak lis i ostrożny jak cholera, dlatego jeszcze żyliśmy.

Ale to był chyba dobry moment na interwencję, prawda? Powinienem się wtrącić i powiedzieć, że Samuel jest w porządku. Że nie jest grendelem w najlepszym na świecie przebraniu. Nie jest bandytą. To zwykły facet, dobry kumpel. Fajnie nam się ze sobą rozmawiało. Powinienem powiedzieć o tym Nikowi, prawda?

A w życiu. Nie w tym życiu.

To prawda, Samuel wydawał się okej, ale tak naprawdę przecież nic o nim nie wiedziałem. Pochopne osądy? Oduczyłem się tego, jeszcze zanim opanowałem samodzielne korzystanie z toalety. W ciągu jednego tygodnia pozbyłem się i pieluszek, i wiary w ludzi. Musicie przyznać, że była to podziwu godna efektywność.

- Niko, to jest Samuel. Gra w zespole - oznajmiłem neutralnym tonem i dodałem: - Kapłan skórzanego bożka.

Niko wsypywał właśnie precelki do miseczek - równo do wrębu, ani więcej, ani mniej. Zen układania precli - dawno zapomniana sztuka.

- Ach. Tego zapomnianego piosenkarza? A ściśle rzecz biorąc: zapomnianego od lat osiemdziesiątych? Boję się pomyśleć, jak wygląda jego rachunek za lakier do włosów.

- Lepiej spójrz na siebie, Roszpunko - odparł Samuel. - Ty też nie wyglądasz, jakbyś wrócił z woja.

Wyszczerzyłem zęby i pociągnąłem Nika za warkocz.

- Trafiony, zatopiony.

Samuel wziął sobie garść precelków, psując staranną kompozycję z ciasteczek i soli.

- Jesteście braćmi?

Niko spojrzał na niego, mrużąc oczy, i spróbował zatrzeć złe wrażenie.

- To takie oczywiste?

- O, tak. Jesteście jak dwie strony medalu. - Samuel chrupał precle z wyraźnym brakiem entuzjazmu. - Gdzie żeście to znaleźli? Na śmietniku? W tartaku?

- Skąd wiedziałeś? - burknąłem. - Prosta sprawa: grasz w najlepszych lokalach, dostajesz najlepsze żarcie. - Nalałem parę piw i kilka kolejek, a po chwili znów spojrzałem na Samuela. - Nieźli jesteście. Trochę retro, ale lepsi niż sądziłem. Nie licząc tych skórzanych spodni.

Niko zaśmiał się w odpowiedzi - bezgłośnie, ale jego śmiech ciężko zawisł w powietrzu.

- Tak, wiem. To nie Beatlesi. Nie zagrali *Long Winding Road*. - Uniosłem wzrok ku pustemu, sterylnemu niebu. Zdaniem Nika, w historii całego świata istniał tylko jeden zespół, cała reszta to tylko hałas. - Urodziłeś się stary, wiesz o tym?

- Ich dzieła są ponadczasowe. Nie to, co ta gumowa papka, która dzisiaj uchodzi za muzykę. Piosenka Beatlesów to perfekcyjnie

wykonany układ kata. Wszystko inne to tylko zapasy w kisielu -odparł Niko z wyższością. Prychnąłem rozbawiony.

- Sam sobie zaprzeczasz. Zapasy w kisielu są jeszcze lepsze niż te w błocie.

Nagle za plecami Samuela tłum rozstał się niczym Morze Czerwone i koło nas pojawił się skórzany bóg.

Natapirowana szopa tlenionych blond włosów opadała mu na muskularne ramiona, które musiał zawdzięczać steidydom. Koszula uszyta z czerwonego jedwabiu - albo jego tańszego kuzyna, poliestru - była rozpięta na piersi, ukazując szeroką gładką pierś z jednym czy dwoma drobnymi zacięciami. Jego pięknie wyrzeźbione rysy pokrywały krople potu, a błękitne oczy, rozjarzone niczym palniki gazowe przeszywały powietrze. Co prawda były osadzone nieco za blisko siebie, by przeciętna łasica uznała to za atrakcyjne, ale poza tym Dżyngis najwyraźniej wiedział, jak prowadzić interes. Przy czym „interes” oznaczał tu robienie za twarz zespołu i uszczęśliwianie młodych napalonych fanek. Ciężka praca, ale ktoś musiał to robić. Co za dupek.

W kontuar baru uderzyła z rozmachem dłoń w podejrzanie pomarańczowym odcieniu.

- Kogo trzeba tu przelecieć, żeby dostać jakieś piwo? Udałem, że się zastanawiam, po czym wskazałem głową Nika.

- To było prawie tak zabawne jak moja pięść wbita w twoją dziurkę od nosa - skomentował beznamiętnie mój brat.

Odpuściłem sobie żarty, póki jeszcze byłem na chodzie, i nalałem browara chłopcu w skórze.

- Proszę bardzo, panie Chan. Nie musi pan płacić w naturze. Głęboko osadzone oczy przesunęły się po mnie obojętnie. Nie

byłem fanką. Nie byłem nawet kobietą ani pracownikiem wytwórni, nikim, kto mógłby mi pomóc w karierze... zwykły Joe Barman. Byłem tak drobną płotką, że jego radar nawet mnie nie zarejestrował.

Obiecałem sobie, że napluję mu do kolejnego piwa.

Wokalista napił się z kufła i otarł pianę z ust wierzchem dłoni.

- To twoi kumple, Grainger? Dość już się nagadałeś. Trzeba sprawdzić akustykę.

- Sprawdzaliśmy to już dziesięć razy, Roy - odparł Samuel, a w jego głosie dosłyszałem jedynie cień rozdrażnienia. - Sprzęt jest w porządku. To twój głos jest problemem.

Ostatnie zdanie wygłosił szeptem, który Dzyngis całkowicie zignorował. Ja jednak miałem dobre uszy - może nie były spiczaste, ale użyteczne. Nawet nie próbowałem opanować sardonicznego uśmiešku, który wypełził mi na usta, gdy wokalista syknął:

- „Dzyngis”, na rany boskie! - Dopił piwo jednym haustem i walnął kuflem o blat. - Wchodzimy za pięć minut, jeśli tylko zdołasz się oderwać od tej pogawędky.

Pomachałem do jego pleców, gdy zniknął w tłumie.

- Miły gość. Sól tej ziemi. A ten kolek, który ma wbity w tyłek, to dodatkowy bonus.

- Nie należy żartować z osób cierpiących na dolegliwości proktoiologiczne. - Niko z obrzydzeniem odstawił kufel do zlewu i wytarł palce ręcznikiem. - Podejrzewam, że ta przypadłość może być wrodzona. Zupełnie niezależna od niego.

- Macie rację. - Samuel wstał i skrzywił usta w przepaszającym grymasie. - Urodzony dupek. Ale to jego zespół i jego samochód... krzyż, który muszę dźwigać, póki nie trafi się lepsza fucha. - Wbił ręce w kieszenie spodni i spojrzał zrezygnowanym wzrokiem na zaimprovizowaną scenę, gdzie stał Dzyngis, gestykułując władczo. Skinał nam głową. - Do zobaczenia w piątek.

- Dajecie kolejny koncert? Naprawdę? - Nie mogłem ukryć zdziwienia w głosie. To prawda, że sala była prawie nabita, ale jaki zespół zgodziłby się regularnie występować w tej norze? Dlaczego? Po co?

Ciemną twarz Samuela rozjaśnił filozoficzny uśmiech.

- Jasne, że to speluna. Ale konkurencja jest naprawdę ostra. Czasem trzeba brać to, co dają.

Prawda. Ale jeszcze inne powiedzenie głosiło, że czasem należy zwiewać, póki można. Ale to było moje osobiste motto i nie podzieliłem się nim z Samulem, nie powiedziałem też, że w piątek już nas tu nie będzie. Już wkrótce staniemy się na wpół zatartymi wspomnieniami. Duchami przeszłości.

W świecie potworów należało być duchem, by przetrwać.

5

Następnego ranka zdążyłem się ubrać jeszcze przed Nikiem. „Bezprecedensowa” nie było dobrym określeniem tej sytuacji, była raczej „desperacka”. Nie łudziłem się, że mój brat spokojnie prześpi moje wyjście z domu, a biorąc pod uwagę ciągłe zagrożenie ze strony grendeli, nawet bym tego nie chciał. Urwałem się piętnaście minut przed końcem mojej wachty. Wiedziałem, że Niko obudzi się w tej samej chwili, gdy otworzę drzwi, i będzie wiedział zarówno dokąd poszedłem, jak i dlaczego to zrobiłem. Nie musiałem zostawiać liścika. Ale w zasadzie to sam nie rozumiałem, dlaczego stopy poniosły mnie w to miejsce.

A może nie chciałem zrozumieć.

Było za wcześnie, by lodziarnia była otwarta. Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem też, że mimo wszystko będzie otwarta i że George będzie na mnie czekać. Nie miałem pojęcia, skąd to wiem, a nie miałem ochoty dorobić się bólu głowy, jaki niewątpliwie pociągnęłyby za sobą analiza tego zjawiska. A zatem, jak już wiele razy wcześniej, po prostu dałem spokój rozmyślaniom i szedłem przed siebie.

Gdy dotarłem do lodziarni, krata była już uniesiona, a George stała przy drzwiach, ubrana w obcisły sweter wydziergany ze złotej, brązowej i czerwonej włóczki i zamaszystą brązową spódnicę. Patrzyła jak nadchodzę, obejmując się rękami. Wydawała się starsza. Tak niewiele czasu minęło, odkąd chichotała i sączyła koktajl ananasowy, ale teraz jej oczy miały tak upiorny, nawiedzony wyraz, że wydawało się, iż minęły całe lata. Jej miedzianorude włosy oglądane poprzez szkło wydawały się

ciemniejsze, skóra miała chorobliwy odcień... cień Georginy, którą znałem.

Zatrzymałem się i spojrzałem na nią. Tak łatwo było wyobrazić sobie, że kładę dłoń na klamce i otwieram drzwi. Widziałem to zupełnie wyraźnie, a jednak ręka nawet mi nie drgnęła. Może wiedziała to, czego nie chciałem dopuścić do świadomości. Drzwi były zamknięte. Gdybym spróbował je otworzyć, nawet by nie drgnęły. Co do tego miałem zupełną pewność, tak samo jak wcześniej byłem przekonany, że zastanę tu George.

Nic nie powiedziała. Ani słowa. Spojrzała na mnie z tak smutnym, ulotnym uśmiechem, że równie dobrze mogłem go sobie wyobrazić. Potem pochyliła się, jej usta prawie dotknęły szkła, które pokryło się parą oddechu. W tej mgiełce nakreśliła palcem kilka kresek. A potem już jej nie było. Zniknęła w głębi nieoświetlonego sklepu, jak jesienny blask umierających liści. Nie było już niczego, co można by dotknąć, zobaczyć. Nic.

Pozostał tylko ślad jej oddechu. Prześledziłem palcem linie rysunku i zmarszczyłem brwi. Samochód. Narysowała samochód. Co, u diabła? A gdy szyba się ogrzała, nawet rysunek zniknął, podobnie jak jego autorka. Szarpnąłem za klamkę, wiedząc, że nic to nie da. Miałem rację.

Zamknięte.

Zanim wróciłem do domu, Niko zaczął się już pakować. Dla niego był to rytuał, za każdym razem wyglądał tak samo. Co do mnie... Uciekaliśmy od tak dawna, że przestałem dbać o osobiste drobiazgi. Wszystkie miejsca, w których mieszkaliśmy, były tylko... miejscami. Żadnego z nich nie mógłbym nazwać prawdziwym domem, to tylko tymczasowe noclegownie. Gdybym o tym zapomniał, któregoś dnia mógłbym zwolnić i poczuć tęsknotę za czymś, co musiałem zostawić. A gdyby tak się stało, gdybym choć przez chwilę zaczął żałować, byłoby już po mnie. Powiedzenie głosi, że lew pożera tylko ostatnich z uciekających, ale grendele były bardziej zachłanne. Pożerały także środkowych, a nawet część z biegnących na czele, jeśli ci potknęli się choć raz.

Cała ta ponura, bezosobowa egzystencja mogłaby działać przygnębiająco, jednak dla kogoś tak leniwego jak ja było to niezłe rozwiązanie. Pakowanie zwykle ograniczało się do wpychania brudnych ubrań do plastikowego worka i zasznurowania butów. Wszystko to trwało jakieś sześćdziesiąt sekund. Niko, jak zawsze pedantyczny, potrzebował nieco więcej czasu. Mogłoby się to wydać dziwne, gdyby nie miał do zapakowania tylu ostrych rzeczy. Ostatecznie, nie trzeba było kupować ciężarówki z przyczepą, żeby zapakować je wszystkie, ale niewiele brakowało.

Stałem mu za plecami, wyciągnąłem rękę i przeciągnąłem palcem po gładkim, jedwabistym ostrzu pięknego sztyletu.

- Kwaśny odczyn skóry powoduje korozję metalu - powiedział łagodnie Niko, owijając ostrze w ciemnozielony filc. Nie wspomniał nic o moim niezapowiedzianym wyjściu, byłem mu za to wdzięczny.

- A ta krew, która go zalewa, pewnie działa jak mleko matki - parsknąłem, wystawiając inny, bardziej wymowny palec.

- Właściwie... - Niko wykrzywił wargi, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. - W zasadzie, nieważne.

Zabrałem palec, zanim mój brat postanowił go potraktować jak kość kurczęcia.

- To kiedy wyjeżdżamy, mistrzu? O świcie?

- Cierpliwości, młody padawanie. - Niko postukał mnie zabezpieczonym ostrzem w kostki palców. - Kto się zanadto śpieszy, może zejść ze ścieżki oświecenia.

I nagle pożegnalny rysunek George nabrał sensu. Zakląłem i usiadłem z rozmachem na materacu, który jęknął i zatrzeszczał.

- Chodzi o samochód, tak? Ten twój przeklęty gruchot. - Ten sam gruchot, którego tyle razy przestawiałem z jednej strony ulicy na drugą, by ktoś go przypadkiem nie zdemolował.

Nigdy nie widziałem, by Niko wyglądał na zakłopotanego. Po prostu nie był do tego zdolny. Ale słysząc to, drgnął prawie o milimetr, rysy twarzy nagle mu się wyostrzyły.

- Działa bez zarzutu w siedmiu przypadkach na dziesięć. Za tę kwotę to zupełnie akceptowalna wydajność.

Siedem przypadków na dziesięć to nie był dobry wynik w sytuacji, gdy należało ciągle być gotowym do ucieczki. I jakie miłe deja vu - ostatnim razem, gdy odbyliśmy taką rozmowę, wylądowałem po grendelowej stronie lustra. Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego powtarzać. Nie chciałem jednak dyskutować

o tak zamierzonych czasach, więc dla odmiany nic nie powiedziałem i po prostu patrzyłem, jak Niko się pakuje.

Ani na chwilę nie nabrał się na moje milczenie. Zapiął płócienną torbę i bez wysiłku postawił ją na ziemi.

- Wiesz, Kai, nie sadzę, żeby trzeba było się bardzo spieszyć. Bobok siedzi z uchem przy ziemi. Jeśli nawet on niczego nie słyszał, to jest szansa, że ten grendel to zwykła samotna anomalia pogodowa. - Zmrużył oczy. - Była anomalia, ściśle rzecz biorąc. Myślę, że mamy do dyspozycji jeszcze kilka dni. Pozałatwiamy wszystkie sprawy. - Odkaszlnął, po czym niezobowiązująco dodał: - Może nawet kupimy nowy samochód.

- Tak myślisz? - wycedziłem złośliwie.

Ręce Niko były równie zabójcze jak jego ostrza. Założył mi nelsona, nim zdążyłem choćby mrugnąć okiem.

- Ostrożnie, braciszku - mruknął mi do ucha. - Jeszcze słowo na ten temat, a zmienię zdanie i kupię motocykl. Może przed wyjazdem przywiążę cię do kierownicy.

-Na pewno nie byłby gorszy niż ta śmiertelna pułapka, w której telepiemy się obecnie. - Udałem, że chcę go walnąć łokciem w brzuch, ale w tym samym momencie zahaczyłem stopą o jego kostkę i ugryzłem go w ramię. Niko upadł na podłogę, a ja runąłem na niego. Odtoczyłem się szybko, skoczyłem na nogi i wymierzyłem dwa ciosy w powietrze.

-No, dawaj, dawaj! Rozłożę cię na łopatki z jedną ręką za plecami. - Wesołość w moim głosie była trochę wymuszona, ale Niko uśmiechnął się, że bierze to za dobrą monetę. Parsknął przez nos i usiadł na podłodze.

- Taki z ciebie lew? Najwyżej kotek. W najlepszym razie gu-miś.

Pokonanie Nika w bójce było pewnym osiągnięciem, więc uśmiechnąłem się delikatnie.

- Nie umiesz przegrywać. - Wyciągnąłem rękę i pomogłem mu wstać. Nawet się nie łudziłem, że naprawdę wygrałem. Wykorzystałem prosty manewr, którego Niko sam mnie nauczył i na który był doskonale przygotowany. Każdego dnia poddawał mnie testom, uczył, pomagał mi. Potarłem kciukiem ślad po swoich zębach.

- Może powinniśmy to posmarować sosem barbecue.

Tym razem to ja znalazłem się na podłodze. Ale było to nieczyste zagranie - jaka jest szansa, że jakiś grendel kiedykolwiek spróbuje wciągnąć mi na łeb moje własne gacie?

Godzinę później wyszliśmy z mieszkania poszukać jakiegoś komisju samochodowego. Zaczęliśmy od Brooklynu - uznaliśmy, że zachowamy New Jersey na później, jako ostatnią, rozpaczliwą deskę ratunku. Grendele były doprawdy niczym w porównaniu ze sprzedawcami samochodów z Jersey. Wypelzając z mrocznej ciemności tunelu metra, zamrugałem, osłaniając oczy przed blaskiem październikowego słońca. Mruczając coś niecenzuralnego, sięgnąłem do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne.

- Nie lękaj się, dziecię nocy - powiedział Niko z udawaną powagą. - To tylko słońce. Oglądałbyś je znacznie częściej, gdybyś miał zwyczaj wstawać z łóżka przed późnym popołudniem.

Nigdy nie dowiedziałem się, czy moja poranna niemrawość była genetyczna (grendele zdecydowanie prowadziły nocny tryb życia), czy też wynikała ze zwykłego ludzkiego lenistwa. Tak czy inaczej, o tak wczesnej godzinie nie miałem z Nikiem szans. Wzruszając ramionami, warknąłem coś pod nosem i ruszyłem truchtem przed siebie. Rozpromieniłem się dopiero, gdy na najbliższym rogu dostrzegłem wózek sprzedawcy hot dogów. Pięć minut później radośnie opychałem się hot dogiem na ostro z serem, cebulą i chrzanem. Duża porcja z dodatkiem wszystkiego

prócz kuchennego zlewu - właśnie tak jak lubiłem. W życiu najważniejsze są drobne przyjemności.

Niko trzymał się z dala, twierdząc, że od samego zapachu łzawią mu oczy. Mięczak. Nie jadał żadnych produktów z mielonego mięsa.

- Wiesz chociaż, z czego to robią? - spytał, spoglądając na hot doga z obrzydzeniem.

- Nie - odparłem, odgryzając kolejny kawałek. - Przez całe życie starannie unikałem tej wiedzy, by móc spokojnie jadać takie rzeczy. Masz coś przeciwko?

Niko skrzyżował ręce na piersi i obrzucił mnie zrezygnowanym spojrzeniem.

-Nie ma sensu uciekać przed grendelami, jeśli planujesz umrzeć na zawał, opychając się mielonymi szczurami i kurzymi grzebieniami. Chyba że wcześniej wypalą ci wnętrzności.

Za każdym razem powtarzał to samo, ale zignorowałem go, rozkoszując się smakiem, jaki ma tylko nowojorski hot dog. Gdy dotarliśmy do komis, zlizywałem właśnie resztki chili z palców. Ja wprawdzie potrafiłem zignorować Nika, ale on jakoś nie umiał tego odwzajemnić, zwłaszcza gdy okazywałem swe najlepsze maniery. Cedząc coś przez zęby, wyjął z kieszeni chusteczkę i wcisnął mi do ręki.

- Zrób mi przysługę i zachowaj standardy higieny odpowiednie dla kogoś, kto skończył przedszkole. - Szare oczy zwęziły się lekko. - Zapewniam cię, że zrobisz przysługę również sobie.

Niko potrafił wygłaszać groźby - robił to naprawdę dobrze. Nie widziałem jeszcze nikogo, kto pod wpływem jego zimnego uśmiechu albo drapieżnego spojrzenia nie zawahałby się choć przez chwilę.

Ale ja tylko beknałem lekceważąco i odrzuciłem mu brudną chusteczkę.

- Chodźmy, babciu. Mieliśmy kupić samochód. Włoczyliśmy się po parkingu, z wolna popadając w coraz większe przygnębienie. Komis był niewielki, a większość samochodów

stanowiły nowe lub tylko trochę starsze modele w doskonałym stanie, nieodmiennie drogie. Na sprzedaż wystawiono nawet kilka kabrioletów, specjalnie dla tych, którzy chcieliby pooddychać spalinami, stojąc w niekończącym się korku. Nie zaprzeczę jednak że ręka sama wyrwała mi się do klasycznego mustanga i pogładziła karoserię, zanim z wysiłkiem schowałem ją z powrotem do kieszeni.

- Obawiam się, że tutaj stać nas tylko na wrotki - mruknąłem

- Możliwe, że masz rację. - Niko wciąż trzymał w ręku chusteczkę i rozglądał się za koszem na śmieci, gdy zostaliśmy namierzeni. Promienny uśmiech, drogi garnitur i ciemne okulary które prawdopodobnie kosztowały więcej niż my planowaliśmy wydać na samochód, podążyły w naszym kierunku.

- O rany - jęknąłem z głębi serca.

- To jedno z praw natury - odparł Niko ponuro i z rezygnacją - Na cmentarzach wcześniej czy później zjawiają się mięsożerne zombie. A w pobliżu samochodów zjawiają się sprzedawcy

-Ja tam wolę zombie. One przynajmniej nie odbierają ci duszy. - Facet był coraz bliżej. - Może pobiegniemy?

Niko chwycił mnie za kurtkę, zanim zdążyłem się ruszyć -Doprawdy, Kai - stwierdził z dezaprobatą, potem egzaltowanym głosem bohatera kreskówki dodał: - Jesteś mężczyzną czy dzieciakiem?

-Ani jednym, ani drugim - mruknąłem pod nosem Co za strata czasu. Od razu widać, że nie było nas tu na nic stać Ku-. powame samochodu było wystarczająco nieprzyjemne samo w sobie, nawet jeśli wyjeżdżało się z komisum samochodem Targować się ze sprzedawcą tylko dlatego, że nie chciało się uchodzić za tchórza - to było już absolutne dno.

A potem było już za późno. Pan Lepka Rączka zbliżył się do nas jak rekin do zdobyczy.

- Piękny dzień mamy, prawda panowie? Rob Fellows, do usług Co mogę panom zaproponować? - Wcisnął nam do rąk wizytówkę, zręcznie niczym krupier z Las Vegas. - Wózek sportowy?

SUV? Może coś ekonomicznego, na gaz? Krajowe, zagraniczne... mamy tu coś dla każdego! - Powiódł wokół ręką. - Życzycie sobie jakiś konkretny kolor? Czerwień jest bardzo popularna, to jasne, ale panowie... - Odchylił się o cal i spojrzał na nas poprzez ramkę ze złożonych rąk. - Stawiam na prostą czerń. Dobry kolor. Nie do zdercia. Mam tu zupełnie nowego Camaro. Prawdziwy klejnot. Chodźmy tędy. Proszę ostrożnie.

Dla tego mężczyzny kawa nie stanowiła jedynie okazjonalnej używki - ona płynęła w jego żyłach. Był żywiołowy jak tajfun, co bardzo rozpraszało i prawie że odciągało uwagę od prawdziwego problemu.

Ale nie do końca.

Dziwnie pachniał. Inaczej. Nieludzko. Z wyglądu, oczywiście, przypominał człowieka. Tuż po trzydziestce, kręcone kasztanowe włosy i radośnie amoralne spojrzenie zielonych oczu, które w końcu ukazał, gdy zdjął okulary i wskazał na lśniący czarny samochód stojący dwa rzędy dalej. Jego uśmiechnięte szerokie usta nie zamykały się ani na chwilę. Wyglądał całkiem jak przerośnięty student, który zamiast wkuwać do egzaminów kradnie bieliznę koleżankom, żłapie piwo z beczki i mówi wszystkim po imieniu. Swój człowiek. Ale w jego przypadku należałoby raczej powiedzieć „swój potwór”, ponieważ nie miał w żyłach ani kropli ludzkiej krwi. Jego zapach był ostry, ziemisty i zupełnie obcy, niepodobny do niczego, co czułem wcześniej.

Niko nie potrzebował wiele, by zrozumieć, co się święci; wystarczyło krótkie spojrzenie i lekka zmiana pozycji. Zmrużył oczy, dając mi znać, że zrozumiał. Natychmiast zgodził się podpisać papiery. Fellows niczego nie podejrzewał, wydawał się zadowolony i bezpieczny w swojej roli sprzedawcy. Prawdopodobnie miał na ścianie tabliczkę z wyróżnieniem.

W rzeczywistości miał ich prawie dwadzieścia. Gwizdnąłem z podziwem i usiadłem na krześle po przeciwnej stronie biurka, podczas gdy Niko rozglądał się wokół.

- Prawdziwy z pana Willy Loman.

Jego niegasnący, oślepiający uśmiech zaczął przypominać grymas bólu.

- Willy Loman, *Śmierć komiwożera*? Hm, lubię myśleć, że zdołałem osiągnąć nieco więcej niż on, panie... - Pochylił się nad biurkiem, wyciągając rękę. - Przepraszam, nie dosłyszałem nazwiska.

Zatrzymałem jego rękę w żelaznym uścisku i obnażyłem zęby.

- Kaliban. Miło pana poznać, panie Loman.

Uśmiech na jego twarzy zgasł, jeszcze zanim Niko zdążył zejść go od tyłu i przytknąć mu nóż do gardła.

- Co, u diabła? - Fellows zaczął się szarpać w uścisku, ale zamarł, gdy po szyi pociekła mu czerwona strużka.

- Ostre, co? - spytałem współczująco. - Niko dba o swoje zabawki.

- To nie zabawki - odparł mój brat, utrzymując nóż nieruchomo. - To raczej sposób na życie. Filozofia życiowa. - Pochylił się nad Fellowsem i wymruczał łagodnie: - A może nawet religia.

Jego głos potrafił sprawić, że dreszcze przechodziły po kręgosłupie. A nawet więcej - na jego dźwięk cały kręgosłup wpadał w takie drgawki, jakby zamierzał wyjść i pójść na spacer. Przekrzywiłem głowę i zasugerowałem:

- Może tak utniemy sobie pogawędkę, panie Loman, zanim Niko postanowi pana nawrócić? Co pan na to?

Nie wiem, co mnie zdradziło. Nie czuł mojego zapachu, bo domyśliłby się wcześniej. Może to coś w ruchach, a może blada cera. Albo mordercze skrzywienie warg? Nie wiem jak, ale Fellows jakoś się domyślił. Zielone oczy rozszerzyły się gwałtownie, a rysy twarzy ściągnęły wyraźnie.

-Auphe. Jesteś auphe. - W jego głosie zabrzmiała czujność i cień czystego obrzydzenia, a sztuczna radość pękła na setki kryształowych odłamków.

Elf. Auphe. Grendel. To, co zwiemy różą, pod inną nazwą także może zranić cię do krwi, jeśli nie będziesz uważać na kolce. Niewzruszony spokój Nika zniknął jak zdmuchnięty.

- Bzdura! - syknął zimno. Odsunął ostrze i chwycił Fellowsa za garnitur, po czym uniósł go z krzesła i przyparł do ściany. - Ale potrafi cię zabić równie szybko jak one. Ja zresztą też.

Stałem przy nim, roztarłem palcami krew Fellowsa i powąchałem ostrożnie.

- Dziwne. Wygląda jak ludzka, ale zdecydowanie inaczej pachnie. - Wytarłem rękę o dzinsy. - No dobra, Loman, gadaj. Co z ciebie za potwór? Zjadasz dzieci? Nawiedzasz cmentarze? Pijesz krew i wyjesz do księżycy? - Potrząsnąłem głową, jeszcze nim zdążył odpowiedzieć. - Nie. Pachniesz zupełnie inaczej niż one.

- Bo nie jestem żadnym z nich. - Fellowś sięgnął dłonią, wytarł krew i otaksował mnie spojrzeniem. - Nie bardziej niż ty, auphe. Nie jesteś czystej krwi. Przyznaję, że trochę się pomyliłem. Ale masz domieszkę, prawda? Pół na pół? - Poczułem, że twarz wykrzywia mi odruchowo grymas. - Nie sądziłem, że cokolwiek może skrzyżować się z auphe. Nawet inne auphe robią to niechętnie. Taka historia byłaby zbyt drastyczna nawet dla braci Grimm. Za to Szekspirowi by się spodobała. Istota, która nosi imię „Kaliban”, z pewnością wie o tym doskonale.

Niko uniósł brew z niedowierzaniem.

- Ani na chwilę nie przestaje. Potwór, który topi swoje ofiary w nieprzerwanym strumieniu słów. Nie przypominam sobie, bym widział coś takiego w bestiariuszach.

- Straszna śmierć. - Oparłem się biodrem o biurko i wziąłem głęboki oddech, przeczesując palcami włosy. - Posłuchaj, Loman, może tak przestaniesz zalewać nas swoimi pytaniami i odpowiesz na jedno z naszych? Co ty na to? Jeśli spodoba nam się odpowiedź, to sobie pójdziemy i będziemy dalej żyć swoim życiem i może - ale tylko może - pozwolimy ci żyć twoim.

W tej samej chwili uchyliły się drzwi do biura i do środka zajrzała pomarszczona twarz w okularach, zwieńczona fryzurą w stylu Einsteina ufarbowaną na lawendowy kolor.

- Panie Fellowś, dzwoni pan Steven Philips.

Wąskie usta umalowane grubą warstwą różowej szminki zacisnęły się na widok dłoni Nika wciąż ściskającej koszulę potwora.

-Och... Pan... Och! - Zaskoczona kobieta otwierała i zamykała usta jak złota rybka, aż w końcu Fellows uśmiechnął się uspokajająco.

-Wszystko w porządku, Dorothea - oznajmił opanowanym głosem. - Powiedz Stevenowi, że zadzwonię do niego w sprawie tego lexusa. Mogłabyś przynieść moim gościom kawę i parę muffinów żurawinowych? O, tak, grzeczna dziewczynka.

Dorothea pokiwała gorączkowo głową, aż zadźwięczały jej kolczyki z fioletowych koralii, i zniknęła, zamykając za sobą drzwi. A ja zacząłem się zastanawiać... Kiedy właściwie straciliśmy kontrolę nad sytuacją? Czy w ogóle kiedykolwiek ją mieliśmy? Schowałem twarz w dłoniach.

- O rany.

Niko wytarł ostrze i je schował. Spojrzał na mnie zawiedziony.

- Trudno jest grozić komuś, kto ma za krótki okres skupienia uwagi, żeby poczuć strach.

Fellows wygładził garnitur i przeczesał włosy palcami.

- Myślisz, że para takich szczeniaków jest w stanie mnie wystraszyć? - parsknął, ale zauważyłem, że wracając na krzesło, ominął Nika szerokim łukiem. A ja... Ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, jego kocie oczy spoglądały z mieszaniną fascynacji i odrazy. Usiadł, położył dłonie na biurku i złożył nam propozycję w starym stylu - propozycję nie do odrzucenia.

- Może zawrzemy układ, panowie? Wy opowiecie swoją historię, a ja wam moją.

- A co mamy do stracenia? - westchnąłem. - Nik?

Mój brat skinął powoli głową, a potem wydał Fellowsowi rozkaz skryty pod warstewką stali.

- Najpierw ty.

- Niech będzie. - Znow się uśmiechnął i tym razem wyglądało to szczerze. Zdawał się trochę smutny. Zamyślony. Nie był to ten wysokooktanowy wyszczerz zębów, którym próbował nas

ołsnąć wcześniej. - Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio byłem sobą przy ludziach. Już od dawna nikt z was nie wierzy we mnie ani w mój lud.

To miłe z jego strony, że zaliczył mnie do ludzi, zwłaszcza, że wciąż figurowałem dla niego w rubryce z napisem „auphe”. Moim zdaniem to określenie pasowało znacznie lepiej niż „elfy”. Dawało mroczny, kwaśny posmak w głębi ust... przypominało szelest łusek w trawie. Stęchły zapach trupa odbierający oddech, podczas gdy szponiaste łapy pieszcza twoją szyję. Przełknąłem ślinę i postanowiłem, że jednak będę się trzymał określenia „grendele”. Czasem warto trzymać się starych przyzwyczajęń z dzieciństwa, gdy wszystkie potwory, nawet te prawdziwe, zdawały się tylko wytworem twojej wyobraźni.

- Jak dawno to było? - spytałem.

Oczy męczyzny pociemniały od wspomnień.

- Tak dawno, że niebo było wtedy bardziej ametystowe niż niebieskie. Księżyc wisiał na niebie znacznie niżej niż teraz, a w niektóre noce świecił równie jasno jak słońce. Woda była słodka i czysta, a każdy łyk miał posmak kapryfolium. Motyle wielkie niczym ptaki... - Na chwilę przerwał, po czym dokończył chytrze. - A wokół było więcej dziewic, niż zdołałbyś zliczyć.

Niko skrzyżował ręce na piersi i prychnął pogardliwie.

- Jestem pewien, że gdy już się nimi zająłeś, zostało ich znacznie mniej.

Uśmiech Fellowsa zaczął przypominać rozpaloną lampę lutowniczą.

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Pamiętam też jednak czasy, gdy wasz gatunek iskał się nawzajem z pcheł, by zapewnić sobie pożywny podwieczorek. Minęło sporo czasu, nim dziewice zaczęły wyglądać tak, że warto się było za nimi uganiać. Ale w końcu nadrobiłem stracony czas.

- Jasne, że tak. - Zaczynałem tracić cierpliwość, której i tak nigdy nie miałem za dużo. - Wystarczy tych sentymentalnych wspomnień. Kim ty, do cholery, jesteś?

Potwór odchylił się na krzesło, splatając ręce za głowę, i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Robin Filut, do usług. Może o mnie słyszałeś? Szekspir poświęcił mi sporo uwagi. Napisał prawie same pochlebne rzeczy, to jedno muszę mu przyznać. Ale to było tylko jedno z moich wcieleń. Puk. Pan. Zawsze ten sam. Inne kultury, inne czasy... Ale to zawsze ja. Przerastam własną legendę.

Niko uniósł obie brwi jednocześnie - taki był zaskoczony.

- Poważnie? - Przekrzywił głowę i spojrział za biurko z niechętnym zaciekawieniem. - Nie powinieneś mieć koźlich nóg? Nawet najbardziej utalentowany krawiec nie zdołałby tego ukryć.

Puk z rozbawieniem przewrócił oczami.

- No proszę. Od wielu lat próbuję wylansować modę na futrzane spodnie i tak mi dziękujecie?

Na szczęście rozmowa o modzie została przerwana nadejściem uroczej Dorothei i jej miękkich, soczystych muffinków. Zaczekałem, aż zniknie, po czym wydłubałem żurawinę z ciasta. Wsadziłem ją do ust, przeżułem i połknąłem. Dopiero wtedy spytałem:

- A zatem jesteś sławny, co?

Napreżył ramiona, a aura próżności, którą okrywał się niczym płaszczem, nagle wyraźnie przybladła.

-Nie - przyznał niechętnie. - Nie tylko ja. Mój gatunek stworzył pewien szablon. Wy nazywacie to mitem. Wszyscy jesteśmy Robinem. Wszyscy jesteśmy Panem grającym na fujarce w bezkresnym zielonym lesie.

- Nawet kobiety? - Niko w końcu odpreżył się na tyle, by usiąść, choć dłonie jak zawsze trzymał w pobliżu broni.

Fellows wzruszył ramionami i nalał sobie filiżankę kawy.

- Nie mamy własnych kobiet. Zawsze tak było. - Oczy zalśniły mu złośliwie, gdy sączył gorący płyn. - I nie pytaj mnie, skąd biorą się małe puki. Nie jesteś gotów na taką lekcję reprodukcji.

Rzadko mi się to zdarzało, ale pomyślałem, że pod takim stwierdzeniem mógłbym się podpisać oburącz.

- No dobra - zacząłem powoli. - Mówisz, że żyjesz na tym świecie od zawsze, a może nawet o jeden dzień dłużej niż królowa Elżbieta. Przypuszczam, że mógłbyś nam opowiedzieć niejedno o tych auphach.

- Auphe - poprawił ponuro. - Liczba mnoga jest taka sama jak pojedyncza. Jak mówi Pismo, ich imię brzmi Legion, ponieważ jest ich wiele. A przynajmniej kiedyś było. Czas mocno je przetrzebił i chyba nie ma na świecie stworzenia, któremu nie byłoby to na rękę. - Odchylił się na oparcie, a ponury wyraz jego twarzy nieco złagodniał. - Jasne, wiem sporo o auphe, ale wy, moi panowie, jesteście mi winni historię. Umowa to umowa, a ja traktuję zawieranie umów jako sztukę samą w sobie. Mówcie, zamieniam się w słuch. - Przytknął do uszu stulone dłonie, jakby nasłuchiwał, by pokazać, że jest gotowy, i uśmiechnął się zwycięsko.

Rany, ależ on był irytujący. Może miało to coś wspólnego z naszą tak zwaną umową, a może nie. Tak czy inaczej, nie zamierzałem czekać, aż to się wyjaśni. Zerwałem się z krzesła i mruknąłem:

- Pójdę zobaczyć, czy pani Dorothea ma więcej tych muffinków.

Niko nie skomentował faktu, że cztery z nich wciąż leżały na talerzu, tylko pokiwał głową; w jego wzroku widziałem zrozumienie.

- Gdyby była taka możliwość, to chętnie napiłbym się herbaty.

- Nie ma problemu. - Nie trzasnąłem drzwiami, ale niewiele brakowało. Oparłem się o ścianę za nimi, wziąłem głęboki oddech i ruszyłem przed siebie. Cokolwiek miało zostać powiedziane za tymi drzwiami, nie chciałem usłyszeć z tego ani jednego słowa.

Okazało się, że herbata się znalazła - nie był to ten zielony trawiasty szajs, który pijał Niko, ale w jego oczach pewnie i tak stanowiła mniejsze zło niż kawa. Zanim wróciłem, niosąc napoje

i kolejną tacę muffinków - tym razem jagodowych - Niko skończył już opowiadać. Wiedziałem, że nakreślił moją historię w najbardziej ogólnym zarysie, ale Fellows i tak rzucił mi spojrzenie pełne szczerzej litości. Mógłbym zachować się wspaniałomyślnie i uznać to za wyraz współczucia. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie chciałem niczyjego współczucia.

- Na co się gapisz? - spytałem ostro. - Wciąż jestem półkrwi potworem.

- Kai - powiedział łagodnie Niko, biorąc ode mnie herbatę. Tylko jedno słowo, nic więcej, ale wystarczyło. Usiadłem, nie mówiąc już nic więcej.

Fellows tymczasem zdążył skryć swoją empatię bardzo głęboko i teraz spoglądał na mnie ze zwykłym zaciekawieniem.

-No, no, nie powiem, interesujący z ciebie okaz. Nigdy nie słyszałem o żadnym potomku auphe i człowieka. Naprawdę nie wiesz, jak do tego doszło? - Potrząsnął głową z zadziwieniem. -Niezła zagadka.

Nie ma to jak usłyszeć, że ktoś podsumowuje całe twoje dotychczasowe życie jako interesującą zagadkę.

- Aha - odparłem obojętnie. - Niezła zagadka. Ale nie będzie to chyba gruba przesada, jeśli powiem, że mam tutaj inną, równie dobrą, a mianowicie: dlaczego tu siedzimy, słuchając twojego paplania? Jeśli nie możesz powiedzieć nam nic o auphe, to chyba tracimy czas.

Na dźwięk słowa „gruba” Fellows odruchowo dotknął szczupłej talii i skrzywił się niezadowolony. Taki gryrnas nie powinien pasować do chytrej, lisiej twarzy, a jednak leżał na niej doskonale. Wprawdzie nie byłem równie dobry z mitologii co mój brat, ale miałem wrażenie, że nasz drogi puk Robin zajmował się w życiu czymś więcej niż tylko graniem na fujarkach i flirtowaniem z dziewczycami. Gość miał temperament i widać było, że potrafi być bardzo mściwy. A biorąc pod uwagę, jak go sponiewieraaliśmy, zanim zacząłem się z nim drażnić, możliwe, że zasłużyliśmy sobie na to.

Osunąłem się na krzesło, oparłem podbródek na piersi i niechętnie przyznałem:

- Wybacz. Zachowałem się jak gówniarz. Nie dałem ci nawet szansy, żeby wszystko opowiedzieć. - Zmarszczone brwi nawet nie drgnęły, podobnie jak ręka, którą opierał na podbrzuszu. -No dobra, widzę, że masz mięśnie ze stali - dodałem lekko. -Założę się, że mógłbym odbić od nich dziesięciocentówkę.

Grymas na twarzy Fellowsa wygładził się natychmiast. Niko zmierzwił mi włosy.

- Zuch chłopak - stwierdził z rozbawieniem.

- Dzięki, druhu - odparłem i sięgnąłem po muffina. Nie dlatego, że byłem głodny - wprost przeciwnie - ale musiałem czymś zająć ręce. Dręczenie ciastka było lepszym rozwiązaniem niż zaciskanie pięści, aż trzaskały stawy. Wiedziałem, że cokolwiek puk powie nam o grendelach, na pewno nam się to nie spodoba. -No dobra, Fellows. „A” jak auphe. Jedziemy z tym koksem.

Skinał głową, wciąż nie zmieniając poważnego wyrazu twarzy.

- Mów mi Robin, dobrze? - poprosił, a w jego głosie zabrzmiała tęskna nuta. - Już od dawna nikt tego nie robił i chyba trochę mi tego brakuje. - Oparł stopy na biurku, a jego eleganckie buty zaśniły w świetle fluorescencyjnych lamp. - Siadźcie wokół, dzieci, czas na lekcję historii starożytnej.

Gdy jeszcze chodziłem do szkoły, udało mi się prawie oblać historię. Miałem nadzieję, że tym razem pójdzie lepiej - wyglądało na to, że od tego zależy moje życie.

Robin starał się, jak mógł, żeby gadać aż do późnego popołudnia. Nie wszystko, co nam powiedział, dotyczyło grendeli. Czasem robił dygresję, snując jakąś opowieść o winie, kobietach i śpiewie. A czasem dla odmiany opowiadał o winie, mężczyznach i śpiewie. Odniosłem wrażenie, że w kwestii rozpusty Robin był zdecydowanym zwolennikiem równouprawnienia. Byłem tylko wdzięczny, że nie zбочzył na kwestie dotyczące wina, owiec i śpiewu.

W zasadzie nie miałem nic przeciwko tym dygresjom, nawet jeśli wykorzystywałem je głównie do przechwałek. Była to miła odmiana po zgłębianiu bezdennego, trującego bagna, jakie stanowiła historia *auphe/grendeli*. W końcu za jednym zamachem można przełknąć jedynie ograniczoną dawkę morderczej żądz, lodowatej wściekłości i bezdusznych tortur, zanim człowiek zacznie mieć naprawdę dość.

Wyglądało na to, że *grendele* to coś więcej niż potwory - stanowiły część pakietu koszmarów na jawie. Miały w życiu tylko jeden cel, jedną pasję, jeden *raison d'être*: Przemoc. Zniszczenie. Chaos. Działyły razem lub osobno i uważały świat za swoje prywatne boisko. Polowały i mordowały z radosną beztroską, okaleczając, torturując, żyjąc niczym wilki pośród stada owiec. Jednak wilki zabijają z głodu, podczas gdy *grendele* mordowały dla sportu. Dla zabawy.

Istniały od zarania dziejów, powstały wcześniej niż ludzie, wcześniej nawet niż pobratymcy Robina. Nie budowały jednak żadnych osad ani miast, przynajmniej nie na powierzchni. Wolały żyć pod ziemią w słabym świetle jaskiniowych grzybów albo też w innym miejscu, zimniejszym i bardziej jałowym. Istniały tuż obok, ale egzystowały zupełnie oddzielnie. Jeśli wiedziało się, gdzie szukać, można było znaleźć bramę. A jeśli ktoś wiedział, jak postępować, mógł przez nią także przejść.

Albo zostać w nią wciągnięty jako czternastoletni dzieciak.

Było to miejsce pozbawione wszelkiego życia, nie licząc *grendeli* - a przynajmniej takie pogłoski dotarły do Robina pocztą pantoflową. Sam nigdy tam nie był i zbladł na samą myśl, że mógłby się znaleźć gdzieś w pobliżu. Nazywał tę krainę „Tumulus”. Gdy Niko rzucił uwagę, że to po łacinie, Robin przytaknął.

- Nawet pasuje, to znaczy „grób”. Grobowiec. Piekło *auphe*. Nazywaj to jak chcesz. Nikt nie chciałby tam trafić żywy.

W moim przypadku tę radę należało wpisać w rubrykę pod hasłem „za późno”.

- Czas płynie tam inaczej, co? - spytałem obojętnym tonem. W moim przypadku tak było.

- Tak mówią. - Robin zawahał się chwilę, po czym zmarszczył brwi i spytał: - Naprawdę nie pamiętasz z tego ani chwili? Minęły dwa lata i nie przypomniałeś sobie niczego?

Ignorując jego pytanie, rzuciłem zmaltretowanego muffina na blat i otrzepałem ręce z okruchów. Fellows zrozumiał aluzję i dodał cierpko:

- Może to i lepiej. Wątpię, by był to luksusowy kurort.

- Serio? - spytałem zgryźliwie.

Niko jak zawsze podjął się roli rozjemcy.

- Przyznaję, że historia grendeli jest fascynująca na swój krwawy sposób, ale bardziej interesuje mnie to, dlaczego zainteresowały się nami. Dlaczego zwróciły się do naszej matki? Czemu porwały Kala? Czego chcą? Mam wrażenie, że działają zbyt subtelnie, żeby to była zwykła złośliwość.

-Zwłaszcza że prawie wszystkie żyjące auphe mają was na oku - dodał w zamyśleniu Robin, gładząc wąsy.

-Wszystkie żyjące gre... auphe? - powtórzył Niko. -Wcześniej mówiłeś, że jest ich legion. Widzieliśmy ich sporo, o wiele za dużo, ale ja nie określiłbym tego jako nieprzeliczone zastępy.

- Mówiłem, że dawniej były ich nieprzeliczone zastępy. Od tego czasu sporo się zmieniło. - Robin wstał i zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju, poprawiając dyplomy wiszące na ścianach. - Wszyscy się zmieniliśmy. Ludzie też. - Wzruszył ramionami i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że on także ma jakieś wspomnienie, które chętnie by zapomniał. Spojrzenie jego zielonych oczu powędrowało w kierunku Nika, bez namysłu wykluczając mnie ze zbioru ludzi. - Mnożycie się jak króliki naćpane Viagrą. Kiedyś byliście jak samotna gwiazda na wieczornym niebie, a potem nagle zamieniliście się w duszący koc, zagarniający na własność każdy skrawek przestrzeni. Nikt z nas nie miał szans, nawet auphe.

- Och! - Niko wzruszył filozoficznie ramionami. - Niestety, tak działają prawa natury. Im krótszy czas życia, tym reprodukcja zyskuje wyższy priorytet.

- Co dziewięć miesięcy zamiast co dziewięćdziesiąt lat. Duża różnica.
- Robin zamrugał, po czym otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał na zegarek. - Przykro mi, koledzy. Miło było powspominać dawne czasy, ale mam umówione spotkanie. Trzeba na siebie zarabiać. W dzisiejszych czasach potrzeba dużo pieniędzy, żeby zainteresować dziewczęce. Olśniewający wygląd i duże przyrodzenie to obecnie stanowczo za mało.

Skrzywiłem wargi, widząc jego wysiłki, by skryć nostalgię pod cynizmem.

- Tak, to wielka tragedia - przytaknął Niko z udawaną powagą. - Ale - nie ujmując znaczenia twojemu życiu towarzyskiemu - obawiam się, że jeszcze nie skończyliśmy. Mam rację?

Wprawdzie nie dobył przy tym noża, ale doskonale potrafił podkreślić swoje stanowisko bez niego. Robin wygładził krawat, zmierzył nas zmęczonym wzrokiem i niechętnie oznajmił:

- Spotkajmy się jutro. Przyjdźcie koło ósmej wieczorem. Do tego czasu przemyślę sytuację. Nie śledzę poczynañ auphe, ale znam kogoś, kto może wiedzieć więcej.

Byliśmy już prawie za drzwiami gdy odwróciłem się i zadałem mu ostatnie pytanie:

- Loman... to znaczy, Robin. Powiedz mi: widziałeś ostatnio w okolicy jakieś auphe?

Dłoń puka zacisnęła się odruchowo na krawacie, jak ręka skazańca chwytająca pętlę.

- Tutaj? Auphe, tu w mieście? *Katadikazo*, nie. Nigdy.

Na nieszczęście dla niego i dla nas wszystkich „nigdy” stało się ostatnio znacznie krótsze.

6

Artyści przez duże „A” stanowią osobny gatunek. Moim zdaniem, na drabinie ewolucyjnej znajdują się o jakieś pięć szczebli poniżej miejscowego potwora z błota, ale, niestety, Niko i ja zawdzięczaliśmy im sporo chleba naszego powszedniego. Zachowywali się tak, jakby pieniądze dawały im licencję na wszelkiego rodzaju skandaliczne zachowania. Oczywiście tego rodzaju zagrywki spływały po Niku bez śladu, jak woda po wyjątkowo flegmatycznej kaczce. Ktoś, kto potrafi zabić człowieka brudną skarpetką, nie może sobie pozwolić na utratę zimnej krwi.

Nie oznaczało to, że ci popaprańcy nie działali na nerwy mnie.

- Daj spokój, Niko - zawodziłem płaczką, zachowując się zupełnie jak marudny dwunastolatek, nie zaś marudny dorosły, jakim byłem na co dzień. - Dlaczego musisz ciągać mnie ze sobą do tego cyrku? Mam dziś wolne. Powinienem teraz leżeć na kanapie, jeść pizzę i oglądać telewizję. To najprzyjemniejsza chwila w całym tygodniu. To moje konstytucyjne prawo.

- Tak, dziękujemy za tę analizę, panie ekspercie. - Niko rzucił mi gumkę do włosów. - Uczesz się. Dzisiaj masz być profesjonalistą. W jakiej dziedzinie - nie podejmuję się zgadywać, ale przynajmniej będziesz wyglądał porządnie. Nasz zakup samochodu nie zakończył się sukcesem, więc trzeba wykorzystać dzień jak najproduktywniej. Bezczyenne leżenie nie podpada pod tę kategorię.

- A kto mianował cię moim szefem? - odgryzłem się, ale wiedziałem z góry, że walka jest przegrana, i już ściągałem włosy w kucyk.

Niko pacnął mnie kaburą w pierś.

- Nikt. Jak wszyscy wielcy dyktatorzy, zagarnąłem tę władzę samowolnie. A teraz zbieraj się. Za pięć minut wychodzimy.

Przypiąłem kaburę, w której tkwiły dwa noże. Niko natomiast chował już piąte ostrze i jeszcze nie skończył.

- Dla kogo dzisiaj harujemy? - spytałem. Nie po raz pierwszy pomagałem Nikowi w pracy i miałem w głowie całą listę gwiazdek, egzaltowanych damulek i innych palantów, których nie chciałem już w życiu oglądać na oczy.

- Chyba wolę ci zrobić niespodziankę. - Niko włożył czarną marynarkę na szarą jedwabną koszulę. Nie zawracał sobie głowy krawatem. - Dzięki temu droga na miejsce będzie mniej uciążliwa.

-Aż tak źle? Cholera. - Nałożyłem blezer. Był bardzo podobny do marynarki Nika i też należał do niego - to chyba jasne, że ja nie wydałbym tylu pieniędzy na ciuchy. Jeśli jakieś zajęcie wymagało lepszego ubrania niż dżinsy i podkoszulek, z zasady nie byłem nim zainteresowany. Nerwowo szarpnąłem kołnierz pożyczonego golfa, ale nadal miałem wrażenie, że umieram duszony przez parę bezlitosnych, poliestrowych dłoni.

- Ten Robin Fiut. Wierzysz mu?

- Chciałeś powiedzieć: Robin Filut? - Niko potrząsnął głową, podszedł do regału i zdjął z półki książkę wielkości „Titanica”. Zawsze uważałem, że trzyma w domu za dużo grubych tomisk opisujących ezoteryczne tajemnice - wszystko do celów edukacyjnych. Podczas przeprowadzek książki Nika zwykle zajmowały całe tylne siedzenie samochodu. Mitologia, starożytne cywilizacje, pięć tysięcy sposobów na poszatowanie przeciwnika - w jego biblioteczkę można było znaleźć wszystko.

Biblioteczka Nika jaskrawo kontrastowała z moją - jeśli to, co miałem, w ogóle dawało się określić mianem biblioteczki. Przez lata udało mi się zebrać kilkanaście zużytych tomików w miękkiej oprawie - oczywiście tylko beletrystyka. Były tam westerny z półnagimi kowbojkami na okładkach, powieści science fiction

z półnagimi trzypiersnymi kosmitkami na okładkach i kryminały z półnagimi femme fatale. Krótko mówiąc, okładka była najważniejsza. Żadnych horrorów i żadnej fantasy. Tego miałem w życiu aż za dużo.

- Wiem, co chciałem powiedzieć. - Zatoczyłem się, gdy Niko rzucił we mnie tomiszczem, które mogłoby być starszym bratem *Wojny i pokoju*. - Okej, z całą pewnością nie jest człowiekiem, ale trudno uwierzyć, że ten przystojniak żyje tu od czasu dinozaurów.

-Nie wszystkie stworzenia rozwijają się w tym samym tempie, Kai. Bądź grzeczniejszy. - Niko zaczął szybko przerzucać strony.

Parsknąłem z niedowierzaniem.

- To arogancki sukinsyn. Płytki jak kałuża na parkingu, a do tego próżny do niemożliwości. - Stłumiłem kichnięcie, gdy spomiędzy kartek uniósł się stęchły zapach opuszczonej biblioteki. -George mówiła, że potrzebny nam samochód - dodałem pojednawczo. - Jakie to dziwne, że trafiliśmy przez to na niego.

- Tak mówiła? - spytał Niko bez zaskoczenia. - Georgina jest mądrzejsza niż nam się wydaje. Może przewidziała, że Filut w czymś nam pomoże. - Wiedział, że to dla mnie bardzo drażliwy temat, więc nie drażył dalej. - Przyznaję, że gość puszy się jak paw. Ale biorąc pod uwagę, jak długo udało mu się przeżyć, to prawdopodobnie nie bez powodu. - Dziabnął palcem stronę w książce. - Powinieneś czasem poczytać książki pisane słowami dłuższymi niż dwusylabowe, braciszku. Może nawet zdołałbyś się czegoś nauczyć.

- Słowo „kragłości” ma więcej niż dwie sylaby - zaprotestowałem. Odwróciłem książkę do siebie i zerknąłem na wskazaną stronę. - „Nimfomanka” też - dodałem nieuważnie, wpatrzony w obrazek na stronie. Z podpisu wynikało, że jest to malowidło świątynne odkryte w ruinach Pompei. Jakością me dorastało nawet do zdjęcia z polaroidu, ale artysta najwyraźniej znał Robina. Nie tylko o nim słyszał, ale znał go osobiście.

Chytry błysk zielonych oczu, ciemne kręcone włosy, uśmiezek pełen samozadowolenia - cały Loman.

- Tak, ale „śmieć” ma tylko jedną. - Niko odebrał mi książkę i zamknął z trzaskiem. - Właśnie minęło twoje pięć minut. Zamierzasz wyjść bez butów?

Musiałem wkładać swoje czarne trampki - mój najbliższy odpowiednik wyjściowych butów - po jednym, skacząc do wyjścia na jednej nodze. Miałem do wyboru to, albo wyjść w skarpetkach. Niko nigdy nie rzucał słów na wiatr. Pięć minut to pięć minut: miał niezawodny wewnętrzny zegar bez opcji drzemki.

Nim wyszliśmy na ulicę, byłem już z grubsza ogarnięty i pełen niezdrowej ciekawości, kogo też będziemy dzisiaj pilnować. Wolałem rozmyślać nad tym, niż zastanawiać się, co usłyszymy jutro od Robina. Powiedzenie głosi, że lepiej jest wiedzieć niż nie wiedzieć, i pewnie w większości przypadków to się sprawdza, ale jeśli ktoś miałby sfalsyfikować tę tezę, to zdecydowanie byłbym to ja. Uciekanie przed grendelami było złe samo w sobie, a utrata dwóch lat z życiorysu - jeszcze gorsza. Ale bycie półkrwi stworzeniem tak nikczemnym i zdeprawowanym, że bały się go nawet inne mityczne istoty, wydawało się chyba najgorsze. Ale czy na pewno? Możliwe, że gdy już dowiemy się, skąd się wzięli i co planują grendele, nasze dotychczasowe życie zacznie nagle wyglądać na tak spokojne jak spacer po parku.

Park to miłe miejsce. Zielono, pełno drzew, błękitne niebo, latające frisbee, hot dogi i lody na patyku. Jasne, czasem zdarzał się jakiś bandyta o ostrych szponach, spiczastych zębach i szalonych czerwonych oczach. Wtedy należało zrobić unik, powalczyć, uciec i ruszać dalej. Park miał swoje blaski i cienie, ale pewnie i tak był lepszy od nieznanego. Zawsze lepszy jest znany wróg...

A zatem zgadywanie, jakiegoż to psychopatycznego celebrytę przyjdzie nam dzisiaj niańczyć, stanowiło miłą odmianę. Przebiegłem w myślach całą listę, wzdrygając się przy każdej pozycji. Klienci mojego brata nie dostąpili może prawdziwej sławy,

ale nadrabiali to cechami charakteru, w 99 procentach okropnymi Równa mieszanka dobrych, brzydkich i złych. Czy może, bardziej realistycznie - złych, gorszych i tych, dzięki, którym jakiś chirurg plastyczny kupił sobie porsche.

-To nie Glenda Glamstein, co? Błagam, powiedz, że to nie ona.

-Nie, nie idziemy dziś do pani Glamstein - odparł grzecznie Niko. - Choć pewnie byłaby bardzo zawiedziona twoim brakiem entuzjazmu, gdyby to jednak o nią chodziło.

Niebo miało kolor smolistego fioletu, u progu zmierzchu, gdy słońce z wolna staczało się do swego grobu. Na ulicy myślałem teraz mnóstwo ludzi spieszących się do domu na obiad, do swojego hobby, swoich zwierząt i swoich rodzin. Wszyscy wydawali się rozdrażnieni, co zdradzało, że me są zbyt zadowolony ze swego życia rodzinnego. Trąciłem Nika ramieniem. Większość ludzi nie miała pojęcia, jakie spotkało ich szczęście - me zdawali sobie sprawy, co to znaczy mieć normalną rodzinę.

- Jasne, a ty tak łatwo podporządkowałeś się jej gustowi co do ubiorów.

- Trudno byłoby schować dużo broni w skórzanym ochraniaczu na krocze. - Zacisnął usta i spojrzał na mnie z góry. -A w każdym razie komuś mniej obdarzonemu przez naturę. W ostateczności mógłbym ci pożyczyć składany scyzoryk. -Zanim zdążyłem zaprotestować, Niko w końcu się nade mną zlitował - Ale nie obawiaj się, twoja cnota jest całkowicie bezpieczna. Twoje aktywa nie mają dość płynności, by zwrócić uwagę pani Nottinger.

Słyszając to nazwisko, odetchnąłem z ulgą. Może jednak nie będzie tak źle. Promise Nottinger była jedną z najlepiej wychowanych klientek Nika, choć na mieście przyłgnęło do mej przezwisko „Weksel”. Mężczyzna, który nie miał przynajmniej siedemdziesięciu lat i mniej niż pięćdziesiąt milionów na koncie nie był dla niej nawet echem na radarze. Pani Nottinger może i stanowiła ludzki odpowiednik sukuba, ale miała bardzo

specyficzne upodobania. Ochroniarze byli dla niej tylko profesjonalistami, wynajętymi do wykonania określonej pracy, ani więcej, ani mniej, a ona nie zamierzała wtrącać się w ich kompetencje. Nie da się poślubić pięciu stetryczalnych milionerów i ich fortun, nie robiąc sobie przy tym kilku wrogów. Wiedziała, że dając ochroniarzom wolną rękę, działa we własnym dobrze pojętym interesie. Wokół czaiło się sporo niezadowolonych, wydziedziczonych członków rodziny, którzy chętnie dobraliby się Promise do skóry.

Trzeba tylko dodać, że dziewczyna nie była czarną wdową ze starych filmów. Nie dosypywała mężusiom strychniny do kawy i nie spychała ich wózków inwalidzkich ze schodów. O ile wiedziałem, wszyscy zmarli z przyczyn naturalnych. Ale tak czy inaczej, można przecież oskubać kurę na różne sposoby. Nawet jeśli większość małżonków Promise zmarła tuż po zakończeniu podróży poślubnej albo jeszcze w jej trakcie, to skąd wiadomo, że nie otrzymali tego, za co zapłacili? Prawdopodobnie umarli bardzo szczęśliwi. Promise dotrzymywała obietnic złożonych każdemu ze swych mężów. Jednak - co było dla mnie najważniejsze - była małomówna, spokojna i pozwalała nam wtopić się w tło. Nie traktowała nas jak artystów cyrkowych albo wyznacznika statusu. Promise była prawdziwą damą. Od pierwszego wesela do ostatniego pogrzebu. Wsiedliśmy w szóstkę i pojechaliśmy na Sześćdziesiątą Ulicę. Mieszkanie Promise znajdowało się na Upper East Side, na trzydziestym piętrze wieżowca. Nie był to najlepszy apartament, jaki można było kupić w mieście, ale wpasowywał się idealnie pomiędzy posiadłości nieprzyzwoicie zamożnych a domy obrzydliwie bogatych. Były tu lśniące podłogi wykładane drewnem, kolorowe dywany, zamglone obrazy w pastelowych barwach i dojrzałe winogrona serwowane na cienkich kryształowych paterach. Żadnych telewizorów ani torebek po chipsach. Może bogatym jednak czegoś brakuje. Ale widziałem wyraźnie, że Nikowi podoba się ten wystrój, chociaż nie był do końca w jego

stylu. Nawet gdybyśmy spali na pieniądzach, jego wymarzone mieszkanie byłoby bardziej spartańskie, bardziej praktyczne. A jednak lekkie przekrzywienie głowy i krótki srebrzysty błysk w oczach zdradziły mi, że doceniał elegancję tego miejsca, choć była stanowczo zbyt ostentacyjna jak na jego gust.

Sama Promise prezentowała się znacznie skromniej niż jej mieszkanie. Brązowe włosy ściągnięte w kok, jasna cera, pełne usta, bez śladu szminki - jedyne co ratowało ją przed całkowitą niepozornością to ostre kości policzkowe, które mogłyby przeciąć szkło, i oczy koloru kwitnących wrzosów. Z łatwością można było zrozumieć, co tak oczarowało jej pięciu bogatych mężów.

Ledwie zdążyliśmy przekroczyć próg mieszkania, już musieliśmy wychodzić. Promise jak zwykle nie traciła czasu i wyszła szybko, otulona ciszą, równie elegancką jak jej jedwabny szal. Nie była gadatliwa - jeśli miała nam coś do powiedzenia, mówiła to od razu. Jeśli nie - wołała porozumiewać się wzrokiem. Jej oczy potrafiły przekazać wszystko bardzo dobitnie - na tyle, że nawet najbezczelniejsi kelnerzy uwijali się gorączkowo, by usłać jej drogę komplementami jak płatkami róż.

A ja? Miałem szczęście, jeśli dziewczyna dostarczająca pizzę odburknęła mi coś na „dzień dobry”. A przecież też miałem ładne oczy, a do tego zabójczo zgrabny tyłek. Nie ma na świecie sprawiedliwości.

Skąd ten pesymizm? Nasza z początku łatwa praca z upływem czasu zjechała w dół jak sanki puszczane po śliskim stoku. Pierwsza godzina nie upłynęła najgorzej. Szczeka wprawdzie rozbolała mnie od tłumionego ziewania, ale zawsze to lepsze niż kopniak w głowę. Odrobinę lepsze.

Zacząłem obchodzić salę, w której odbywała się impreza. Była to jakaś sztuka dla sztuki - zbiórka na głodujące pręgowane dingo, na walkę z łokciem tenisisty, jednym słowem - jakiś bal charytatywny. W rzeczywistości była to po prostu kolejna okazja do zabawy dla znudzonych bogaczy - im zdaje się wszystko

jedno, na co wydają pieniądze. Już od dawna przestałem szarpać za golf, by złapać więcej tlenu, i teraz ręce zwisały mi bezwładnie po bokach. Zmienialiśmy się z Nikiem co dwadzieścia minut. On ochraniał klientkę, a ja przeczesywałem salę, szukając oznak zagrożenia, a potem zmiana. Robiliśmy tak już wielokrotnie i nabrałem w tym na tyle wprawy, że teraz tylko część uwagi poświęcałem pracy. Reszta umysłu zajęta była rozpatrywaniem różnych scenariuszy.

Patrząc na tych wszystkich ludzi, zupełnie nieświadomych istnienia mrocznego strumienia płynącego tuż pod naszymi stopami, zacząłem się zastanawiać. Co by było, gdybym był taki sam jak oni? Ot, zwykły człowiek. Okej - pewnie nie byłbym zupełnie taki jak oni. A Niko? Był bystry jak diabli, mógłby osiągnąć wszystko, cokolwiek by zapragnął. Czuję jednak, że miał pewne przekonania, nie mówiąc już o zdolnościach, które popchnęłyby go w określonym kierunku. Dodając do tego jego talent do walki i przenikliwy umysł, bez trudu mogłem sobie wyobrazić swojego brata, jak bezlitośnie walczy z przestępczością na szczeblu federalnym.

A jeśli nie, to pewnie wykladałby historię starożytną na uniwersytecie, ubrany w tweedowy garnitur, wymachując pałaszem. Tłumiąc uśmiech, postanowiłem nie zastanawiać się specjalnie nad tym, jak mogłoby wyglądać moje życie. Alternatywne życie Nika rysowało się w jasnych, choć zmiennych barwach, moje wyglądało jak płótno pełne ponurych cieni. Może po prostu trudniej spojrzeć na siebie z boku. A może zdałem sobie sprawę, że gdybym był człowiekiem, to nie byłbym sobą. Wybielony, niedemoniczny Kaliban stanowił zjawisko, którego nie potrafiłem ogarnąć, nieważne jak bardzo się starałem. College, kluby, dziewczyny i wycieczki - był to przepiękny bajkowy krajobraz, póki nie próbowałem wstawić tam siebie. Wtedy wszystko zniknęło. Trudno i darmo - byłem grendelem i Amerykaninem - z taką kombinacją genów ciężko trafić szczęśliwy los. Moja wyobraźnia wiedziała to równie dobrze jak ja.

A zatem schowałem te fantazje tam, gdzie ich miejsce, i skupiłem się na pracy. Zrobiłem kolejne okrążenie, bez żadnych przeszkód. Wyglądało na to, że okolica jest bezpieczna i pozbawiona potencjalnych napastników, więc postanowiłem zrobić sobie krótki pit stop. Niestety, nawet stalowi ochroniarze mają ludzkie pęcherze. Zasygnalizowałem to do Nika poprzez salę i przepchnąłem się przez tłum, chwytając po drodze pieczarkę nadziewaną krabami ze srebrnej tacy. Zanim zdążyłem wejść do łazienki, przekąska była już tylko wspomnieniem w postaci łagodnego, lekko wędzonego posmaku na języku. Pasował do wystroju łazienki.

Ściany koloru starego pergaminu i podłoga z marmuru poprzecinanego żyłkami koloru złota i ciemnobrązowego toffi. Z sufitu zwisał wielki żyrandol, w którym łagodnie migotały szkiełka o barwie topazów. Błat wykonano ze starannie wypolerowanego drewna, w którym osadzono kilka umywalk z kutego brązu. Jednak najbardziej rzucało się w oczy olbrzymie lustro. Osadzone w starannie wykonanej ramie z miedzianych i brązowych prętów, które po bokach rozwijały się jak cztery płatki. Zajmowało prawie całą górną połowę ściany.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie odlałem się w tak ładnym miejscu.

Cały ten elegancki wystrój nie zrobił żadnego wrażenia na moim pęcherzu, który przypominał mi, że należy żyć chwilą. Zrobiłem, co miałem zrobić, zapiąłem spodnie i podszedłem do umywalki. Obok dostrzegłem kilka złożonych ręczników, grubych i miękkich. Ułożono je na stołku, co sugerowało, że ktoś inny też właśnie zrobił sobie przerwę. Poczęstowałem się ręcznikiem koloru czekolady i właśnie wycierałem ręce, gdy zobaczyłem coś dziwnego.

Kątem oka dostrzegłem ciemny, wijący się kształt - przypominał kiwający zapraszająco palec. Przesunął się tuż na granicy pola widzenia i sprawił, że serce zabiło mi w panice. Upuściłem ręcznik, a nóż praktycznie sam wskoczył mi do ręki. Obróciłem

się, przenosząc ciężar ciała na śródstopie, trzymając broń blisko siebie i stanąłem twarzą w twarz... z niczym.

Niczym, poza własnym odbiciem. Wpatrywało się we mnie ponuro, obaj chwytałyśmy hausty powietrza, które nagle wydawało się gęste i ciężkie niczym rzeczny muł.

- Cholera - mruknąłem. Niemożliwe, żebym spanikował na widok własnego odbicia w lustrze, tak nerwowy przecież nie byłem.

Szybko rozejrzałem się po łazience, a wtedy światła na sekundę zgasły - złoty blask zastąpiła aksamitna ciemność. W tej samej chwili poczułem, że powietrze drży, jakby coś przemknęło mi tuż przed twarzą. A może był to oddech, gorący i kwaśny, a czyjeś zęby wymierzyły właśnie w moją szyję. Zamachnąłem się, zadając cios na ślepo, gdy światła zapaliły się na powrót. I znów byłem tylko ja i mój cień. Przynajmniej wyglądał równie głupio jak ja się czułem. Z westchnieniem odłożyłem nóż i zastukałem lekko w powierzchnię lustra.

- Jesteś tam, Alicjo?

Kraina Czarów nie odpowiedziała. Jeśli Alicja rzeczywiście tam była, to wołała siedzieć cicho za szkłem i nie miała zamiaru wychodzić.

Nim zdążyłem przepchnąć się przez tłum w stronę Nika, tętno zwolniło mi do normalnego, a zimny pot występujący na plecach zdążył wyschnąć. Dobrze było wiedzieć, że tak szybko potrafię się otrząsnąć z szoku wywołanego przez niesprawne oświetlenie w łazience. Skinąłem Nikowi głową i dyskretnie zająłem miejsce za plecami pani Nottinger, która wyglądała jak blade słońce okrążane przez kilka planet nie pierwszej młodości. Kobieta zdawała się raczej rozbawiona niż zadowolona. Przyszła się tylko pokazać. Dla każdego przychodzi taki moment, że ma już dość, to znaczy, dość pieniędzy. Promise przeszła na emeryturę, choć jej potencjalni amanci zdawali się w to nie wierzyć. Miałem ochotę powiedzieć tym napalonym matuzalemom, żeby dali spokój, ale opanowałem się i w milczeniu patrzyłem, jak Niko wtapia się w tłum i znika. Dosłownie. Przed chwilą jeszcze tam był, a potem jakby rozpułnął się w powietrzu. Brakowało mu tylko czarnego stroju z kapturem i mógłby być prawdziwym ninją. Z nas dwóch tylko ja byłem nie w pełni człowiekiem, a jednak to mój brat zdawał się posiadać supermoce.

- Do zobaczenia, Houdini - wymamrotałem w powietrze, a potem przesunąłem się o krok, by dyskretnie zagrozić drogę dżentelmenowi, którego pomarszczone dłonie były zbyt śmiałe dla jego własnego dobra.

* * *

Promise spędziła tam niewiele ponad godzinę - na tyle długo, by zrobić kilka rundek, oczarować gromadkę starszych panów i wpłacić swój datek. Może i zdobyła swój majątek w nietypowy

sposób, ale teraz grała wedle tych samych reguł, co klasa społeczna, do której awansowała. Pożegnała się z kilkoma zawiedzionymi zalotnikami, po czym wyszła na świeże powietrze. Uniosła twarz w kierunku nocnego nieba zabarwionego na pomarańczowo światłem miejskich latarni i powiedziała cicho:

- Brakuje mi gwiazd.

Zerknąłem ciekawie na Nika. Była to pierwsza osobista rzecz, jaką nam kiedykolwiek powiedziała. To prawda, że widziałem ją wcześniej tylko dwa razy - Niko chyba z kilkanaście - ale po jego uniesionych brwiach poznałem, że jest równie zaskoczony.

- Nadmiar sztucznego światła, to też rodzaj zanieczyszczeń - odparł niezobowiązująco. - Pójdziemy już, proszę pani? - dodał, wskazując w kierunku samochodu czekającego przy krawężniku.

- Nadmiar światła - powtórzyła. A potem, nie odrywając oczu od nieba, energicznie zawiązała szal. - Nie, chyba nie. Mam ochotę się przejść, Powiedz Timothy'emu, że ma wolne na resztę nocy. Szkoda. Będzie musiał zrezygnować ze swojej zwyczajowej drzemki za kółkiem.

Drgnąłem, słysząc jej ton - ostry jak czubek sztyletu polany płynnym miodem. Miałem przeczucie, że Timothy już niedługo będzie musiał stanąć w kolejce do biura pośrednictwa pracy.

Promise zaczęła, aż Niko zastuka w przyciemnioną szybę i przekaże kierowcy wiadomość, a potem ruszyła chodnikiem przed siebie, podążając na północ. Chciałbym móc powiedzieć, że wyglądała jak królowa wśród żebraków, ale nie byłoby to właściwe określenie. Poruszała się raczej jak duch pośród sceptyków. Sunęła przed siebie niczym fantastyczna zjawą, niewidzialna i niezauważana, równie niepozorna jak wcześniej była olśniewająca. Przypominała trochę Nika - była jak kameleon, widzialna tylko wtedy, gdy sama tego chciała. Była to rzadka umiejętność, którą posiadli tylko najbardziej opanowani, najlepiej zrównoważeni. Trzeba znać samego siebie, prawda?

Nie, dzięki. Tę umiejętność wołałem pozostawić zawodowcom.

Niko wyprzedził Promise, a ja zamykałem tyły, wypatrując teraz bardziej przyziemnych zagrożeń. Kieszonkowców, zboczeńców i różnych dziwaków - form życia zaludniających miasto w nocy - choć w prestiżowych dzielnicach widywało się ich zdecydowanie rzadziej. Tacy napastnicy nie mieli wprawdzie szponów ani ostrych kłów, ale niektórzy z nich cechowali się taką żądzą krwi, że przewyższali w tym niejednego potwora.

Spacer z Promise powoli zamieniał się w prawdziwą wędrówkę, a cichy stukot obcasów niósł się coraz wyraźniej, w miarę jak wokół ubywało ludzi. Niko zobaczył, że patrzę na zegarek, i spiorunował mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Trwało to ułamek sekundy, ale i tak aż napiąłem barki, tłumiąc jęk. Praca w barze strasznie mnie rozleniwiła. Póki nie zjawił się tam Samuel i jego koledzy, moja zmiana wyglądała jak jedna, długa, ośmiogodzinna drzemka. Ochrona Promise to było jednak prawdziwe zadanie. Pomyślałem, że jeśli nasza klientka nie naciągnie sobie ścięgna ani nie skreśli kostki, to chyba się zasapie. Powiedziała wprawdzie, że brakuje jej gwiazd, ale nie sądziłem, że będzie próbowała dotrzeć do nich pieszo.

W końcu skręciła w ciemny zaułek biegnący pomiędzy dwoma podejrzanie wyglądającymi budynkami. Zatrzymała się gwałtownie, skrzyżowała ręce na piersi, kładąc dłonie na łokciach, i zmierzyła wzrokiem białe lampki zawieszane beztrąsko na drabince przeciwpożarowej. Najwyraźniej ktoś z mieszkańców przez cały rok miał świąteczny nastrój - a może po prostu był równie leniwy jak ja.

- Może i nie są to gwiazdy - powiedziała w zamyśleniu, a potem rozciągnęła wargi w uśmiechu równie łagodnym i ciepłym jak wiosenny deszcz. - Ale i tak są piękne. - Westchnęła, objęła się ciasniej rękami i przekrzywiła głowę w stronę Nika. Zaciśnęła zęby z rezygnacją. - Śledzono nas, prawda?

- Tak - odpowiedział spokojnie. - Odnoszę wrażenie, że wcale to pani nie zaskoczyło.

Jej może nie, ale dla mnie była to pewna niespodzianka. Wypatrzyłem gościa już kilka przecznic od hotelu Waldorf, a Niko prawdopodobnie widział go od samego początku, ale że Promise wiedziała, co się święci... To mnie zaskoczyło. Przez cały czas była spokojna i opanowana - zdawało się, że nie ma o niczym pojęcia. Już zapomniałem, że profesjonalny sukub musi mieć nieliczne zdolności aktorskie. Zdołała mnie oszukać, a na tym etapie mojego życia była to niełatwa sztuka.

- Nie, niezupełnie. - Poglądziła lekko jedwabny szal. - Mogę wyjaśnić, jeśli mi pozwolisz.

- Wierzę, że tak, ale to chyba nie najlepszy moment. Kai, ty pójdziesz naprzód. Pani Nottinger i ja idziemy na tyły. - Położył dłoń na ramieniu Promise i delikatnie, lecz stanowczo skierował ją w głąb zaułka, gdzie oboje zniknęli w mroku równie gęstym i namacalnym jak mur. Znalazłem sobie inną plamę cienia, w którym skryłem się cały, i czekałem cierpliwie. Cegły, o które się oparłem, były podejrzanie mokre. Tej nocy nie padał deszcz i nie chciałem nawet zgadywać, co przesiąka przez materiał mojej kurtki. Przynajmniej dopóki nie przypomniałem sobie, że mam na sobie blezer Nika, a wtedy z radością pomyślałem o setkach różnych szkodliwych, obrzydliwych płynów, które mogły się na nim znaleźć.

Nie miałem cierpliwości do codziennych pierdoł, ale jeśli chodziło o życie, potrafiłem trwać w bezruchu całymi godzinami, niczym kot czekający na przelatującego nisko ptaka. Nie minęło dużo czasu, nim nasz skrzydlaty przyjaciel zjawił się w pobliżu, trzepocząc skrzydełkami. Ostry dziób, rozbiegane oczka - naprawdę wyglądał ptasio, ubrany w czarny prochowiec, który nawet trochę przypominał skrzydła. Był niski, o kilka cali niższy ode mnie, i raczej szczupły, ale w oczach miał jakiś szklisty błysk, który wyglądał równie niepokojąco co umięśnione barki. Nie mówił do siebie, nie niósł też żadnych transparentów obwieszających, że koniec świata jest bliski, bracia, ale miał to samo szalone, fanatyczne spojrzenie, co uliczni

prorocy. Chaotyczne i intensywne niczym wiązka laserowa bez systemu naprowadzania.

Wkroczył do zaułka szybkim, ostrożnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony. Trzymał coś w ręku, ale przedmiot ten był skryty w fałdach długiego płaszcza. Musiała to być jakaś broń: pistolet, nóż, może taser. A sądząc z mocnego uścisku dłoni, w której aż zbiełały palce, nie zamierzał oddać swojej zabawki bez walki. Wykrzywiłem wargi w ponurym uśmiechu. Żaden problem. Nie miałem nic przeciwko, by parę razy walnąć jego twardym łbem o asfalt. Blask migoczących świątecznych lampek odbijał się od jego wysokiego czoła i jasnych włosów niczym upiorna aureola. Stanowiło to dziwny kontrast z jego rozbieganymi oczkami i żarliwym skupieniem - bezduszny, psychopatyczny anioł, pilnie potrzebujący sporej dawki litu i prozaku. Jeszcze o tym nie wiedział, ale lada chwila ktoś miał mu podciąć skrzydełka.

Odsunąłem się od ściany i bezszelestnie ustawiłem się za nim. Jego kościste ramiona były chude jak u stracha na wróble - był tak spięty, że wyglądał, jakby miał się rozsypać od najlżejszego dotyku. Jako ciekawskie stworzenie, postanowiłem się o tym przekonać. Dobyłem noża i postukałem go grzecznie ostrzem.

- Chyba skręciłeś w złą ulicę, stary. Do domku babci to nie tędy.

Chyba wziął sobie moje słowa do serca, zważywszy na to, co zrobił później. Okręcił się błyskawicznie, aż płaszcz rozwiął się za nim jak peleryna, i wyciągnął przed siebie rękę. Jego ruchy wyglądały, jakby kierowała nimi siła wyższa - były automatyczne, nie do uniknięcia. Nie mówiąc już o tym, że nieobjęte ubezpieczeniem. Cofnąłem się, osłaniając głowę przedramieniem i wymierzyłem nóż w jego podbrzusze. Już miałem rozplatać go jak rybę, gdy nagle zrozumiałem, co wycelował mi w twarz. Nie był to nóż ani pistolet, ani nawet proca. To był krucyfiks. Bogato zdobiony, lśniący metalicznie w słabym świetle. Mimo swych rozmiarów, nie usprawiedliwiał jednak wyfiletowania gościa. A w każdym razie jeszcze nie teraz.

Cofnąłem ostrze i zamiast nim walnąłem go w brzuch tylko łokciem. Runął jak kamień, z trudem chwytając powietrze, ale wciąż uparcie trzymał krzyż. Przykucnąłem na piętach i obmacałem napastnika, podczas gdy on kulił się na chodniku. W kieszeniach znalazłem drugi, mniejszy krzyżyk i fiolkę bezbarwnego płynu. Odkorkowałem ją i podejrzliwie powąchałem zawartość, gdy obok zjawił się Niko. Przyszedł z pustymi rękami i na pierwszy rzut oka nie miał żadnej broni, nie licząc ust skrzywionych w sardonicznym uśmiechu.

- Chcesz się nawrócić na starą wiarę?

Burknąłem coś w odpowiedzi i zakorkowałem fiolkę. W środku była tylko woda.

- Tak, i to z otwartymi oczami. Gość prawie wbił mi swoją zabawkę w czaszkę. Wielkie dzięki za pomoc.

- Jeśli nie umiesz sobie poradzić z jednym nieuzbrojonym fanatykiem, Kai, to nie dasz sobie w życiu rady. Lepiej zrzucić tę śmiertelną powłokę, zanim ktoś wsadzi cię do klatki dla twojego własnego dobra. - Wyciągnął rękę i sięgnął po fiolkę. Nie otworzył jej: popatrzył tylko pod światło. - Ach! - powiedział cicho i spojrzał na naszego tajemniczego szaleńca, przerzucając fiolkę z ręki do ręki. - Ciekawe, nieprawdaż?

Nadałem policzki z irytacją.

- Może podzielisz się swoim odkryciem z resztą klasy, Sherlocku? Twoje pospieszne wnioski wywołuje u mnie chorobę lokomocyjną,

- Kai, to przecież oczywiste - stwierdził z wyższością. - Krucyfiks i małe naczynie, najwyraźniej ze święconą wodą. Nasz niedożywiony przyjaciel ściga...

- Wampirzycę - wyrzeźbił mężczyzna, z trudem wyciągając rękę. - To wampirzyca. - Zakaszłał i odetchnął ze świstem. -Potwór... demon z piekła rodem...

- Czyżby? - spytałem obojętnie, po czym wstałem jednym szybkim ruchem i oparłem nogę na plecach stracha na wróble, by nie pozwolić mu wstać. - Wspominała o tym, gdy cię zatrudniała,

Niko? Kwestia wysysania krwi pojawiła się podczas rozmowy o pracę?

- Kochanka szatana... Szkarłatna nierządnica - charczał fanatyk spod mojej stopy.

- Tak, tak - przerwałem niecierpliwie. - Już to wiemy, koleś. Zamknij japę.

- Królowa ciemności...

Westchnąłem i wymierzyłem mu szybkiego kopniaka tuż za uchem. Głowa poleciała mu do przodu i stracił przytomność -zgasł jak tania żarówka. Wiedziałem, że ocknie się niedługo ze straszną migreną, ale zasłużył sobie na to - jego paplanina mnie też przyprawiła o ból głowy.

- W dzisiejszych czasach trudno przekonać ludzi z pomocą rozsądnych argumentów. Okropna szkoda.

Niko spojrzał na mnie udręczonym wzrokiem. Nie byłem pewien, o co mu chodzi: miał mi za złe, że uciszyłem tego irytującego świra, czy też zdenerwował go mój ogólny brak życzliwości dla gadatliwych osobników?

Nie, chyba nie.

- Nie tak okropna jak twoja praca nóg. Gdybyś wymierzył o cal w lewo, wyłączyłbyś go na znacznie dłużej. Czy ty w ogóle przeczytałeś ten podręcznik do anatomii, który ci dałem, czy używasz go jako podkładki pod szklanę?

- Szczerze mówiąc, to podparłem nim stół w kuchni. - Wskazałem głową w głąb zaułka. - Może twoja klientka udzieli nam paru odpowiedzi, jak już wysie nas do sucha? Jak sądzisz?

Niko uniósł brwi, a potem parsknął rozbawiony. Zniżył głos na tyle, bym tylko ja go słyszał.

- Wierzysz temu psycholowi, Kai? Gdyby Promise rzeczywiście była nieumarła, to przecież byś ją wyczuł.

- Nic nie czuję przez te perfumy - odpowiedziałem równie cicho. - Jestem półgrendelem, a nie półpsem.

- Są całkiem ładne. Kobięce i intensywne, ale jednocześnie świeże - odparł w zamyśleniu. - Bardzo przyjemne.

Rzadko musiałem robić za głos rozsądku.

- Niko, zdecyduj się, co wolisz. Zabić potwora, czy umówić się z nim na kawę?

W tej samej chwili Promise wynurzyła się z cienia, niczym uosobienie spokoju. Oczy koloru zmięzchu zlustrowały nieprzytomnego mężczyznę. Potrząsnęła głową, aż jedwabna apaszka zaślśniła.

- To bardzo chory człowiek. Daleki krewny mojego ostatniego męża. Od wielu dni chodził za mną, plotąc niestworzone rzeczy.

- W takim razie powinniśmy chyba zadzwonić po policję i poprosić, by go zatrzymali - stwierdził Niko. Jego słowa brzmiały rozsądnie, ale zauważyłem, że nawet nie próbuje wyjąć telefonu. Promise uniosła rękę,

- Zaczekaj. - Przełknęła ślinę. - Nie rób tego.

Oczy Nika pociemniały - fascynacja zapachem perfum była już tylko odległym wspomnieniem. Podszedł bliżej, starając się zachować neutralny wyraz twarzy.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, po czym delikatnie ujął jej podbródek, a kciukiem lekko unióś górną wargę, odsłaniając drobne, spiczaste kły.

Uniosłem ręce i pozwoliłem im dramatycznie opaść.

- Jezu, Niko. Czyżbyś był jedynym człowiekiem w całym tym cholernym mieście?

Staromodna galanteria Nika poszła w las, gdy sięgnął pod płaszcz, by wydobyć długi drewniany kołek. Noże, miecze, osi-nowe kołki - miał przy sobie wszystko, do wyboru, do koloru. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia wyciągnął stamtąd Elvisa. Nie spuszczać oczu z kłamliwej pracodawczyni, pochyliłem się i wyjąłem naszemu prześladowcy krzyż z dłoni. Widziałem już, jak Niko radzi sobie z najróżniejszym pomiotem demonów, więc nie przypuszczałem, by drobna, ważąca sześćdziesiąt kilogramów wampirzyca potrafiła go pokonać. No, chyba że odurzyłaby go perfumami.

- Cokolwiek się stanie, nie wachaj jej - wycedziłem, po czym uniosłem krzyż, aż znalazł się na linii moich barków, przybierając klasyczną pozę „Zgiń, potworze”.

Zanim Niko zdołał zmiażdżyć mnie ripostą albo przebić Promise drewnianym kołkiem, kobieta położyła mu rękę na ramieniu.

- To nie tak, Niko - powiedziała poważnie. - Może nie jestem człowiekiem, ale przysięgam ci, że nikogo nie skrzywdziłam.

Ostry czubek kołka opierał się o skórę ponad jej mostkiem.

- Przypuszczam, że tak tłumaczyłaby się na pani miejscu większość potworów - odparł lodowato Niko. Ręka nawet mu nie drgnęła. - Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy wszyscy pani mężowie zmarli z przyczyn naturalnych, czy może zacięli się przy goleniu... pani zębami?

Pomyślałem, że „przyczyny naturalne” obejmują całkiem spory wachlarz możliwości, ale ponieważ FBI nie zaklasyfikowało dotychczas seksu jako zabójczej broni, nie mogłem zaprotestować. Zobaczyłem, że Promise zaciska usta i unosi z godnością brodę.

- Nie pijam ludzkiej krwi. Nie wszystkie wampiry tak robią. Nawet młodsze. Są lepsze rozwiązania.

- Doprawdy? - prychnąłem. - A jakież to? Świńska krew? I pewnie pijasz ją z kryształowych kieliszków? - Nie byłem w stanie wyobrazić sobie takiej sceny - Promise sącząca zwierzęcą juchę niczym drogie wino.

-Nic podobnego - odparła z miażdżącą pogardą. Spojrzała znów na Nika i wzrok jej złagodniał. - Moja torebka. Zajrzyj do środka, jeśli chcesz się dowiedzieć. - Gdy mój brat nie odpowiedział, dodała: - Proszę.

Przez chwilę patrzył na nią lodowato, ale potem wyciągnął rękę, sięgając do miniaturowej torebeczki wiszącej na ramieniu kobiety. Druga ręka, trzymająca kołek, nie drgnęła nawet na milimetr. Promise stała zastygła niczym posąg, gdy Niko sprawnie przeszukiwał jej torebkę jedną ręką. Trwało to niewiele ponad

sekundę, nim wyciągnął słoiczek z pigułkami - tak duży, że musiał wypełniać torebkę prawie w całości. Podniósł go do światła i zapatrzył się na etykietkę zmrużonymi oczami.

- Żelazo. Powiedziałbym, że w dość dużych dawkach.

Niko, oczywiście, znał zalecaną dzienną dawkę każdej witaminy i innych minerałów. Był żarliwym wyznawcą religii nakazującej traktować ludzkie ciało jak świątynię i cytował swoje pisma do znudzenia za każdym razem, gdy choćby zaproponowałem zjedzenie cheeseburgera.

- Tak, żelazo. Takie proste, a jednak okazało się to antidotum na chorobę, która od wieków nęka mój gatunek. - Promise położyła dłoń na kołku i lekko odepchnęła go od siebie, a Niko - co dziwne - nie zareagował. - Codziennie, przez całe życie. W połączeniu z innymi suplementami diety umożliwia mi funkcjonowanie bez spożywania krwi.

Niko w zamyśleniu postukał się kołkiem w podbródek.

- A zatem mówi pani, że wampiryzm to nic innego jak ciężki przypadek anemii wywołanej niedoborem żelaza? Trudno mi w to uwierzyć, proszę pani.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- To trochę bardziej skomplikowane. Preparaty z żelazem nie zaspokajają tych samych potrzeb i tych samych żądań co spożywanie krwi. Nie pozwalają mi wprawdzie rozwinąć sił i mocy dobrze odżywionego wampira, ale przynajmniej sprawiają, że komórki mojej krwi nie pożerają się nawzajem. Pozwalają mi także żyć w spokoju, powstrzymując mnie od ślepego, żarłocznego mordy.

- Chociaż tyle dobrego - stwierdziłem ironicznie. - Jestem pewien, że masakrowanie niewinnych ludzi zupełnie rozwaliliby pani harmonogram spotkań towarzyskich.

Niezależnie od tego, czy uwierzyłem w jej historyjkę, Niko i ja nie nigdy nie byliśmy herosami czy superbohaterami chroniącymi nieświadomych niczego mieszkańców miasta. Próbowaliśmy tylko przeżyć. Dbanie o własne tyłki samo w sobie

stanowiło pełnoetatową pracę i dopóki Promise nie próbowała na naszych oczach rzucić się do gardła jakiegoś blondwłosemu cherubowi, nie zamierzałem się nią przejmować.

- Podejrzewam, że tak, ale zawsze mogę zrobić wyjątek. - Jej spojrzenie powiedziało mi wyraźnie, kto miałby być tym wyjątkiem.

- Dzieci, dzieci - upomniał nas Niko. - Bądźcie grzeczne. Pani Nottinger, jestem ciekaw jednej rzeczy. W jaki sposób ten obłąkany dżentelmen zdołał dowiedzieć się prawdy?

Okazało się, że Promise wcale nas nie okłamała. Prześladowca był dalekim kuzynem jej niedawno zmarłego męża i jego ostatnim żyjącym krewnym. Czy testator wydziedziczył go za sprawą swej ostatniej żony, czy nie - o tym pewnie można by dyskutować, jednak w przekonaniu niedoszłego spadkobiercy była to prawda. Zrobił, co tylko mógł, by znaleźć jakieś haki na Promise. Tak, miała kilku starszych mężów, którzy szybko zmarli, ale wśród bogaczy nie było to szczególnie wyjątkowe. Ostatecznie dowiedział się tylko tyle, że Promise ma kilka dziwnych nawyków i nigdy nie wychodzi z domu za dnia. Uznanie jej za wampira było ryzykowne, jednak z tego, co mąż Promise opowiadał za życia o swym kuzynie, ten człowiek podobno od zawsze miał kanarki w mózgu. Niewiele było trzeba, by zmienić je w nietoperze.

- A zatem może stanowić pewien problem. - Niko schował kołek i oddał Promise jej pigułki. - Co pani z tym zrobi?

- Widzę tylko dwa wyjścia. - Kobieta schowała słoik do torebki i zamknęła ją stanowczym ruchem. - Pierwsza to zapłacić mu za milczenie. Ciężko się napracowałam, by zdobyć te pieniądze i nie bardzo chcę się z nimi rozstawać, ale.. - Filozoficznie wzruszyła ramionami.

- A jeśli to nie zadziała?

Spiczaste ząbki zaślinyły spomiędzy wydatnych warg.

- Diamenty to nie zawsze najlepszy przyjaciel kobiety.

No cóż, facet dostał przynajmniej jedną szansę. Większość ludzi nie miała nawet tego. Rzuciłem krzyż na ziemię i opuściliśmy

zaułek, z grubsza w tym samym stanie, w jakim tam weszliśmy. Czterdzieści minut później znaleźliśmy się przed apartamentow-cem Promise i odprowadziliśmy ją do windy,

W ostatniej chwili położyła Nikowi palec na ustach, gdy mówił do niej „proszę pani”, i powiedziała:

- Chyba po wszystkim, co dziś zaszło, powinieneś mi mówić Promise.

Kiedy drzwi windy zamknęły się za nią, potrząsnąłem głową, widząc ogłupiałą minę Nika.

- Chcesz się na to porwać? Ta kobieta pochowała pięciu mężów, nie mówiąc już o tym, że sama jest nieumarła. Krwiopijczy... - Okej, to nieprawda, zreflektowałem się w ostatniej chwili: - Pigułkożerczy demon z piekła rodem. Zje cię żywcem.

- Jesteś pewien? - Głos Nika ociekał sarkazmem.

- Mówię poważnie, Nik. Ta kobieta jest niebezpieczna, to drapieżnik. - Najwyższy czas przestać robić za głos rozsądku, pomyślałem. Dłużej tak nie wytrzymam, jadę już na rezerwie.

Wargi Nika drgnęły z rozbawienia.

- Mój mały braciszku: a ja czym niby jestem? Cholera. Tu mnie miał.

Zamki.

Teoretycznie miały utrudniać zarówno wejście, jak i wyjście, ale wątpiłem, czy na świecie istnieje dość zamków, by powstrzymać grendele. Moje wątpliwości oczywiście nie przeszkodziły Nikowi zainstalować w mieszkaniu najlepszych zamków, na jakie było nas stać, niecałe pół godziny po przeprowadzce dwa lata temu.

Zdjąłem z siebie zniszczony blezer Nika, zwinąłem go w kłębek i rzuciłem w kąt. Słyszałem, jak mój brat sprawdza wszystkie zamki. Nieważne, że mechanizm był tak zaawansowany, że praktycznie zamykał się sam - on za każdym razem je sprawdzał. Każdego wieczoru. Nawet targany nieszczęśliwą miłością do wampirzycy nie odstąpił od tego zwyczaju. Prychnąłem pod nosem, usiadłem na łóżku i ściągnąłem buty stopami. Moja szwagierka, hrabina Drakula. To mogłoby być nawet zabawne. Mogłoby być nawet historycznie śmieszne, ale nie było. Trudno się śmiać, gdy człowiek zda sobie sprawę, że może już nigdy w życiu nie będzie miał żadnej szwagierki, ludzkiej czy innej.

Życie w ciągłym biegu nie wpływało dobrze na trwałość związków, a konieczność kłamania na temat przeszłości, teraźniejszości i całego swojego życia nie była dobra dla związków w ogóle. Na palcach jednej ręki mogłem zliczyć ludzi, których uważaliśmy choćby za znajomych... a większość z nich nie zaliczała się nawet do kategorii „człowiek”. Jednym z nich był Bobok, choć on klasyfikował się raczej jako poskromiony wróg. Była też pewna wiedźma z Luizjany, która zajmowała się

wszystkim, od wicca po wudu, selkie pływająca u wybrzeży Oregonu i, najbliższy z nich, uzdrowiciel mieszkający na Staten Island. Rafferty był pierwszym i jedynym uzdrowicielem, jakiego w życiu spotkałem. Nie miałem pojęcia, jak bardzo powszechne są wśród ludzi takie zdolności, ale Rafferty zdecydowanie umiał swoje wykorzystać. Żeby uniknąć podejrzeń, studiował medycynę, ale zupełnie nie potrzebował tych studiów. W ciągu kilku chwil potrafił osiągnąć to, na co większość lekarzy potrzebowała wielu godzin pracy i wielu lat nauki. Był to jeden z tych nielicznych ludzi, których zdołaliśmy dobrze poznać, i naprawdę żałowałem, że nie mogliśmy zostać przyjaciółmi. Ale to było niemożliwe bez sporej dozy zaufania, a Niko i ja nigdy nie byliśmy w tym za dobrzy. Zaufanie zawsze było poza naszym zasięgiem.

A teraz ten styl życia, czy raczej jego brak, miał kosztować mojego brata pewną wyjątkową okazję. Nie rozbierając się, padłem na materac i zapatrzyłem się w sufit. Niko oczywiście nie będzie miał do mnie pretensji. Byliśmy rodziną i wiedzieliśmy, że jeśli nie będziemy dbać o siebie nawzajem, to nikt inny tego nie robi. Nie, nie miał do mnie żalu, ale to wcale nie znaczyło, że nie mogłem mieć żalu sam do siebie. Przewróciłem się na brzuch, walnąłem poduszkę pięścią i schowałem w niej głowę. Czasem miałem już dość tego całego poczucia winy.

I tego uciekania.

Co z tego, że któryś z nas widział grendela? Minęło już mnóstwo czasu, odkąd napadły nas po raz ostatni. Ściśle rzecz biorąc, to właśnie ten incydent zdecydował o naszej przeprowadzce do wielkiego miasta. Tamtego dnia mieliśmy szczęście: żadnego pożaru, żadnej zwęglonej przyczepy, żadnej matki płonącej jak pochodnia, tylko miecze, noże i fioletowa krew potworów. Ale to było już prawie trzy lata temu. Chyba w którymś momencie grendele powinny dać za wygraną, prawda? Może w końcu nadszedł taki moment, że trzeba było podsumować straty i zaklasyfikować mnie jako jednego z tych, którym

udało się zwiać. Nie miałem pojęcia, czego chcą ode mnie te dranie, ale i tak w końcu muszą chyba odpuścić, prawda? Nawet one.

Wytoczyłem się z łóżka i poszedłem do łazienki. Sięgnąłem do wyłącznika, ale zawahałem się i postanowiłem umyć się po ciemku. Nie byłem specjalnie wytracony z równowagi tą historią z lustrem w Waldorfie, po prostu nie potrzebowałem światła. A jeśli unikałem widoku swojego odbicia w lustrze, to tylko przypadkiem. Nie musiałem patrzeć na siebie podczas mycia zębów. Niektóre rzeczy lepiej robić po ciemku.

Okłamywanie się niewątpliwie do nich należało.

Następnego dnia humor nie poprawił mi się ani na jotę - miało to jeden określony powód. Nazywał się Robin Filut. Ten facet był jak bezalkoholowy kac. Za głośny, zbyt wesoły, zbyt... jaki tylko chcecie.

Tego dnia wziąłem wcześniejszą zmianę w barze, a Niko poszedł do swojego dojo. Potem zjedliśmy szybki obiad i ruszyliśmy do komisju. Byłem zmęczony, spocony od niespodziewanie ciepłego jesiennego słońca i nie miałem najmniejszej ochoty wysłuchiwać gadaniny tego typu. Ale najwyraźniej tym gorzej dla mnie, bo paplał nieustannie. Non stop. Ad infinitum i inne mądre słowa oznaczające „gęba mu się nie zamyka”.

Siedział w pozycji, która wydawała mi się już dobrze znajoma, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, i jadł pałeczkami chiński makaron z kartonowego pudełka,

- Na pewno nie jesteście głodni? - spytał, wskazując pałeczkami na liczne pudełka. - Mam jeszcze Moo Goo Pan, smażony ryż i wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym.

Niko potrząsnął głową.

- Dzięki, już jedliśmy. - Z powątpiewaniem spojrzał na opakowania. - Chyba naprawdę lubisz chińszczyznę.

Robin uśmiechnął się pożądlawie.

- Ja naprawdę lubię różne rzeczy, nie tylko jedzenie. Opowiadałem wam już o tym, jak...?

„No to się zaczyna”, pomyślałem zrozpaczony. Już wczoraj przekonaliśmy się, że po wymówieniu tych sakramentalnych słów wybierał się zwykle na długą wycieczkę galopem w przeszłość. A większość jego wspomnień była równie apetyczna co kilkutygodniowe spaghetti.

- Może później sobie powspominamy, rycerzu harce-w-locie - przerwałem. - Przyszliśmy zapytać o auphe. Epos „Robin zalicza Rzym” może trochę poczekać.

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem poważnych zielonych oczu. Potem wskazał na mnie pałeczką i oznajmił:

- Chłopcze, powiem ci jedno - jak najszybciej musisz zakisić ogórka.

Niko zakaszłał gwałtownie - podejrzewam, że próbował ukryć w ten sposób wybuch śmiechu. Co za drań.

- Czyżby? - wycedziłem przez zaciśnięte zęby. - Chcesz pogadać o kiszeniu ogórków? To może zademonstruję, jak to się robi: najpierw ci przysolę, a potem skopię dupę?

- Aleś ty drażliwy. - Robin, zupełnie niezrażony, przełknął kolejną porcję makaronu. - Jak to auphe, żadnego poczucia humoru.

Wstawałem już z krzesła, ale Niko chwycił mnie za koszulkę i pociągnął z powrotem.

- Bardzo to zabawne, panowie - powiedział łagodnie. - Ale przyszliśmy tu w pewnym określonym celu - dodał, gdy Robin zostawił pudełko i zdjął nogi z biurka. - Słuchaj, Filut, byłbym wdzięczny, gdybyś nie porównywał więcej mojego brata do tych demonów. Nigdy. Czy osiągnęliśmy konsensus w tej konkretnej sprawie?

Robin uniósł brew i spojrzał na mnie kpiąco.

- Karmisz go słownikami, czy co? Wykrzywiłem wargi w porozumiewawczym grymasie.

- Tak, Niko jest jak automat z zupą literkową. - Odchyliłem się na krzesło, wyciągnąłem nogi przed siebie i pogodziłem się z faktem, że puka nie da się ponaglić. A zatem należało się po

prostu odprężyć i spokojnie czekać, aż środek przeciwwymiotny zacznie działać. - No, to gadaj, Loman. Dowiedziałeś się czegoś?

Zadziorny grymas zniknął z twarzy Robina. Mężczyzna wrzucił pałeczki do pudełka i odstawił je na biurko.

- Niezupełnie - przyznał. - Ale namierzyłem kogoś, kto może wam pomóc. Jednego trolla.

- Trolle? - powtórzył Niko. - Czy one znają się jakoś szczególnie na auphe?

Robin zacisnął pogardliwie usta.

- Trolle znają się na różnych rzeczach, przeważnie nieprzyjemnych. A czy ten konkretny postanowi podzielić się z nami swoją wiedzą, to już inna historia. - Potem twarz mu się rozjaśniła i dodał chytrze. - Ale wy, szczeniaki, wyglądacie tak, jakbyście potrafili zjednywać do siebie ludzi. Pewnie przez te otwarte, przyjazne twarze.

- Tak, najprawdopodobniej. - Uśmiech Nika był jak sopel wbity prosto w serce.

- Po prostu lubimy dzielić się radością ze wszystkimi wokół. - Wstałem i klepnałem się w udo. - To gdzie ten troll? Siedzi pod mostem Brooklyńskim?

Robin uśmiechnął się jak kot z Cheshire.

- Trafiony, zatopiony.

- O cholera, naprawdę? - Po namyśle doszedłem do wniosku, że nie był to wcale taki niedorzeczny pomysł. Baśnie musiały mieć w sobie jakieś ziarenko prawdy.

Niestety, nie wspomniały ani słowem o obrzydliwym zapachu. Stojąc w cieniu mostu, na samym brzegu rzeki, pochyliłem się gwałtownie, opierając ręce na kolanach, i z całych sił starałem się nie zwymiotować obiadu prosto na buty. Smród trolla unosił się wszędzie, wdzierał się do płuc i odbierał oddech. Gęsty jak melasa, nasączał każdą cząsteczkę tlenu straszliwym odorem rozkładu.

- Jezu, czy wy tego nie czujecie? - wydyszałem z trudem.

Niko położył mi rękę na plecach.

- Nie czuję niczego oprócz rzeki, chociaż ona też nie pachnie fiołkami.

-Auphe mają bardzo wrażliwe... - zaczął Robin, ale Niko zmiażdżył go spojrzeniem. Puk odkaszlnął i przykucnął przede mną. - Dasz sobie radę, młody?

Spiorunowałem go wzrokiem.

- Dam. - Zakaszlałem jeszcze kilka razy, a potem odetchnąłem przez usta. Pomogło, choć niewiele. Wyprostowałem się i przetarłem twarz ręką. Oddychanie jest przereklamowane. -W porządku, chodźmy.

Robin poszedł za mną i skrzywił się, gdy woda dosięgła jego nieskazitelnych mokasynów.

- Obrzydliwa ta rzeka.

Był ubrany w czarne garniturowe spodnie, wyglansowane buty i ciemnozieloną koszulę - prawdopodobnie uszytą z czystego jedwabiu - nie był przygotowany na turystykę ekstremalną. Niko... w długim czarnym płaszczu i ja - w granatowej koszulce i znoszonych spodniach dresowych wyglądaliśmy jak jego całkowite przeciwieństwo.

- Nie sądzisz, że lepiej byłoby założyć jakieś sportowe ciuchy? - spytałem zgryźliwie. Robin spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz? To przecież moje sportowe ciuchy!

- Czemu wcale mnie to nie dziwi? - Westchnąłem i minąłem go szybkim krokiem, słuchając jak błoto mlaska mi pod stopami. - A zatem gdzie ten twój kumpel? Gdzie jest postrach Koziołka Billy'ego?

- To nie jest mój kumpel. Nie daj się zwieść pozorom. Nie jest moim wrogiem, ale to chyba najlepsze, co można o nim powiedzieć. Trolle są jak burze. Przypominają siły natury - *zabójcze*, potężne i zupełnie pozbawione sumienia. Jeśli o tym zapomnisz, zginiesz w mgnieniu oka. - Jeszcze nie słyszałem, żeby Filut był tak poważny.

- Oczywiście zakładając, że smród nie wykończy mnie wcześniej - burknąłem, brnąc naprzód. Słońce już dawno zaszło, ale w światłach mostu widać było wszystko wyraźnie. W tej chwili nie było jednak na co patrzeć, nie licząc mulistej wody i szarego betonu. - Gdzie on jest? - powtórzyłem. - Strasznie duży most jak dla jednego trolla.

- Bardzo trafna ocena. - Niko bezgłośnie stanął za mną. Zdawał się przemykać po błocie jak na łyżwach. - Ten troll może być wszędzie.

Robin potrząsnął głową.

- Może i może, ale nie jest. Abbagor lubi wędrować po przesłach, ale musi mieć też kryjówkę. Miejsce, gdzie mógłby trzymać... resztki. Jest jeszcze wcześniej, więc będzie tam siedział. - Robin przyspieszył i wyprzedził nas, prowadząc wokół najbliższego filaru do zardzewiałej kraty osadzonej w betonie. Przypominała te dziury, nad którymi baliśmy się przechodzić jako dzieci, bo wiedzieliśmy - po prostu byliśmy pewni, że jeśli tam wpadniemy, to runiemy aż do wnętrza ziemi i nie wydostaniemy się stamtąd już nigdy.

- Tam? - Aż jęknąłem, widząc jego potakujący gest. - Super. Po prostu, kurna, świetnie. - Kopnąłem w kratę, aż rdza uniosła się wokół. - Hej, tam! Otwierać, akwizytorzy przyszli.

- Jesteś ucieleśnieniem subtelności. - Robin potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Tak, to nie jest jego najmocniejsza strona. - Niko odsunął moją stopę na bok i szarpnął oburącz kratę, aż rozległ się straszliwy zgrzyt. - Kto chce pierwszy wkroczyć w paszczę piekieł?

Nie zwracając uwagi na jego kpiący ton, przykucnąłem, a potem skoczyłem stopami naprzód. Nie doleciałem do wnętrza ziemi, ale wysokość była na tyle duża, że przez całe nogi przebiegł mi nieprzyjemny skurcz. Wyjąłem z kieszeni małą latarkę i poświeciłem wokół. Osłaniając ją ręką, by przyzwyczaić oczy do mroku, zawołałem w górę:

- Wchodźcie! Woda nie jest zimna! - Zdławiłem odruch wymiotny, czując silniejszą falę trollowego odoru. - Cuchnąca jak diabli, ale nie zimna.

Niko wylądował obok, zwinnie niczym kot. Robin zeskoczył zaraz za nim, prawie równie zręcznie jak mój brat. W ciągu tych paru tysięcy lat zdołał się pewnie sporo nauczyć. Jednak zdecydowanie nie zachowywał się równie cicho jak Nik.

- Brud, rozkład, syf. Abbagorze, ty plugawa bestio, mieszkasz jak świnia w chlewie. Ta koszula jest z jedwabiu! W życiu jej nie dopiorę.

Słuchając jego narzekań, omiotłem pieczarę wiązką światła. Betonowe ściany były pokryte grubą warstwą zielonego śluzu, najwyraźniej pleśni lub grzybów. Nie wiedziałem, co zalegało na podłodze, ale staliśmy prawie do połowy łydki w lodowatym błocie.

- Niezłą garsonierę ma twój kumpel Abby - stwierdziłem. - Ciekawe, ile płaci czynszu?

- Wygląda to na starą komorę konserwacyjną - dodał Niko. Wziął ode mnie latarkę i poświecił w kąt. - Ach, tam jest tunel. Mam wrażenie, że nie został wykonany przez człowieka.

Nie wykonany przez człowieka? Tylko dlatego, że beton wyglądał, jakby ktoś wydzierał go po kawałku pazurami pozostawiającymi szerokie na cal bruzdy? Nie popadajmy w przesadę.

- To drzwi wejściowe - oznajmił Robin i ruszył w tamtą stronę. Błoto sprawiało, że każdy krok wyglądał groteskowo, jak element dziecięcej zabawy.

- Uporajmy się z tym szybko, żebyśmy mógł już spalić te ciuchy, a potem siedzieć pod prysznicem przez godzinę. - Spojrzał przez ramię z lubieżnym uśmiechem. - W domu mam bardzo duży prysznic. Może ktoś się przyłączy?

- Ta przygoda robi się coraz ciekawsza - syknąłem, czując jak błoto ochlapuje mi nogi i prawie ściąga buty z nóg. - Nik, może dziabniesz mnie w oko jakimś ostrym patykiem do kompletu?

-Brzmi dobrze, ale może później. - Niko wyprzedził mnie zupełnie bez wysiłku. Zobaczyłem, że zrzucił buty i idzie boso. Pomysł wyglądał na niezły, więc zatrzymałem się na chwilę, by zdjąć trampki i rzucić je na bok. Nie poruszałem się równie cicho jak mój brat - błoto chlupotało mi między palcami - ale i tak czułem pewną poprawę.

Powietrze w jaskini, choć przesycone zapachem trolla, wciąż zachowało wszystkie cechy nowojorskiego - było niewytłumaczalnie ciepłe i wilgotne jak na tę porę roku i mocno zanieczyszczone, ale wciąż była to jednak ta sama mieszanka, którą oddychałem każdego dnia. Wszystko to uległo gwałtownej zmianie, gdy minęliśmy frontowe, wykonane przez trolla wejście. Każda odrobina ciepła została natychmiast wyssana, a wraz z nią zamarł wszelki ruch. Atmosfera stała się ciężka jak kamień, zimna jak metalowa szuflada w kostnicy i martwa jak leżący w niej trup. Z trudem przeciskała się po kawałku przez tchawicę i osiadała w płucach jak grudki ołowiu. Nawet zapach jakby zelżał - w końcu, by zapach się rozchodził, konieczny jest ruch powietrza, prawda? Tutaj panował całkowity bezruch. Nawet cząsteczki powietrza zdawały się zastygać, nic nie miało odwagi się poruszyć, by nie przyciągnąć czyjejs uwagi.

Zabójczej uwagi.

- Abbagor! - wrzasnąłem, a mój głos ucichł w oddali jako zniekształcone wycie. Ja nie miałem problemu z przyciąganiem uwagi. W końcu po to tu przyszliśmy. A szczerze mówiąc, wołałem mieć Abbagora przed sobą, gdzie mogłem go dobrze widzieć, niż przyczajonego w ciemnościach, obserwującego nas pustymi, bezdusznymi oczami. Skąd wiedziałem, że były bezduszne? Nie miałem pojęcia. Ale wiedziałem. A gdy ręka Nika wynurzyła się z ciemności, złapała mnie za ramię i przyciągnęła bliżej, zdałem sobie sprawę, że on też to wie. Niko zawsze mnie bronił, ale wiedział, że większości przypadków potrafię o siebie zadbać. To nie wyglądało jak większość przypadków.

- Nic, kuma, nie widzę - mruknął Robin. W jego głosie słychać było napięcie - najwyraźniej nie zełgał, gdy twierdził, że troll nie jest jego kumplem. - Abbagor, nie mamy całej nocy. Chcemy pogadać. Możesz się zlitować nad niższymi stworzeniami i rzucić trochę światła na tę sytuację?

- Boisz się ciemności, mały koziołku? - spytał z góry lodowaty głos. - Możesz być pewien, że ciemność nie boi się ciebie.

- Abbagor, chłopie, daj spokój - jęknął Robin, wprawnie wchodząc w rolę sprzedawcy. - Pomóż mi, przez wzgląd na stare czasy, a zaraz pozbędziesz się nas ze swoich włosów. Daję ci słowo.

- Stare czasy. Stęchłe i zapleśniałe. Czasy się zmieniają, Filut, a ty ciągle jesteś taki sam. Wrzód, którego nie da się przeciąć. -W głosie zabrzmiało rozbawienie, ale było to poczucie humoru tłustego pajaka skulonego w swojej sieci, mającego do dyspozycji nieograniczoną ilość czasu. - Gdybyś tylko stanął na chwilę bez ruchu, mógłbym temu zaradzić.

Mimo tych nieprzychylnych słów wyglądało na to, że jednak zamierzał spełnić prośbę Robina. Z wolna otoczyło nas światło. Miało kolor chorobliwej zieleni i najwyraźniej rzucała je szczególnie obrzydliwa pleśń porastająca ściany jak nieprzebrana masa chciwych palców. Ta słaba iluminacja wystarczyła, by dostrzec zarys sufitu, który wznosił się na wysokości prawie trzech pięter nad naszymi głowami. Musieliśmy znaleźć się pod jedną z wieżyczek. Abbagor urządził sobie przestronne legowisko. Przystąpiłem z nogi na nogę, odrobinę bardziej zapadając się przy tym w błoto i potoczyłem po pieczarze zmęczonym wzrokiem. Troll zdawał się bardzo rozmowny, ale gdzież on, do cholery, był?

- Abbagorze, Abbagorze. - Robin cmoknął językiem z wyćwiczoną nonszalancją. Był tak przekonujący, że prawie uwierzyłem w tę pozę, gdyby nie ściągnięta skóra w okolicy oczu. -Czyżbyś miał do mnie żal, że nie trafiłem do ciebie przez te wszystkie lata?

- Nie trafiłeś? - spytał głos z namysłem. - Ciekawe słowo. Tyle różnych znaczeń. To prawda, nie trafiłeś. Ale może w takim razie to ja do ciebie trafię? - W najgłębszym cieniu ponad naszymi głowami dostrzegliśmy jakiś nieznaczący ruch. - Może z wiekiem straciłeś sprawność, koziołku. Ale zapewniam cię, że ja bynajmniej.

I wtedy Abbagor objawił się w całej okazałości.

Myliłem się, sądząc, że troll będzie miał bezduszne spojrzenie węża z rajskiego ogrodu. Do tego potrzeba oczu, a on ich nie miał. Jednak i tak byłem przekonany że doskonale nas widzi - od lśniącej powierzchni naszych własnych oczu, aż po puls drgający na szyi - z całą drapieżną ostrością.

Ja pierdolę.

Nie byłem pewien, czy powiedziałem to głośno, ale w każdej chwili mogłem się pod tym podpisać. Abbagor zasługiwał na „ja pierdolę” i całe mnóstwo innych wykrzykników.

Zstąpił z góry niczym obłok morowego powietrza. Grube, ciemne wici utrzymywały go w górze, prawie dziesięć stóp nad naszymi głowami. Nie była to wystarczająca odległość. Jeszcze nigdy nie widziałem trolla i nie miałem pojęcia, jak wyglądają, ale ten nie przypominał niczego, co mógłbym sobie wyobrazić wcześniej. Abbagor był z grubsza człekokształtny, miał szerokie barki, potężne ręce i nogi. Żaden problem, z tym mogłem żyć. Pod tym względem przypominał setki innych potworów. Różnica polegała na tym, że zdawał się składać z płataniny ścięgien i wici, splątanych ze sobą. Wyglądał jak masa ożywionych pnączy, które przybrały kształt człowieka i żyły własnym, drgającym, obrzydliwym życiem.

- Nie pamiętam, żeby pisali o tym w tej twojej książce o mitologii - mruknąłem do Nika przez zęby.

- Oczywiście do tego trzeba by założyć, że rzeczywiście ją przeczytałeś, braciszku. To bardzo optymistyczne założenie. - Niko wciąż stał z pustymi rękami, rozluźnionymi ramionami, a w jego głosie nie było słychać ani śladu napięcia. Patrząc, jak

spogląda w górę z lekkim zaciekawieniem, można by pomyśleć, że właśnie siedzi sobie spokojnie w planetarium. Wielki Wóz, powiadasz? Interesujące. I gdyby nie to, że jakimś cudem, nie robiąc żadnego widocznego mchu, zdołał osłonić mnie ramieniem, może nawet bym w to uwierzył.

Robin udał, że salutuje, przywołując na usta szeroki, sztuczny uśmiech.

- Witaj, Abbagorze. Dobrze wyglądasz. Chodziłeś na siłownię? Bo wydajesz się jakiś... - Przełknął ślinę. - Większy niż pamiętam.

„Większy” nie oddawało istoty rzeczy. Gdyby troll stanął na ziemi, miałby przynajmniej dziewięć stóp wzrostu i prawie tyle samo szerokości. Ale wiecie, co mówi znane powiedzenie: rozmiar to nie wszystko. Tyle że ludzie go używający dzielą się na dwie kategorie: faceci z małym i ludzie, którzy nigdy nie widzieli trolla, który spokojnie mógłby połknąć całe New Jersey.

„Okej. Abbagor jest duży, ale Bobok także, a przecież spuszcza mu regularne manto”, powiedziałem sobie w duchu. „Weź się w garść, zmień spodnie i bierz się do roboty”.

- To prawda, jest wielki. - Wymownie szturchnąłem Robina w żebra. - Chłop jak dąb. Bracia Grimm na sterydach. Możemy kontynuować?

Wielka głowa ozdobiona spiczastymi nietoperzowymi uszami zwróciła się w moją stronę.

- Szczenie auphe. - Wąska szpara, która służyła trollowi za usta, rozwarła się nagle jak u pytona zamierzającego połknąć świnie. - Chyba źle wybierasz zwierzątka domowe, Filut. Auphe zawsze kasała rękę, która je karmi. - Abbagor zniżył się bardziej, by przypatrzeć mi się uważniej. - Do tego chyba zgubił obrozę. Niegrzeczny maluch.

Dość tego. Za chwilę jeszcze poradzi, żeby mnie wykastrować dla poprawy zachowania. Robin zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest napięta, i szybko wtrącił się, zanim zdążyłem powiedzieć coś głupiego albo zaczepnego. Prawdopodobnie byłoby to

i jedno, i drugie. Mój mózg komunikował się z ustami tylko okazjonalnie i nie miał wielkiego wpływu na ich zachowanie.

- Kaliban nie jest auphe - zaprzeczył szybko puk. - A w każdym razie nie całkiem. Ale nie po to przyszliśmy. Szczerze mówiąc, mieliśmy nadzieję, że potrafisz opowiedzieć nam coś o auphe. Żyjesz na tym świecie dłużej niż ja, prawie tyle co one. Jeśli ktoś może coś o nich wiedzieć, to tylko ty.

- Wątpliwa pochwała od znanego krętacza. - Abbagor zeskokczył na ziemię i mimo grubej warstwy błota poczułem jak ziemia zadrżała. Włókna, które utrzymywały go w powietrzu, owinęły się teraz wokół jego ciała, wijąc się i pełzając, aż znalazły sobie wygodne miejsce. Pomyślałem, że już chyba nigdy nie tknę spaghetti. - Dlaczego w ogóle obchodzą cię auphe? Już niemal odeszły z tego świata, choć były bardzo zabawne.

Jasne, nie ma nic zabawniejszego niż morderczy maniacy. To lepsze niż kablówka.

- Tak, zupełnie jak dodo. Na pewno wszystkim będzie ich brakowało. - Przesunąłem się, by stanąć bliżej Nika. Ignorując jego kose spojrzenie, ciągnąłem dalej. - To nie znaczy, że nie mogę się pozastanawiać, do czego w ogóle byłem im potrzebny.

Ponieważ, niezależnie od wszystkiego, ten fakt nie ulegał wątpliwości. Zostałem wykonany na zamówienie. Nie spłodzono mnie z miłości. Nie byłem efektem wpadki dwojga napalonych nastolatków używających dziurawego kondoma. Przyszedłem na świat jako owoc eksperymentu, w wyniku chłodnej kalkulacji. Nie mogłem tego zmienić, ale chciałem się przynajmniej dowiedzieć, co za tym stało, choćby po to, by lepiej chronić Nika i siebie.

Wielka głowa skinęła na Robina.

- Nauczyłeś je mówić. Zdumiewające. Dostanie teraz nagrodę? Filut rozłożył błagalnie ręce, choć nie byłem pewien, czy mówi bardziej do trolla, czy do mnie.

- Abbagorze, daj spokój - powiedział pojednawczo. - Czas nas goni i chociaż bardzo odpowiada nam bycie obiektem twoich

szyderstw, a impreza jest fantastyczna, chcielibyśmy w miarę możliwości wrócić do tematu. Da się to zrobić?

Tylko puk mógł wygłosić błagalną prośbę tonem sarkastycznego żądania. Co dziwniejsze, Abbagor najwyraźniej na to przyzwalał. Może zmęczyła go obecność Robina, a może prowokowanie nas po kolei, ale powietrze wokół wypełnił nagle dźwięk przypominający ostatnie tchnienie umierającego. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że był to odpowiednik westchnienia jadowitego węża.

- Niech ci będzie. A zatem - auphe. Były tu od zarania dziejów, może nawet wcześniej. Są tak stare jak słońce na niebie może nawet jak samo niebo. Rządziły tym światem, jeszcze nim ludzie wypełnili go swoim smrodem. - Czarne nozdrza rozděły się pogardliwie. Przyganiał kocioł garnkowi. - Jednak z upływem lat ich żelazny uścisk stał się raczej podobny do słabego chwytu dziecka. Stały się zbyt zadowolone z siebie, zbyt zadufane, a gdy się zorientowały, było już za późno. Ludzie rozmnożyli się ponad miarę. Auphe były zbyt nieliczne, by stawić im czoła. A nawet najczystsza, najbardziej kreatywna przemoc musi ulec tłumowi nudziarzy, jeśli jest ich dostatecznie wielu.

-Punkt dla nudziarzy - szepnąłem do Nika półgębkiem. W odpowiedzi usłyszałem tylko ciche, niemal bezgłośnie parsknięcie. Komentarz Robina był znacznie bardziej rzeczowy - jego dłoń zamknęła się na moim przedramieniu i ścisnęła ostrzegawczo. Już miałem ją strząsnąć, gdy dostrzegłem krople potu nad jego górną wargą i mocno zaciśniętą szczękę. Już wcześniej przestrzegali mnie, że z Abbagorem nie ma żartów, i najwyraźniej nie zmienił zdania. Niechętnie przyznałem, że może rzeczywiście powinienem się zachowywać... Jednak w tej samej chwili Abbagor spojrzał prosto na mnie.

- A teraz potomkowie pierwszej dynastii świata postanowili sprowadzić na świat ciebie. - Nagle desperacko zapragnąłem by ten twór miał oczy. Bycie skrupulatnie obserwowanym przez ślepa twarz było straszliwie niepokojące. Troll ciągnął dalej ale

przez chwilę coś poruszało się na jego podbrzuszu. Było to tylko nieznaczne drgnięcie, jednak zaskoczyło mnie tak, że prawie przegapiłem jego następne słowa. - To prawdziwa ciekawostka.

Prawie, ale niezupełnie. Moje postanowienie, by uważać na słowa, uleciało przez okno.

- „Ciekawostka” to dobre słowo - wycodziłem. - Gdybym nie był aż tak ciekawy, nie musielibyśmy tu stać, marynując się w twoim smrodzie. Jeśli masz coś wartościowego do dodania, Abby, to teraz jest dobry moment.

Robin jęknął głucho za moimi plecami. Abbagor jednak nie wydawał się urażony. Jego uśmiech, jeśli można by to tak nazwać, poszerzył się jeszcze bardziej.

- Ponury, zawzięty, pełen złości. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Czuję powiew nostalgii.

Gniazdo wici na jego brzuchu kłębiło się nieustannie, od czasu do czasu odsłaniając coś bladego pomiędzy pasemkami szarości.

- Kumpłowaliście się z auphe, co? - spytałem, nie mogąc oderwać wzroku. Co to mogło być?

- Nie, nie były mi przyjaciółmi. Były czymś znacznie zabawniejszym.

To była ręka. Jasny gwint, to była ludzka ręka. I cały czas się poruszała, zaciskając i rozwierając palce. Poczulem, że żołądek przewraca mi się w środku.

- Zabawniejszym? - powtórzył Niko. Wiedziałem, że też to zobaczył, niemożliwe, by przegapił coś takiego. Ale jego łagodny głos nie zdradzał niczego. - A zatem przypuszczam, że byliście wrogami?

- A cóż może być zabawniejszego? - Ręka zaczęła gładzić ciemnoszare ciało. Abbagor nie zwrócił na to większej uwagi niż Niko. - Nie były zbyt inteligentne, ale nadrabiały to ślepą furją. Nie zaprzeczę - nasze starcia sprawiały mi wielką przyjemność. Jednak te dni już dawno minęły. Zostało ich zbyt mało. Unikają mnie. Jakie to samolubne z ich strony.

Wtedy coś powiedziałem - z pewnością był to jakiś kąśliwy komentarz, ale nie zarejestrowałem jego treści nawet w mózgu, nie mówiąc już o uszach. Koncentracja na wypowiedzanych słowach trochę mnie przerastała, ponieważ w tej samej chwili zauważyłem, że rękę zdobi tatuaż. Był to niewielki obrazek -miniaturowa czerwona róża pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, a pod nią imię „Lucy”. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale dowodziło, że to żywa ludzka ręka. Co robiła w ciele Abbagora - tego mogłem się tylko domyślać, ale jakoś nie miałem ochoty. W tej chwili marzyłem tylko o tym, by nigdy tego nie zobaczyć, nie musieć się zastanawiać, co to za uczucie - być uwięzionym w ciele trolla.

Ręka poruszała się dalej, a Abbagor pochylił się nade mną. Cokolwiek powiedziałem, najwyraźniej nie było to godne żadnego komentarza, bo wrócił do tematu.

- Cokolwiek próbowały osiągnąć auphe, można być pewnym, że mógł to być tylko jakiś manewr, który pozwoli im powrócić do dawnej świetności. To ich jedyne marzenie. A skoro cię stworzyły, małe auphiatko, to najwyraźniej jesteś środkiem do tego celu. - Z jego ciała wynurzyło się więcej rąk, napiął mięśnie, zacisnął pięści. - Ciekawe, co by zrobiły, gdybym cię tak od-stwo-rzył.

Abby znów miał ochotę pobawić się z grendelami i chyba właśnie zamierzał przerobić mnie na zaproszenie do zabawy. Wypisać jego treść na moich wnętrznościach. Niko jednak przygotował już własną odpowiedź, dobywając miecza spod płaszcza.

- Na twoim miejscu, przemyślałbym to dobrze, trollu. - Leniwie zakreślił ostrzem. - Albo poprzycinamy trochę gałęzie.

Troll miał dość członków, by zapewnić ogrodnikowi pracę na cały miesiąc. Cofnąłem się o krok, spychając Filuta za siebie.

- Uciekaj - powiedziałem spokojnie.

Robin nie uciekł. Popchnięty zatoczył się i prawie upadł, ale odzyskał równowagę.

- Abbagorze, zaczekaj - powiedział z desperacją. - Przyszliśmy poprosić cię o pomoc. To nie jest żadna gra.

- Całe nasze życie to gra, Koziółku. Stare czasy tego nie zmieniają. - Wiązka drobnych macek wystrzeliła błyskawicznie naprzód i chwyciła mnie za prawe ramię. - A najlepsze gry to takie, które kończą się fontanną krwi. - Ostatnie słowa jeszcze odbijały się wokół echem, gdy poczułem, że coś zwała mnie z nóg i ciągnie poprzez błoto. Jednak za chwilę zdołałem się uwolnić, gdyż Niko ciął wici mieczem; jednym płynnym ruchem rozciął je jak tanie papierowe serpentyny. Ciemnofioletowa krew, która opryskała mi skórę, paliła jak kwas. Odpełzłem na czworakach, klnąc pod nosem.

- No dobra, patafianie - warknąłem. - Teraz skończymy to, co zaczął Koziółek Billy. - Zrywając się na nogi, dobyłem noża. Był krótszy niż miecz Nika, ale równie ostry. - Loman, masz ostatnią szansę, żeby wynieść się stąd w cholerę.

Błysk, który uchwyciłem kątem oka, okazał się pochodzić z miecza Robina. Skąd go wytrzasnął, to mogli wiedzieć tylko najlepsi iluzjoniści.

- Toczyłem już walki trwające dłużej niż całe twoje życie - odparł ponuro Filut i zważył broń w ręce. - Troszcz się o siebie, Kalibanie, bo ja potrafię zadbać o swoją skórę.

Dobrze wiedzieć, bo wyglądało na to, że w tej walce diabli wezmą najsłabszych zawodników, a moim prywatnym zdaniem diabeł nawet nie umywał się do Abbagora.

- Pozwól nam stąd wyjść, trollu. - Pokerowa twarz Nika nie drgnęła ani na milimetr, ale w jego oczach mignął drapieżny błysk. - Jeszcze masz szansę. Oczywiście, chętnie posiekalibyśmy cię na fioletową miazgę, ale nie mamy czasu. Na pewno to rozumiesz.

- Jakież byłby ze mnie gospodarz, gdybym pozwolił wam odejść, nie zapewniając choć odrobiny rozrywki? - Abbagor skoczył w górę i uczepił się betonowej ściany, kompletnie ignorując siłę grawitacji. Zwisając głową w dół, obdarzył nas

szerokim uśmiechem pytona. - A cóż może być lepszą rozrywką niż samo rozrywanie? - A potem runął na nas jak kamienna lawina.

I rzeczywiście poczułem się, jakby przygniótł mnie spadający głaz. Miałem szczęście - cios tylko prześlizgnął się po mnie, a i tak poleciałem w tył, aż wpadłem na przeciwległą ścianę. Uderzyłem o beton lewym barkiem i biodrem, a potem wylądowałem ciężko na brzuchu. Błoto trysnęło mi w twarz i zagryzłem zęby, żeby nie jęknąć. Biodro bolało wściekle, a ramię paliło ogniem, może było wybite. Uniosłem się na nieuszkodzonym łokciu i powoli zmusiłem drugi, by przybrał tę samą pozycję. A zatem nie jest wybite, tylko naciągnięte albo mocno stłuczone. Bez znaczenia. To, co się działo, sprawiło, że zapomniałem

o wszelkim bólu.

Robin leżał na wpeł zakopany w błocie, a na jego plecach spoczywała olbrzymia stopa. Twarz miał całkiem zanurzoną

i widziałem, że miota się gorączkowo, próbując złapać oddech. Niko... Niko zwisał z ogromnej pięści trolla. Inne ręce, wytatuowane i nie, chwyciły go na oślep, próbując unieruchomić jego nogi, a on zadawał kopniaki z desperacką siłą. Twarz siniała mu powoli, choć szarpał stalowoszare włókna oplatające mu szyję. Abbagor musiał wylądować dokładnie na nim i prawie go zmiażdżył. Tylko w ten sposób Niko mógł stracić swój miecz. A bez miecza mógł utracić życie.

Ściskając nóż w dłoni, skoczyłem na równe nogi. Lewe kolano ugięło się pode mną, ale wytrzymało parę metrów szybkiego biegu. Domyślałem się, że pewnie boli jak diabli i może później będę mógł sobie pozwolić na luksus zauważenia tego. Ale jeszcze nie teraz, nie w tej chwili, gdy mój brat jest duszony na śmierć. Po kilku krokach noga się uspokoiła i mogłem przyspieszyć. Nim dotarłem do Abbagora, padłem jeszcze raz na ziemię, przetoczyłem się i chwyciłem miecz Nika.

- Niko! - Cisnąłem broń, wiedziony niezachwianą wiarą, że on ją złapie.

Niezachwiana wiara nie przeszkodziła mi zmówić w duchu krótkiej modlitwy. Gdy tylko zobaczyłem, że jego dłoń zaciska się na rękojeści, odwróciłem się i wbiłem nóż w nogę trolla - tę samą, która wciskał Robina w płytki grób.

- Niegrzeczny, niegrzeczny. - Noga nie drgnęła ani o milimetr, choć z rany pociekła ciemna krew. Wcale go to nie obeszło. Ale gdy miecz Nika wbił się w szarą pulsującą szyję, potwór nagle zmienił zdanie. Abbagor zatoczył się i cofnął o krok, a potem kolejny. Gdy tylko puścił Robina, puk wynurzył się z błota, plując szlamem i dysząc żądzą zemsty. Zamachnął się mieczem, raniąc trolla w muskularne udo. Krew trysnęła na półtora metra, a Niko runął na ziemię i wyładował obok Robina. Chwyciłem go za poję płaszcza, gdy chwiał się, próbując złapać oddech. Jego twarz powoli odzyskiwała naturalny kolor.

- Wszystko w porządku? - spytałem ostro. Niko dyszał ciężko, a z warkocza wyplątał mu się samotny kosmyk włosów. Nie widziałem, by kiedykolwiek wyglądał równie niechlujnie, chyba że tamtego wieczoru, gdy Meredith zdołała go dopaść w kanciapie na zapleczu. - Niko?

- Nic mi nie jest. - Wyprostował plecy, mówił spokojnie, choć ochryple. - Ale trochę się wkurzyłem. A ty?

Nie miałem czasu, by odpowiedzieć i zgrywać stoickiego bohatera, bo Abbagor splunął krwią i wydał bulgoczący ryk:

- Uciekaj myszko do dziury, bo cię dopadnie kot bury!

Choć jednak nie był to ryk, nie był to nawet warkot. To był śmiech. Ten gnojek doskonale się bawił. Był w swoim żywiole. Wytarł krew ściekającą mu po szyi i zlizął ją z palców, jakby to było najlepsze wino.

Robin nieświadomie powtórzył ten gest, ocierając skrzywioną twarz i jeszcze bardziej rozmazując błoto. Jego obrzydzenie natychmiast zmieniło się w rozpacz, gdy zobaczył, co zostało z jego ulubionej koszuli.

Choć był równie siny na twarzy jak Niko, to brak powietrza wcale nie przeszkodził mu w wydarciu się na Abbagora:

-Nigdy cię nie lubiłem, ty chodzący strzępku zgniłego kalmara! Mówiłem ci to już? Przyprawiasz mnie o drgawki, każdy cal twojego obrzydliwego, morderczego cielska budzi we mnie obrzydzenie. Mam ochotę rzygać tak długo, aż wnętrzności zaczną mnie błagać o litość. Na sam twój widok robi mi się...

Niko trącił ucho Robina i zasugerował stanowczo:

-Może lepiej oszczędzaj oddech do walki, Filut. Myślę, że bardzo ci się przyda.

- Bardzo słuszna porada jak na trupa. - Troll zeskoczył ze ściany, wywinął efektowne salto w powietrzu i wylądował za nami. Okręciłem się tak szybko, jak tylko mogłem w tym błocie. W tej samej chwili monstrualna dłoń chwyciła mnie za koszulkę i potrzęsła mną jak szmacianą lalką. Materiał rozdarł się i runąłem na ziemię. Gdy tylko wylądowałem, rzuciłem się szybko w bok, by umknąć przed ciosem, i wbiłem nóż aż po rękojeść w ramię Abbagora. Wici oplotły mi nadgarstek i musiałem szarpnąć z całej siły, by się od nich uwolnić. Nóż przepadł.

Niko natychmiast wbił się pomiędzy Abbagora i mnie, jednym ruchem odrąbując dwie ruchliwe dłonie. Wiedziałem, że nie należą już do ludzi - a w każdym razie ich właściciele nie byli już sobą - ale i tak poczułem atawistyczny dreszcz w kręgosłupie. Zaciskając pięści, leżały na ziemi, brocząc krwią nieokreślonego koloru - obrzydliwą mieszanką ludzkiej czerwieni i trollowego fioletu. Robin nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem - obszedł Abbagora wokół i wymierzył mu cios w plecy. Zdołał odciąć spory kawałek porośniętego wiciami mięsa, a w nagrodę dostał cios na odlew, który cisnął nim przez pół sali.

Abbagor wciąż się śmiał. Był to mroczny, triumfujący śmiech, wypełniał pieczarę huczącym dźwiękiem, niczym demoniczne dzwony. Miło wiedzieć, że ktoś się dobrze bawi. Uznałem, że pewnie poczułbym się lepiej, gdybym miał jakąś broń. Przyklękłem i podkasałem nogawkę spodni. Poczułem pod palcami chłodny metal, ale potem zamarłem, bo Niko nagle zniknął, na moich oczach.

Po prostu zniknął.

Setki, tysiące szarych wici otoczyło go jednocześnie, tworząc ciasny kokon, i wciągnęło do wnętrza Abbagora - wszystko to stało się szybciej, niż zdołałbym choćby mrugnąć. Po moim bracie nie pozostał żaden ślad, nie licząc miecza na wpół połkniętego przez otaczające nasze stopy bagno. Gardło paliło mnie od napływającej żółci i poczułem, że wszystko wokół traci ważność, wszystko prócz stojącego przede mną potwora.

- Nik? - To nie był mój głos. Tak cichy, ochrypli i pełen desperacji? Niemożliwe.

Nie pamiętam, jak wstałem z kolan. W jednej chwili klęczałem na ziemi, w następnej już odpychałem Robina z drogi. Puk chwycił mnie za ramię, próbując odciągnąć, chyba coś krzyczał. Prawdopodobnie „Już po nim”. Nie słyszałem za dobrze, ale jestem prawie pewien, że mówił: „Już po nim”. Doprawdy, Sher-locku? Doprawdy, kurwa?

Warknąłem bezgłośnie i uznałem, że czas, by Robin przysłużył się swojej drużynie. Bez namysłu chwyciłem go za koszulę i popchnąłem prosto na Abbagora. Wciąż miał do dyspozycji miecz i nie było wykluczone, że zdołała przeżyć jeszcze ze dwie sekundy, a tylko tyle potrzebowałem. Troll sięgnął długą łapą w stronę Filuta, tnąc powietrze zabójczymi szponami, gdy minąłem go w biegu, czując, że każdy oddech pali mi płuca. Znalazłem się tuż za jego plecami i skoczyłem w górę. Żadnych fikuśnych piruetów. Po prostu wskoczyłem mu na grzbiet i, używając macek jako uchwytów, wspiałem się na szyję. Przez ramię widziałem, że Robin walczy o życie za pomocą ostrza, które teraz było o połowę krótsze. Ale ciągle żył. Już dawno udowodnił, że jest twardszy niż się wydaje. Ale to wszystko było tylko muzyczką w tle. Szumem tła. W głowie miałem tylko jedną myśl, jeden cel. A chłodny metal w dłoni miał przybliżyć mnie do niego o krok.

Przycisnąłem lufę półautomatycznego SIG Sauera P226 do głowy Abbagora.

- Nie jestem tak staromodny jak mój brat - zachrypiałem. A potem opróżniłem cały magazynek.

Troll eksplodował. Nie dosłownie, ale takie właśnie miałem wrażenie. Konwulsyjne drgawki zrzuciły mnie z jego grzbietu. Przeturlałem się, kiedy tylko dotknąłem podłoża, i byłem już na nogach, gdy troll runął i cała jaskinia zadrżała jak podczas trzęsienia ziemi. Zmieniłem magazynek. „Nie ma to jak postęp, co nie?”, pomyślałem mściwie. Nacisnąłem spust i przytrzymałem, aż nastąpiła przydymiona, pachnąca prochem cisza. I w tej ciszy Abbagor przestał się ruszać. Boże, błogosław westerny i producentów broni.

Zatknąłem pistolet za pasek spodni i zacząłem oburącz odgarniać zwiotczałe macki. Po kilku sekundach znalazłem znajomy czarny płaszcz i poplamioną fioletem blond głowę. Zacerpnałem powietrza do obolałych płuc i szarpnąłem z całej siły. Z pomocą Robina wyciągnąłem Nika z wnętrza trolla. Jego twarz była tak blada, że niemal przezroczysta, oczy miał zamknięte. Oddech, który nigdy nie trafił do płuc, uciekł mi pomiędzy zaciśniętych warg.

- Niko? - spytałem. Zacisnąłem dłoń na jego koszulce. - Niko? Powoli otworzył oczy - przekrwione i bardziej niż trochę zirytowane.

- Czemu... to tak długo trwało?

Głowa mi opadła i oparłem się czołem o jego ramię.

- Ty sukinsynu. - Zaśmiałem się, drżąc z ulgi. Przynajmniej miał to być śmiech, ale nie wiem, czy dałem radę. - Ty cholerny sukinsynu.

Poczułem na twarzy jego rwany oddech.

- Gdzie troll?

Wyprostowałem się i ująłem go pod pachy, by pomóc mu usiąść.

- Leżysz na nim.

Niko zmarszczył brwi i spojrzał na bezwładną masę, w którą zmienił się Abbagor.

- Nie żyje?

- Nic podobnego - wtrącił się Robin, a jego głos zabrzmiał ostro jak tłuczone szkło. - Sugeruję, żeby zabierać stąd nasze zgrabne tyłeczki, póki jeszcze mamy szansę.

- Jeszcze żyje? - prychnąłem. - Ty chyba... Żartujesz?

Nie żartowałem. Abbagor wybrał sobie dokładnie ten moment, by lekko drgnąć. Nie puszczając ramienia Nika, podniosłem się i od razu rzuciłem się do biegu. Nie musiałem go podtrzymywać dłużej niż przez kilka sekund. Po chwili nadażał za mną już o własnych siłach. Filut następował nam na pięty, a potem minął nas, nie oglądając się za siebie. Nie miałem do niego żalu - w końcu ja postąpiłem z nim znacznie bardziej bezwzględnie. Niko zaprzeczał wprawdzie, jakobym był grendelem, ale Robin właśnie odkrył, że mam w sobie więcej z auphe, niż mój brat był gotów przyznać.

Za plecami usłyszałem znajomy szelest i zawodzący głos, dławiący się krwią i szarą materią.

- Auphiatko... Koziółku... Wracaaaaajcie... Chyba nie muszę dodawać, że go nie posłuchaliśmy.

Stojąc mi na ramionach, Niko zdołał jakoś wygrzebać się z tej cuchnącej dziury. Potem rzucił linę i wciągnął nas z Robinem. Skąd wiał linę? Oczywiście spod płaszcza - z tego samego miejsca, gdzie trzymał swoje liczne ostrza, osinowe kołki i shu-rikeny. W tym płaszczu ukryte było więcej sztuk broni niż w całym Teksasie.

A potem znaleźliśmy się na ulicy, żywi i wolni. Oczywiście ja nadal nie miałem koszulki, Niko był wymazany fioletową krwią, a Robin ustępował w kwestii higieny osobistej nawet kloszardom. W dodatku wszyscy wyglądaliśmy, jakbyśmy właśnie przegrali zapasy w błocie. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Byliśmy wolni.

Krzywiąc się z bólu, Niko wygładził płaszcz i potrząsnął głową.

- Nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele, ale dzięki za pomoc, Filut. Spojrzenie Robina było nieprzeniknione. Nie odpowiedział -

w milczeniu oddalał się od nas coraz bardziej. Jasne brwi Nika zbiegły się, tworząc literę V. Spojrzał na mnie pytająco.

- Daj mu odejść, Nik - powiedziałem cicho. Czyż nie był to szczęśliwy dzień w życiu puka? Nie codziennie ma się okazję ujść z życiem z ataku trolla i grendela. Najlepiej uznać to za niesamowicie szczęśliwy traf i ulotnić się z miasta, zanim coś innego spróbuje cię zabić. Znany i nieznany wróg są równie niebezpieczni. Robin był już dość stary, by to wiedzieć. A jeśli nawet o tym zapomniał, to przypomniałem mu to dość dosadnie. Tak, zachowałem się niezwykle humanitarnie.

A przecież nawet nie byłem człowiekiem.

To był całkiem zwykły, leniwy wieczór. Puszka piwa, wieczorna przekąska, siedzenie na kanapie w dresie i czysty relaks -nie zaznałem w życiu lepszych rzeczy. Apteczka pierwszej pomocy - to trochę psuło idyllę, ale przecież nie był to pierwszy raz, gdy okazała się niezbędna. Nie pierwszy i nie ostatni. Niestety - biorąc pod uwagę, jaki prowadziliśmy tryb życia, to całkowity brak obrażeń mógłby oznaczać tylko jedno: że już nie żyjemy. Należało ćwiczyć sztukę zen. Tym razem oberwał Niko, następnym razem mogę to być ja. Żeby nie upaść całkiem na duchu, przypomniałem sobie, że ja też potrafię skopać parę tyłków. Ale Niko miał lepszy refleks, był bardziej wyćwiczony, a jego chłodne opanowanie... No cóż. Ja zawsze uważałem, że chłód nadaje się tylko do utrzymywania właściwej temperatury piwa.

Łyknąłem rzeczonygo napoju, podczas gdy Niko, owinięty w pasie ręcznikiem, ostrożnie wycierał włosy. Zaczerwienienia na jego ramionach, szyi i plecach wyglądały na ostry stan zapalny i prawdopodobnie bolały jak diabli. Niewielkie wybroczyny na moim barku szczypały niemiłosiernie, a były przecież niczym w porównaniu z obrażeniami Nika.

- Zmyłeś całą krew? - zapytałem, podchodząc do zlewu, by umyć ręce mydłem antybakteryjnym.

Skinął głową, złożył ręcznik i położył go na krześle.

- Tak, jestem czysty.

- Jesteś pewien? - naciskałem. - To paskudztwo jest jak kwas. Tubka kremu na oparzenia odkręciła się lekko. Potem wyjąłem paczuszkę wyjałowionych rękawiczek, wycisnąłem maść na

wewnętrzną stronę opakowania, po czym nałożyłem rękawice, jednocześnie rozprowadzając po nich masę. Prosta sztuczka pozwalająca zaoszczędzić czas.

- Zaufaj mi, Kai. Byłem bardzo skrupulatny, jakkolwiek nieprzyjemny był to proces.

Nik usiadł na krześle, pochylając się i opierając dłonie na kolanach. Słowo „nieprzyjemny” w jego ustach stanowiło synonim na „potwornie bolesne”, choć, oczywiście, nie sposób się było tego domyślić, patrząc, jak siedzi spokojnie, z obojętną miną, nieruchomy jak posąg.

Nabrałem trochę maści dłonią i rozsmarowałem na oparzeniach pokrywających plecy Nika. Zrobiłem to najdelikatniej jak tylko mogłem, ale i tak poczułem, że napina mięśnie. Jego głos zabrzmiał jednak spokojnie, gdy spytał:

- Wyrzuciłeś moje ubrania?

- Włożyłem do torby i wrzuciłem do pieca - potwierdziłem. Gdy Niko został wchłonięty przez Abbagora, musiał przypadkiem znaleźć się obok pękniętej macki, czy co tam uchodziło u trolla za naczynia krwionośne. Fioletowa posoka przemoczyła jego płaszcz i koszulkę, parząc osłoniętą nimi skórę. To musiało straszliwie boleć, a jednak podejrzewałem, że wcale nie była to najgorsza część bycia pożartym przez Abbagora. Jednak opowieści o tym fascynującym wydarzeniu musiały zaczekać. Chciałem najpierw uleczyć wszystko na zewnątrz, nim zabiorę się do wnętrza.

Gdy skończyłem już nakładać krem na plecy, ramiona i szyję, owinąłem najgorsze oparzenia cienkim bandażem.

- W porządku. Teraz prawdziwy z ciebie brat łąta. - Uśmiechnąłem się słabo, patrząc na białe opatrunki, wyraźnie odcinające się od oliwkowej skóry. Ja odziedziczyłem cerę po ojcu, ale Niko wdał się w Sophię. Gdyby nie kolor oczu, nikt chyba nie wziąłby nas za braci.

- Brawo. Mógłbyś zakasować samą Florence Nightingale. - Niko wyprostował się i wtedy jego oliwkowa cera przybrała

białawo-zielonkawy kolor. Mógł trzymać swoje rysy pod kontrolą, ale nawet on nie panował nad kolorem własnej skóry.

Zdjąłem rękawiczki i rzuciłem je na stół, po czym sięgnąłem po fiolkę tabletek, którą wcześniej wyjąłem z apteczki. Wysypałem dwie na dłoń i podałem bratu.

- Weź to. Przyniosę ci wody.

Niko zachnął się odruchowo. Oczywiście spodziewałem się takiej reakcji. Mój brat był pod tym względem bardzo przewidywalny. Żadnego alkoholu, żadnych leków, niczego, co mogłoby przytępić zmysły. Nie brał nawet proszków przeciwbólowych, nieważne jak parszywie się czuł.

- Nie ma problemu - odparłem gładko. - Jeśli grendele przyjdą do nas dziś w nocy, możesz na nie narzygać. - Z rozmachem położyłem pigułki na stole. - Dupek żołądny. Cierp sobie, jeśli taką masz fantazję.

Niko zacisnął wargi.

- Nie jestem pewien, czy Florence Nightingale używała takich sformułowań. Ale rozumiem twoje stanowisko. - Sięgnął po jedną z pigulek i spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. - Zawrzemy kompromis?

Wiedziałem, kiedy należy odpuścić.

- Niech będzie - otworzyłem lodówkę i podałem mu butelkę wody mineralnej. Niko przenigdy nie tykał wody z kranu. Osobiście lubiłem ten metaliczny posmak. Delikatny bukiet chloru i ołowiu - któż by się oparł? - Trzy lata temu szczepili cię przeciw tężcowi, tak?

Niko popił pigułkę wodą z butelki. Potem zmierzył mnie taksującym spojrzeniem.

- Przestań się nade mną trząść, braciszku. - Potem jego spojrzenie złagodniało. - Nic mi nie jest, Kai. Przysięgam.

Faktycznie trochę się trząsałem... ale rzeczywiście nie było chyba powodu. Niko czuł się dobrze - może był trochę obolały - ale przecież nie zamierzał za szybko wachać kwiatków od spodu. Niepotrzebnie się martwiłem, niepotrzebnie znów rozpamiętywałem,

że bez Nika zostałbym na świecie zupełnie sam. Nie było sensu rozwodzić się nad faktem, że prócz niego nie mam absolutnie nikogo, na kim mógłbym polegać. Nikt inny nie wiedział, kim właściwie jestem. Bobok wiedział, Abbagor także, ale nie było w tej grupie nikogo z nieskażoną duszą. Chociaż teraz... teraz był jeszcze Robin. Oczywiście, jak to zwykle ja, zniszczyłem to zaufanie, zanim się jeszcze narodziło.

- Oczywiście, że nic ci nie jest - oznajmiłem szorstko. - Jesteś zbyt nadęty, żeby po prostu umrzeć.

Zgarnąłem śmieci ze stołu i wrzuciłem do kosza. Potem chwyciłem piwo i poszedłem z nim do pokoju.

- Idę pooglądać telewizję. Daj znać, gdybyś potrzebował pomocy przy ubieraniu.

- Gdyby Filut tu był, pewnie też zaproponowałby mi pomoc - odparł sucho mój brat i wstał powoli.

- Chyba w najbliższej przyszłości nie będziemy mieć z tym problemów. - Włączyłem telewizor pilotem i przeskoczyłem kilka kanałów, nawet nie patrząc, co tam jest. Robin był zarozumiały jak model, napalony jak pies na dzień przed kastracją i ogólnie męczący, ale nie da się ukryć, że próbował nam pomóc. Biorąc pod uwagę, że zmusiliśmy go do tego niemal szantażem, zrobił to właściwie wbrew własnej woli. Mimo to stanął przy nas, gdy Abbagor wpadł w szal. A przynajmniej stał tam, póki nie pchnąłem go naprzód. Miał szczęście, że nie został zakopany w tym samym miejscu, gdzie próbował stawić opór.

- Tak, tyle zrozumiałem. - Niko przerwał moje rozmyślania, siadając na kanapie. Bardzo uważał, by nie oprzeć się plecami o wytarty mebel. Linie wokół zaciśniętych ust zdradzały, że środek przeciwbólowy nie zaczął jeszcze działać. - Co się działo, kiedy byłem... niedysponowany? Powiedziałaś Robinowi, że ma niemodną koszulę?

Prychnąłem i zaśmiałem się niechętnie.

- To by go wkurzyło, nie? - W myślach wciąż słyszałem bulgoczące echo. „Auphiątko, Koziołku, wracaaajcie...” Natychmiast

spoważniałem. - Tak. Skrytykowałem jego koszulę. Właśnie tak zrobiłem. - Znów kliknąłem pilotem.

- Ten gość bardzo poważnie traktuje swoją garderobę. - Niko wyjął mi pilota z ręki i wcisnął guzik. - Ale mimo tego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w tej historii musi być coś więcej.

- To wielka szkoda - burknąłem, krzyżując ręce na piersiach i osuwając się na kanapie. - Bo ja nie mam ochoty na opowiadanie żadnych historii. Przełącz na piętnasty. Chyba właśnie lecą tam *Aniołki Charliego*. Scen ze sztukami walki, ile tylko zapragniesz.

- Tylko w twojej perwersyjnej wyobraźni coś takiego może uchodzić za sztuki walki. - Niko trzepnął mnie palcem w głowę, aż zapiekło. - Może „perwersyjna” to za łagodne określenie.

Spiorunowałem go wzrokiem i roztarłem bolące miejsce pięścią.

- Moje perwersje to wszystko, co mi w życiu pozostało.

- To, a także niezwykła zdolność zmieniania tematu. - Niko w zamyśleniu postukał pilotem o kolano. - Mogę zgadywać, jeśli chcesz. Jestem w tym całkiem niezły.

Oczywiście, dobrze o tym wiedziałem. Jeśli coś wymagało napięcia intelektualnych mięśni, Niko był skuteczny jak diabeł na wrotkach. Gdy byliśmy jeszcze dziećmi, zawsze wygrywał w „Zgadnij kto”, jeszcze zanim ja zrozumiałem, kto to jest „ogrodnik”. Wiedziałem, że odgadnięcie, co zrobiłem Robinowi, nie zajmie mu aż tyle czasu. Był zbyt bystry i za dobrze mnie znał.

- Musiałem jakoś odwrócić jego uwagę. - Wzruszyłem ramionami. Gest nie wyglądał tak nonszalancko jak zamierzałem. - Nie miałem wyboru. Przeżyłeś. Wszyscy przeżyliśmy. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda?

Natychmiast zrozumiał, co się stało. Może nawet wiedział to od początku. Odkładając pilota na stół, powiedział spokojnie:

- Potrafi dobrze walczyć. Widziałeś to i założyłeś, że przez kilka sekund da sobie radę.

„Prawdopodobnie da sobie radę" stanowiłoby znacznie precyzyjniejsze określenie, a Niko, zawsze starannie dobierający słowa, wiedział o tym równie dobrze jak ja.

- To było bez znaczenia, czy da radę - powiedziałem z brutalną szczerością. - Przecież wiesz.

Wolno skinął głową, patrząc na mnie poważnie.

- Wiem. Wiem też, że mam brata, który zrobiłby wszystko, żeby ocalić mi życie. Ta świadomość nie jest wcale taka zła. - Wstał, opierając się o moje ramię. - Weźmiesz pierwszą wartę? Musimy się wyspać. Nadal musimy kupić samochód, jestem też pewien, że nawet nie zacząłeś zbierać swoich rzeczy do kupy.

Patrzyłem prosto przed siebie na aktorów poruszających bezgłośnie ustami. Moje własne słowa były ledwie słyszalne.

- Chyba powinniśmy zostać.

Palce spoczywające na moim ramieniu zacisnęły się. Rzadko udawało mi się czymś zaskoczyć Nika - teraz nadrobiłem to z nawiązką.

- Zostać - powtórzył. - Kai, biorąc pod uwagę, czego dowiedzieliśmy się od Abbagora, nie mówiąc już o tym grendelu w parku, przypuszczam, że dalsze przebywanie w tym mieście chyba nie służy naszym interesom.

Spojrzałem na niego bez emocji.

- A co dokładnie powiedział nam Abby? Że jestem rezultatem jakiegoś dziwnego eksperymentu? Że może i nie jestem człowiekiem, ale za to doskonały ze mnie owoc inżynierii genetycznej? To przecież nic nowego.

- Może i nie. - Niko zabrał rękę z mojego ramienia i potarł czoło. - Ale troll pomógł nam to rozpatrzyć w odpowiednim kontekście. Grendele, aupte... jakkolwiek je zwać, kiedyś rządziły tym światem i są gotowe zrobić wszystko, by przywrócić ten stan. Nieważne, jak daleko odejdziemy ani gdzie się schowamy, one ci nie odpuszczą. Musimy nadal uciekać. Jeśli jesteś ich kluczem do potęgi, to nie zapomną o tobie tak łatwo. Może nigdy ich nie zgubimy, ale przynajmniej postarajmy się je stale wyprzedzać.

A te, które nas dościgną, skończą jak ten grendel w parku -jako odległe krwawe wspomnienie, ucięte jednym ciosem miecza Nika. Tak wyglądało dotąd nasze życie, tak mnie uratował. Wiedziałem to dobrze, ale kiedyś trzeba powiedzieć „dość”.

- Masz rację, Nik. Jestem lśniącym, nowiutkim kluczem do jakiejś fajnej miejscówki, a grendele nigdy mi nie odpuszczą. Któregoś dnia nas dopadną. Co za różnica, gdzie to zrobią: tutaj czy na drugiej półkuli?

- Różnica - odparł Niko z ponurą cierpliwością - może wynosić trzydzieści albo czterdzieści lat. Prawie całe życie.

- Ładne mi życie. - Kopnąłem stolik, aż przejechał parę stóp po porysowanej podłodze. - Nie wolałbyś mieć prawdziwej pracy, a nie tylko te dorywcze chałtury? Mieszkać w domu zamiast wynajmować jakieś gówniane mieszkania? Zacząć związek z kimś takim jak Promise zamiast... zamiast szybkich numerków? - Wiedziałem, że chciałbym móc mu to wszystko zapewnić, nawet jeśli Niko zaprzeczyłby, że w ogóle pragnie takich rzeczy. A sam także czegoś pragnąłem. Chciałem dotknąć rudych sprężynek, potrzeb kciukiem bursztynową skórę, policzyć piegi i przekonać się, czy rzeczywiście jest ich tyle co gwiazd na niebie. Chciałem usiąść naprzeciw George i zapytać ją, dlaczego kłamała, i chciałem usłyszeć powód, którego nie mógłbym zakwestionować. Wszystkie baśnie są nierealne, ale na tej zależało mi tak bardzo, że gotów byłem zaryzykować brutalny policzek od rzeczywistości.

- Nie chciałbyś, Nik? - powtórzyłem. Na chwilę zapadła cisza.

- Tak, pewnie, że bym chciał - odezwał się w końcu, ale potem smutek w jego głosie zastąpiła niewzruszona pewność. -Lecz jest coś, czego pragnę jeszcze bardziej - chcę żebyś żył. I jeśli okaże się, że muszę cię zbić do nieprzytomności i wywlec z miasta, by to osiągnąć, to nie zawaham się ani chwili.

Rozmowa była skończona. Oczywiście, mogłem gadać dalej, ale nie miałyby to żadnego sensu. Napięte barki, zaciśnięte usta

- wszystko wskazywało na to, że Niko nie był w nastroju do negocjacji. Mimo wszystko mógłbym naciskać dalej i zwykle tak robiłem. Ale tym razem widziałem, że jego kamienny spokój wciąż pokrywa warstewkę bólu.

- Idź spać, Nik - poradziłem mu. Pochyliłem się i przyciągnąłem stolik z powrotem do siebie. Pilot upadł na podłogę, więc musiałem się po niego schylić. - Cztery godziny, a potem wykopię cię z wyra.

-Kai...

- Nik. - Udałem, że się krzywię, a później uśmiechnąłem się lekko. - Ręcznik ci spada.

Złapał zdradziecką tkaninę i poddał się w końcu.

- Cztery godziny. Nie więcej. - Potem zniknął w korytarzu, idąc wolniej niż zazwyczaj.

Postanowiłem, że Nik dostanie swoje cztery godziny. A potem jeszcze cztery, jeśli dam radę. Mogłem nie spać przez całą noc, żaden problem. Biorąc pod uwagę, co widziałem, gdy tylko zamykałem oczy, bezsenna noc nie była takim złym pomysłem. Już raz widziałem, jak Abbagor pożera Nika, nie miałem ochoty na żadne powtórki.

Przyciszyłem telewizor aż do poziomu cichego mruczenia i wstałem, żeby sprawdzić zamki w drzwiach. Nie było żadnych okien, a w każdym razie żadnych otwieranych. W zasadzie było tylko jedno, ale zajmowało większość ściany w dużym pokoju. Nie miałem pojęcia, co się tu kiedyś mieściło, ale nasze mieszkanie wyglądało na niewykończone. Sufit był na tyle wysoki, by każdy pośrednik na jego widok zatańczył z radości, jednak pokrywały go odsłonięte kable i zardzewiałe rury. Podłoga wyglądała jakby wzięto ją z jakiegoś magazynu nad rzeką, usuwając tylko rybi zapach. Umeblowanie kuchni i łazienki stanowiło jedyny nowoczesny akcent. Była to jednym słowem nora, której jedyny jasny punkt stanowiło właśnie to okno. W nocy widać w nim było tysiące świateł miasta. Czułem się, jakbym miał przed sobą prywatną Drogę Mleczną.

Wyłączyłem światła i usiadłem na kanapie, ignorując telewizor i gapiąc się w szybę. Nie tylko Promise tęskniła za gwiazdami. Ale tak to w życiu bywa: jak się nie ma, co się lubi...

Nie spałem - Niko i samo życie wyszkolili mnie wystarczająco dobrze. Ale nie patrzyłem na nic konkretnego, odpływałem też trochę myślami, jedynie uszy nasłuchiwały wszelkich podejrzanych dźwięków. W takim stanie funkcjonowałem już od wielu lat. Zrelaksowany, ale gotowy. A zatem, gdy tylko usłyszałem ten dźwięk, zeskoczyłem z kanapy i wybiegłem na korytarz, jeszcze nim się domyśliłem, co się dzieje. Ciało zareagowało odruchowo, mimo że dźwięk nie był podejrzany, trochę tylko nietypowy. Nieznany. Szelest prześcieradeł, skrzypienie materaca - odgłosy niespokojnego snu. A w tym domu tylko ja miałem niespokojne sny - przynajmniej do dziś tak było.

Stałem w drzwiach do sypialni, patrząc jak Niko walczy

o życie - już po raz drugi tego dnia. Zachowywał się inaczej niż ja. Nie miotał się z boku na bok, nie zrzucił kołdry na podłogę. Nie dławił się krzykiem. Miał zupełnie inne reakcje na nocne koszmary, chociaż nie były one przez to ani trochę mniej przerażające. Znowu zmienił pozycję. Tylko o kilka cali, ale materac

i tak zaskrzypiał. Szczeka pokryta leciutkim zarostem zacisnęła się boleśnie, aż kość zarysowała się jasno pod skórą. Dłoń otworzyła się, puszczając zmięte prześcieradło, i wślizgnęła pod poduszkę, by chwycić coś bardziej konkretnego i niebezpiecznego niż kawałek tkaniny.

Nie próbowałem go budzić. Wiedziałem, że Niko, nawet na wpół senny, nie wypatroszy mnie nożem, ale i tak mogłaby wyniknąć nieprzyjemna sytuacja. Podeszedłem tylko o krok i wymruczałem:

- Wszystko w porządku, Cyrano. Nikogo tu nie ma, tylko my, kurczaki. Śpij dalej.

Nie wiem, co zadecydowało: mój głos, znajome przezwisko czy zapach, ale odniosło skutek. Twarz Nika wygładziła się wyraźnie, barki opadły rozluźnione i natychmiast zapadł w głębszy

sen. Mój brat, tak jak i w ogóle ludzie, nie miał tak czułego zmysłu węchu jak ja, ale nawet on potrafił wyczuć więcej, niż mu się wydawało. Pamiętam, że przeczytałem kiedyś (oczywiście była to książka Nika), że ludzka pamięć jest bardziej powiązana ze zmysłem węchu niż z jakimkolwiek innym. Możliwe, że Niko wyczuł moją obecność, przynajmniej podświadomie. Ciekawe, jaki miałem zapach. Hamburgery i hot dogi na ostro? Koszulki wyprane w płynie do zmywania, bo nie chciało mi się zanosić ich do pralni? Gdyby lenistwo miało zapach, pewnie cuchnąłbym nim od stóp do głów.

Niko pachniał domem. Wiem, że to brzmi banalnie, ale właśnie tak było. Oczywiście nie mam tu na myśli zapachu domowego ciasta czy świeżego chleba. Nie miałem takiego domu -chyba zresztą nikt go nie miał, może oprócz bohaterów Disneya. Nie, Niko zdecydowanie nie pachniał jak piekarz amator. Miał zapach stali - ostrej i zabójczej. Pachniał olejem i szmatką, którą polerował broń. I zieleniną. To pewnie przez te zdrowe rzeczy, które ciągle wcinał. Może i nie były to najbardziej typowe zapachy, ale to one przywodziły mi na myśl człowieka, który przez tyle lat zapewniał mi bezpieczeństwo i zdrowie psychiczne. Jeśli to nie była definicja domu, to innej nie znałem.

- Dobranoc, Nik - powiedziałem szeptem, wycofując się na korytarz i zamykając drzwi. Potem oparłem się o ścianę, krzyżując ręce na piersi, i zapatrzyłem się w ciemność. Nie zapytałem Nika, jakie to było uczucie znaleźć się w środku Abbagora. Nie byłem pewien, czy zgodziłby się odpowiedzieć. To chyba głupie pytanie, prawda? To tak jakby zapytać kogoś, jak jest w piekle. Powiedz, czy rzeczywiście jest tam tak gorąco? Co jest gorsze: temperatura czy wilgoć? A tortury i patroszenie przez demony rzeczywiście są tak nieprzyjemne, jak mówią? Jezu. Tego poziomu okropieństwa chyba nie da się przełożyć na słowa. Jednak nawet jeśli Niko nie mógł opowiedzieć mi o tym dokładnie, jeśli nie potrafiłby wyartykułować wszystkich tych straszliwych szczegółów, to chyba mógł powiedzieć jedno. Jak się czuł. Teraz i wtedy.

Nie wiedziałem, czy to pomoże - nie byłem psychologiem. Ale postanowiłem, że jeśli pozwoli mi to odzyskać status lokalnego króla sennych koszmarów, to zaryzykuję. Niko potrzebował snu. Domyślałem się, że wiercenie mi dziury w brzuchu o te wszystkie pierdółki musi pochłaniać dużo energii. Uspokojony, odepchnąłem się do ściany. Czas na kolejny obchód. Zamki w drzwiach sprawdzały się dotąd znakomicie, ale w życiu nie ma nic niezawodnego.

Niko spał aż do rana - był to najlepszy dowód, że potrzebował więcej odpoczynku niż ja. Obrażenia zawsze odbierały siły, niezależnie od tego, za jakiego superbohatera uważał się ranny. Jednak moja dobroczynność nie została doceniona, ponieważ gdy superbohater wreszcie wygramolił się z łóżka, był wkurzony jak rzadko.

Uniosłem wzrok, słysząc nieartykułowany warkot niosący się po kuchni, i wesoło mrugnąłem.

- Co jest? Ktoś wstał lewą nogą?

- Nie obudziłeś mnie. - Niko stanął przy stole. Dres zjechał mu nisko na biodra, ale bandaże wciąż się trzymały. - Mówiłem chyba wyraźnie: cztery godziny. Czyżbyś stracił umiejętność liczenia? Oczywiście, zakładając, że w ogóle ją posiadałeś.

- Zgubiłem gdzieś zegarek. Chcesz jakieś śniadanie? - Wstałem z krzesła i podszedłem do lodówki. - Nie poszliśmy w końcu na zakupy, ale chyba zostało kilka jajek.

Dłoń Nika zacisnęła się na moim kucyku i przytrzymała mnie w miejscu.

- Ten doskonale działający zegarek na twoim nadgarstku? Jedwabisty głos stężał niebezpiecznie, podobnie jak uchwyt jego ręki. - O nim mówisz?

- Aha, czyli nie masz ochoty na jajka - odparłem pogodnie - Może w takim razie płatki?

Dłoń Nika puściła moje włosy.

- Mógłbym ci umieścić ten zegarek w miejscu, gdzie znacznie trudniej byłoby ci go zignorować. Nie denerwuj mnie. -

Odwróciłem się, a wtedy Niko opadł na krzesło i przetarł twarz dłonią i niechętnie burknął. - Płatki będą okej.

Przeszukałem szafki, znalazłem pudełko płatków nieprzeznaczonych dla przedszkolaków i napełniłem nimi miseczkę. - Żadnych kolorowych pianek, błyskotek ani miniaturowych zabaweczek. Dziś jest twój szczęśliwy dzień. - Polałem mieszankę mlekiem i postawiłem naczynie przed Nikiem na stole. - Masz. Wcinaj.

Nabrał łyżkę płatków, przeżuł, połknął bez entuzjazmu.

- Mam nadzieję, że nie popełniam błędu, zakładając, że w nocy nic się nie działo?

Usiadłem naprzeciwko i oparłem brodę na złożonych dłoniach.

- Właściwie to odpędziłem horde zombi, zupełnie sam, z jedną ręką przewiazaną za plecami. To musiał być niezły widok.

Rozbawione parsknięcie stanowiło jedyny komentarz do moich zmyślonych opowieści o bohaterstwie.

- Powiedz przynajmniej, że zacząłeś się pakować. Daj mi ten okrucieństwo nadziei, proszę.

- Nie ma powodu, żeby się pakować. Nigdzie nie jadę - odparłem spokojnie, po czym szybko dodałem: - Nik, chciałem spytać o Abbagora...

Łyżka gwałtownie uderzyła o blat.

- Nie ma mowy. Nie pozwolę ci, ot tak, zmienić tematu, braciszku. Podjęliśmy decyzję dziś w nocy. Wyjeżdżamy, jak tylko uda się zdobyć jakiś transport. Dzisiaj albo jutro, ale nie później.

- Ty zadecydowałeś, Niko, więc nie mów „my”. - Wyglądało na to, że mój brat nie ma ochoty na płatki, więc przysunąłem miskę bliżej i poczęstowałem się resztą. - Ale zostawmy to na chwilę, chcę pogadać o tym, co się stało pod mostem.

- Zostawmy?... - Niko nie mógł znaleźć słów. Jak to możliwe w przypadku człowieka z tak bogatym zasobem słownictwa? Jednak chyba w życiu nie widziałem go tak wzburzonego.

- Zostawmy? - powtórzył z niedowierzaniem. - „Zostawmy na chwilę” fakt, że dobrowolnie przekreślasz własne życie? To będzie niezły wyczyn. Masz jakieś sugestie, jak się do tego zabrać?

- Możesz opowiedzieć mi o trollu. Dzięki temu przez chwilę skupisz się na czymś innym - podrzuciłem pomocnie i zlizalem mleko z łyżki.

Niko spojrział na mnie z niedowierzaniem, potrząsnął głową i odsunął krzesło.

- Idę pozmywać. Gdy skończę, omówimy to szczegółowo... podczas pakowania.

Wyciągnąłem nogę, zahaczyłem o jego krzesło i przytrzymałem je w miejscu.

- Nie, nie sędzę.

- Zabierz tę nogę, Kai, jeśli chciałbyś ją zachować. - Ton Nika był ostry, lodowaty i całkowicie poważny.

- Dam sobie radę z jedną. - Byłem równie poważny i tak samo zdeterminowany. - Troll. Gadaj. Teraz.

Niko przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym jego pierś uniosła się w głębokim westchnieniu.

- Niech będzie. Bierzemy na warsztat Abbagora. Co chcesz wiedzieć? Co jest takie ważne, że nie mogło zaczekać ani chwili?

„Ty”, pomyślałem.

- Te ręce - powiedziałem głośno. Grymasu obrzydzenia nie musiałem udawać. - Nie mogę przestać myśleć o tych ludziach, wiesz? Czy oni jeszcze żyli? Ile czasu musieli tam spędzić? Cholera. Czy to w ogóle jeszcze są ludzie?

Niko nawet nie mrugnął okiem.

- Nie ma sposobu, by to sprawdzić - powiedział neutralnym tonem.

Odepchnąłem od siebie miskę.

- Aha, pewnie masz rację. Ale... kurna... co ci biedacy... Co oni musieli odczuwać?

To właśnie było najważniejsze pytanie i tylko Niko mógł mi na nie odpowiedzieć.

- Co czuli? - Przez chwilę obracał to słowo w ustach, trzymając dłonie płasko na stole. Mój brat nie miał żadnych tików nerwowych. - Jak się czuli? Prawdopodobnie tak samo jak czuł się Jonasz w brzuchu wieloryba... tyle że Jonasz mógł jeszcze oddychać. Nie dusiło go żadne drgające, pulsujące ciało. Nie owijało go tak ciasno, że nie mógł złapać tchu, nawet gdyby był tam tlen. Nie było tam żadnych macek, próbujących wcisnąć mu się do ust i napompować go Bóg jeden wie czym. - Tym razem mrugnął, ale tylko raz. - Przypuszczam też, że Jonasz nie słyszał tysięcy głosów szepczących: „Witaj, bracie. Witaj w domu. Witaj w piekle”.

A jednak myliłem się. Okazało się, że to uczucie można było jednak opisać słowami - słowami, które sprawiły, że chyba wolałbym być głuchy.

- Jonasz chyba miał szczęście, co?

- Chyba tak - odparł Niko, tak obojętnie jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

Co mogłem powiedzieć, by go pocieszyć? Nic. Żadna odpowiedź nie mogła umniejszyć straszliwości tego przeżycia, ale może... może jednak da się coś zrobić.

Wilgotny owsiany płatek wystrzelił z mojej łyżki, trafiając Nika prosto w policzek. Na chwilę przykleił się do skóry, po czym ześlizgnął się w dół, pozostawiając wilgotną mleczną smugę. Potem nabrałem kolejną łyżkę i wpakowałem do ust, jak gdyby nigdy nic. Niko, zastygły jak lodowa rzeźba, wpatrywał się we mnie bez słowa, a rumieniec powoli wypełzał mu na policzki, które wciąż wyglądały zbyt blado. Kawałek owsianki spłynął mu po brodzie i upadł na blat z mokrym plaśnięciem. Uniosłem brew z niewinnym zdziwieniem.

- No co?

Niko nie zwracał sobie głowy okrążaniem stołu - po prostu przeskoczył ponad nim. Miska spadła gdzieś na bok, płatki i mleko rozprysły się na wszystkie strony. Moje krzesło i ja sam musieliśmy ustąpić pod naporem ataku godnego futbolisty. Zdołałem wbić Nikowi kolano w brzuch i strącić go z siebie, ale nim

zdażyłem się ruszyć, on chwycił mnie ręką za kostkę. Skręciłem biodra, wbiłem mu stopę w podbrzusze i pchnąłem na tyle mocno, że przejechał parę stóp po linoleum. Zerwałem się na nogi, by uciec, ale już po dwóch krokach Niko doścignął mnie i rzucił w powietrze jak krążek frisbee. Upadłem na kanapę i już miałem usiąść, gdy nasada dłoni wylądowała mi na szyi z bezlitosną siłą. Był to bardzo skuteczny chwyt: utrzymywał szyję przeciwnika w przeproście. Źle wykonany był bardzo bolesny - dobrze wykonany był śmiertelny.

Uśmiechnąłem się szeroko, patrząc w zmrużone stalowoszare oczy.

- Teraz lepiej?

Oczy zwięzły się jeszcze bardziej, aż przybrały postać stalowych szparek. Niko pochylił się nade mną, jego twarz znalazła się zaledwie o cal od mojej.

- Ale jest jedna rzecz, której Jonaszowi zabrakło - powiedział z lodowatym spokojem, odchylając mi głowę o kolejne pół cala.

- Co takiego? - zaskrzeczałem, czując rosnące napięcie.

- Niewzruszona pewność, że ktoś go stamtąd wyciągnie. - Niko puścił mnie i klepnął w policzek z westchnieniem. - Chyba nie miał aż tyle szczęścia.

Usiadłem i potarłem podbródek, krzywiąc się z bólu.

- Dlaczego nigdy nie udało mi się wykonać tego chwytu na tobie?

- Bo nie ćwiczysz, młody padawanie. - Niko odchylił się i przekrzywił głowę z jakimś smutnym grymasem. - Dzięki za ten przerywnik, Kai. Bardzo mi się przydał.

Parsknąłem i wbiłem mu łokieć w żebra.

- Idź, weź prysznic, zanim rozplącę się jak małe dziecko. Niko uszczypnął mnie boleśnie w łokieć. Potem, ignorując

mój wrzask, wstał i przeciągnął się, uważając, by nie urazić poparzeń.

-No dobrze, a zatem prysznic. - Przyszpilając mnie wzrokiem, dodał: - A potem się spakujemy.

- A potem się spakujemy - skłamałem, kiwając głową. Niech ma parę minut spokoju, zanim zaczniemy tę kłótnię na nowo. Nie byłem pewien, czy Niko mi uwierzył, ale zniknął w łazience bez słowa. Po chwili usłyszałem odgłos zamykanych drzwi i szum wody. A potem zawołał:

- Kai, coś ty zrobił z lustrem?

O, cholera. Zupełnie zapomniałem.

To znowu Alicja. Nazwałem ją tak tamtego wieczora w Waldorfie. Całkiem niezłe imię dla czegoś, co żyje w lustrach. Oczywiście to nie była ta prawdziwa Alicja. Blondwłosa dziewczynka, zbyt wścibska dla własnego dobra, prawdopodobnie nie była w stanie wystraszyć mnie na śmierć - a przynajmniej lubiłem tak myśleć. Biorąc jednak pod uwagę, że wczoraj nie widziałem w lustrze nic konkretnego, nim zakryłem je ręcznikiem, może jednak brakowało mi paru klepek.

Usłyszałem ją kilka godzin po tym, jak Niko śnił swój koszmar. Znow doleciał mnie nietypowy dźwięk, ale tym razem nie był to niespokojny sen, lecz pomruk. Bardzo słaby, ledwie dosłyszalny, ale melodyjny. Nie byłem zaniepokojony, póki nie zrozumiałem, skąd dochodzi. Wtedy nagle zrobił się upiorny jak diabli. Podeszedłem na palcach w stronę źródła dźwięku. Ściskając w dłoni jeden z noży Nika, zatrzymałem się przed drzwiami do łazienki. Pomruk nie ucichł - ewidentnie wydobywał się z czyichś strun głosowych, ale nie moich ani Nika. Nawet gdybym jakimś cudem nie zauważył, że Niko wstał z łóżka, to i tak zdołałbym rozpoznać jego głos. Ten był obcy.

Czując, że żołądek zaciska mi się jak pięść, uchyliłem ostrożnie drzwi. Melodyjny pomruk ucichł do ledwie słyszalnego szeptu, gdy wszedłem do środka. Nie zapaliłem światła. Samotna żarówka w kuchni rzucała dość światła, by rozjaśnić aksamitny mrok. Widziałem zarys wanny, sedesu, poźółkłej umywalki i niczego więcej. Pusto. Słyszałem w życiu mnóstwo opowieści o aligatorach w kanalizacji, ale wątpiłem, by to jeden z nich postanowił sobie pośpiewać poprzez brudne rury. Przełożyłem nóż

do drugiej ręki i wytarłem mokrą dłoń o spodnie. Po co mi to wszystko było?

Obróciłem się na pięcie, nasłuchując uważnie. Już za chwilę namierzyłem źródło melodii, obecnie jeszcze cichszej, ale dla mnie wyraźnej jak dźwięk dzwonu. Lustro. Dźwięk dobiegał z lustra. Niech to szlag trafi. Tylko nie to. Już prawie zdołałem się przekonać, że ten epizod w Waldorfie był jakimś dziwnym przywidzeniem, zwykłą czkawką systemu nerwowego. Ale czkawka wróciła i tym razem była znacznie bardziej namacalna i trudniejsza do zignorowania.

Uniosłem wzrok i wpatrzyłem się w lustro nad umywalką. Było to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Co takiego mają w sobie właściwie lustra? W prawie każdym filmie klasy B można zobaczyć jakieś lustro, które tylko czeka, by uwolnić demoniczne odbicie. Filmy, książki, seriale - wszędzie czają się złe zwierciadła. Właśnie dlatego zerknąłem w nie z lękiem dwunastolatka - mimo że widywałem już potwory i walczyłem z nimi przez całe życie. Ciemny pokój, nawiedzone lustro... Tyle wystarczyło, żebym znowu poczuł się jak dzieciak, któremu trzęsą się kolana i który najbardziej w świecie chciałby naciągnąć kołdrę na głowę.

Jednak w moim świecie nie było takiej możliwości. Czasem może się tak wydawać, ale gdy tylko dasz się skusić, już nie żyjesz... albo gorzej. Co to właściwie było? Śpiewające lustro? Czy to rzeczywiście takie straszne? Nie licząc filmów i dziecięcych strachów - jak groźne mogłoby być zwykłe lustro w porównaniu z innymi rzeczami, które przydarzyły mi się w życiu? Chyba niespecjalnie. A zatem zebrałem wszystkie siły, by zignorować zimny pot i gwałtowne bicie serca, i spojrzałem.

Nucenie ucichło i spojrzałem prosto w swoje odbicie. Tym razem było mniej zakłopotane, a bardziej wkurzone. Kąciki ust uniosły się w drapieżnym uśmiechu, nawet oczy zdawały się bardziej jasne i zimne, niemal srebrne.

- Alicjo - powiedziałem poważnie. - Naprawdę zaczynasz mnie wkurzać. - Zamachnąłem się nożem, jakbym chciał uderzyć

w lustro rękojęcią. W końcu co znaczy siedem lat nieszczęścia w porównaniu z całym życiem w opętanym zwierciadle? Jednak w ostatniej chwili spowolniłem ruch i tylko popukałem w lustro. Nie było sensu go niszczyć. W końcu nie było jedynym nawiedzonym, a nie mogłem przecież tłuc wszystkich luster, jakie napotkam w życiu. W końcu zdecydowałem się po prostu przykryć je ręcznikiem, starannie podwijając końce pod spód. „Proszę bardzo, Alicjo”, pomyślałem z pewną dozą autoironii. Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz. Co tam ceglane mury i stalowe bariery - ja miałem najlepszą ochronę, jaką tylko mógł mi zapewnić frotowy materiał.

Ręcznik może i zatrzymał Alicję w środku przez resztę nocy, ale nie zapewnił mi żadnej ochrony przed Nikiem. Wiedziałem, że gdy tylko wyjdzie spod prysznica, będę się musiał gęsto tłumaczyć. Właściwie sam nie wiedziałem, dlaczego dotąd mu o tym nie wspomniałem. Przecież nie obawiałem się, że mi nie uwierzy. Byłby to po prostu kolejny element w mieszance okropności i niesamowitości, z którymi borykaliśmy się przez całe życie. Może właśnie o to chodziło. Siedzieliśmy już po uszy w gównie i nie chciałem wylewać nam na głowy kolejnych paru wiaderek. Ignorowanie problemu oczywiście nie sprawiało, że magicznie zniknął, ale nie miałem też ochoty za bardzo się nad nim rozwodzić. Miałem muzycznego prześladowcę. No i co? Dopóki tylko na mnie gwizdał, mogłem z tym jakoś żyć.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, zastanawiałem się właśnie, czy nie przemyścić tej sprawy poza radarem Nika. Nie miałem wielkich nadziei, że się uda, ale i tak zamierzałem spróbować. Jednak niespodziewana wizyta szybko przebiła pozostałe kwestie i zagapiłem się w oszołomieniu na drzwi. Kto to mógł być? Owszem, drzwi na klatce schodowej się nie zamykały, a domofon nie działał, ale ani Niko, ani ja nie podawaliśmy nikomu adresu. Im bardziej byliśmy anonimowi, tym lepiej. Poza harcerkami sprzedającymi ciasteczka i świadkami Jehowy niosącymi nam zbawienie (a nie pamiętam, kiedy

ostatnio ktoś z nich zapuścił się w te okolice), nikt nie miał prawa pukać do naszych drzwi. Gdy do nich podszedłem i spojrzałem podejrzliwie przez wizjer, zobaczyłem na pierwszym planie kilka palców machających beztrąsko.

- Jezu Chryste! - mruknąłem zaskoczony.

- Nie do końca - odparł stłumiony głos. - Ale chodziłem kiedyś z jego kuzynką. Świetna babka. Nie uwierzyłbyś, jakie miała cyce.

Przewracając oczami, odsunąłem zasuwę.

- Filut, co ty tu do diabła robisz? - Zanim zdążył odpowiedzieć, dodałem szybko: - I skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

Robin wszedł do pokoju, założył ręce na piersi i zmierzył mnie neutralnym spojrzeniem.

- Niko zadzwonił do mnie jakieś pół godziny temu i poprosił, żebym wpadł. Biorąc pod uwagę, że on nie próbował mnie ostatnio zabić, nie widziałem powodu, żeby odmówić.

- Aha, jasne - odparłem niezobowiązująco. Miałem wrażenie, że Niko coś kombinował, jeszcze zanim wszedł do kuchni. Sprytny gnojek. Odwróciłem się, podszedłem do drzwi łazienki i załomotałem w nie pięścią.

- Nik, wyłaż stamtąd. Masz gościa.

Gdy wróciłem do salonu, Robin stał przed regałem z książkami i patrzył na niego z rozbawieniem.

- Bardzo eklektyczny księgozbiór. - Dotknął palcem książki na temat okultyzmu, a potem przeszedł do sekcji na temat historii Europy. - Historia, mitologia, chemia, matematyka. Ktoś tu jest nieźle odczytany.

- Niko - odparłem krótko. - Jeśli coś warto wiedzieć, to on to wie. Jeśli nie warto, to istnieją szanse, że i tak to wie.

Robin zwrócił głowę w moim kierunku, gdy usiadłem na skraju stolika.

- Rozumiem, że żaden z tych woluminów nie należy do ciebie, mój drogi przedstawicielu ciemnej masy?

Uśmiechnąłem się krzywo.

- Bingo. Jestem głupi jak kilo kitu.

- Nie daj się nabrać. - Niko przebrany w świeże ciuchy stanął w drzwiach salonu, zaplatając warkocz zręcznymi ruchami palców. - Przez kilka lat uczyłem go w domu, a nie toleruję głupoty. Ale przyznaję, że jego lenistwo w końcu mnie pokonało. Dzięki, że przyszedłeś, Filut. Chcesz coś do picia?

- A myślałeś, że to ja próbowałem cię zabić - burknąłem. - Teraz on dopełni dzieła sokiem marchewkowym. - Domyślałem się, co knuje Niko, i nie miałem zamiaru przykładać do tego ręki. Chciałem zapomnieć o całym wczorajszym dniu - co do minuty.

- Ani przez chwilę nie sądziłem, że chciałeś mnie zabić - wiem tylko, że próbowałeś. - Robin odwrócił się ode mnie i skinął Nikowi głową. - Wszystko, co masz, będzie dobre, nawet -skrzywił się - sok marchewkowy.

- Nie martw się. Sok z marchwi już się skończył. - Niko poszedł do kuchni i wrócił, niosąc szklankę czegoś zielonego. - Na szczęście mamy całą butlę soku z aloesu.

- Twoje poczucie humoru ma chyba spory niewykorzystany potencjał. - Filut wziął od Nika szklankę i spojrzał na nią ponuro. Potem pociągnął łyk i sam zzieleniał. - Święty Bachusie -zakrztusił się. - To przeciwne naturze i wszystkiemu co boskie.

-Ale za to zdrowe - zauważyłem z ponurą radością. Nie przepadałem za towarzystwem Filuta, ale miło było popatrzeć jak ktoś poza mną cierpi z powodu Nika i jego obsesji na punkcie zdrowego odżywiania.

-Niewątpliwie. W przeciwnym razie nie smakowałoby jak płynna treść krowiego żołądka. - Robin przejechał palcem po krawędzi szklanki, a potem pstryknął w nią palcem. Rozległo się delikatne echo - niepokojąco podobne do zaimprovizowanego koncertu, który słyszałem w nocy. - Słuchaj, Niko, dzięki za zaproszenie i za sok z zielska, ale o co właściwie biega? Auphe junior najwyraźniej się mnie nie spodziewał.

Przyjąłem obelgę bez mrugnięcia okiem - coraz trudniej było obrażać się za prawdę. A poza tym Filut zasłużył sobie na prawo

do wygłoszenia paru kąśliwych uwag. Niko najwyraźniej się ze mną nie zgadzał. Szczeka mu zadrgała, ale tym razem odpuścił i odpowiedział tylko:

-Wciąż potrzebny nam samochód. Wyjeżdżamy z miasta i brak nam środka transportu.

- Ach! Biznes. Doskonale - Wyszczrzył zęby, parodiując swą maskę sprzedawcy. - Na kiedy jest wam potrzebny?

- Natychmiast - powiedział Niko.

- Nie ma pośpiechu - odparłem w tej samej chwili.

- Kai, tylko nie zaczynaj - upomniał mnie ostro. Wzruszyłem ramionami i usiadłem na kanapie.

- Okej. Kup samochód. Ale nie masz żadnej gwarancji, że uda ci się zapakować mnie do środka.

-Bardzo się zdziwisz, gdy zobaczysz, jak szybko można wrzucić do środka twój dumny tyłek i jak mało będziesz miał przy tym do powiedzenia.

Robin odstawił szklanę i zacmokał językiem.

- Będę musiał was rozdzielać?

- Gdyby to było takie proste - burknąłem. - Zapytaj go, ile chce na to przeznaczyć. Niewykluczone, że będziesz musiał przyciągnąć coś ze złomu.

Co dziwne, Robin zdawał się być zupełnie niezainteresowany możliwością ubicia interesu.

- A właściwie, czemu wyjeżdżacie? Chyba nie przez Abbago-ra? On nigdy nie wychodzi spod mostu. Póki nie będziecie się tam zapuszczać, wszystko będzie dobrze.

Wtedy do mnie dotarło: Filut pragnął, żebyśmy zostali. Mimo tego, co wcześniej zrobiłem, i tak chciał mieć z nami kontakt. Był samotny. Jasne, w tym mieście aż roiło się od potworów, ale on nie był jednym z nich, a przynajmniej nie do końca. Biorąc pod uwagę, że nigdy nie spotkaliśmy innych puków, prawdopodobnie było ich niewiele. Musiało to być samotne życie: w towarzystwie potworów, których w ogóle nie obchodził, i ludzi, przed którymi nie mógł się otworzyć. Doskonale znałem to uczucie. Ale, mimo

wszystkich moich narzekań, wiedziałem, że jestem szczęściarzem. Miałem przynajmniej jedną bliską osobę, a to najwyraźniej znacznie więcej niż Robin.

Teraz, gdy już wiedziałem, wydawało mi się, że dostrzegam to w jego oczach. Prócz błysków przebiegłości i przerośniętego libido, w barwie cieniściego lasu widać było samotność - tak wielką, że puk stał o krok od szaleństwa. Nie byłem w stanie wczuć się w jego sytuację. Setki i tysiące lat życia spędzonego w samotności. Odcięty od śmiertelników i potworów jednocześnie. Tak bardzo chciał powstrzymać ten powolny upadek, że postanowił zbratać się z nami, choć podejrzewał, że chcemy go tylko wykorzystać.

Postanowił do nas dołączyć. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

- Nie chodzi o Abbagora - przyznałem. - Chodzi o auphe. Niko widział jednego z nich w parku.

Dobrze, że zdążył odstawić szklanę, inaczej chyba zgniótłby ją w rękę. Twarz zamarła mu ze zgrozy, z trudem wykrztusił kilka słów przez zmartwiałe wargi.

- Auphe? Jest tu jakiś auphe?

- Był - poprawił Niko. - To dlatego pytaliśmy, czy widziałeś je w pobliżu. Musieliśmy ustalić, czy to jednorazowy incydent. Ale, tak czy inaczej, nie możemy ryzykować.

- Zabiłeś go? - Robin ścisnął palcami nasadę nosa. - Proszę, powiedz, że go zabiłeś. Jeśli to żyje... - Potrząsnął głową i pozwolił słowom rozplynać się w powietrzu.

- Nie żyje. Wszyscy ludzie króla i tak dalej - usta Nika wykrzywiły się w ponuim uśmiechu. - Chyba już wiesz, jaki jest obraz sytuacji.

- To dobry obraz. Podoba mi się. - Z niezgrabnym klapnięciem usiadł na stoliku i ukrył twarz w dłoniach. Potem przecesał palcami kręcone brązowe włosy i wyprostował się z westchnieniem. - Abbagor jest wielki i ma mordercze skłonności, ale w dziedzinie czystej nikczemności nie ma się co mierzyć z auphe. Są psychopatyczne, chowają urazę do końca życia

i rozprzestrzeniają się jak zaraza. - Przetarł oczy. - Przypuszczam, że wiecie o tym lepiej niż ktokolwiek, ale chyba nie zaszkodzi przypomnieć.

- No nie wiem... Abby wygląda, jakby mógł pogonić im kota. - Lekko kopnąłem w stolik i ciągnąłem z zakłopotaniem. - A jak już jesteśmy przy tym trollu, Filut, to chciałem powiedzieć, że... kurczę... no wiesz.

Puk odwrócił się i spojrzał na mnie ponuro.

- Trzeba było tylko poprosić, Kalibanie. Przyznaję, że jestem tchórzem, ale nie cofnąłbym się na krok. Wystarczyło poprosić.

Niko stanął koło mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni polegać na kimkolwiek - powiedział, zaciskając lekko palce, by dodać mi otuchy. - Nie przychodzi nam to łatwo. Wiem, że to żadne wytłumaczenie, ale naprawdę głupio nam z tego powodu. Przepraszam.

Nie mogłem w to uwierzyć.

Niko, który nie zrobił nic złego, postanowił przeprosić, bo ja byłem zbyt uparty, by to z siebie wydusić. Poczulem się jeszcze gorzej... Póki dłoń Nika nie ześlizgnęła mi się z ramienia i nie trzepnęła w tył głowy.

- Prawda, Kai? - spytał surowo.

Poczucie winy spłynęło po mnie jak po gęsi. Po co mi sumienie, skoro mam brata, który doskonale spełnia to zadanie?

- Aha. Przepraszam - wymruczałem, spoglądając koso na Nika i nieco łagodniej na Robina.

Zabójczy uśmiech powrócił i naszym oczom ukazało się więcej zębów niż można by naliczyć na zjeździe rodzinnym.

-Zostało wam wybaczone - powiedział łaskawie. - Może omówimy problem transportu podczas lunchu? Ja stawiam.

Wtedy uderzyła mnie pewna myśl: Filut mógłby zostać moim sprzymierzeńcem. Chciał, żebyśmy tu zostali, ja też chciałem zostać - teraz pozostawało tylko przekonać Nika. To nie powinno być zbyt trudne - z pewnością nie trudniejsze niż przekonanie słońca, żeby wzeszło na zachodzie.

-Lunch to świetny pomysł - odparłem entuzjastycznie. -Tylko wezmę buty. - Schylając się pod kanapę po trampki, czułem na plecach podejrzliwe spojrzenie Nika.

- Nie jestem pewien, czy mamy na to dość czasu. Powiem więcej: jestem pewien, że nie mamy na to dość czasu.

Wbiłem buty na stopy i pomknąłem do wyjścia.

- To tylko lunch, Nik. Czterdzieści minut nas nie zbawi. - Nie było to całkiem zgodne z prawdą - w naszym przypadku czterdzieści minut mogło zdecydować o całym życiu, ale nie miałem ochoty się nad tym zastanawiać.

Niko nie był zachwycony - co za niespodzianka - ale w końcu wylądowaliśmy w pobliskiej włoskiej knajpce. Prychnąłem, widząc, jak mój brat piorunuje wzrokiem menu.

- Nie dąsaj się, Cyrano. Wystraszysz kelnera.

- Nie dąsam się - syknął przez zęby, po czym zamknął menu z trzaskiem. - Dąsają się tylko dzieci i bezmózgie modelki. I jeszcze ty. Ja nie. - Potem zwrócił się do kelnera i dodał spokojniej: - Proszę pieczoną rybę, bez ziół i sosu, a do tego sałatkę. Bez dressingu.

Oto cały Nik, jak zawsze żyjący pełną piersią. Co za szaleństwo.

Zamówiłem dla siebie ravioli z homarem i kurczaka parmigiano. W końcu to Filut stawiał. Pomyślałem, że przy okazji warto by jeszcze opchnąć jakiś deser albo nawet trzy. Robin złożył zamówienie, trajkocząc po włosku, i oddał menu kelnerowi, dodając: - *Grazie, grazie.*

- Tlu języków zdołałeś się w życiu nauczyć? - spytał z zaciekawieniem Niko.

- Wszystkich. - Robin rozprostował serwetkę z ostentacyjną gracją. - Trochę wyszedłem z wprawy w paru dialektach afrykańskiego buszu, ale poza tym daję radę. A jeśli chodzi o język miłości, to nie mam sobie równych.

Posmarowałem masłem kawałek chleba, miękki i puszysty jak obłok, i jęknąłem głośno.

- O, rany. No to mieliśmy dwadzieścia minut spokoju. To chyba jakiś rekord. Wiesz chyba, że to się leczy? Mają taki dwunastoetapowy program, specjalnie dla ciebie. „Cześć, nazywam się Robin i jestem seksoholikiem”.

- Już to mówiłem, ale muszę powtórzyć. - Puk wskazał na mnie kieliszkiem. - Naprawdę musisz zakisić ogórka.

Była to naprawdę porządna restauracja, ładniejsza niż te, do których zwykle chodziliśmy. Oczywiście nie przeszkodziło mi to rzucić posmarowaną kromką w Robina, który złapał ją w locie, ugryzł i popił winem.

- Pyszne, dzięki. A teraz, panowie, opowiem wam, co wymyśliłem.

- Nic sportowego - ostrzegł go Niko. - Nie chcemy się rzucać w oczy.

- Co? Nie, nie chodziło mi o samochód. - Robin machnął lekceważąco ręką i znów ugryzł kawałek mojego chleba. -Szczerze mówiąc, zastanawiałem się... Jeśli dałoby się ustalić, co działo się z Kalibanem, gdy mieszkał u auphe, to może nie musielibyście uciekać. Gdybyście wiedzieli, co planują, mielibyście więcej możliwości. W końcu wiedza to potęga.

Nagły przypływ strachu natychmiast pozbawił mnie apetytu.

- Nic nie pamiętam. Nie jestem w stanie. Próbowałem wiele razy. - Byłem też głęboko przekonany, że wcale nie chcę tego pamiętać.

Robin odstawił na wpół opróżniony kieliszek i pośpiesznie dodał:

- Na pewno próbowałeś, ale jeśli auphe namieszały ci w pamięci, to odzyskanie tych wspomnień jest prawie niemożliwe.

- Jeśli to niemożliwe, to dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? - spytał Niko ze źle skrywaną irytacją. Przyjął już do wiadomości, że nigdy sobie nie przypomnę, co wydarzyło się w ciągu tych dwóch utraconych lat. Z początku namawiał mnie, bym próbował sobie przypomnieć, ale w końcu odpuścił. Z jednej strony, wpędzało mnie to w coraz większą frustrację,

a z drugiej, obaj podejrzewaliśmy, że może jednak tamte wydarzenia powinny odejść w niepamięć. Zgodziliśmy się, że przeszłość powinna należeć do przeszłości.

- Powiedziałem, że Kaliban nie zdoła przypomnieć sobie tego sam. Ale z moją pomocą... to całkiem inna para kaloszy. - Filut wbił widelec w sałatkę, a potem zamachał nim z entuzjazmem. Sos z sera pleśniowego prysnął na boki, zostawiając ślady na nieskazitelnym szkarłatnym obrusie. - Opanowałem sztukę hipnozy jeszcze zanim Svengali spojrzął na kogoś spode łba. Jestem więcej niż biegły w tej dziedzinie - możecie mi zaufać.

Niko spojrzął na niego z powątpiewaniem.

- Odzyskanie wypartych wspomnień wymaga więcej wprawy niż przekonanie paru osób, żeby biegały nago po pokoju, gdcząc jak kurczaki. Jeśli auphe rzeczywiście zawiązały Kałowi pamięć na supełek, to nie jestem wcale pewien, czy zdołasz go rozwiązać. Nie wiem, czy powinienes choćby próbować.

- Ech, człowieku małej wiary. - Szczupła twarz spoważniała, wyrażając niezłomną determinację. - Nie proszę o nic prócz odrobiny zaufania. Mam więcej wprawy niż większość znanych psychiatrów i hipnoterapeutów. Przysięgam. W czasie długiego życia można osiągnąć coś więcej niż tylko złe nawyki.

Niko westchnął, potrząsając z powątpiewaniem głową.

-Nie wiem, Filut. Mam wrażenie, że to trochę ryzykowne. Nie jestem pewien, czy te informacje okażą się warte tego, by przypominać Kałowi czas spędzony u auphe.

- Jeśli będzie naprawdę źle i wspomnienia okażą się nie do zniesienia, to zamknę je w podświadomości. Po wyjściu z transu nie będzie niczego pamiętał.

Bardzo swobodnie sobie rozmawiali, zupełnie nie krępując się moją obecnością. Zrozumiałem, że będę miał coś do powiedzenia tylko pod warunkiem, że zdołam wtrącić choć słowo.

- Chłopaki - powiedziałem cicho.

Niko uniósł dłoń, żeby mnie uciszyć, i sam odpowiedział Robinowi:

- To może wydawać się łatwe w teorii, ale teorie i praktyka to dwie różne sprawy. Nie mam ochoty traktować swojego brata jak świnkę doświadczalną w tym eksperymencie.

- To wcale nie takie niebezpieczne, jak to przedstawiasz. -Robin, sfrustrowany, odsunął swój talerz na bok. - Wydobyć wspomnień na powierzchnię może być trudne. Ponowne ich ukrycie - nie. To ich naturalne miejsce, niezależnie od tego, kto je tam umieścił, a uphe czy sam Kaliban. Jeśli nie zmuszę go, by coś pamiętał, to nie będzie.

Znów spróbowałem się wtrącić, tym razem uderzając dłonią o stół.

- Chłopaki!

Obaj spojrzeli na mnie z zaskoczeniem. Niko marszczył brwi z niepokojem, a Robin miał minę kota przyłapanego z jedną łapą zanurzoną w misce pełnej ryb.

- Wierzcie albo nie, ale ostateczna decyzja należy do mnie. Nie do ciebie, Niko, i zdecydowanie nie do ciebie, Filut. -Zmierzyłem ich obu rozdrażnionym spojrzeniem. - Jasne?

-I co postanowiłeś? - Robin odchylił się na oparcie, próbując udawać, że mu nie zależy. Nie chciał się przyznać do porażki.

- Wciąż się zastanawiam. - Sama myśl o wspomnieniach z tamtych lat nie była przyjemna, ale uciekanie przed nimi do końca życia też mi się nie uśmiechało. Nie zwracając uwagi na niezadowoloną minę Nika, wskazałem na nadchodzące dania. -Najpierw coś zjedzmy. Hej, Loman, opowiedz coś o tych specjalistach. Jaki właściwie był doktor Freud? Czy to ty podsunąłeś mu ten pomysł z zazdrością o penisa? A może chodziłeś do szkoły z Elektrą i Edypem?

Robin chwilowo odpuścił temat hipnozy. Zmierzył swój makaron zadowolonym spojrzeniem, a potem parsknął.

- Dajmy spokój Sofoklesowi, pogadajmy lepiej o Homerze. Ten sukinsyn to miał mocny łeb, spoił mnie tak, że prawie spadłem pod stół. A Safona? Ta laska umiała imprezować jakby nadchodził koniec świata.

Niko ponuro wpatrywał się w swoją rybę.
- Chyba straciłem apetyt.
„Nie tylko ty, braciszku”, pomyślałem.

Miałem tę bluzę już od... ilu lat? Trzech? Nie, czterech.

Minęły prawie cztery lata, odkąd wróciłem do domu nagi i bezbronny. Przejechałem ręką po znoszonym materiale, gdzieś tam pokrytym plamami po wybielaczu. Teraz była to już w zasadzie szmata, trzymało ją w kupie tylko kilka upartych ściągów, które nie chciały się poddać. Niko wyrzucał ją do śmieci więcej razy niż mogłem zliczyć, ale zawsze wyciągałem ją z powrotem. Dużo mówiłem o tym, że nie warto się przywiązywać do rzeczy, że takie sentymenty tylko przeszkadzają, gdy nieustannie trzeba przed czymś uciekać. Wszystkie rzeczy należy traktować jako jednorazowe - i zwykle mi się to udawało. Dlatego właśnie trudno wytłumaczyć, dlaczego ta bluza była wyjątkiem.

Może dlatego, że była to pierwsza oznaka normalności w dziwnym i obcym świecie.

Większość mojego umysłu nie miała pojęcia, że gdzieś odszedłem, ale gdzieś w podświadomości pozostał maleńki zakamarek, który wiedział o tym aż za dobrze. To właśnie ta część sprawiła, że kiedy wróciłem, niemalże plułem pianą, jak wściekły pies. Gdy Niko wyjął z bagażnika ubrania i pomógł mi włożyć bluzę poczułem się, jakby ubrał mnie w ludzką skórę. Żadna z tych rzeczy nie pasowała na mnie idealnie, ani bluza, ani rola człowieka, ale czepiałem się ich kurczowo przez wiele lat. Ta bluza przypominała mi, że jestem w domu i że jest we mnie jakaś część, która jest do głębi ludzka. Czasem... Cholera - bardzo często potrzebowałem takiego przypomnienia.

Przypominała mi też o czymś innym - miałem ją na sobie tamtego dnia, gdy zacząłem uciekać. I aby zatoczyć pełne koło, postanowiłem mieć ją na sobie tego dnia, gdy przestanę. Ściągnąłem szary sweter i włożyłem bluzę. Wciąż była za duża. Niko zawsze był ode mnie wyższy. Kolejna rzecz, która pozwalała mu górować nade mną, jak przystało starszemu bratu. Uśmiechnąłem się półgębkiem, ale nie poprawiło mi to humoru. Mówi się, że ci, którzy nie uczą się na błędach, popełniają je znowu. Nie mówi się jednak, co się dzieje z tymi, którzy zapomną o nich całkowicie. Co planowały grendele, kiedy mnie stworzyły? Uciekłem od nich, czy pozwoliły mi odejść? A może wcale mnie nie ścigały, tylko śledziły moje ruchy?

Tysiące pytań i ani jednej odpowiedzi. Szybko mnie to zmęczyło. Lęk przed tym, co odkryję, równoważyła chęć dowiedzenia się czegoś konkretnego. Odetchnąłem głęboko, wstałem i dołączyłem do Nika i Robina w salonie.

- I co? Jesteś gotów potraktować mnie zakłębieniem? - spytałem w przychyliwie czarnego humoru.

- A zatem podjąłeś decyzję. - Było to spokojne stwierdzenie faktu. Niko z rezygnacją przyjął fakt, że od tej pory jestem panem swego losu i kapitanem własnej duszy. Miałem szczerą nadzieję, że ten metaforyczny statek nie pójdzie na dno, pociągając za sobą kapitana.

- Aha. - Przycupnąłem obok kanapy, na której siedział Niko, i oparłem ręce na kolanach. - Mam dobre przeczucia, wiesz, Cyrano? Nie martw się, okej?

„Dobre” to może za wiele powiedziane, ale byłem zdeterminowany.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - odparł mój brat szorstko. - Ale wezmę to pod uwagę. Sam nabrałem trochę otuchy, odkąd omówiliśmy z Filutem procedurę hipnozy.

- Raczej odkąd przesłuchałeś mnie w tej sprawie - poprawił go Robin z urażoną miną. - Hiszpańska inkwizycja mogłaby się wiele nauczyć od twojego brata. Wystarczyłoby ubrać go

w czerwony kaftan i idiotyczny kapelusz i już niedługo byłby pracownikiem miesiąca.

- Tak czy inaczej - ciągnął Niko - nabrałem zaufania do twoich umiejętności. Moim zdaniem raczej nie przerobisz umysłu Kala na budyń.

- Krytykować chwaląc. Czy to tylko takie powiedzenie, czy masz to wytatuowane na pośladku? - Robin oparł podbródek na dłoni i uśmiechnął się pożądliwie. - A jeśli tak, to czy mogę zobaczyć?

- Nawet nie próbuj! - zawołałem, unosząc dłonie, a Niko spiorunował mnie wzrokiem pełnym nienawiści. - To ty do niego zadzwoniłeś. Możesz mieć pretensję tylko do siebie. - Przerwałem i przekrzywiłem głowę z udawaną powagą. - I, oczywiście, do swojego uroczego tyłeczka.

Niko znów zwrócił się do Robina.

- Jak długo możesz go utrzymać w transie? Dzień, tydzień, dekadę, dwie? - Biedny Nik, znalazł się między młotem a kowadłem. Dobrze, że nie powiedziałem tego na głos - Bóg jeden wiedział, jakie znaczenie nadałby tej grze słów Filut.

- Rodzina to najlepszy z darów. - Pomimo cynicznego tonu miałem wrażenie, że Robin mówi szczerze.

- Nie masz żadnych braci? - spytałem z ciekawością. Wspomniał, że nie istnieją samice puków, więc na pewno nie było sióstr. - To szczęściarz z ciebie. - Szturchnąłem Nika boleśnie.

- Nie - potrząsnął głową. - Nasze metody prokreacji... Nie miewamy rodzeństwa. Mówisz, że czyni mnie to szczęściarzem... - Grymas jego ust było równie ponury jak spojrzenie zielonych oczu. - Pewnie można na to i tak spojrzeć. - Potem wstał gwałtownie i klasnął w dłonie. - Bierzmy się do pracy. - Wskazał na rozkładany fotel, który dotąd zajmował. - Usiądź.

Ostrożnie usiadłem w wyznaczonym miejscu i nagle poczułem niepokój, wbrew wszelkim wcześniejszym postanowieniom. Zobaczyłem, że Niko wpatruje się w moją spraną bluzę. Otworzył usta, ale w końcu nie skomentował tego.

- Jeśli zmienisz zdanie, Kai, to po prostu powiedz. Robin natychmiast przestanie. Prawda, Filut?

- Natychmiast - odparł puk pospiesznie. - Przysięgam na Zeusa. Albo na Baala. Na Boga, na Budę, na Amona-Ra. Wybierzcie sobie, co chcecie. - Przysiadł na poręczy fotela i spojrzał mi w oczy. - Zaczniemy od ćwiczeń relaksacyjnych, a potem pogłębimy ten stan. Wszystko to będzie zupełnie bezbolesne, może nawet nudne, usiądź więc wygodnie.

- Co? Nie będziesz mi kołysał przed oczami złotym zegarkiem na łańcuszku? - Poruszyłem się nerwowo. Ależ ze mnie nieustraszony zabójca potworów.

- Nie. - Robin uśmiechnął się uspokajająco. Wszelkie kpiny, prowokacje i czysta frajda z irytowania ludzi zniknęły bez śladu. Teraz był równie profesjonalny i pełen empatii jak najlepszy lekarz. - Żadnych zegarków. Żadnych amuletów. Być może każe ci się skupić na czymś w pokoju, ale tylko tyle. Gotów?

W ustach mi zaschło, ale skinąłem głową.

- Nik, nie pozwól wmówić mi, że jestem kurczakiem.

- Nie pozwolę. - Niko ścisnął lekko moje ramię, a potem pociągnął za ucho. - W każdym razie nie dzisiaj.

- Gotów? - powtórzył Robin.

- Aha. - Wzięłem głęboki oddech. - Raz kozie śmierć. Robin pochylił się nade mną.

- Słuchaj mojego głosu, Kai. To wszystko. Tylko słuchaj. Będzie to najprostsza, najłatwiejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś. Po prostu słuchaj.

Słuchałem. A potem świat odpłynął.

* * *

Gdy się obudziłem, miałem przed sobą ścianę, a pod sobą podłogę. Miałem wrażenie, że nie minęła nawet minuta. Przed chwilą jeszcze siedziałem na fotelu, a Robin mówił coś do mnie uspokajającym, melodyjnym głosem, a teraz... Gdzie ja byłem? Zamrugałem oczami i obraz się wyostrzył. Leżałem na podłodze, skulony w kącie salonu. Podwinąłem kolana pod siebie, ręce

przyciskałem do chłodnej powierzchni ściany i wpychałem głowę w narożnik, na tyle mocno, że ucisk był bolesny. Odetchnąłem głęboko, a powietrze paliło mnie w gardle niczym kwas. Gardło miałem bardzo obolałe. Dlaczego? -Kai?

Za mną rozległ się głos Nika. Był spokojny i opanowany... przynajmniej z pozoru. W głębi rozbrzmiewało coś, czego nie słyszałem już od dawna, od tamtej nocy, gdy wróciłem do domu: udręka.

-Nik... Co się stało?

Zdołałem odwrócić głowę, choć szyja zaprotestowała bólem. Była zeszywniała, skulona, zupełnie jak reszta ciała. Ale zdołałem poruszyć nią na tyle, by dostrzec Nika i Filuta przycupniętych za mną, kilka kroków dalej. Obaj wyglądali na mocno sponiewieranych, Filut miał ciemniejący krwiak na policzku, zadrapanie na podbródku i porwaną koszulę. Nikowi ściekała po twarzy krew płynąca z czterech równoległych zadrapań, a z warkocza wyszarpano kilka garści włosów. Wyciągnął do mnie rękę i czekał cierpliwie.

- Nik? - Mój głos był ochrypły i napięty z wysiłku, prawie niedosłyszalny.

Wydawało się, jakby skulił się w sobie, ale jego twarz pozostała spokojna i łagodna.

- Jestem tu, mały. Jesteśmy w domu. Wszystko w porządku. Jedna z moich rąk osunęła się ze ściany i wylądowała na podłodze. Patrzyłem na nią obojętnie.

- W porządku? Aha. Okej. - Nawet te kilka słów wywołało ból, jakby gdzieś w gardle wybuchł mi wulkan. Nie zwracając na to uwagi, spróbowałem poruszyć drugą ręką. Ścisnąłem ścianę tak mocno, że aż zbiały mi palce.

- Gardło mnie boli. - Spojrzałem na Nika i Robina. - Dlaczego?

Filut zbiał jak mleko. Przez chwilę jego oczy wyglądały jak ciemne dziury wybite w pobielącej twarzy, potem zerwał się na

nogi i uciekł. Za chwilę usłyszałem, że wymiotuje w łazience. Próbowałem się uśmiechnąć, żeby nie martwić Nika. Usta nie chciały mnie usłuchać, ledwie drgnęły.

- Powiedziałem coś nie tak?

- Chyba obwinia się za to, co się stało. - Niko przysunął się do mnie i, kładąc mi ręce na ramionach, delikatnie odwrócił mnie do siebie. A potem uściskał mnie tak mocno, że aż zatrzeszczały żebra. - I nie on jeden.

Patrzyłem na niego osłupiały. Poklepałem go po plecach.

- Nik, co się stało? - otoczenie powoli nabierało barw, zaczynałem czuć się sobą. - Skąd się tu wziąłem?

Niko puścił mnie i z roztargnieniem przetarł twarz, rozmazując krew.

- Ech, cholera! - Owinął rękę koszulką i otarł twarz do sucha. Była to prawdopodobnie jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy, jaką mój pedantyczny brat w życiu zrobił.

Wtedy dostrzegłem, że mam krew pod paznokciami. Była zupełnie świeża, podejrzewałem, że wiem, do kogo należy.

- Czego się dowiedzieliście? - spytałem, przelękając ślinę. - Z tej hipnozy? Czego się dowiedzieliście, do jasnej cholery?

„...czegoś, co byłoby tego warte?“, dokończyłem w myślach.

- Niczego. - Niko wstał, chwycił mnie za rękę i pomógł wstać. - Nie podziękuj, Kai, to wszystko.

To wszystko? Robin siedział w łazience, modląc się do porcelanowej muszli, obaj z Nikiem wyglądali, jakby ktoś ich sprzął na miazgę, a ja próbowałem przekopać się do Chin poprzez narożnik salonu i to wszystko? Nie, chyba nie.

- Co powiedziałem? - naciskałem, chwiejąc się niepewnie. Chwyciłem się koszulki Nika, żeby nie upaść. - Co mówiłem, gdy byłem zahipnotyzowany?

- Nie... - Niko urwał, zacisnął wargi i zaczął znowu: - Nie powiedziałeś nic, Kai. Ani słowa, przysięgam. - Niko podprowadził mnie w stronę kanapy i popchnął lekko. - Usiądź. Dam ci coś na gardło.

Gardło. Jeśli nic nie mówiłem, to czemu tak bolało? I wtedy zrozumiałem. Krzyk. Przez cały czas musiałem krzyczeć. A sądząc po stanie mojego gardła, to prawdopodobnie wrzeszczałem opętańczo. Gdy Niko zniknął w kuchni, usłyszałem głos Robina - cichy i niepewny.

- Kaliban... - Obróciłem się i zobaczyłem, że puk stoi tuż koło mnie. Twarz miał mokrą, a we włosach lśniły kropelki wody. -Wybacz mi - powiedział, wciąż blady. - Myślałem, że dam radę... Myślałem... Przepraszam.

- Co się stało? - spytałem, zniżając głos prawie do szeptu. Niko nie chciał nic powiedzieć, ale liczyłem, że Filut będzie bardziej rozmowny.

- To... - Robin potrząsnął głową. - Lepiej zapomnijmy o tym, co się stało. Nie powiedziałaś nic zrozumiałego. Cokolwiek ci zrobili, to znacznie wykracza poza moje umiejętności. Nie zdołasz przeżyć tego powtórnie. Przykro mi, że w ogóle przekonałem was do tego pomysłu. - Przeczesał włosy palcami. - A jeśli ja nie jestem w stanie tego osiągnąć, to znaczy, że to niemożliwe. Nigdy... Przenigdy nie pozwól nikomu innemu spróbować. Ledwie zdołałem sprowadzić cię z powrotem. Innych mogłoby to przerosnąć.

Zanim zdołałem zapytać o coś jeszcze - choć nie wiedziałem nawet o co - zjawił się Niko, niosąc kubek parującej herbaty.

- Wypij - polecił. - Miód, syrop z nieśplika i czosnek. Złagodzi ból gardła.

-Albo mnie dobije. - Zmarszczyłem podejrzliwie nos, ale potem wypilem łyk. Przed ziołowymi lekami Nika nie było ucieczki. Przez lata lekcji w dojo zdołał nauczyć się nie tylko walki. Wmuszając w siebie kolejny łyk, stwierdziłem ponuro:

- Zrobiłem wam krzywdę, tak? Co tu się działo?

- Nieprawda - zaprzeczył natychmiast Niko. - Po prostu stanęliśmy ci na drodze. Próbowalesz stąd uciec. Nie podniosłeś na nas ręki umyślnie, nawet nas nie rozpoznałeś. Działałeś w zupełnym amoku. To nie twoja wina.

- Tak? - Przez chwilę wpatrywałem się w złotobrazowy płyn, po czym wypilem resztę i oddałem Nikowi kubek. - Już lepiej - powiedziałem lekko. Co się tyczyło gardła - być może, ale ze wszystkim innym było co najmniej tak samo źle. Chyba wszyscy w pokoju o tym wiedzieli.

Robin przerwał ciszę, oznajmiając ponuro:

- Muszę się czegoś napić.

- Chyba wszyscy musimy - zgodził się Niko. Kolejna rzecz zupełnie niepodobna do niego. Niko z kuflem piwa? Koniec świata nadchodzi... a może już nadszedł. A Niko i Robin musieli na to patrzeć.

Ja przynajmniej miałem szczęście - przespałem całą tę imprezę.

To dziwne, ile otuchy może przynieść znajome miejsce, nawet jeśli to tylko stary, zrujnowany bar. Biorąc pod uwagę, ile godzin spędziłem na pracy w tej dziurze, można by przypuszczać, że będzie to ostatnie miejsce, gdzie chciałbym spędzać wolny czas. A jednak trafiliśmy właśnie tutaj. Wszyscy trzej od razu po wejściu skierowaliśmy się do baru. Stoły ustawione w narożnikach wydawały się zbyt zacienione. Zbyt oddalone. Nie lubiłem wprawdzie siedzieć plecami do całej sali, ale siedzenie w mroku podobało mi się jeszcze mniej.

Wciąż było na tyle wcześnie, że mieliśmy za towarzystwo jedynie małą, doborową grupkę zagorzałych alkoholików. Klepnąłem dłonią w kontuar, by przyciągnąć uwagę Meredith.

- Hej, Merry! Polej nam, co?

Skończyła ustawiać szklanki i podeszła do nas, opierając się sugestywnie o blat. Obcisła bluzeczka odcinana pod biustem miała dekolt na tyle głęboki, by szeroko zareklamować zawartość.

- Cześć, Kai. Kim jest twój nowy przyjaciel?

Powinienem się był domyślić. Merry prawdopodobnie wyczuła nadejście Robina, gdy był jeszcze pięć przecznic stąd. Świeże mięsko. Ding-dong. Dwa drapieżniki na ringu. Można by obstawiać zakłady, kto pierwszy zostanie pożarty.

- Wybacz, Merry. To jest Robin... eee... Rob Fellows. Barmanka pochyliła się jeszcze niżej, a bliźniacze półkule ledwie trzymały się w swoim bawełnianym więzieniu.

- Miło cię poznać, Rob - wymruczała gardłowo. - Naprawdę bardzo mi miło.

Filut obdarzył ją jedynie cieniem swego pożądanego uśmiechu, a spojrzenie, którym powiódł po jej piersiach, było niemal wyprane z żądy.

- Z pewnością nie tak miło jak mnie, dobra wróżko. Zwłaszcza że jest tu co poznawać.

Jego brak entuzjazmu był prawie niepokojący. Nie był to ten Filut, którego znaliśmy i ledwie tolerowaliśmy.

- Merry, ten człowiek musi się napić i to natychmiast - zarządziłem. - Szybko, zanim go całkiem stracimy.

- A tego byśmy nie chcieli, prawda? - Wypraktykowanym ruchem odrzuciła włosy przez ramię i zapisała nasze zamówienia. Była tak oczarowana Robinem, że nawet nie zareagowała, kiedy Nik zamówił piwo. Wprawdzie importowane, ale jednak alkoholowe - sam przeżyłem niezły szok, patrząc, jak pociąga z butelki.

- Nie ze szklanki? - Stuknąłem lekko szkłem o jego szkło. -Ty barbarzyńco.

- Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że butelki są tu czystsze od szklanek - odparł z pełną wyższości pogardą. Nie mogłem zaprzeczyć - sam myłem te szklanki.

Robin nie zawracał sobie głowy rozgrzewką - przeszedł prosto do konkretów. Czysta whisky. Bez lodu, bez wody - niemalże bez szklanki. Wymieniliśmy z Nikiem rozbawione spojrzenia. Filut twierdził, że Homer prawie go spoił, ale nie wierzyłem mu ani przez chwilę. Ten gość naprawdę nie wylewał za kołnierz. W ciągu godziny niemalże osuszył bar i wykończył Meredith prośbami o następne kolejki. Do baru napływało coraz więcej gości, a barmanka była coraz bardziej zaganiana, z każdym kolejnym klientem i z każdym kolejnym gestem Robina wołającego:

- Jeszcze kolejkę, dobra wróżko!

Filut czekał na ostatniego drinka, gdy w końcu zaczął chwiać się na stołku. Oparł głowę na ramieniu Nika, zanurzając twarz w jego jasnych włosach. Warkocz, dzięki mojemu napadowi, był tylko wspomnieniem. Robin odetchnął głęboko i wymruczał:

- Ładnie pachną te twoje włosy... Jak letnie słońce.

Niko westchnął cierpliwie i posadził go z powrotem na stołku. Puk jednak nie poddawał się łatwo i natychmiast zanurkował w brązowe loki siedzącej najbliżej kobiety.

-Ładnie pachną te twoje włosy... - powtórzył zadowolony. -Jak letnie słońce.

- I tym optymistycznym akcentem... - Niko wstał i przeciągnął się. - Twoja kolej niańczyć dziecko - stwierdził i ruszył w stronę łazienki.

Robin wykorzystał tę okazję, by rozsiaść się na opuszczonym stołku. Oparł głowę na splecionych ramionach i przyglądał mi się spod półprzymkniętych powiek.

- Cześć - powiedział z namaszczeniem. Można było nawalić się samym jego oddechem.

- Cześć, Loman - parsknąłem.

- Wszystko w porządku? - Chytry, sarkastyczny uśmiezek Robina zniknął bez śladu, kąciki ust opadły wyraźnie.

Wyraźnie się martwił i zadręczał tym, co się stało wcześniej. Miałem wrażenie, że Filut nie jest przyzwyczajony do popełniania błędów. To, co zobaczył, naprawdę zbiło go z tropu, może nawet bardziej niż mnie. W pewien sposób cieszyłem się, że eksperyment nie zadziałał. Prawdopodobnie świadczyło to

o tym, że jestem strasznym tchórzem. Nie zdobyliśmy żadnych informacji, nie zyskaliśmy nic prócz obolałego gardła i paru sińców. Biorąc pod uwagę, jakie wiązałem z tym nadzieje, powinienem chyba czuć większy zawód. Jednak w głębi duszy chyba obawiałem się, że odzyskane wspomnienia mogą mnie zmienić

i to niekoniecznie na lepsze.

- Wszystko w porządku - zapewniłem go. - Nie pamiętam niczego. To chyba dobrze, prawda?

- Obawiam się, że możesz mieć sporo racji. - Robin westchnął i zamknął oczy. - Szkoda, że ja nie mogę tego zapomnieć. - Potem nagle wyprostował się i otworzył oczy. - Teraz pewnie wyjedziecie z miasta? Biorąc pod uwagę, że nie udało nam się niczego dowiedzieć, twój brat pewnie poda tyły.

Wzruszyłem ramionami i napocząłem drugie piwo.

-Nik chce dla mnie jak najlepiej. Uparty z niego sukinsyn. Ale, szczerze mówiąc, ja jednak wolałbym zostać. Mam już dość tego uciekania. - Odstawiłem butelkę i dodałem bez przekonania: - Pogadam z nim, ale Nik jest, jaki jest.

- Szczęściarz z ciebie. Mieć takiego brata. - Robin nie zwrócił uwagi na kolejnego drinka, którego postawiła przed nim Meredith. Jego dobra wróżka, zdecydowanie mniej oczarowana niż z początku, przeszła go lodowatym spojrzeniem i odeszła szybko.

- Wiem. - Okazywanie uczuć komukolwiek poza moim bratem przychodziło mi z trudem, ale tym razem mogłem sobie na to pozwolić. - Dopóki mam Nika, wierzę, że jakoś przetrwam cały ten bajzel.

Przez jego lisią twarz przebiegł dziwny wyraz. Mógł to być smutek albo litość, a może oba te uczucia.

- Zdajesz sobie sprawę, że możesz żyć dłużej - znacznie dłużej - niż twój brat? - spytał przepraszająco. - Możesz pozostać młody, podczas gdy on się zestarzeje albo nawet...

Znów pociągnąłem z butelki.

- Nie - odparłem rzeczowo.

- Ale mógłbyś. Auphe są znane ze swojej długowieczności, tak samo jak my. Niewykluczone, że to odziedziczyłeś. Możesz żyć setki, tysiące lat.

Myślał, że nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Ale to on mnie nie rozumiał. Nie było takiej możliwości, żebym zdołał żyć dalej bez Nika, że przetrwałbym bez rodziny. Nie miałem nawet takiego zamiaru. Przysunąłem Robinowi szklanę.

- Pij swoją whisky, Loman. Wszyscy jesteśmy istotami z bajki. Będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Nie byłem pewien, czy zrozumiał dowcip, ale wychylił pół szklanki jednym haustem.

-Może przystopuj kolegę, zanim straci przytomność - zabrzmiał obok czyjś wesoły głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą znajomą twarz. Przy barze stał Samuel, gitarzysta Ordy - wyglądało na to, że poruszał się równie cicho jak zawsze.

- Gdybyś spędził z nim trochę czasu, inaczej byś śpiewał - odparłem z udawanym przygnębieniem. - Co ty tu robisz? Myślałem, że gracie dopiero w piątek.

Samuel oparł się o bar i błysnął zębami.

- A co? W inne dni nie wolno tu przychodzić? Nie mogę się po prostu napić?

- W inne dni nie należy tu przychodzić. A poza tym Fellows chyba już opróżnił bar do dna. - Całe życie spędziłem samotnie, za całe towarzystwo mając Nika, i teraz nagle poczułem się jakbym miał własny dwór.

- No cóż, nigdy nie miałem zwyczaju wcinać się między wódkę a zakąskę. Właściwie to przyszedłem po zapłatę za zeszły weekend. Dzyngis musi zasilić swój fundusz wsparcia skórzanych spodni. Szef jest u siebie? - Klepnął mnie przyjaźnie w plecy.

- Tallywhacker? Nigdy nie widziałem go nigdzie indziej. Powodzenia w wyrywaniu szmalu z jego spoconych łap.

- Mam swoje sposoby. - Samuel zamachał dłonią i zniknął na zapleczu.

Gdy spojrzałem przez ramię na Filuta, kątem oka dostrzegłem Meredith, która przeglądała się akurat w kieszonkowym lusterku, poprawiając włosy. Coś przyszło mi do głowy,

- Filut, co wiesz na temat nawiedzonych luster?

Puk uniósł brwi i zacisnął palce na opróżnionej szklance.

- To dość niespodziewane pytanie. - Jego słowa były nieco tylko rozciągnięte - nie bełkotał, ale i nie mówił wyraźnie. - Nawiedzone lustra? Duchy? - Zamachał palcami w powietrzu. - Uuu?

- Nieważne - machnąłem ręką i poprosiłem o kolejne piwo. - To nic takiego.

- Kaliban, nie wściekaj się. - Robin zaczekał, aż odbiorę swój napój i Meredith trochę się oddali. - Powiedz mi, o co chodzi z tym lustrem.

Zerknąłem w stronę łazienki. Niko właśnie wyszedł, ale Samuel zaczął go po drodze i teraz stali pogrążeni w rozmowie. Dobrze.

- To nie tyle problem, ile drobna upierdliwość. Trochę irytująca. Trochę podobna do ciebie.

- A jednak zwróciłeś się do mnie o pomoc - podsumował kwaśno puk.
- To dopiero zadziwiające.

Teraz ja musiałem go przeprosić. Ostatnio musiałem robić to dość często i nie byłem pewien, czy mi się to podoba. Co się stało z tym bezwzględny sukinsynem, którym byłem wcześniej?

- Przepraszam. - Wzruszyłem ramionami z zakłopotaniem. - Coś podąża moim śladem od lustra do lustra. To dziwne, wiem. I mam wrażenie, że to nie pierwszy raz. Nie wiem, co to jest, ale ciągle je słyszę. Śpiewa... a w każdym razie nuci. Może nie zna słów.

- To dość skąpe informacje. - Robin zmarszczył brwi i potarł podbródek. - Dużo istot ma zdolności muzyczne. Na przykład syreny. Albo szczurołap i jego zwierzątka.

- Flecista z Hameln? Czy jest na tym świecie ktoś, kogo nie znasz? - Uniosłem rękę w samą porę. - To było pytanie retoryczne. Czy ty przypadkiem też nie grywałeś na flecie?

- A jak myślisz: kto nauczył tego szczurołapa? Niewdzięczny gnojek.
- Puk westchnął i oparł się mocniej o bar. - Stare dzieje. Ale sęk w tym, że twój prześladowca to może być wszystko - od syren, poprzez duchy, aż po śpiewaczki operowe. Ale lustro... Hm, to bardziej ezoteryczne. Muszę nad tym pomyśleć. - Jego wargi skrzywiły się w zakłopotanym uśmiechu.
- Jak już mózg przestanie mi pływać w whisky.

- Okej. - Niko skończył rozmawiać z Samuelem i właśnie zmierzał w naszym kierunku. - Nie wspominaj o tym Nikowi, co? On i tak ma za dużo na głowie.

Robin cmoknął językiem i potrząsnął głową.

- Niech będzie, ale to nie ja będę mu się z tego tłumaczył. Jak już się o wszystkim dowie, to cię tak kopnie w tyłek, że się rozbijesz o księżyc.

Syknałem ostrzegawczo, a potem udawałem, że spokojnie sączę piwo.

- Twój kumpel Samuel jest bardzo miły - stwierdził Nik. W jego ustach nie był to komplement. Może i nie dorównywałem cynizmem swojemu bratu, ale całą podejrzliwość, ostrożność i nieskrywaną paranoję zawdzięczam właśnie jemu.

- Ale nie dla wokalisty - zauważyłem. - Ci dwaj zdecydowanie się nie kochają.

- Tak, zauważyłem. - Niko zmarszczył brwi. - Chyba przypadkiem dałem mu do zrozumienia, że wyjeżdżamy z miasta. Proponował, że zapłaci nam za pomoc przy wyładunku sprzętu w piątek. Powiedziałem, że nie damy rady, ale chyba zawahałem się trochę za długo.

- Niewybaczalna niedyskrecja - wycodziłem. - Straciłem dla ciebie cały szacunek, Cyrano. Chociaż, szczerze mówiąc, to raczej wina tego jednego łyku piwa.

Wyjeżdżamy z miasta. Tak jakby wszystko zostało już ustalone. Wszystkie moje argumenty nie zostawiły śladu na jego niewzruszonej determinacji. Mogłem obstawać przy swoim, ale i tak nie miałem wątpliwości, czyje będzie na wierzchu. Jeśli chodzi o czystą bezwzględność, to nie mogłem się równać z bratem. Już raz zagroził, że siłą wsadzi mnie do samochodu. Wiedziałem, że nie była to czcza pogróżka.

Robin przeczesał palcami włosy, a potem przetarł twarz. Nie pomogło mu to otrzeźwieć, ale zrobił, co mógł.

- Jesteś pewien, że musicie natychmiast wyjechać? Skąd wiesz, że gdzie indziej nie będzie problemu z auphe? Tutaj spotkaliście tylko jednego, a on już nie żyje.

- Lepiej nie ryzykować - odparł z naciskiem Niko, po czym złagodził ton: - Gdybym miał sobie coś wytatuować na tyłku, to właśnie byłoby moje motto.

W życiu Robina ludzie bez przerwy przychodzili i odchodzili - widziałem to w jego oczach. A biorąc pod uwagę, jak długo już był na świecie, musiało się to odbywać z przygnębiającą regularnością.

Jeśli nie odchodzili, wówczas on musiał odejść, by nie ujawnić swej prawdziwej natury. Jego życie było jedną wielką tułaczką, tak samo jak nasze. Gdybyśmy grali w westernie, to obraz zmieniłby się teraz,

ukazując rozległą prerię i gnane wiatrem liście. Ale w filmach wszystko było prostsze. Nie zazdrościłem Robinowi jego długiego życia, bardzo podobnego do nieśmiertelności. Śmiertelność była wystarczająco trudna.

- Rozchmurz się, Loman. - Traciłem go w ramię. - Prześlemy ci erotyczną pocztówkę.

- Naprawdę? - Puk wyprostował się i błysnął uśmiechem: beztroskim i niemal przekonującym. - Trzymam was za słowo. Nie dokończysz tego? - spytał i, nie czekając na odpowiedź, chwycił moją butelkę i pociągnął kilka sporych łyków.

- Chyba wieczór zbliża się ku końcowi, choć zabawa była przednia. Zapłać rachunek, Kai. - Niko ostrożnie wyjął Robinowi butelkę z ręki i postawił ją tam, gdzie nie mógł jej dosięgnąć. W jakiś dziwny, pokręcony sposób miałem wrażenie, że obaj jesteśmy odpowiedzialni za jego obecny stan. Gdybyśmy nie weszli przypadkiem do jego komisur, Robin nie musiałby teraz zalewać swoich smutków. Łatwiej być samemu, gdy nie ma innych opcji. Miał strasznego pecha, że to właśnie my zrobiliśmy mu nadzieję na lepsze życie, a potem postanowiliśmy zniknąć. Fiasko seansu hipnotycznego też zrobiło swoje. Tak właśnie w skrócie wyglądało moje życie: przynosiłem radość, gdziekolwiek się zjawiłem.

Wygrzebałem z kieszeni garść banknotów i spojrzałem na nie pesymistycznie. Nie ma mowy, żebym zdołał zapłacić rachunek Robina za pomocą dwóch dziesiątek i piąta. Zeskakując ze stołka, pomachałem do Meredith.

- Ureguluję jutro, okej? - Ignorując jej oburzony okrzyk, wskazałem na drzwi. - Zmywajmy się stąd, zanim weźmie sobie zapłatę w naturze.

- Atak krwiożerczej barmanki. Twój lęk jest całkowicie uzasadniony. - Niko parsknął i pomógł Robinowi dźwignąć się na nogi. - Filut, możesz dziś spać u nas na kanapie. - W tym stanie

nawet zwykły złodziej rozłożyłby cię na łopatki. - W ustach Nika była to najgorsza obelga.

- Na kanapie? - Robin zachwiał się i ziewnął. Senne zielone oczy prawie mu się zamykały. - A może udostępniłbyś mi swoje...

- Nic nie mów - przerwał Nik. - Nawet o tym nie myśl.

- Psuj - burknął Filut, gdy we dwóch skutecznie skierowaliśmy go w stronę wyjścia.

Wychodząc, spojrzałem przez ramię za siebie. Jutro prawdopodobnie zobaczę ten bar po raz ostatni. Już nigdy więcej nie poczuję tego niepowtarzalnego zapachu trocin i wymiocin. Nie będę musiał przechodzić ponad stałym klientem, żeby skorzystać z łazienki. Już nigdy nie zobaczę, jak wznosi się i opada najlepiej zbudowana konstrukcja w okolicy - piersi Meredith. Zostawiałem za sobą dużo rzeczy, zarówno dobrych, jak i złych. Ale tak czy inaczej, życie toczyło się dalej.

Niestety, tylko w połowie miałem rację.

Myśli, które przychodzą człowiekowi do głowy w pewnych sytuacjach nigdy nie są takie, jak sobie wcześniej wyobrażał. A może nawet nie takie, jakie powinny być. Weźmy na przykład mnie. Powinienem myśleć o tym, co widzę przed sobą, ale w rzeczywistości wszystkie zbiły się w jedną, bezładną, ledwie zrozumiałą masę krzyczącą: „Uciekaj!”. Instynkt samozachowawczy to w końcu głęboko samolubny mechanizm. Jest również cholernie trudny do zignorowania, ale zrobiłem, co mogłem i ukląknę na poczerwieniałej podłodze.

Byłem przyzwyczajony do widoku krwi, nawet do jej zapachu. Metaliczny smak, od którego gęstniała ślina, oblepił mi usta, aż w końcu czułem go wszędzie dookoła. Widywałem w życiu mnóstwo krwi - większość z nich należała do potworów, ale czasem także do ludzi. Ale nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego.

- Merry?

Mój głos był kruchy jak skorupka jajka. Sięgnąłem, by dotknąć aksamitnego policzka, który wciąż był miękki i ciepły. To był mój głos i moja ręka, a jednak nie pamiętam, żebym coś mówił albo wykonał jakiś ruch. Ująłem jej twarz - miałem wrażenie, że trzymam w dłoniach brzoskwinie rozgrzaną letnim słońcem. Było w tym coś magicznego, aż w końcu dotyk krwi spływającej mi na ręce wybił mnie z transu. I nagle ta istota, która kiedyś była człowiekiem, piękną, beztroską kobietą, odeszła. Była próżna, to jasne. No i co z tego? Śmiała się, flirtowała, pracowała, objęła się w robocie i miała więcej facetów, niż

zdołałbym zliczyć. Zawsze nosiła przy sobie zdjęcie bezdomnego kota, którego przygarnęła, i nakładała pół kilo makijażu na centymetr kwadratowy skóry. Próbowala śpiewać, ale fałszowała niemiłosiernie. Tańczyła jak bogini, która ma dwie lewe nogi. Była irytująca i rozpieszczona, ale nie zasłużyła na to. Nikt nie zasługiwał na coś takiego. Ta cudowna, żywa istota była teraz tylko kupą mięsa.

Znalazłem Meredith na zapleczu baru. Leżała na biurku Tally-whackera, jak ofiara na ołtarzu. Jej włosy spływały w dół jak szkarłatny wodospad, zabarwiła je krew ściekająca z gardła. Utworzyła kałużę pod głową i spłynęła po kosmykach włosów. Błada skóra na szyi została przecięta równoległymi cięciami, na tyle głębokimi, by przeciąć mięśnie i chrząstki, otworzyć tętnicę i utopić ją we własnej krwi. Jej ubrania pocięto na strzępy, a potem zrobiono to samo ze skórą. Szczupłe ręce, długie nogi, piersi i brzuch... nic nie ocalało. Jej brązowe oczy, teraz matowe niczym błoto, wpatrywały się obojętnie w sufit. Zdawało się, że widzi coś więcej, ale ja wiedziałem, że to nieprawda i że już nigdy nic nie zobaczy.

Wstałem chwiejnie, czując, że spodnie przesiąkły krwią na kolanach. Całe ciało miałem zupełnie odrętwiałe: nogi, ręce, nawet twarz.

- Tak mi przykro, Merry. - Ledwie zdołałem wymówić te słowa, bo wargi miałem sztywne i pozbawione czucia, ale musiałem spróbować. Musiałem powiedzieć, że jest mi przykro jak jasna cholera. Natychmiast wiedziałem, kto odebrał życie Merry, rozdzierając jej gardło. Rozpoznałem ich metody.

Grendele.

One to zrobiły. A biorąc pod uwagę, że ciało było wciąż ciepłe, a krew płynna, musiały to zrobić niedawno. Zostawiłem pistolet w domu. Zwykle tak robiłem, chyba że akurat wyprawiałem się na spotkanie z czymś dużym i złym. Policja robiła się nieprzyjemna, gdy złapali kogoś na noszeniu broni bez pozwolenia. Poza tym znacznie łatwiej ukryć nóż. Zaciskając dłoń wokół

rękojeści, żałowałem, że nie mam przy sobie czegoś cięższego i bardziej zabójczego. Skoro już jednak potrzebowałem ciężkiej artylerii, to równie dobrze mogłem sobie zażyczyć Nika.

Niko niestety został w mieszkaniu z Robinem. Cały dzień spędziliśmy na pakowaniu, załatwianiu niedokończonych spraw i czekaniu, aż Filut znajdzie nam samochód, na który będzie nas stać. Zanim dotarłem do baru, by wziąć ostatnią wypłatę i uregulować wczorajszy rachunek, nastał już zmierzch i na niebie wze-szedł blady księżyc. Drzwi były zamknięte, co samo w sobie trochę mnie zdziwiło. Nasi stali bywalcy prawdopodobnie zaczęli już wpadać w delirium tremens. Pchnąłem drzwi, a wtedy okazało się, że nie są zamknięte, a raczej czymś zabarykadowane.

Ciało Talleya leżało tuż pod drzwiami. Bezwłosy blady brzuch wylewał mu się spod koszulki, gardło miał poderżnięte, a wokół walały się strzępy porno pisemka. Przynajmniej umarł, mając przy boku miłość swego życia. Powinienem stamtąd uciekać, gdy tylko go zobaczyłem. Meredith miała być tego dnia w pracy. Miałem nadzieję, że znów się spóźniła - że ten zły nawyk tym razem uratował jej życie.

Wszystko na próżno.

W końcu oderwałem wzrok od jej nieruchomego ciała i gorączkowo przeszukałem pomieszczenie. Jedyne źródło światła stanowiła słaba żarówka, więc w kątach biura zalegały cienie. Powietrze było aż ciężkie od zapachu grendeli. Nie przypominał smrodu trolla, nawet nie był nieprzyjemny. Pachniały jak mokre liście, wilgotna ziemia i powietrze pełne ozonu po gwałtownej burzy. Może był to zapach jesiennego deszczu, a może zarośniętego chwastami cmentarza. A może powinienem przerwać to smakowanie powietrza i dzięki temu uniknąć wycieczki na cmentarz jeszcze przez jakiś czas.

Obróciłem się na pięcie i uciekłem. Ściskając nóż w dłoni, biegłem, czując, że serce podchodzi mi do gardła, nie oglądałem się za siebie. Już pożegnałem się z Merry. Przeprosiny miały potrwać dłużej. Zaprowadziłem wilki do owczarni, a owce na rzeź.

Nie byłem pewien, czy na świecie w ogóle istnieją odpowiednie słowa przeprosin. Przekonałem się o tym, gdy tylko dotarłem do drzwi wejściowych.

Nie był to mój drogi tato. Wprawdzie przed czterema laty wyszedłem z bramy w kompletnym amoku, nie mając pojęcia, gdzie byłem ani nawet kim jestem, ale w głębi serca wiedziałem jedno. Porwanie mnie z domu było ostatnią rzeczą, jaką ten grendel w życiu zrobił. I ja miałem z tym coś wspólnego.

A zatem nie, nie był to mój najdroższy tatuś, ale w zasadzie nie robiło to różnicy. Jakiś inny grendel, inny auphe - senny koszmar z pazurami, ostrymi zębami i niezaspokojonym apetytem na śmierć i zniszczenie. Przycupnął na zwłokach Talleya, zanurzając pazury w krwi rozlanej po podłodze. Wąska twarz spojrzała na mnie płonącymi oczyma, a zęby zaśniły w żarłocznym uśmiechu.

- Ka-li-ban. - Czarny język strzelił w powietrze. - Już nam nie uciekniesz.

Za sobą usłyszałem kolejny syk.

-Nie uciekniesz. - Gdy się odwróciłem, za mną stało pięć grendeli, bladokórych, z jasnymi włosami niczym rozmazane smugi światła w półmroku. Wszystkie patrzyły na mnie z maniacką i niemal pożądliwą radością.

Nadszedł sądny dzień.

Niko od początku miał rację. Zawsze tak było, nawet gdy z całej siły pragnąłem, by ten jeden raz się pomylił. Żałowałem tylko, że nie przyszedł tu ze mną, by nasycić się tryumfem. To by znacznie zwiększyło moje szanse. A tak stanąłem naprzeciw szóstki grendeli zupełnie sam. Samotnie nie należy ani żyć, ani umierać.

- Nie uciekniesz.

- Nie uciekniesz.

- Nie uciekniesz.

Różne głosy, ale zawodziły z tą samą wężową radością.

Mogły sobie zawodzić, ile chciały, bo zacząłem zwiewać jak diabeł przed święconą wodą. Już nie biegłem, a raczej leciałem. Staranowałem grendela blokującego drzwi i rozprułem mu brzuch

ciosem noża. Z rany wypadł sznur wnętrzności, a stwór wrzasnął, jakby palił się żywcem. Na szczęście nie był to mój problem. Odepchnąłem go na bok, napałem na drzwi i już byłem na ulicy. Oczywiście, wcale nie zrobiło się od tego bezpieczniej. Ale przynajmniej teraz miałem szansę uciec. Jeśli znów chciały mnie gdzieś zawlec, najpierw będą musiały mnie dorwać. To zadziwiające, jak szybko potrafi biec człowiek ratujący własne życie, jeśli do tego jest umazany krwią i ludzie schodzą mu z drogi. A zwłaszcza jeśli widać, że to nie jego krew.

Pomknąłem chodnikiem, czując, że każdy oddech pali mnie w płucach, każde uderzenie serca niemal rozrywa klatkę piersiową. W świetle latarni wyraźnie było widać zakrwawiony nóż. Wiedziałem, że już niedługo ktoś wezwie policję, ale na razie w ogóle o tym nie myślałem. Zanim tu dotrą, będę już daleko. Może na innej ulicy, a może na tamtym świecie, ale tak czy inaczej daleko.

Przerażone twarze, otwarte usta - wszystko to migało mi przed oczami. Ludzie rozbiegali się na boki, aż w końcu skręciłem i zanurkowałem w ciemny zaułek. Była to ciemna, opuszczona droga na skróty, z której rzadko korzystałem. Nigdy nie wiadomo, co może się czaić w takim zakamarku, ale tym razem żaden napastnik czający się w zaułku nie mógł być gorszy niż to, co następowało mi na pięty. Nie oglądałem się, ale wiedziałem, że mnie ścigają. Przemykały przez cienie, skakały po dachach i nieubłagane nadchodziły. Było to po prostu nieuniknione. Ani śmierć, ani podatki nie mogły się równać z grendelami.

Zaułek okazał się pusty i milczący, nie licząc odgłosu moich własnych stóp i kapania wody spływającej po brudnych ceglach. Biegłem po kałużach, nie próbując ich omijać, rozchlapując wodę na boki. Wypadłem z wąskiej uliczki i przebiegłem przez ulicę, nie zwracając uwagi na trąbienie i krzyki wściekłych kierowców. Nie przystanąłem, chociaż zderzak samochodu otarł mi się o nogę na tyle mocno, że aż zatoczyłem się w bok. Biegłem dalej. Już tylko kilka przecznic dzieliło mnie od domu. Dam

radę. Wciąż myślałem tylko o tym: dam radę. I, pomimo powątpiewającego głosu chichoczącego szyderczo gdzieś z tyłu głowy, rzeczywiście dałem radę.

Nie zwolniłem przy drzwiach wejściowych. Zamek nadal był wyłamany, więc stanęły otworem, gdy wpadłem na nie z impetem rozpędzonego pociągu. Przy akompaniamencie skrzypienia zardzewiałych zawiasów drzwi walnęły w ścianę z taką siłą, że klamka powinna się odbić w tynku. Dodatkowa robota dla dozorca, jeśli uprzątnięcie naszych martwych ciał nie wystarczy. Pomknąłem w górę po schodach, a każda kolejna sekunda ciągnęła się jak wieczność, wciąż nasłuchiwałem zgrzytu pazurów i szeptu: „Nie uciekniesz, niegrzeczny chłopczyku, nie uciekniesz”. Gdy w końcu dotarłem na sam szczyt, mięśnie nóg zbiły mi się w węzły i miałem taką kolkę, że czułem się, jakby ktoś wbijał mi kilof między żebra. Niezawracałem sobie głowy wyciąganiem kluczy, po prostu załomotałem pięścią i z trudem wciągnąłem powietrze do zmęczonych płuc:

- Nik! - Mój głos zabrzmiał ochryple, był prawie nie do poznania.

Drzwi stanęły otworem i padłem prosto w objęcia brata. Niko złapał mnie za ramiona jedną ręką - drugą ścisnął rękojeść miecza.

- Grendele?

Nie musiałem nic mówić. Tylko jedna rzecz mogła mnie wprawić w taką desperację, a Niko dobrze wiedział jaka.

- Są tuż za mną - potwierdziłem, wciąż ciężko dysząc. - Czekają w barze. Merry... - Urwałem na chwilę, zacisnąłem usta i znów zacząłem. - Merry nie żyje. Rozszarpały ją na strzępy.

Ręka Nika zacisnęła mi się na ramieniu.

- Gnoje. - W tym jednym słowie zawarł lodowatą furję.

- Auphe? - Głos Robina był cichy, prawie zrezygnowany. - Jednak nadeszły?

Niko zatrzasnął za mną drzwi i zaryglował zamki.

- W tej podłużnej torbie na łóżku jest drugi miecz, Filut. Sugeruję go wziąć. - Na pewno pozwoliliby mu uciec, gdyby było

dość czasu. Nie wiem, czy Robin skorzystałby z tej możliwości -nie mieliśmy szans się przekonać.

- Nie, dzięki. Odkąd was poznałem, zawsze noszę przy sobie swój. - W jego głosie pobrzmiwał wisielczy humor. - Dobrze, że przyszła już pogoda na prochowce, inaczej policja ganiałaby za mną jak auphe za tobą. - Puk sięgnął pod płaszcz i wydobyl stamtąd niewiarygodnie ostre narzędzie.

- W takim razie ja wezmę miecz. - Pistolet nie nadawał się do walki z grendelami, zwłaszcza w bliskim kontakcie. Było ich zbyt wiele, a do tego były cholernie szybkie. Oczywiście, nie przeszkodziło mi to wziąć swojej spluwy z sypialni. Może nie zdziała za wiele przeciw grendelom, jednak uznałem, że mogę jej potrzebować później. Idąc korytarzem, słyszałem, jak Niko i Robin przesuwają meble. Prawdopodobnie próbowali zabarykadować drzwi. Nasze zamki były znakomite, ale zamki nie na wiele się zdadzą, kiedy ktoś rozwali całe drzwi. Gdy otworzyłem torbę Nika i zacząłem wyjmować broń, usłyszałem znajomy odgłos. Jeszcze tego mi brakowało.

Mruczenie było znacznie głośniejsze niż w nocy. Głośniejsze, żywsze i może nawet weselsze. Nie ma problemu. Jak dla mnie, mogło sobie nucić, aż słońce zgaśnie, a księżyc rozpułynie się we krwi, innymi słowy, w nieskończoność. W tej chwili był to najmniejszy z moich problemów. Wziąłem sobie jeden ze stu zapasowych mieczy Nika i wyszedłem na korytarz. Zamierzałem przejść obok łazienki, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem i prawie mi się udało, póki nie doleciał mnie nowy odgłos. Nucenie zastąpił teraz powtarzający się zgrzyt. Był równie irytujący jak pisk paznokci przesuwanych po tablicy albo zgrzyt diamentu na szkłe. Niechętnie zatrzymałem się przy drzwiach do łazienki. Wprawdzie wilk dobijający się do drzwi stanowił teraz najważniejsze zagrożenie, ale nie chciałem też, by jakiś nieznany wróg wziął nas z flanki.

Obróciłem się i wszedłem do środka, trzymając miecz przed sobą. Jak zawsze uzbrojony po zęby. Włączyłem światło wolną

ręką i podszedłem do lustra. Przechodziłem to już kilka razy i wiedziałem, co zobaczę - swoje własne odbicie. Będę blady, z oczami rozszerzonymi ze strachu i złości. Grendele w końcu nadeszły i nie było mi z tego powodu do śmiechu. Miałem rację. Nie wyglądałem na zadowolonego. Właściwie to nie wyglądałem w ogóle. Po raz pierwszy spojrziałem w lustro i zobaczyłem swojego prześladowcę. Lewis Carrol cholernie się pomylił. Alicja wyglądała obrzydliwie.

Okrągłe oczy, srebrzyste jak tarcza księżycy, zamrugały leniwie. Czarne szpony poruszyły się po drugiej stronie lustra. Wszystko w tym stworze było czarne, nie licząc oczu. Skóra przypominała polerowany heban, gładki niczym wilgotna skóra salamandry znikającej w ciemnościach. Kształt jego głowy sytuował go pomiędzy gadem a humanoidem, była stożkowata i ostra jak u grzechotnika. Stwór był wielkości grendela, a może nawet mniejszy, ale najwyraźniej miał tę samą nikczemną naturę. Rozwidlony język bezgłośnie dotknął niewidzialnej bariery pomiędzy nami. Drobnie kły koloru skóry były zakrzywione w tył niczym haki. Było to jednocześnie groteskowe i... i na swój sposób piękne. Niepokojące połączenie ruchliwości głodnego pajaka i zmysłowego wdzięku kota, obce i straszliwe jednocześnie. Nie licząc głosu. Głos istoty był prosty i piękny, jak niskie tony świszczącego wiatru, przenikliwe piękno wilczego wycia albo szum powietrza w anielskich skrzydłach. Był to głos wysłannika Boga w niezbyt boskim opakowaniu. Jednak słowa, które wypowiedział, brzmiały zwyczajnie, choć nie miały sensu.

- Nie wyglądasz na żaden skarb - wymruczał słodko stwór. Wąska głowa przekrzywiła się ciekawie, a szpony zabębniły o szkło. - Ale wartość pewnie tkwi w oku patrzącego. - Mrugnął chytrze. - Tak samo jak piękno.

A potem wyrwał się z lustra i wylądował mi na piersi, wciskając mnie w przeciwległą ścianę. Odłamki srebrzystego szkła zadrapały mi twarz, po czym spadły z brzękiem na podłogę.

- Pamiętasz mnie? - spytał konwersacyjnym tonem, po czym polizał moją skórę. - Wyglądasz, jakbyś był samotny. Może do ciebie dołączę?

Nie wiedziałem, co stwór ma na myśli, ale nie brzmiało to zachęcająco. Dyskutowanie z nim nie wydawało się teraz najmądrzejszym rozwiązaniem. Chwyciłem napastnika za gardło i odepchnąłem od siebie, po czym rzuciłem się na niego z nożem. Chybiłem. Akurat w takim momencie. Ten mały złośliwy gnojek był szybki - to jedno musiałem mu przyznać. Przeskoczył mi nad głową i wylądował w miejscu, gdzie ściana łączyła się z sufitem. Zwisając do góry nogami, spojrzał na mnie zadowolonym wzrokiem.

- Mała świnko, mała świnko, pozwól mi wejść! - zawołał śpiewnie.

Zmrużyłem oczy i poprawiłem pozycję, balansując lekko na rozstawionych nogach.

- Mam tu coś, co możesz zdmuchnąć, zły wilku. Chodź i spróbuj. - Ogłuszający trzask dobiegający z przedpokoju trochę zepsuł mój pokaz brawury. Krzyk Filuta i głuchy odgłos metalu wbijającego się w ciało sprawiły, że odwróciłem się do Alicji plecami. Biegając korytarzem do salonu, przez cały czas spodziewałem się, że ostre pazury lada chwila wbiją mi się w plecy, ale słyszałem tylko chichot. Mnie bynajmniej nie było do śmiechu, zwłaszcza gdy zobaczyłem, co się dzieje w pokoju.

Grendele były wszędzie - przynajmniej dwadzieścia wdarło się już do mieszkania. Były nieuzbrojone, nie licząc tego, co otrzymały od natury, ale ostre pazury i zęby stanowiły doskonałą broń. Robin przebił jednego mieczem, ale drugi zdążył w tym czasie opleść go bladym, żyłastym ramieniem i zatopić mu zęby w barku. A Nik... Nika otaczał stos ciał. Cztery grendele leżały u jego stóp, a on tymczasem zamachnął się mieczem, by zdeka-pitować piątego. Troska o ostrze miecza poszła w niepamięć. Ocenilem sytuację jednym rzutem oka i rzuciłem się na grendela wgryzionego w Filuta. Podciąłem mu nogi, a potem chwyciłem

za delikatne, jedwabiste włosy, ściągnąłem go z Robina i pociągnąłem po podłodze. Filut burknął jakieś podziękowanie i skasował kolejne dwa potwory, wymachując mieczem z desperacką skutecznością.

Stanąłem do niego plecami, by chronić flankę, i przygotowałem się do odparcia kolejnego ataku. Wokół wciąż kłębiło się mnóstwo stworów. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu zupełnie nie chciały współpracować. Skupiały się na Niku i Robinie - mnie ignorowały albo wyskakiwały poza zasięg broni. Przez całe życie byłem przez nie na zmianę obserwowany i ścigany, a teraz, gdy już mnie dopadły, wydawały się dziwnie niezainteresowane. Warcząc z frustracji, rzuciłem się na najbliższego i przejechałem mieczem po jego klatce piersiowej, aż trysnęła krew. Stwór zasyczał z bólu i zamachnął się zakrzywionymi szponami. Jednak zatrzymał łapę o kilka cali od mojej skóry, zaciskając i rozprostowując palce. Potem uśmiechnął i zacharczał:

- Nie ma tak dobrze, braciszku. Nie ma tak dobrze.

A zatem były zainteresowane - po prostu nie chciały mnie uszkodzić. W końcu wiązały ze mną jakieś nadzieje, prawda? Nie wiedziałem, co przewidywał ich plan, ale najwyraźniej wymagał, bym pozostał w jednym kawałku. Wcale mi się to nie spodobało. Śmierć była dla mnie dopuszczalną opcją, ale powrót do grendeli już nie. Jeśli one nie chciały walczyć, to nie ma sprawy - ja nie miałem skrupułów. Rzuciłem się na krwawiącego stwora, zamierzając przeciąć tego złośliwego sukinsyna na pół. Niko trzymał drugiego za gardło, jednocześnie zatapiając mu miecz w brzuchu. Robin też radził sobie nieźle, chociaż po twarzy i szyi spływała mu krew. Nasze szanse nie wyglądały dobrze -powiem więcej - wyglądały tragicznie. A jednak nie zamierzałem się poddać. Zamierzałem stąd wyjść o własnych siłach albo zginąć, a obecność Nika i Filuta mogła przeważać szalę na moją korzyść. Grendele były twarde, ale my też. Mieliśmy szansę. Niewielką, bo niewielką, ale tonący brzytwy się chwyta.

Nagle brzytwa wyślizgnęła mi się z palców - to, co uważałem za najmniejszy problem, okazało się największym. Pędząc po ścianie, nadeszła Alicja. Biegła na czterech łapach, poruszając się zwinnie jak pies wyścigowy. Duży zły wilk miał już dość zabawy i postanowił przejść do konkretów. Na nieszczęście dla mnie, to ja byłem tym konkretem.

Naprawdę próbowałem uciec. Stoczyłem już w życiu dość walk, by nie zastygnąć z przerażenia w miejscu, i widywałem rzeczy znacznie gorsze od Alicji. Problem polegał na tym, że chociaż mój mózg się z tym zgadzał, cała reszta mnie wrzeszczała ostrzegawczo. Przez to mój unik w bok wydawał się niemożliwie powolny, jakbym był muchą uwięzioną w miodzie. Usłyszałem, jak Nik woła moje imię, a Robin wykrzykuje jakieś słowo, którego nie znałem i które docierało do mnie powoli, głoska po głosce.

Potem Alicja wpadła na mnie i wszystko zamarło.

- Mała świnko. - Stwór dotknął językiem mojej szczęki, delikatnie niczym matka pieszcząca niemowlę.

Siła zderzenia rzuciła mnie na fotel. Leżałem na resztkach zrujnowanego mebla, a Alicja przycupnęła na mojej piersi. Miecz wypadł mi z ręki, nie mogłem złapać tchu.

Blade oczy wpatrywały się we mnie uważnie. Próbowałem odetchnąć i wyrzucić z siebie jedno słowo.

-Nie.

Nie wiedziałem nawet, przeciwko czemu tak protestuję. Byłem jednak pewien, że Alicja nie zamierza zrobić nic dobrego. Ciężar na piersi, strużka śliny na twarzy, hipnotyzujące spojrzenie kobry - to wszystko było złe. Tak samo jak morderstwo, jak tortury, tak złe jak to tylko możliwe.

- Nie - powtórzyłem, mój głos był ostry i kruchy jak odłamek szkła. - Nie, ty sukinsynu. Nie.

Szponiaste łapy ujęły mnie pod brodę, unieruchamiając głowę.

-Nie martw się, Kalibanie. Nie będziesz musiał otwierać drzwi - zagruchał stwór uspokajająco, po czym uśmiechnął się ze złośliwym tryumfem. - Żadne zamki mi nie przeszkodzą.

Alicja miała rację. Moje zamki wytrzymały mniej niż sekundę, a potem stwór wniknął do środka. Próbowałem walczyć. Dobry Boże, walczyłem jak jeszcze nigdy w życiu. Każdy dotyk, odcisk jego palców na moim umyśle palił jak dotyk kwasu. Rozdzierał moją duszę jak papier, odsuwając na bok moją wolę niczym cieniutką firankę. Drapiąc i rwąc pazurami, wdarł się do samego środka, aż w końcu nie potrafiłem powiedzieć, gdzie on się kończył, a gdzie zaczynałem ja. Wlał się we mnie jak rzeka do morza, mieszając się ze mną, łącząc, aż staliśmy się jednym. Na dobre i na złe.

Póki śmierć nas nie rozłączy.

Nagle zobaczyłem świat w zupełnie nowym świetle i bardzo mi się spodobał. Wstałem, uniosłem ręce i poruszyłem palcami. Były ciepłokrwiste. Dziwne uczucie - obce i znajome jednocześnie. Rozejrzałem się, czując efekty zmieszania ciepłej krwi z czystą adrenaliną i uśmiechnąłem się szeroko.

- Ech, ci ludzie. Wiecznie napalone małe pętaki. Jak tu ich nie kochać?
- Wstałem i obciągnąłem bluzę, prychnąłem pogardliwie na widok spranego materiału. - Chyba żartujecie.

No cóż, tym zajmę się później. Opanowanie świata też miało swój harmonogram i wiedziałem, że jeśli nie wezmę się od razu do dzieła, to pokrzyżuję plany auphe w zarodku. Nie można do tego dopuścić. Klient ma zawsze rację i tak dalej.

Niko wciąż krzyczał moje imię, choć teraz trzymało go siedem auphe. Filut stał nieruchomo bez niczyjej pomocy. Świadomość tego, co widzi przed sobą, unieruchomiła go tak skutecznie jak auphe trzymające Nika. Miecz opadł bezwładnie, opierając się czubkiem o podłogę. Powiedział coś bezgłośnie. To samo słowo, które usłyszałem wcześniej, ale teraz rozpoznałem w nim własne imię:

- Mroknik.

Pomachałem radośnie palcami i mrugnąłem porozumiewawczo.

- Trafiony, zatopiony. Szkoda, że nie można dodać: „Lepiej późno niż wcale”, co, Filut?

„Mroknik" albo „banshee" - reagowałem na oba. Niestety, w żadnym bestiariuszu nie poświęcono mi za wiele miejsca. Samice banshee - o tak, te zawodzące suki były wszędzie, ale ja? Ich skromny brat, jeden z niewielu banshee płci męskiej na świecie? Gówno - o, tyle dostałem. Obrabowano mnie. To wstyd, by istota o moich talentach musiała spędzić całe życie anonimowo.

- Kaliban.

Odwróciłem się, by spojrzeć na Nika. Jak pewnie zaśpiewałby Król, „był cały wstrząśnięty". Nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek wcześniej zwrócił się do mnie pełnym imieniem. Wiedziałem, że kojarzy je z grendelami, i uparcie nie dopuszcza do siebie myśli, że jestem jednym z nich. Przez całe życie zaprzeczał, jakobym był potworem. Uśmiechnąłem się na samą myśl. Gdy tylko przypomniałem sobie, ile lat spędziłem, użalając się nad sobą i biadoląc, że jestem potworem... Cholera. Teraz dopiero wiedziałem, co to znaczy. Teraz zrozumiałem, co mnie ominęło.

Ale powoli. Najpierw praca, potem przyjemność.

Westchnąłem z żalem i sięgnąłem po pistolet tkwiący z tyłu za paskiem spodni.

- Wybacz, bracie. Chętnie bym został i pogadał, ale muszę lecieć, bo nie zdążę zniszczyć świata. Taki jestem zagoniony.

Twarz Nika stężała.

- Oddaj go. Kimkolwiek jesteś, oddaj mi mojego brata z powrotem. - Jego wzrok, utkwiony w mojej twarzy, groził straszliwymi konsekwencjami. Wiedziałem, na co patrzy - moje oczy, niegdyś szare, teraz stały się srebrzyste jak lustro.

- Z powrotem? - Uniosłem brwi i potrząsnąłem głową. - Jeszcze nie zdążyłem nawet wyjechać na jazdę próbną. A poza tym zachowujesz się, jakbyśmy grali w jakiejś podróbce *Egzorcysty*. Myślisz, że wystarczy oblać mnie święconą wodą i puff!, po wszystkim. Przykro mi, Cyrano, ale życie to nie film. - Odwróciłem się gwałtownie i wystrzeliłem z pistoletu.

Panoramyczne okno rozpadło się na kawałki. Lodowaty wiatr wdarł się do mieszkania, rozwiewając mi włosy, rozrzucając

gazety i porywając kropelki krwi ze skóry Nika zadrapanej szponami auphe. Szkło lśniło na podłodze jak okruchy lodu, a z zewnątrz przyzywała mnie ciemność. Czulem zapach miasta, zapach wolności. To był cudowny moment, a właściwie - cholernie cudowny. Tylko jedna rzecz mogłaby go jeszcze poprawić. Odwracając się na pięcie, przyłożyłem mojemu bratu trzydziestkę ósemkę do piersi.

- Czas ruszać w drogę, Nik. - Nie mogłem zostawić go przy życiu. Nigdy nie przestałby mnie szukać, a to mogłoby trochę pokrzyżować moje plany. - I dla ciebie, i dla mnie.

- Nie dasz rady. - Wydawał się bardzo pewny siebie. Szkoda, że nie miał racji.

- On by nie dał, ale my obaj? - Poczulem, że kąciki ust unoszą mi się w uśmiechu. - Damy radę. - Pociągnięcie za spust było tak łatwe, tak cholernie łatwe.

Jednak trafienie w cel okazało się trudniejsze. W miejscu, gdzie przed chwilą stał Niko, teraz znajdował się jakiś auphe, którego przypadkiem przedziurawiłem. Nie należy tak traktować pracodawcy.

- Ups. Wybacz, szefie - przeprosiłem. - Moja wina. - Auphe runął na ziemię, światło w jego oczach zgasło. Pomyślałem, że chyba nie dostanę premii.

Niko zdołał wyrwać się trzymającym go auphe, ale wciąż czepiało się go kilka innych turlających się po podłodze. Była to zażarta walka i naprawdę żałowałem, że nie mogę popatrzeć, ale rozkazy były jasne. Nie byłem w stanie trafić w Nika, a Robin nie stanowił wielkiego zagrożenia. Moja reputacja była szeroko znana i spodziewałem się, że puk zaraz po wyjściu spakuje walizki i wskoczy w najbliższy samolot. Niko wciąż pozostawał problemem, ale nie było to nic, z czym nie dałbym sobie rady. Ale to później.

Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem przed siebie. Usłyszałem stukot metalu o drewno, gdy pistolet upadł na podłogę. Było to jak dźwięk dzwonu. Biegnąc dalej, wziąłem głęboki wdech

i zanurkowałem. Nie wiedziałem, czy Nik zdołał wyrwać się auphe, czy go puściły, żeby mógł pognać moim śladem. Tak czy inaczej, poczułem, że chwytła mnie za koszulkę. Wiedziałem, że próbuje mnie zatrzymać, ale wyśliznąłem mu się z rąk. A potem poszybowałem.

Przez okno i w noc. Powietrze świstało w uszach. Światła zamigotały, gdy ulica wybiegła mi na spotkanie z oszłamiającą prędkością. Za sobą i wszędzie wokół słyszałem głosy auphe śmiejących się niczym łasica w króliczym gnieździe, ich włosy powiewały na wietrze jak ogon komety. Runęliśmy wszyscy w dół, zjednoczeni jednym morderczym zamiarem i czystą radością z siania zniszczenia. Brama otworzyła się przed nami i opuściliśmy ten świat. Ale mieliśmy jeszcze wrócić, by przerobić go na nowy... a może raczej przywrócić stary stan, bardzo stary. Jednak chwilowo zostawiliśmy go samemu sobie. Elvis odszedł.

Są różne prawdy o świecie.

Z deszczu pod rynnę. Najciemniej jest zawsze przed świtem. Na złodzieju czapka gore. Te małe mądrości, złote myśli, mnożyły się bez ograniczenia. Jeśli ludzkość była w czymkolwiek dobra, to niewątpliwie w mieleniu swoją zbiorową gębą. Mieli powiedzonko na każdą okazję. Ale jedno z nich pasowało do mnie bardziej niż inne. „Dobieraj przyjaciół ostrożnie”. Należało by to powtarzać bez końca. Dobieraj przyjaciół ostrożnie.

A także: „Wszystko ma swoją cenę”. To też mi się podobało.

Oba te powiedzonka dobrze podsumowywały moją filozofię życiową. Wybierz sobie odpowiednią stronę i bierz od niej zapłatę. Może określenie *auphe* mianem moich przyjaciół stanowiło pewną przesadę. Jednak kiedyś byli siłą, z którą należało się liczyć, i wyglądało na to, że znów tak będzie. Jasne, potrafiłem sam o siebie zadbać, ale nie należało zaczynać nowego tysiąclecia, mając z *auphe* na pieńku. A poza tym, jak już wspomniałem, miałem swoją cenę, a one były skłonne ją zapłacić. Szkoda tylko, że zadanie wymagało zatrzymania się w ich letniej posiadłości. Co przypomniało mi o kolejnej prawdzie życiowej :

Tumulus to nie Vegas.

Moja ciepłokrwista część wiedziała o tym więcej, niż którykolwiek z nas uważał za stosowne. Moja zimnokrwista część nie pozostawała w tyle. Obaj byliśmy w Tumulusie w tym samym czasie, dokładnie z tych samych powodów. Pracowaliśmy dla *auphe*. Nie było innego powodu, by zaglądać do tej dziury.

Stwierdziłem, że od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Vegas? Nic podobnego.

Żadnych knajp, żadnych lasek, żadnych kasyn. Ja piernicę -ledwie starczało powietrza. Spędziłem tam godzinę, dogadując szczegóły wielkiego planu auphe, i już z całego serca chciałem wrócić. Bratanie się z czarnymi owcami spośród magicznego bractwa stanowiło wprawdzie emocjonujące wyzwanie, ale auphe potrafiły być bardzo żywiołowe. Lubiłem dobre masakry, tak samo jak wielu. Niewielu natomiast mogłoby się pochwalić, że wykonywali brudną robotę dla istot, które praktycznie wymyśliły to określenie. Tak jest - mogłem zadawać się z najgorszymi z najgorszych, ale wszystko ma swoje granice.

Nic tak nie rujnuje dobrego pomysłu jak zagadanie go na śmierć z bandą śliniących się fanatyków. Jeśli auphe miały z tym jakiś problem, to dlatego że były zbyt ograniczone. Należało mieć w życiu jeszcze jakieś zainteresowania. Masakry były super sprawą, ale zostawało jeszcze wiele innych rzeczy, wcale nie mniej ciekawych. Lubiłem myśleć, że jestem istotą renesansu... a teraz nawet człowiekiem renesansu. Auphe nie umiały tego docenić, a ich główniana nora nie odpowiadała moim wyobrażeniom o luksusowym zakwaterowaniu.

Gdy przeszedłem przez bramę do Central Parku, miałem już po uszy lodowatych wichrów, ponurego, czerwonego nieba i stęchłego zapachu, jakby wokół rozkładały się tysiące zwłok. Miło było popatrzeć na trupy, a jeszcze lepiej było przerabiać na nie żywych, ale zapach mogłyby sobie darować. Źle robił na zatoki.

Powietrze w Nowym Jorku pachniało niewiele lepiej, ale było cieplejsze... przynajmniej trochę. Najwyraźniej pod moją nieobecność temperatura spadła na łeb. Upływ czasu w Tumulusie i w tym świecie nie były ze sobą w żaden sposób powiązane. Przejście z jednego miejsca do drugiego mogły dzielić albo minuty, albo tygodnie - nie było reguły. Auphe wiedziały, jak to działa, ale ja nie, i podejrzewałem, że bez Einsteina pod ręką

i drogiego kalkulatora nigdy nie zdołam tego rozgryźć. Szczerze mówiąc, nie przejmowałem się tym. Na oko minął jakiś tydzień albo dwa - jesień zaczynała się już zmieniać w zimę. Otrząsnąłem się z dziwnego wrażenia po przejściu przez szczelinę i poszedłem przed siebie. Teoretycznie rzecz biorąc, powinienem teraz umieć sam otworzyć przejście. To ciało zostało do tego zaprogramowane genetycznie. W końcu po to mnie wynajęto - do otwarcia największej ze wszystkich bram.

Ale chwilowo nie było takiej możliwości - auphe podkreślały to bardzo stanowczo. Tym razem nie chciały żadnych pomyłek. W końcu czekanie na sukces reprodukcyjny zabrało im całe lata. Nie chciały stracić swego jedyne go mieszkańca na skutek przypadkowej wycieczki na dno oceanu albo do wnętrza wulkanu. Żadnych wycieczek bez nadzoru. W porządku. Postanowiłem być grzecznym chłopcem. Przynajmniej przez jakiś czas. Mogłem podróżować w inny sposób. Mógłbym się założyć, że gdzieś jest jakiś sportowy samochód wprost stworzony dla mnie.

Ale żadnych luster. Nie byłem już ani zimnokrwisty, ani na tyle efemeryczny, by surfować po falach światła. Nie miałem nic przeciwko - w moim pojęciu była to uczciwa transakcja. Nigdy wcześniej nie wszedłem w nic żywego. Miałem za sobą długą i świetną karierę - byłem złotą rączką, specjalistą od wszystkiego. Najczęściej strzegłem różnych rzeczy. Pod względem opłacalności mało rzeczy mogło przebić pobieranie sówitej pensji za siedzenie na tyłku. Masz jakiś skarb? Żaden problem. Starożytny relikw z zamierzchłych czasów, który trzeba chronić za wszelką cenę? Da się zrobić. Zamek pełen cuchnących żywych lokatorów, których chcesz przerobić na cuchnące zwłoki? Gdzie mam podpisać? Mogłem wprowadzić się wszędzie - gdzie tylko zechcesz, na jak długo zechcesz. Pod moją opieką wszystkie skarby były bezpieczne. Jednak tym razem zatrudniono mnie nie tylko do pilnowania. Poznałem Kalibana na długo wcześniej, zanim zacząłem śledzić go w lustrach - a to także robiłem znacznie

dłużej, niż on sądził. Zostałem wynajęty przez auphe jeszcze przed jego narodzinami.

Praca przeważnie była niezła, a pensja i bonusy jeszcze lepsze, ale teraz miałem wrażenie, że długo nie wrócę do mieszkania w nieożywionych przedmiotach. Przez te wszystkie lata nie miałem pojęcia, że czegoś mi brakuje. Potrafiłem wprawdzie przybrać fizyczną postać, ale moja naturalna forma była bardziej nietrwała. Bezcielesna. A ludzkie ciało... Nie mogłem się nim nacieszyć. Żadnych błędnych ogników prześlizgujących się delikatnie poprzez żyły poskręcane niczym korkociagi, niewiele bardziej namacalne niż myśl. Ludzie mieli gorącą krew i serce pompujące je z siłą rwącej rzeki. Kipiące hormony podsycające każde uczucie. A adrenalina... Na litość diabła, dlaczego nikt nie wpadł na to, żeby ją butelkować i sprzedawać?

Spodobało mi się to ciało. Naprawdę czułem się w nim fantastycznie i pomyślałem sobie, że jeśli przetrwa cały ten plan auphe, to chyba nie będą mieli nic przeciwko, że poużywam go jeszcze przez jakiś czas. Jeśli jednak nie przetrwa, to będzie to dla mnie wielki zawód, ale żaden problem. Wtedy po prostu wskoczę w kogoś innego. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, możliwości ulegną drastycznej redukcji, ale takie były warunki. Wiedziałem, że jakoś sobie poradzę. Zawsze tak było.

Teraz zostało mi jednak parę dni, by po prostu poużywać życia. Szefowie potrzebowali czasu, by poczynić przygotowania, wybrać miejsce i zebrać tam całą populację. Do tego czasu musiałem zrobić tylko dwie rzeczy: utrzymać to ciało w jednym kawałku i dobrze się bawić. Jasne, było też kilka luźnych wątków, które należało zawiązać na kokardkę, ale na tym właśnie miała polegać dobra zabawa. Taki luzak jak ja nie potrafił za długo chodzić na pasku auphe. Wynajęły mnie do konkretnego zadania. A to, jak je zrealizowałem, było już wyłącznie moją sprawą. W końcu byłem profesjonalistą. Innymi słowy: nie ucicie ojca dzieci robić.

Czyżbym był zadufany w sobie? Może trochę. Mogłem obwiniać o to swoją nową postać, ale, cholera - zawsze byłem

z siebie zadowolony. Zarozumiałość - do tego mogłem się przyznać, ale nie byłem głupi. Istniały różne sposoby rozwiązywania problemów i to przy minimalnym udziale osobistym. Należało tylko znaleźć podwykonawców. Małe problemy wymagały mniejszego nakładu środków. Ciężką amunicję, taką jak ja, należało zachować na specjalne okazje. Ale to tylko połowa zabawy.

Zdarzało mi się już mieszkać w najgorszych dziurach, jakie istnieją. Możecie wierzyć albo nie, ale Tumulus wcale nie okazał się najgorszą z nich. Były jeszcze wilgotne, pogrążone w kompletnych ciemnościach jaskinie, gdzie za całe towarzystwo miałem ślepe larwy i grzyby na ścianach. Albo skrzynia zawierająca zdobione opalami kości królowej, która przez tyle lat leżała na dnie bagna, że aż straciłem rachubę. Kiedyś nawet zdarzyło mi się mieszkać w skamieniałym ciele bazyliuszka. Od dawna był martwy, do tego kamienny, a jednak nadal śmierdział. Nie pytajcie, jak to możliwe. I nie pytajcie, dlaczego klient uznał, że to barachło należy chronić, bo nie mam bladego pojęcia.

Ale przy tym... przy tym wnętrzości bazyliuszka wyglądały jak posiadłość Elvisa Presleya.

Usiadłem na skraju łóżka, zastanawiając się, czy plama pośrodku narzuty wygląda jak William Shatner czy raczej jak spasiony krwiożerczy yeti. Na podłodze leżał dywan przypominający włochacz (a przynajmniej przypominał go kiedyś) mający dokładnie kolor żółci. Na logikę, powinien się gryźć z zasłonkami z fioletowego poliestru, ale wcale tak nie było. Znajdowały się zbyt daleko na spektrum barw, by w ogóle je porównać. Jak jabłka i pomarańcze. Pochyliłem się i dotknąłem materiału. Kilka lat temu miałem bluzę w tym samym odcieniu. Marszcząc brwi, zacisnąłem tkaninę w dłoni. Zapakowałem ją tej nocy, gdy przyszły po mnie grendełe.

Moje brwi powędrowały jeszcze niżej. Skąd się wzięła ta myśl? Przecież to nie moja przeszłość. Nie była to nawet nasza wspólna przeszłość. Teraz nie byliśmy już dwoma skłóconymi

połówkami walczącymi o władzę, lecz zgodną całością. Nie dwie istoty współżyjące w jednym ciele, ale jedna, zupełnie nowa. Większa niż suma całości i górująca nad nimi pod każdym względem, dokładnie tak jak obiecywały *auphe*.

Oczywiście, mimo całego rozmachu przedsięwzięcia, i tak wylądowałem w najgorszym pokoju hotelowym w tym rejonie Jersey. Sama tylko wspólna łazienka była straszniejsza niż ja i *auphe* razem wzięci. Jej największą zaletą było to, że w żaden sposób nie przyczyniłaby się do wzrostu i tak już zbyt wysokiej populacji miasta. A jeśli chodzi o pokój, to zdecydowanie nie byłem tu jedyną żywą istotą. Pięć gwiazdek za życzliwą, rodzinną atmosferę, jedna za karaluchy i orgie w łazience.

Mimo wszystko, nie było mnie stać na nic lepszego - kwota, którą znalazłem w portfelu, nie była zbyt imponująca. Zastanawiałem się, czy nie odwiedzić *Promise* i nie przebić jej kołkiem w marmurowym foyer. Dla takiej zdobyczy z pewnością warto było zaryzykować. Powstrzymała mnie jedna rzecz, i to wcale nie fakt, że mój brat darzył gorącym afektem jej zimne, nie-umarłe zwłoki. Chodziło o ochronę - była pierwszej klasy. Oczywiście, *Promise* na pewno kazałaby recepcjoniście wpuścić mnie do środka, jeśli tylko *Niko* nie ostrzegł jej przede mną. Być może wpuściłaby mnie nawet mimo ostrzeżenia. Byłaby to dobra pułapka. Jednak wątpiłem, by zniknięcie *Promise* pozostało niezauważone dłużej niż jeden dzień. Szybko ktoś wpadłby na trop - jakiś ochroniarz albo sprzątaczką. Zbyt dużo zachodu jak na jedną noc przyjemności.

Szkoda.

Zdjąłem kurtkę i rzuciłem ją na chwiejny stolik w kącie, po czym ściągnąłem narzutę z łóżka. Pościel była w miarę czysta i mocno pachniała wybielaczem. Podejrzewałem, że wcale nie przeszkodzi mi to spać - byłem wykończony. Wcisnąłem poplamioną narzutę pod łóżko i padłem na materac, wkładając sobie pod głowę spłaszczoną poduszkę. Pomyślałem, że jutro dobrze byłoby zajrzeć do *Boboka*. Regularnie natykał się na drobnych

rzezimieszków i prawdopodobnie zgromadził już cały stos portfeli i biżuterii, z którą nie miał co zrobić. Powinienem był to zrobić już dzisiaj. Gdybym pomyślał o tym wcześniej, spałbym teraz na egipskiej bawełnie, a nie na czymś, co w dotyku przypominało papier ścierny.

Powinienem był, mogłem, byłbym. Tak czy inaczej, nie miałem na to siły. Ludzkie ciało miało mnóstwo zalet, ale i pewne wady. Potrzebowało snu i odpoczynku - wiedziałem, że ignorowanie tych potrzeb nie przyniesie nic dobrego, tylko niepotrzebnie mnie narazi. Niko krążył gdzieś w pobliżu i natychmiast wykorzystałby każdy przejaw mojej słabości. Sam bym tak zrobił. W końcu to on mnie tego nauczył. Uśmiechnąłem się sennie do swoich krwawych fantazji z udziałem starszego brata. Potem przetoczyłem się na bok i zapadłem w sen bez marzeń.

Życie jest piękne - po co komu sny?

Następnego dnia postanowiłem jednak złożyć Promise wizytę. Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że wprawdzie nie zdołam jej zabić i urządzić się w jej mieszkaniu, ale za to mogę ją zabić i ukraść wszystko, co nie jest przybite do podłogi. Plan wydawał praktyczny i zabawny - ci, którzy mnie znali, dobrze wiedzieli, że najbardziej cenię sobie dobra zabawę.

Nie było się dokąd spieszyć, więc kluczyłem sobie spacerkiem po Upper East Side. Tyle było tu ciekawych widoków. We wspomnieniach Kala wszystkie wyglądały znajomo, ale teraz spoglądałem na nie w zupełnie inny sposób. Barwy były wyrazistsze, zapach jedzenia, perfum i niedomytych ciał - ostrzejszy, piżmowy. Ulice były radosne i zalane słońcem, ale w zaułkach czaił się mrok, gniew, strach i fale bólu.

Jak tu nie kochać tego miasta?

Gdy w końcu dotarłem do budynku, w którym mieszkała Promise, uznałem, że najlepszą taktyką będzie stare i sprawdzone naleganie: „Byłem tu już tysiące razy, więc nie róbcie mi teraz problemów”. Każdy nowojorczyk zna ten sposób i wie, że czasem nawet się sprawdza. Kaliban był tu kilka razy, gdy pracowali z Nikiem jako ochroniarze Promise. Oczywiście, nigdy nie przychodzili za dnia, ale miałem nadzieję, że rozpoznam ochroniarza siedzącego na recepcji. A może jeszcze lepiej - że on rozpozna mnie.

Nie byłem ubrany w strój roboczy - wciąż miałem na sobie bluzę i džinsy, które nosił Kai, gdy go przejąłem. Należało to naprawić - po drodze zaczepiłem jakiegoś biznesmena w jednym

z tych ciemnych zaułków, w których czułem się jak w domu. Zostawiłem go bez koszuli, marynarki, krawata i portfela, ale za to darowałem mu życie... no, prawie. Portfel był żałośnie pusty, ale za to marynarka pasowała jak ulał. Trochę luźna w ramionach, ale nie na tyle, by zwracało to uwagę. Spodnie byłyby zdecydowanie za duże, więc nawet nie próbowałem go z nich rozbierać. Krawat okazał się większym problemem. Okazało się, że żaden z nas - nawet ja, mimo starego zamiłowania do stryczków - nie potrafi zawiązać tej ozdoby. W końcu cisnąłem go na chodnik i zapiałem marynarkę. Wciąż byłem w dżinsach, ale teraz mogło to jakoś ująć. Kai nigdy nie był modelem z żurnala. Z przyjemnością potarłem dłonią skradzione rzeczy i zamruczałem z zadowolenia. Nieźle.

Wciąż miałem przy sobie gumkę do włosów, więc ściągnąłem je bezlitośnie z tyłu. Włożyłem na nos ciemne okulary i wykonałem pierwszy ruch. Odźwierny przepuścił mnie bez problemu, podszedłem więc do biurka ochroniarza i poklepałem kieszeń marynarki.

-Mam bilety dla pani Nottinger - oznajmiłem. Ten gość oczywiście nie wiedział o pasożytniczych skłonnościach Promise, ale prawdopodobnie zarejestrował, że nie miała zwyczaju wychodzić w ciągu dnia. Nie chciałem wywołać podejrzeń, sugerując, że przyszedłem tu, by ją gdzieś odprowadzić. Udawanie, że coś dostarczam, wydawało się idealnym rozwiązaniem.

Na szczęście znałem tego gościa, a on znał mnie. Był to krępy mężczyzna o krótko przyciętych śnieżnobiałych włosach, na nosie miał okulary w rogowych oprawkach, zdradzające, że dni jego służby w policji już dawno dobiegły końca. Wciąż emanował nieznoszącą sprzeciwu stanowczością, ale gruszkowaty kształt jego tyłka na pewno nie wziął się z rygorystycznej dbałości o kondycję. Machnął ręką, wrzucił do kosza papierową torebkę po kanapkach. Najwyraźniej miał teraz coś w rodzaju przerwy. Tym lepiej - będzie bardziej rozkojarzony niż zwykle.

- Pracujesz z Nikiem, tak? - ziewnął. - Wchodź na górę.

Tak po prostu. Ekstra, nie?

Stojąc w windzie, nuciłem cicho do siebie. Mój głos nie przypominał wtedy ludzkiego i po kilku piętrach jakaś starsza kobieta z jeszcze starszym psem na rękę powiedziała z zaciekawieniem:

- Ma pan piękny głos. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam nic podobnego.

Przekrzywiłem głowę i obdarzyłem ją czarującym uśmiechem.

- To rodzinne.

Zeschnięte, pomarszczone płatki róż udające wargi uśmiechnęły się w odpowiedzi. Kobieta była otulona w futro z norek, na nogach miała skórzane pantofelki, a na ramieniu torbę od znanego projektanta. Ubierała się jak drapieżnik - w swoje ofiary. Ale Puszek-Okruszek mnie przejrzał. Maleńkie ząbki, stępiele i starte, obnażyły się w grymasie strachu i złości, a na futrzany płaszcz spłynęła kropla żółtego moczu. Jeszcze jeden dowód na to, że Puszeki tego świata są mądrzejsze od ludzi prowadzących je na zdobionych kryształkami smyczach.

Wysiadłem na piętrze Promise, ścigany warkotem psa i okrzykami zdumionej właścicielki. Jakimś cudem wprowało mnie to w jeszcze lepszy humor.

Ale w tej samej chwili zobaczyłem, że drzwi w przeciwległym końcu korytarza zaczynają się otwierać. Kto normalny wchodzi po schodach na dwudzieste drugie piętro? Nie mógł to być osobisty trener Promise, a zatem pozostawał tylko jeden człowiek.

Niko.

Spuszczenie łomotu mojemu bratu samo w sobie wydawało się dość atrakcyjne. Planowałem jak najbardziej rozciągnąć to w czasie, dokonując wielu krwawych eskapad, których już teraz wyglądałem z niecierpliwością. Ale nie w tej chwili. Tamtego wieczoru, gdy wyskoczyłem przez stłuczone okno, może nie wszystko poszło najlepiej, ale byłem wtedy trochę rozkojarzony. Włożenie nowego ciała jest trudniejsze niż zdjęcie koszuli z wieszaka. Potrzeba czasu i wyczucia, by nauczyć się, jak go

używać - dokładnie tak jak należy. Oczywiście, dałbym mu radę - w końcu był tylko człowiekiem - ale nie zaszkodzi zaczekać na odpowiedni moment.

Po lewej stronie znajdował się schowek na sprzęt do sprzątania - wślizgnąłem się do środka, przymykając za sobą drzwi. W środku było trzy razy więcej miejsca niż w tym zarobczo-nym pokoju, w którym spędziłem noc. Szczotki i inne przybory elegancko pochowane w dębowych szafach. Drzwi same w sobie wyglądały jak dzieło sztuki wzięte prosto z pałacu sułtana. Nie zapalając światła, stanąłem przy uchylonych drzwiach, wyglądając przez szparę. Nie zdjąłem okularów. Widziałem w nich równie dobrze, a nie chciałem, by przypadkiem zdradził mnie błysk srebra.

Niko wyszedł z klatki schodowej. Wspinaczka zupełnie nie zrobiła na nim wrażenia, ale poza tym nie wyglądał za dobrze. Oznaki rozpaczki były bardzo subtelne i gdybym nie znał go tak dobrze, mógłbym nie zwrócić na nie uwagi. Ale Kai potrafił wypatrzeć wszystkie oznaki stresu na jego twarzy - kości policzkowe zdawały się ostrzejsze, usta bardziej zaciśnięte, a cienie pod oczami odcinały się od poblądłej cery. Jednak najlepszy dowód stanowiły same oczy - były bardziej ponure niż całkiem opuszczony cmentarz.

Doskonale. Idealnie.

Z ciekawością patrzyłem, jak puka do drzwi Promise. Zastukał tylko raz i to delikatnie, ale drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Wampiry mają dobre uszy. Promise w ogóle miała dużo dobrych rzeczy, a uszy nie znajdowały się nawet w pierwszej dziesiątce. Stała w drzwiach zdumiona, najwyraźniej zaskoczona przybyciem Nika. Miała na sobie szlafrok z fioletowego jedwabiu, a rozpuszczone włosy opadały jej do pasa, niczym lśniący brązowy potok. Z szyi zwisał jej sznur paciorków, opadając pomiędzy piersi. To były perły... Spała w naszyjniku z pereł. Było w tym coś bardzo erotycznego i nagle poczułem jakieś drgnięcie w dole.

- Niko? - Wampirzyca nie próbowała nawet okryć się ciaśniej szlafrokiem. Może nie zwróciła na to uwagi, może jej nie zależało, a może jedno i drugie. - Co ty tu robisz? - Błada ręka dotknęła jego piersi. - Co się stało?

Hm. Wygląda na to, że nie tylko ja potrafiłem dziś odczytać nastrój Nika. Na chwilę opuścił głowę... Niewiele, może o kilka milimetrów, ale dla niego było to równoznaczne z wyznaniem, że dźwiga jakiś nieznośny ciężar.

- Potrzebuję pomocy - powiedział głosem, którego nie poznawałem. Ani jako Kai, ani jako ja. - Straciłem... - Urwał, odkaszlnął, po czym dodał z mechaniczną determinacją. - Straciłem Kala.

„Straciłem”. Nie „zgubiłem”, tak jak można by zgubić ulubioną parę skarpetek. Powiedział to takim tonem, jakby naprawdę w to wierzył. „Straciłem”, tak jak można stracić dziecko, które zniknęło w drodze ze szkoły i już nigdy nie wróciło. Żonę, której dłoń wyslizgnęła ci się z ręki i na twoich oczach porwała ją wezbrana rzeka. Brata, który runął z okna prosto w mrok, a potem rozpląnął się w nicość.

Czyli krótko mówiąc, na dobre.

Niko nie był zdolny do utraty kontroli nad sobą. Była to część jego istoty, podobnie jak jasne włosy i zabójcze ostrza. Nie potrafił jej utracić, ale po bokach zaczynała się sypać. Patrzyłem, jak opiera czoło na czubku głowy Promise. Poza tym nie wykonał żadnego ruchu, po prostu zmęczony powtórzył z niedowierzaniem:

- Straciłem go.

To Promise pierwsza wykonała ruch: otoczyła go ramionami i przycisnęła do siebie. Było to wzruszające jak diabli, prawie mi łezka pociekła. Spojrzałem na zegarek. Miałem mało czasu, trzeba było pozabijać sprawy, pozabijać ludzi, a ta manifestacja miłości tylko zabierała czas. Szkoda, że straciłem pistolet przed podróżą do Tumulusu. Mógłbym strzelić mojemu bratu w plecy, a przy okazji uszkodzić trochę tę kiczowatą kratę przy drzwiach.

Po chwili Niko znów stanął prosto, jakby żałując okazanej słabości.

- Muszę go odszukać.

- Odszukasz. - Promise wzięła go za rękę i zachęciła, by wszedł do środka. Gdy znikali za drzwiami, usłyszałem jeszcze jej głos mówiący: - Pomogę ci, jak tylko zdołam.

Cudownie.

Cudownie. Teraz miałem na głowie człowieka, puka i wampira. Wszyscy jakby się zmówili, by zepsuć mi zabawę. Teraz Promise połączy siły z Nikiem i Filutem, a ja wciąż byłem bez pieniędzy. Ale dzień się jeszcze nie skończył, a wokół były przecież inne źródła, które mogłyby zaspokoić moje zamiłowanie do luksusu. Bobok zdawał się na ten moment najlepszą opcją. Wyszedłem ze schowka i poszedłem złożyć mu wizytę.

Znałem go jeszcze z czasów, gdy był kijanką kaszającą wędrowców po kostkach. Mijały lata, czasy się zmieniały, ale jedna rzecz bez wątpienia pozostała taka sama: niezaspokojony apetyt Boboka. Mógłby służyć za przykład żelaznej konsekwencji w czasach, gdy nie istniała nawet idea konsekwencji, nie mówiąc już o słowach na jej określenie. A zatem zjawiłem się, przynosząc ze sobą prezent. Rozwarłem palce i pozwoliłem mu runąć na ziemię. W drugiej ręce trzymałem coś dla siebie - pikantnego hot doga z serem i cebulką.

-Bobby - oznajmiłem nonszalancko, odgryzając kawałek smakołyku. - Wyłaż i bierz go. Przyniosłem ci śniadanie. Chcesz sadzone czy w koszulce?

Błoto poruszyło się, tworząc leniwe fale, a potem Bobok uniósł głowę, ukazując pomarańczowe oczy przypominające lampiony z dyni. Wyglądał jak dziwna, prehistoryczna żaba.

- To znowu ty - wybełkotał z rezygnacją. Jednak rezygnacja szybko ustąpiła innemu uczuciu, pomarańczowe spojrzenie zogniskowało się na mnie, oczy rozszerzyły mu się ze strachu. - To ty! - Tym razem jego ton był inny i znacznie mniej spokojny.

- To ja - Wyszczrzyłem zęby, zdejmując jednocześnie okulary, które ukradłem ulicznemu sprzedawcy, i odsłoniłem swoje piękne srebrne tęczówki. - Ale czy jesteś pewien, że wiesz, który ja? Bo chętnie usiądę i wszystko ci wyjaśnię. Wiesz, przez wzgląd na stare czasy.

Bobok nie skorzystał z zaproszenia - powoli wynurzył się z błota, wpatrując się we mnie uważnie. Po chwili rozchylił pysk, odsłaniając zęby.

-Połączyłeś się z nim. Z człowiekiem. Jakie to obrzydliwe. Perwersyjne. - Gdyby miał wargi, prawdopodobnie zacisnąłby je, a potem splunął z obrzydzeniem.

-Ależ z ciebie delikatniś! - parsknąłem. - Gość był tylko w połowie człowiekiem. A teraz nie jest nawet tym. - Postawiłem stopę na nieruchomym ciele leżącym na ziemi i popchnąłem mocno. Stoczyło się po zboczu i wpadło do sadzawki z głośnym plaśnięciem. Właściciel był umięśniony i dość młody - prawdziwy przysmak dla Boboka. Szedł moim śladem aż do parku i nie robił tego ani w połowie tak dyskretnie, jak mu się wydawało. Miał przy sobie nóż, kajdanki i własnej roboty garotę, a oczy płonęły mu pożądliwie. Nie wiedziałem, czy chciał ode mnie pieniędzy, czy czegoś bardziej nietypowego, ale nic mnie to nie obchodziło, Boboka zresztą też nie. Mówił, że mordercy i gwałciciele smakują dokładnie tak samo.

Jak kurczak.

Tak czy inaczej, był to szczęśliwy traf i wykorzystałem go z dużą radością. Dzięki temu oszczędziłem sobie chwytania i wleczenia jakiegoś wrzeszczącego miłośnika joggingu do lasu.

- Wcinaj, wielkoludzie, a potem pogadamy o interesach - zachęciłem, siadając na brzegu, by dokończyć swojego hot doga. Ja nigdy nie przepadałem za drobiem.

Bobok ustąpił niechętnie.

- Ty tylko interesy i interesy. Nie widzieliśmy się tysiąc lat i pierwsze co robisz, to prosisz o przysługę. Przynajmniej tym razem przyniosłeś coś na wynos.

Podczas gdy mój stary kumpel spożywał główny posiłek dnia, ja opowiedziałem mu o swoich planach i wyjaśniłem, czego właściwie od niego potrzebuję. Nie był zbyt szczęśliwy, ale nie wziąłem tego do siebie. Boboki rzadko bywają szczęśliwe, to nie leży w ich naturze. Ale nic nie szkodzi - ja miałem dobry humor za nas dwóch.

- Przestań narzekać - poleciłem, wycierając ręce z musztardy o kepe zwiędniętej trawy. - Co z tego, że musisz się przeprowadzić. I tak wyglądasz słabowicie. Zmiana klimatu dobrze ci zrobi.

- To przez te zanieczyszczenia - powiedział ponuro, oblizując zakrwawione zęby. - Źle mi robią na łuski. Co rano tracę ich całe wiadro. Tego się nie da zczesać, wiesz?

- Tak, to straszna szkoda. - Oparłem ręce na kolanach i zwiesiłem dłonie swobodnie, wpatrując się w Boboka zmrużonymi oczyma. - Minęło sporo czasu, co, Bob? Nieźle się urządziłeś w tym bufecie. Bandy ci wpadają ci wprost do pyska, wystarczy ruszyć szponem. Nie wiem, czy wytrzymasz ostrą jazdę. - Odchyliłem się, włożyłem okulary i głośno powtórzyłem: - Naprawdę nie wiem.

Pomarańczowe oczy spojrzały na mnie koso.

- Uważasz, że straciłem formę. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- Nie ma znaczenia, co ja uważam, Bobok. - Mój głos był miękki, ale błysk zębów - wprost przeciwnie. - Liczy się tylko to, co ty zrobisz. Jestem przyzwoitym facetem. Uwierzę ci na słowo.

- Prawdziwy kumpel z ciebie - powiedział kwaśno. - A co ja będę z tego miał? Chcesz, żebym się przeprowadził. Chcesz zabrać moje pamiątki. Chcesz, żebym zaryzykował swój ubłocony tyłek. I w imię czego? Mogę ci pomóc, ale co ty, u diabła, zrobisz dla mnie w zamian?

- Nie licząc drobnej przekąski? Nie licząc starych sentymentów? - Wstałem. - Nie obedrę cię ze skóry, Bobby. Nie przerobię

cię na futrzaka przed kominkiem. Co ty na to? Myślisz, że to uczciwa oferta?

Okazało się, że tak właśnie myślał.

Dostałem do Bobby'ego prawie osiem tysięcy dolców i pełną garść złotej biżuterii. Ozdoby, głównie grube łańcuchy, były raczej kiczowate, z gatunku tych, które doceniłby chyba tylko Mr. T, ale powinny być warte niezłą kasę. Pozwoliłem mu zatrzymać ciuchy i puste portfele. Gdy odchodziłem, stwór ponuro grzebał szponem w przetrzebionym stosiku pamiątek, a z jego piersi wydobywały się bulgoczące westchnienia. Boboki lubią swoje zabawki. W sumie było to dość nudne życie - jeść, łamać kości i siedzieć w mule. Ładne cacka trochę przełamowały monotonię jego nory. A jednak Bobok oddał mi większość swoich drobiazgów. Dlaczego? Może przez wzgląd na stare czasy? Na naszą przyjaźń? A może dlatego, że nie byłby pierwszym bobokiem, którego obdarłbym ze skóry niczym winogrono?

Bingo.

Boboki były duże i walczyły zaciekle, ale zdecydowanie nie można ich uznać za najbystrzejsze stworzenia w okolicy. Nie miały pojęcia o taktyce, miały też żałośnie krótki okres skupienia uwagi. Nie były łatwym celem, ale daleko im było do szczytu hierarchii w bestiariuszu. Wystarczyła odrobina wytrwałości i trochę pomysłu, by rozłożyć je na łopatki. Ale postępując zgodnie z moimi wskazówkami, Bobok powinien dać sobie radę.

Schowałem pieniądze do kieszeni i złapałem taksówkę do najbliższego lombardu. Tylne siedzenie pachniało jak nora Boboka, ale ustępowało jej wyraźnie pod względem higieny. Kierowca był ghulem. Już od dawna ich nie widywałem. Ten konkretny udawał starszą, pomarszczoną kobietę w lenonkach, z ustami jak pułapka na szczury. Większość ghuli żyła na pustyniach, napadając na nieświadomych niczego wędrowców niczym cuchnący wiatr. Żyły na świecie po to, by zwodzić i irytować podróżnych, ściągać ich ze szlaku i czasem pożerać. Jakaż rola

mogłaby być dla nich bardziej odpowiednia niż kierowcy taksówki? A cóż może być bardziej irytującego niż bycie pożartym?

Stwór zerknął na mnie przekrwionym okiem i uznał, że poprzestanie na naciągnięciu mnie na drobną kwotę. Byłem w tak dobrym humorze, że zapłaciłem mu tyle, ile chciał. Powietrze iskrzyło jak naładowane. W czasach, gdy zostało nas tak niewielu, znalezienie się pośród tylu współbraci było elektryzujące. Gdy zamknąłem oczy, mogłem niemal dostrzec ładunki - trzaskające błękitne i niebieskie linie. Całkiem jak w dawnych czasach. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak bardzo za tym tęsknię. Znalazłem się jednak w największej zagrodzie dla bydła na Wschodnim Wybrzeżu. Innym razem uznałbym to za niezwykłą frajdę. Niestety, ludzie nie byli już tak zabawni jak kiedyś. Zrobili się delikatni i powolni. To prawda - mieli do dyspozycji lepszą broń, ale nie przydawała im się na wiele. Ekscytujące wyzwanie, z jakim musieliśmy się mierzyć, gdy byli jeszcze dzicy, zniknęło... Ale już wkrótce miało powrócić. Cały krajobraz miał się zmienić - fizycznie, kulturowo oraz pod każdym innym względem. Dzięki aupte zyskaliśmy odpowiednią technologię - mogliśmy zmienić historię.

Sprzedawca w lombardzie był człowiekiem, ale bynajmniej nie tak miękkim i powolnym jak większość jego braci. Spojrzał na mnie paciorkowatymi oczami zza rdzewiejących krat.

- Tak? - Ogolona głowa lśniła słabo w świetle fluorescencyjnej lampy. Upstrzoną plamkami skórę częściowo pokrywał zarost, a wokół szyi widniał czarny wzór tatuażu przedstawiającego obrożę z drutu kolczastego. W paru miejscach dodano kroplę krwi ściekającą po kolcach. Wzór był wyraziście brzydki. Dotknąłem gardła opuszką palca i przez chwilę zastanawiałem się, jak wyglądałby na mnie.

Rzuciłem biżuterię na metalową tackę i patrzyłem, jak sprzedawca wciąga ją z powrotem przez otwór w kracie.

- Babcia zapisała mi w testamencie parę świecidełek - wyjaśniłem z uśmiechem.

Mężczyzna uniósł gruby łańcuch z wielkim wisiosem w kształcie liścia marihuany.

- Jasne - wycedził i dalej grzebał w stosiku kosztowności.

- Była nowoczesną babką. - Poprawiłem okulary. - Ile za to dostanę?

- Osiemset dolców - odparł tamten bez zainteresowania. Zakołysałem się na piętach i skrzyżowałem ramiona.

- To może spytam inaczej: ile to jest warte?

Żółtawe zęby obnażyły się w drapieźnym uśmiechu, jak u wściekłego psa.

- Dziewięć, może dziesięć tysięcy. Ale jak dla ciebie: osiem stów. Bierzesz czy nie?

Chciałbym powiedzieć, że go przycisnąłem i zmusiłem chciwego sukinsyna, żeby wyskoczył chociaż z trzech tysięcy, ale niestety. Miałem rozwiniętą zdolność przekonywania, ale wszystko spłynęło po nim jak po betonie. Mógłbym go zastrzelić, ale zgubiłem pistolet, poza tym kraty znajdowały się pomiędzy dwiema szybami z kuloodpornego szkła. Jeszcze wczoraj zdołałbym przecisnąć się między jego molekułami i rozerwać ciało na małe cząsteczki, takie na jeden kęs. Ale dzisiaj byłem już inny. Byliśmy inni. A zatem schowałem dumę do kieszeni, wziąłem pieniądze i skierowałem się do wyjścia.

- Masz zapalki, wesołku? - spytałem jeszcze w ostatniej chwili.

Mężczyzna rzucił pudełko na tackę i popchnął w moją stronę z obleśnie zadowoloną miną.

- Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu.

To wcale nie tak mało. Zajrzałem do zaułka na tyłach lombardu i jak raz znalazłem tam bezdomnego skulonego przy wejściu z prawie pełną butelką wódki. Zamruczałem z zadowoleniem -właśnie oszczędziłem sobie wyprawy do sklepu monopolowego. Już po dwóch minutach budynek stał w płomieniach, a żul uciekał przerażony. Miałem nadzieję, że wesołek z lombardu upiecze się jak prosię na ruszcie.

Słyszając nadciągające wycie syren, udałem się śladem żuła. Niewykluczone, że wesolek jednak ujdzie z życiem, a to byłaby wielka szkoda. Niestety, nie mogłem zostać i dopilnować, by do tego nie doszło. Ale mogłem się założyć, że moje warte dziewięć tysięcy dolarów złoto nie wystarczy nawet na przeszczep skóry, nie mówiąc już o odbudowaniu lombardu. Mijając oszkloną witrynę, zaszalutowałem swojemu odbiciu. Teraz jesteś prawdziwym potworem, Kalibanie. Czyż to nie wspaniałe?

Czyż nie jestem, kurna, fantastyczny?

Wykorzystałem część świeżo zdobytych funduszy, by wynająć sobie pokój w prawdziwym hotelu - w takim, gdzie na poduszkach można znaleźć czekoladki, a nie plamy po ślinie. Kupiłem sobie też telefon. Za dużo pracy, za mało zabawy, i Kai zaczyna się męczyć. Nie można do tego dopuścić. Przecież mogłem odwalić robotę i mieć z tego jeszcze trochę frajdy. Stapałem po cienkim lodzie, ale nie sprawiało mi to problemu. Powiem więcej - miałem na to ochotę. Chciałem żyć tak, jak zawsze żyła połowa mnie - na krawędzi. Tym właśnie byłem i w dużej części pozostałem. Bez ryzyka życie robiło się nudne jak cholera. Ludzie mieli do dyspozycji adrenalinę. A co do nie ludzi... Większość z nas musiała sobie radzić inaczej.

Rozsądek podpowiadała, że Niko prawdopodobnie opuścił swoje mieszkanie po tym, jak zostało zdemolowane przez auphe. Logiczny wniosek, tyle że nieprawdziwy. A kto przez dwa dni siedział jak przyklejony koło ruin taniej przyczepy, która ledwie ocalała z najazdu grendeli? Od tamtego czasu minęło trochę lat, ale wiedziałem, że obowiązują te same zasady. Gdyby Niko odszedł, to jak biedny, porwany Kai miałby odszukać go ponownie? Nie, nie - wiedziałem, że będzie czekał... chyba że akurat wyjdzie, by znów przetrząsnąć miasto. Niko nie zdołał przejść przez bramę moim śladem, ale prawdopodobnie i tak czepiał się nadziei, że kiedyś powrócę. Mądry chłopak. Miał rację.

Ale gdy zadzwoniłem, to nie on odebrał telefon. To trochę popsuło moją piękną teorię. Po drugiej stronie odezwał się ten

sukinsyn Filut, który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powinien być teraz już na drugim wybrzeżu, a może nawet na drugim końcu świata. Przeklęty wymuskany lalusz - kto by pomyślał, że ma tyle ikry? Zналиśmy się przecież, a ja wiedziałem, czego się po nim spodziewać; był to próżny, samolubny goguś, z dobrze wykształconym instynktem samozachowawczym. Moim zdaniem były to świetne cechy charakteru, choć brakowało mu umiejętności doceniania bardziej wysublimowanych przyjemności. Auphe to umiały, dzięki czemu tak dobrze się rozumieliśmy. Puk naprawdę lubił ludzi - choć trudno było mi w to uwierzyć. Cóż, tym gorzej dla niego. Powinien był uciec, gdy miał na to szansę. Kolejnej już nie dostanie.

- Cześć, Filut - przywitałem się gładko. - Kiedy zdążyłeś dorobić się kręgosłupa? Czyżby sprzedawali je teraz na eBayu?

Usłyszałem, jak puk gwałtownie chwyta powietrze. Jego słowa zabrzmiały jak owinięte rozpalonym do czerwoności drutem kolczastym.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? Ty przeklęty draniu, jaki masz w tym interes?

- A cóż to za język? - Pochyliłem się, otworzyłem minibar, wziąłem sobie piwo i torebkę pistacji. Pociągnąłem długi łyk, po czym kontynuowałem: - Robię to, co zwykle. Ustalam, kto jest najsilniejszym graczem, i biorę od niego forszę. Ty się tym nie zajmujesz, Loman? Przysięgłbym, że to twoja branża. - Zjadłem kilka pistacji i popiłem piwem. Dwa różne smaki, oba słonawe, ale pasowały do siebie wspaniale. - To mi przypomina, że chciałem ci zadać pewne pytanie. Dlaczego postanowiłeś to zmienić? - Cmoknąłem z dezaprobatą. - Zmęczyło cię życie? Tego się przypadkiem nie leczy?

„Loman” odezwał się dopiero po dłuższej chwili. Głos miał spokojniejszy, ale stanowczy.

- Nazwałeś mnie „Loman”?

- Mogę nazywać cię Marią Małgorzatą, jeśli tylko zechcę. Albo nawet ślepym cyganem. To chyba lepsze, prawda? - Zanuciłem

kilka taktów piosenki, po czym uznałem, że mam dość Filuta i jego niestałości. Nowy kręgosłup, kryzys wieku średniego, wszystko jedno. Liczył się tylko rezultat końcowy, a rezultat będzie taki, że nadejdzie jego koniec. - Jest tam Nik, przyjacielu? Chciałbym zamienić z nim słówko.

- Nie jestem twoim przyjacielem - odparł tamten z pasją. - Nigdy nie przyjaźniłem się z żadnym z was. Nie wiem, jakim cudem nie domyśliłem się, że to ty.

Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Lustra były dla mnie pewną nowością - nauczyłem się tego w ciągu ostatnich pięciuset lat. Żaden inny banshee nie skorzystał z tej sztuczki, a ponieważ byłem jednym z ostatnich, zanosilo się na to, że nikt tego nie powtórzy. Nie byłem zatem zaskoczony, że Filut mnie nie poznał. Ale i tak skorzystałem z okazji, żeby posypać ranę solą.

- Wielka szkoda, co nie? - odparłem współczująco. - A mogłeś uratować pana Ponuraka. Załatwić sobie jeszcze parę lat ciągłego marudzenia. Co za tragedia. - Wykończyłem piwo jednym haustem. - Mogłeś go ocalić, ale byłeś pijany i nie zdołałeś. Niko na pewno jest ci wdzięczny.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Czasem cisza może być słodsza od każdej muzyki.

Wrzuciłem butelkę do kosza i dodałem szorstko:

- Nika nie ma w domu, prawda? Gdyby tam był, to już nie trzymałbyś słuchawki. Nie ma sprawy, jeszcze się odezwę. Miło było pogadać, Filut. Ciekaw jestem, co mi powiesz, gdy znów się zobaczymy. - Po chwili dodałem, jakby po namyśle: - Gdy wyrwę ci serce i wepchnę do gardła.

Wyłączyłem telefon i rzuciłem go przez ramię na łóżko. Mogłem zadzwonić do Nika na komórkę i odbyć kolejną pogawędkę, prawdopodobnie równie uroczą, ale teraz przyszedł czas na inne przyjemności. Ostry skurcz w żołądku zasugerował, czym powinienem się zająć w pierwszej kolejności. Sięgnąłem po menu. Orzeszki i rozmowa z Filutem tylko zaostrzyły mój apetyt na

krwiste. Czas przekonać się, jak przyrządzają tu steki... i czy są bardzo krwiste.

Czekając na obsługę, postanowiłem skorzystać z łazienki. Przez chwilę stałem przy białej muszli, trzymając w ręku przedmiot radości i dumy Kalibana, patrząc jak mocz rozbryzguje się na lśniącej białej porcelanie. Ludzie byli najbardziej zadziwiającą prymitywną rzeczą, jaką w życiu widziałem. Mieli mózgi, które awansowały ich niemal do kategorii istot rozumnych, a przy tym korzystali z systemów hydraulicznych godnych najniższych zwierząt.

- Co ty wyprawiasz, nędzny robaku?

Wrzasnąłem zaskoczony i odwróciłem się gwałtownie. Na szczęście szok zatrzymał strumień moczu i tym sposobem unikałem pomalowania łazienki na kolor słonecznej żółci. Przy okazji stało się także coś innego - przedmiot radości i dumy stał się powodem zakłopotania i wstydu. Skulił się niczym żółw w skorupie, pozostawiając mi w dłoni znacznie mniej, niż miałem na początku.

- Hej! - zaprotestowałem. - A gdzie to się podziało?

- Ciesz się, że nie pozbawiłem cię go zupełnie. - Długie paznokcie rozcięły zasłonkę prysznic z szybkością błyskawicy i ze środka wychynął auphe z trudem wymawiający ludzkie słowa. - Twój pobyt w tym świecie od razu zrobiłby się znacznie mniej przyjemny.

Wyższe kierownictwo nigdy nie było zadowolone, jeśli nie trzymało pracownika mocno za jaja - w tym przypadku całkiem dosłownie.

- Po prostu wykonuję rozkazy, szefie - odparłem, zapinając szybko rozporek. Lepiej nie kusić losu. - Wszystko idzie zgodnie z planem.

Stwór przekrzywił głowę, a jego czerwone ślepia zwięzły się z pogardą.

- To plan auphe, nie plan mroknika. Masz robić to, co ci kazano. O ile pamiętam - powiódł wokół szponem - nie kazano ci tego robić.

Mówiąc „to”, miał na myśli pokój hotelowy, Boboka i całą resztę. Nie spodziewałem się, że będą mnie obserwować tak uważnie. Zwykle dawały mi wolną rękę, ale powinienem był się domyślić, że tym razem będzie inaczej. To był ich wielki projekt i mogłem przewidzieć, że ich mikrozarządzanie jeszcze mi wyjdzie bokiem. Włożenie mi do łazienki i opieprzanie podczas toalety było w zasadzie najłagodniejszym napomnieniem, jakie mogły wybrać, jeśli tylko uznałyby, że nie przykładam się do pracy.

- Tworzysz zmarszczki na wodzie. - Stwór porzucił ludzką mowę i przeszedł na język auphe. Słuchanie go było tak przyjemne, jakby karaluchy wczołgały mi się do kanału usznego i zaczęły kopulować, ale rozumiałem, co mówi. - Zmarszczki przechodzą w fale. Fale zwracają uwagę, a na to nie możemy sobie pozwolić. - Pochylił się tak nisko, że zobaczyłem swoje odbicie w jego metalicznie lśniących zębach. - Fale zatapiają tych, którzy je wywołali.

- Dobra, dobra. Mogę siedzieć cicho, jeśli chcecie. Ale najpierw trzeba załatwić kilka rzeczy. Brat Kalibana i ten cały Filut mogą narobić nam kłopotów - wyjaśniłem z irytacją. - Trzeba to skończyć.

- Nic nie robią, jeżeli cię nie znajdą. A jeśli tylko opanujesz swoje wybujałe ego, z pewnością do tego dojdzie. - Wydłużona szczeka zacisnęła się z wysiłkiem, widać było, że stwór z trudem powstrzymuje się, by nie zatopić lśniących zębów w moim gardle. - Zrobisz, co ci każemy, albo następną rzeczą, jaką ożywisz, będzie kałuża twojej własnej żółci.

Auphe zwykle nie traciły czasu na pogróżki - po prostu zabijały i szły dalej. Zastraszanie ofiary nie mieściło się w ich repertuarze działań. Obietnice - owszem, tak. Ale tym razem to inna historia. Nieważne, co bym zrobił, nieważne, kogo bym nie wykończył - nawet gdybym zatańczył nago na ulicy - auphe i tak nie mogły mnie tknąć. Beze mnie ich piękny plan natychmiast wzięłby w łeb. A zatem przyjąłem to ostrzeżenie z przymrużeniem

oka, stłumiłem ziewnięcie i obiecałem, że odtąd będę już grzecznym chłopcem. Stwór warknął udobruchany, otworzył sobie bramę w powietrzu i zniknął w swojej Jaskini Nietoperza.

Próbowały mnie ustawiać, tak jakbym był małym dzieckiem. Uczyły mnie, jak mam wykonywać swoją pracę, choć zajmowałem się tym, odkąd czas po raz pierwszy mrugnął swym zaspanym okiem. Próbowały mnie okiełznać. Poczułem, że szczęki drgają mi gniewnie. To prawda, że chciałem zabić Nika i Filuta po prostu w imię zasad. Widok ich tryskającej krwi dałby mi niewyobrażalną frajdę, ale nie o to chodziło. Byłem profesjonalistą i wiedziałem, że ci dwaj mogą nam poważnie nabruździć, jeśli ktoś ich nie zlikwiduje. Determinacja Nika i spryt Filuta mogły pokrzyżować nam plany. Auphe tego nie rozumiały, ale ja tak. I zamierzałem zrobić wszystko, by rozwiązać ten problem. Jeśli szefowie mają coś przeciwko, to mogą mi pobiegać po pałce. Oczywiście, pod warunkiem, że jeszcze się pojawi.

Obsługa hotelowa zjawiała się jakieś dwadzieścia minut później. Zjadłem, wylizałem talerz, po czym z przyjemnie pełnym brzuchem podszedłem do termostatu. Podkręciłem temperaturę, ile fabryka dała. Nie byłem już zimnokrwisty, ale wciąż doceniałem ciepło. Wygrzewanie się na słońcu czy też w cztero-gwiazdkowym hotelu... było jednakowo dobre. Zamrugałem zaspanymi oczami i osunąłem się na łóżko, jakbym w ogóle nie miał kości. Cudownie dekadentkie ogrzewanie... Kolejna pożyteczna rzecz, która już wkrótce miała pójść w zapomnienie. Cały ten luksus miał przepaść bez śladu, zanim jeszcze zdołałem się nim porządnie nacieszyć. Na samą myśl chciało się płakać. Albo spać. Wybrałem drugą opcję. Później będzie jeszcze dość czasu, by szerzyć chaos i zniszczenie.

Cały dostępny czas świata.

Walki psów - w tym mieście można było je znaleźć bez problemu, jeśli szukało się wystarczająco cierpliwie. Przy odrobinie szczęścia człowiek tracił tam tylko pieniądze. W gorszym przypadku można było stracić znacznie więcej. Niektóre walki przyciągały bardzo specyficzną publikę - psy zwykle stawiały tam same na siebie. Dawało to bardzo interesujące możliwości zakładów.

Zamieniłem kilka słów z suką stojącą na bramce. Zatrzymała się gdzieś w połowie drogi pomiędzy wilkiem a człowiekiem, zastygnięta w zmutowanym kształcie. Krzaczaste, zrośnięte brwi osłaniały bursztynowożółte oczy. Jej szczeka, choć wciąż ludzka w kształcie, była dłuższa niż normalnie i prezentowała zgryz, na widok którego każdy ortodonta zatrząsłby się z rozpaczy. Brązowe zaniedbane włosy ściągnęła w koński ogon. Spod kołnierzyka i z rękawów koszulki wystawała sierść o tej samej barwie.

To mit, że człowiek może stać się wilkołakiem. Trzeba się nim urodzić. Jednak nie wszyscy rodzą się jednakowi. Na pewnym etapie rozwoju wilkołaczego społeczeństwa chów wsobny stanowił powszechną praktykę. Uważali, że w ten sposób mogą się zbliżyć do ideału wilka. W każdym razie tak głosiła teoria. Zwyczajny wilkołak mógł zmienić się z człowieka w zwierzę siłą woli. Jednak niektórym to nie wystarczało. Bycie w pełni wilkiem przez cały czas - oto jedyny akceptowalny cel. Ta piękna pani stanowiła pamiątkę tego podejścia. Pogadałem z nią chwilę, a ona natychmiast wyczuła mój zapach. Wilki mają dobry węch, jeszcze lepszy niż auphe. Dziewczyna niemal zrobiła zeza, próbując

zidentyfikować tę woń. Nie auphe, nie człowiek, nie mroknik. Żaden z tych, a jednocześnie wszystkie trzy. Musiała to być interesująca kombinacja. Wilkołaczka co jakiś czas wachała moje włosy rozszerzonymi nozdrzami i warczała głucho, z zadowoleniem. Uznałem, że nie mam nic przeciwko, póki tylko nie zacznie gwałcić mojej nogi. Kątem oka dostrzegłem pchły skaczące po jej włosach. To chyba dość kłopotliwe, gdy w intymnej sytuacji nagle trzeba rzucić kondomy i sięgnąć po obrozę przeciwpchelną.

Wcisnąłem jej do ręki pięćdziesiątkę, a ona podała mi dwa imiona. Minąłem ją i zszedłem po schodach do ciemnej piwnicy pełnej ludzi - futrzastych i normalnych. W powietrzu unosił się metaliczny zapach krwi i odór mokrego psa. Pośrodku znajdowała się okrągła klatka z drucianej siatki; w środku walczyły ze sobą dwa wilki. Oba były znacznie bardziej zwilczone niż kobieta przy drzwiach: jednego z nich zdradzał brak ogona, a drugiego - zupełnie ludzkie, błękitne oczy. Wokół tryskała krew i fruwały kłaki - przez chwilę obserwowałem walkę, patrząc, jak zawodnicy warczą na siebie wściekle. Doceniałem ich nieokiełznaną dzikość i trochę zazdrościłem temu, który w końcu elegancko rozszarpał gardło przeciwnikowi. Żałując, że nie postawiłem dolca na Błękitnookiego, ruszyłem przez tłum w przeciwny kraniec lokalu. Przy małym stoliku siedziały dwie postacie, dzieląc się butelką taniego wina. Facet mógłby w zasadzie uchodzić za stuprocentowego człowieka, gdyby nie pysk pełen ostrych zębów i nadmiar owłosienia na twarzy. Kobieta miała gładką twarz, okrągłe brązowe oczy i lekko spiczaste uszy porośnięte jasnym włosiem.

Zatrzymałem się obok i z uśmiechem zagaiłem:

- Cześć, Burek, cześć, Reks. Podobno szukacie roboty. Kobieta zastrzygła uchem z rozdrażnieniem. Mężczyzna dotknął kciukiem szerokiej piersi i warknął:

- Jestem Wolfgang, a to jest Kieł. - Jego szeroki nos zawęszył podejrzliwie, a właściciel spojrzał na mnie zmrużonymi oczami,

co zdradzało albo krótkowzroczność, albo straszną głupotę. -A kim ty, u diabła, jesteś?

- Jakie oryginalne ksywki - prychnąłem. - Jestem klientem, który może wam zapłacić tyle forsy, że nakupicie sobie kości na bardzo długo. Co ty na to, Ciapek?

Wolfgang najwyraźniej nie lubił wykładania kawy na ławę, bo przekrzywił głowę i zmrużył oczy, aż zmieniły się w cienkie szparki, a głuchy warkot wydobywający się z jego piersi wprawił w drgania cały stolik. Stępione paznokcie zostawiły ślady na drewnianym blacie, a stawy trzasnęły głośno.

- Dobra, widzę, że małomówny z ciebie pies. Szanuję to. Słuchaj, naprawdę nie przyszedłem tu, żeby cię wykastrować. -Wolałbym zostawić to weterynarzowi. Przysunąłem sobie krzesło i przysiadłem się do stolika. Potem zdjąłem okulary i spojrzałem prosto w jego zagniewane oczy. - Ale, koleś, nie próbuj ze mną zadzierać. To naprawdę nie jest dobry pomysł. - Włożyłem rękę do kieszeni i wydobyłem gruby plik banknotów. Rzuciłem go na blat i kontynuowałem, nie spuszczać oczu z wilkołaka. - Wyglądasz mi na grzecznego pieska. A greczny piesek wzięłby pieniądze, zamknął pysk i słuchał.

Warkot mężczyzny przeszedł w basowy ryk, a potem nagle umilkł, gdy szczupłe palce pomachały mu przed twarzą banknotami, niczym wachlarzem zwycięskich kart podczas partii pokera. Podobnie jak u większości par, to Kieł trzymała kasę. Wolfgang zwiesił głowę z westchnieniem, a potem wciągnął szyję pomiędzy łopatki. - Dobra, dobra. To gadaj. Co mamy zrobić?

-To, co przychodzi wam bardzo naturalnie. Macie kogoś zjeść. - Splotłem ręce za głowę, odchyliłem się na krześle i uniosłem brwi. - Czyż nie tak robią duże, złe wilki? Zjadają przecież babcie i małe dziewczynki?

Prawdę mówiąc, nie miałem pewności, czy Georgie będzie przysparzać mi jakichś kłopotów. Na swój sposób siedziała w tym głębiej, niż jej się wydawało. Na tym polegał problem z jasnowidzami - nigdy nie miało się pewności. Georgina może

i nie zamierzała pójść do Nika, ale on na pewno zamierzał porozmawiać z nią. Próbował wszystkich wyjść po kolei i w końcu musiał pójść także do niej. Może już to zrobił. Wprawdzie spławiła go wcześniej, gdy poszedł zapytać o ten incydent w lodziarni, ale na pewno wiedziała więcej, niż dała po sobie poznać. Nie wiadomo, co teraz robi. Może dalej będzie milczeć. Może w ogóle nic nie wie. Tak czy inaczej, nie mogłem ryzykować. A poza tym -jak mógłbym się oprzeć takiej małej, rudowłosej wróżce? Była zbyt urocza, żeby żyć. Wyświadczałem światu przysługę. Taki byłem pomocny.

Czasem trzeba na chwilę przystanąć, nacieszyć się życiem i powąchać kwiaty. Oczywiście, nadal musiałem się zameldować u auphe, zanim się zniecierpliwia i złoży mi kolejną wizytę albo, co gorsza, znów zaczną mnie szpiegować. Tym razem trzymałem oczy otwarte i dotąd nie widziałem ani śladu swoich mocodawców. Miałem nadzieję, że tak zostanie. A co do wachania kwiatów, to zdołałem odpowiednio rozplanować sobie pracę i nie widziałem powodu, by nie zrobić sobie chwili przerwy. W tym mieście dostępnych było tysiące rozrywek i wcale nie wszystkie z nich wiązały się z przemocą. Czas zabawić się w turystę i popodziwiać to miejsce, póki jeszcze istnieje.

Przez chwilę przypatrywałem się walce, poflirtowałem z Kieł - ku wielkiemu niezadowoleniu Wolfganga - i wypłem parę drinków. Gdy znów wyszedłem na powierzchnię, niebo już pociemniało, a wieczorny chłód przesuwiał mi się po skórze niczym lodowate palce. Z niesmakiem wciągnąłem do płuc zimne powietrze i poczułem nagłą tęsknotę za swoim pokojem hotelowym i gorącym kocem elektrycznym. Postanowiłem jednak, że nie pozwolę, by pogoda zepsuła mi zabawę. Ruszyłem przed siebie ulicą, słuchając moich ulubionych dźwięków - muzyki. Jasne, że byłem jej fanem. W końcu było to u nas rodzinne. Samce banshee także śpiewały, choć robiły to z innych powodów niż ich siostry. Żadnego siedzenia na zamkowej wieży, lamentowania nad rychłą śmiercią władcy lub władczyni - nie, to zupełnie nie

dla nas. Sprowadzanie śmierci to jedno, ale siedzenie w pobliżu i czekanie, aż nadejdzie? To już niedopuszczalne pasywno-agresywne zachowanie.

Tak, lubiłem muzykę, każdy rodzaj. Wszystkie z nich miały coś do zaoferowania. W tej dziedzinie ludzie naprawdę nie mieli sobie równych. Może i nie posiadali żadnej wrodzonej magii, ale, komponując muzykę, robili coś naprawdę magicznego. Rock podobał mi się najbardziej, ale nie byłem wybredny. W ciągu swego długiego życia zdołałem znaleźć coś dla siebie w każdym gatunku muzyki. Jeśli coś miało rytm, jeśli podkreślało mi tętno, jeśli dobrze się przy tym zabijało, to wszystkie warunki były spełnione z naddatkiem. Jednak po drodze natknąłem się na coś, co trochę odwróciło moją uwagę. Myślałem o tym już wcześniej, ale przypomniało mi się to dopiero, gdy znalazłem się tuż obok salonu tatuażu.

Szyld nad wejściem głosił „Rusalka”. Był to salon tatuażu urządzony w stylu grunge i nabitą do pełna różnymi niegrzecznymi chłopcami. Oczywiście żaden z nich nie dorastał mi do pięt, ale to rozumiałe. Wokół było widać więcej umięśnionych przystojniaków, niż zdołalibyście zaliczyć. Zorientowałem się, że tak pewnie powiedziałyby Filut, i mój dobry humor od razu wyparował. Wciąż nie mogłem się pogodzić z nagłą zmianą jego zachowania. Sądziłem, że przejrzałem go na wylot. Nie podobało mi się, że najwyraźniej nie miałem racji. Nie chodziło tu tylko o moje ego, choć oczywiście odgrywało ono dużą rolę. Nie, problem polegał na tym, że Filut wetknął kolejny wielki patyk w tryby doskonale działającej maszyny. Jeśli nie mogłem polegać na jego reputacji, to na czym właściwie mogłem?

Tak czy inaczej, odpowiedź brzmiała: *auphe*. Były do mnie bardzo podobne, to prawda. I właśnie na tym polegał problem. Poznaj sam siebie... To mądra maksyma. Wiele razy ocaliła mnie samego przed podpadnięciem jakiemuś ważniakowi. Chciałem być po stronie zwycięzców, ale pytanie brzmiało: jak długo *auphe* będą tolerować moją obecność? Złodzieje i potwory nie

znają honoru. Ale jeśli było coś, w co wierzyłem bez zastrzeżeń, to jedynie we własną umiejętność wychodzenia cało z każdej opresji. Tak czy inaczej, już niedługo życie miało się zrobić znacznie, znacznie ciekawsze.

Wzruszyłem ramionami i skupiłem się na bieżącym problemie: wybraniu odpowiedniego wzoru tatuażu. Było mnóstwo opcji do wyboru, wszystkie bardzo artystyczne na swój sposób. Wężę, czaszki, czaszki wymiotujące wężami - to chyba miało być ironiczne - i setki innych makabrycznych obrazków. Byłem rozdarty niczym dziecko w sklepie ze słodyczami, ale w końcu zdecydowałem się na klasykę. Jedno słowo, wpisane w czerwone serce, wypisane literami tak czarnymi jak to, co uchodziło za moją duszę.

MAMA.

- Powinieneś uszanować pamięć matki, Kai - mruknąłem, gdy igła mknęła po mojej skórze. - Gdyby nie ona, nie byłoby nas tutaj.

Tatuaż, długości mniej więcej półtora cala, został umieszczony na bicepsie i ładnie odcinał się od mojej bladej karnacji. Był wart każdego ukłucia igłą, każdej kropli krwi rozmazanej na świeżym wzorze. Przez chwilę żałowałem, że jesteśmy jednym, tak bardzo miałem ochotę zobaczyć jego twarz. Dotknąłem palcem krwi, a potem włożyłem go do ust. Teraz była to moja własna krew, ale jej smak wciąż zdawał mi się nowy i ekscytujący.

Tatuażysta potrząsnął głową, kończąc ostatnią literę, ale niczego nie powiedział. W takim miejscu na pewno widział już znacznie dziwniejsze rzeczy, niż ludzie zlizujący własną krew. Kilku klientów spojrzęło na mnie spode łba, ale na tym się skończyło. Szkoda. Groźne spojrzenia zapewniały mało rozrywki, nie aż tyle, by chciało mi się wstać z fotela. Czułem się przyjemnie rozleniwiony, niczym lew, który łaskawie pozwala gazeli ujść z życiem.

Gdy dzieło było gotowe, spojrzałem na siebie w przekrzywionym lustrze zawieszonym na ścianie. Z własnej woli w życiu nie

wszedłbym do tego lustra - było brudne i zapaskudzone przez muchy, ale dawało przyzwoite odbicie. Przejechałem palcami po literach na skórze, a potem na lustrze. Nie mogłem opanować zadowolonego uśmiechu, który wypełził mi na usta. Prawdopodobnie było w nim widać coś więcej niż tylko satysfakcję, bo ta-tuażysta był dziwnie nerwowy, gdy wręczałem mu pieniądze. Owce... Tak łatwo je przestraszyć.

Kiedy znów wyszedłem na ulicę, nie miałem wprawdzie nowego celu, ale zabrałem się za realizację starego z nową determinacją. Następnym przystankiem miała być centrala auphe. Trzeba zobaczyć, co się dzieje po grendelowej stronie życia. Prawdopodobnie nie będą gotowi na finał jeszcze przez kilka dni, ale w międzyczasie warto się zameldować w bazie. Nie należy dopuścić do tego, by klienci stali się jeszcze bardziej upierdliwi, niż byli do tej pory. A ponieważ już raz ich wkurzyłem, a do tego jednego zastrzeliłem, teraz, w miarę możliwości, warto było zachować się przyzwoicie.

Poszedłem do metra na linię R, wciąż myśląc o sprawie z auphe. Naprawdę sądziły, że zaplanowały akcję w najdrobniejszych szczegółach, i jak dotąd prawie wszystko grało. Rozpoczęły program rozrodczy, którego jedynym owocem był jak dotąd Kali-ban. Trzeba było przyznać im za to punkt - nie sądziłem, że kiedykolwiek znajdą ludzi skłonnych do współpracy. Oczywiście, współpraca nie była konieczna, ale w dzisiejszych czasach dawała lepsze rezultaty. A zatem po kilku dekadach daremnych prób doczekali się swojej hybrydy auphe i człowieka. Matka Kalibana była wprawdzie wcieleniem układności, ale jej syn już nie. Auphe wierzyły, że zdołają go „przekonać”, by zgodził się zrealizować ich wielki plan. Trudno im się dziwić - sam bym na to stawiał.

A jednak nie doceniły Kalibana. Jakimś cudem wyrwał się z więzienia w Tumulusie i od tego czasu widziały tylko jego plecy.

Oczywiście, byłoby miło, gdyby ten uparciuch zgodził się na współpracę, ale, ściśle rzecz biorąc, wcale nie było to konieczne

- po prostu łatwiejsze. Przydałoby się zwłaszcza podczas okresu dorastania, gdy talent magiczny dojrzewał razem z chłopakiem, ale nieważne, teraz nie było już żadnego Kala. Każdy prawnik może wam wyjaśnić, jak działa nabycie przez zasiedzenie, a dzięki mnie *auphe* znów były na właściwej drodze. Teraz należało już tylko dopracować ostatnie detale i mogły wracać do domu. Jak to mówią agenci nieruchomości - przede wszystkim liczy się lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja.

Auphe miały teraz Kala i mnie, ale potrzebowały jeszcze potężnego strumienia energii. To, co miałem otworzyć, to nie była jakaś tam brama - do tego nie wystarczy kilka baterii paluszków. Potrzebne było dobre źródło mocy - skrzyżowanie linii geomantycznych wystarczyłoby. Z upływem lat miejsca mocy gromadziły sporo energii, jeśli tylko wiara odwiedzających je ludzi była prawdziwa. Ciekawe, co wymyśliło szefostwo.

Adres, który mi podano, znajdował się w Sunset Park na Brooklynie. Na osiedlu pamiętającym lepsze czasy znajdował się rozległy magazyn, przyczajony pomiędzy opuszczonymi budynkami jak pokancerowany brutal. Poczerniałe cegły, wybite okna, ponura atmosfera - nigdzie w pobliżu nie słyszałem żadnych kościelnych dzwonów. Tutaj właściwsze byłyby przeraźliwe krzyki i błagania o pomoc. Moim zdaniem, byłyby to znacznie przyjemniejsze dźwięki od każdego dzwonu - nadałyby tej dziurze swoisty urok. Nie była to atrakcja godna biletu pierwszej klasy, ale już niedługo miało się to zmienić. To właśnie tutaj miała się odbyć największa, najlepsza i ostatnia impreza na świecie. Świadomość, że będę wtedy siedział za konsolą, tylko dodawała temu smaczku.

W środku kłębił się tłum *auphe*, uprzątając olbrzymią halę z czegoś, co wyglądało na wieloletnie osady śmieci. Musiała ich być prawie setka, długie łapy szarpały i pchały sprzęt z nadnaturalną siłą. Setka - czyli wszystkie pozostałe na świecie *auphe*. Tumulus równie dobrze mógłby zostać kompletnie opuszczony. Dobrze jest mieć własne miejsce na liście zagrożonych gatunków.

- Hej, szefie! - zwróciłem się do najbliższego. - Co to za wiosenne porządki?

Transformacja kształtu egzystencji wymagała trochę pracy, ale nie sądziłem, żeby potrzebna była do tego absolutna czystość.

Nikt nie wspominał o wizycie, którą mi wcześniej złożono. Auphe nie były przyzwyczajone, by ktoś okazywał im nieposłuszeństwo. Prawdopodobnie zakładały, że od tej pory będę maszerować grzecznie jak nakręcany żołnierz, salutując po drodze wszechmocnym auphe. Jasne, śnijcie dalej. Jestem najemnikiem, a nie dziwką.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie, wąski palec auphe wskazał w dół. Oczywiście możliwe, że miał na myśli Chiny, ale chyba jednak nie. Jadeitowe ozdoby, pagody i smażony makaron - to wszystko były bardzo miłe rzeczy, ale niezbyt przydatne w naszej sytuacji. Przykucnąłem i położyłem dłoń na oczyszczonej podłodze. Beton był zimny w dotyku, znacznie chłodniejszy od otoczenia. Zimniej szy niż powinien. Próbował wyssać ciepło z mojego ciała, przemawiając do mnie mrocznym, trującym szeptem. Mówił o złych, straszliwych rzeczach, które mogły wyrzucić duszę na nice i pogрузić każdy promień światła w otchłani rozpaczy. Fajnie.

- Ach! - rzuciłem z aprobatą. - Nic tak nie rozgrzewa serca jak dobra masakra.

Była to jedna z tych rzeczy, które potrafią wyzwolić potężną moc - gwałtowna śmierć, najlepiej dużej liczby osób. W tym miejscu zginęło wielu ludzi, a to, co z nich zostało, od dawna ukryte było w ziemi głęboko pod nami. Według ludzkiej rachuby stało się to bardzo dawno temu, ale zdołało zatruć to miejsce tak bardzo, że setki lat później wciąż promieniowało złem. Czekало na nas, na tę chwilę. Przeznaczenie, co? Łza się w oku kręci.

Nie wiedziałem, co dokładnie tu zaszło, może to Indianie zmasakrowali kolonistów, a może odwrotnie. A może stało się to jeszcze wcześniej, zanim zjawił się tu pierwszy biały człowiek. Cokolwiek się wydarzyło, z pewnością dokonali tego ludzie. To

ciekawo: byli gotowi zabijać się z byle powodu, ale zawsze musieli mieć jakieś usprawiedliwienie. Samoobrona, bunt, sprawiedliwość, zemsta, szaleństwo - zawsze był jakiś pretekst. Nieliczni spośród nich, którzy otwarcie przyznawali, że robią to dla zabawy, byli zamykani w więzieniach. Albo zabijano ich dla dobra społeczeństwa... To dopiero ironia losu.

Znacie takie powiedzenie: zagłaskać kota na śmierć? Tak właśnie robili ludzie. Brali jakąś prostą ideę, na przykład zabijanie albo coś równie nieskomplikowanego, i obudowywali ją w bezsensowne rytuały. Robili, co tylko mogli, by wykorzystać tę prostą radość, to majestatyczne piękno. A jednak pod względem skali nie dorastaliśmy im do pięt - to trzeba było przyznać.

Poklepałem beton, czując wściekłość, nienawiść i strach gwałtownie przerwane życie. Łaskotały dłoń niczym jedwabiste futro norki.

- Trzymajcie się, koledzy - powiedziałem uspokajająco. - Już niedługo.

Tak, już niedługo mieliśmy wyssać ich do cna. Żadnych niespokojnych zmarłych, których cierpienie odbijałoby się echem poprzez kolejne wieki, żadnych więcej bezgłośnych krzyków o zemstę. Zostanie im wyłącznie niebyt. Okej - to nie to samo co niebo, ale i nie piekło. Powinni być nam wdzięczni. Wyglądało na to, że mieli więcej szczęścia niż inne istoty, z którymi skrzyżowaliśmy ścieżki. Poklepałem podłogę na pożegnanie.

- Później mi podziękujecie.

Jeśli chodzi o morderstwa na wielką skalę... Ludzie wprawdzie mieli nad nami przewagę, ale właśnie zamierzaliśmy odrobić straty. Posłanie w niebyt to nie to samo co zniszczenie, ale rezultat końcowy był identyczny. A ponieważ nasz plan zakładał posłanie w niebyt większości ludzkiej rasy, musiałem uznać, że to jednak dobry zamiennik. Auphe naprawdę miały rozmach. Od zarania dziejów znajdowały się prawie na szczycie łańcucha pokarmowego. Może nie na ostatnim szczeblu, ale z całą pewnością uważały, że właśnie tam rezydują. Ale potem przybyli

ludzie. Z początku nie stanowili zagrożenia. Cholera - wręcz przeciwnie, dostarczali masę frajdy. Świetni do zabawy, przebiegli na swój prymitywny sposób i całkiem wytrzymali. W końcu nie ma nic gorszego niż zbyt delikatna zabawka.

Wada polegała na tym, że nasze zabawki ciągle się mnożyły. Na początku były ich tysiące, a za chwilę miliony. A milion brudnych, chrząkających świń z łatwością może pokonać jednego pasterza, niezależnie od jego sprytu. Tak właśnie było: auphe baraszkowały sobie, szczęśliwe jak norki, ale już chwilę później nadciągająca fala ludzkości wyniosła ich na głęboką wodę. Zalała nas wszystkich. Było ich za wielu, a nas za mało.

Ale potem...

Potem auphe doszły do wniosku: dlaczegoż by nie otworzyć bramy do tamtych czasów? I właśnie do tego byłem im potrzebny. Same nie zdołałyby otworzyć bramy do przeszłości. Potrzeba było do tego niewiarygodnie dużo energii, którą nie dysponowały, a skupianie wiązki nie należało do ich zdolności. Ja jednak byłem w stanie to zrobić: miałem sporo naturalnej energii, a gdy jeszcze podłączyłem się do dobrego źródła mocy, efekt niewiele ustępował eksplozji nuklearnej. W idealnym świecie mógłbym wejść w jakiegoś auphe, skupić wiązkę i otworzyć bramę. Powinna to być łatwizna. Ale oczywiście, to by było za proste. Wypróbowaliśmy tę metodę, jeszcze przed rozpoczęciem programu rozrodczego. Po każdym eksperymencie zostawały zwłoki kilku rozerwanych auphe - okazało się, że nie jesteśmy biologicznie kompatybilni. A zatem parę eksperymentów później szefostwo postanowiło skupić się na ludziach, uznając ich za najlepszą opcję. Odkryliśmy, że bez problemu mogę opanować jednego z nich, a przy zastosowaniu trików inżynierii genetycznej da się uzyskać hybrydę człowieka z auphe. Produkt końcowy miał być na tyle ludzki, by dać się opanować, i na tyle elfi, by otworzyć bramę. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, ale w końcu się udało.

Sądziliśmy, że najgorsze już za nami, ale potem Kaliban, ten mały gnojek, wetknął nam patyk w szprychy, i to dość skutecznie.

Wyszczrzyłem zęby i poklepałem się czule po piersi. Teraz to był mój mały gnojek. Okazał się nieugięty, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Współpraca układała nam się kiepsko, gdy był jeszcze zdrowy psychicznie - a kiedy postradał zmysły, zrobiło się jeszcze gorzej. Oczywiście taki drobiazg wcale nie przeszkadzał auphe. Jednak całkiem niespodziewanie objawiły się kolejne przeszkody. Chłopak nie był w stanie otworzyć bramy. Wysiadł jego system nerwowy, wewnętrzna bateria - cokolwiek to było, nie był w stanie pstryknąć właściwym przełącznikiem. Nie był jeszcze gotowy, jego ciało nie dojrzało jeszcze do tego skoku. Nie pozostało nic innego, jak tylko czekać. I auphe czekały cierpliwie... Aż w końcu mały Kai otworzył pierwszą bramę i dał drapaka. To było naprawdę zabawne. Szkoda, że nic z tego nie zapamiętał. Zabił własnego ojca i zwał auphe prosto sprzed nosa. Stare, dobre czasy.

Ale od tamtej chwili minęły cztery lata i ucieczka Kala właśnie dobiegła końca. Teraz należało już tylko otworzyć bramę do przeszłości. Obecnie było już za późno, by auphe zdołały pokonać bulgoczącą ludzką masę - należało to zrobić wcześniej, gdy ludzie byli nieliczni i rozproszeni. Dobrze poinformowane auphe z przyszłości miały dołączyć do swych niczego nieświadomych pobratymców z przeszłości, a wtedy koniec pieśni. Auphe nie zamierzały pozabijać wszystkich - oceniały, że wystarczy jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent. Ludzie stanowili świetne zabawki. Nie chciały wylać dziecka z kąpielą.

A dla reszty z nas życie miało się toczyć mniej więcej tak jak na początku. Ludzie kryliby się w jaskiniach albo lepiankach. Znów będą się bali każdego szmeru, wiedząc, że może to być wiatr... a może któryś z nas. Strach to bardzo użyteczna rzecz. Doskonały aperitif zaostrażający apetyt na krew.

Musiałem wprawdzie wyrzec się elektrycznych koców, ale czasem trzeba brać, co dają, dobre i złe. Powinno pójść łatwo. Jak po maśle.

„Jak po maśle”? Dlaczego mam wrażenie, że właśnie taki napis nadrukowano na serwetkach leżących w jadalni na „Titanicu”?

Okazało się, że jak zawsze miałem rację. Gdy wszystko idzie łatwo, należy nabrać podejrzeń. Gdy idzie za łatwo, trzeba zacząć się rozglądać za psią kupą przyklepioną do podeszwy buta.

Czy też - jak w tym przypadku - psią kupą pod frontowymi drzwiami.

Podaliśmy futrzakom adres swojego hotelu i następnego dnia od rana czekałem niecierpliwie na ich raport. Zakładając oczywiście, że „niecierpliwie” może oznaczać: „leżąc w jacuzzi, popijając wino i paląc najlepsze cygara, jakie oferowano w katalogu hotelowym”. Słyszając niezbyt dyskretne drapanie do drzwi, wydmuchnąłem kółko z dymu w sufit i zawołałem:

- Wejdźcie! Woda ma idealną temperaturę.

Usłyszałem ostrożne kroki dwóch stóp wolno zbliżających się do łazienki. Za chwilę w drzwiach stanął Wolfgang okryty długim płaszczem, który ledwie zasłaniał jego obrażenia. Skrzywił się i splunął na podłogę krwawą flegmą, a wtedy zobaczyłem, że ma wybite kilka zębów. Kiel nigdzie nie było. Coś poszło bardzo nie tak.

-No proszę, patrzcie, kto wrócił z podkulonym ogonem. -Wrzuciłem niedopałek cygara do kieliszka z winem i sięgnąłem po butelkę. - Wygląda na to, że ktoś skopał ci ten futrzany tyłek - wycedziłem zimno. - Oparłem stopę na krawędzi wanny i pociągnąłem duży łyk prosto z gwinta, by przygotować się na opis bezmyślnej niekompetencji. - No, gadaj, Azor. Co żeście spieprzyli?

-Nie było dziewczyny. - Wilkołak w roztargnieniu dotknął językiem zranionej ręki. - Żadnej dziewczyny - dodał obronnym tonem, liżąc rany, dosłownie i w przenośni. - Tylko ludzie z mieczami. Dużo ludzi.

Czaiło się w tym jakieś kłamstwo, może nawet więcej niż jedno. Kai by je wyczuł, a zatem ja też mogłem.

- Nie było dziewczyny, mówisz. - Domyślałem się, że na tym polega pierwsze kłamstwo. Musiała tam być. Gdyby była gdzie indziej, Niko nie stałby na straży. W zamyśleniu postukałem

szyjką butelki w podbródek. A teraz drugie kłamstwo. - Cała masa krwiożerczych facetów z mieczami, tylko czekających, by sprać twój nędzny tyłek. Tak było? Gdzie twoja dziewczyna?

-Nie żyje. - W jego oczach błysnęła iskra uczucia. Wściekłość, żal, rozpacz. - Spadła... z dachu. Skoczyła na jednego z tych gnojków, ale się uchylił. - Wilkołak potrząsnął głową, a zmierzwione kudły opadły mu na oczy. - Uciekli. Wszyscy. Próbowałem się mścić. Ale było ich za dużo.

- Za dużo. - Wstałem, spływając wodą. - Powiedz mi, ilu konkretnie. Podaj mi dokładną liczbę. - Butelka, którą cisnąłem o ścianę, eksplodowała niczym purpurowy szrapnel. Odłamki szkła nie były jednak tak ostre, jak wściekłość wzbierająca mi w piersi. Nie tylko aupte lubiły zawsze stawiać na swoim. - Bo wiesz co? Mam wrażenie, że ta liczba wynosi jeden.

Wargi wilkołaka uniosły się, odsłaniając zakrzepłą czarną krew i imponujące siekacze. Potem nagle zwiesił głowę, jakby odeszła go cała odwaga.

- Moja dziewczynka. Moja piękna dziewczynka. - Uniósł rękę i wytarł nos. - Dwóch. Było ich dwóch. Jeden człowiek. Jeden inny. Zabili moją słodką dziewczynkę.

Dwóch. Człowiek to Niko, ten drugi to Filut. Ten sukinsyn zaczął mnie poważnie wkurzać. Nie mogłem rozumieć, dlaczego ten kurzy mózdzek jeszcze stąd nie uciekł. Wszystko to razem trochę wyprowadziło mnie z równowagi, choć z natury jestem luzakiem. Wszedłem z wanny i poczułem przeszywający ból w śródstopiu. Sycząc przez zęby, schyliłem się i wyciągnąłem ze stopy odłamek zakrwawionego szkła. Głupie, tandetne ciało. Był to efekt uboczny, który trochę mi się nie podobał. Jeszcze jedna drobna upierdliwość. Wolfgang zaczął wyć. Był to lament za utraconą miłością, żalony i przejmujący niczym ostatni krzyk gwiazd przed końcem wszechświata. Tęskny. Zagubiony.

I głośny jak cholera.

Obtłuczona szyjka butelki wbita w tchawicę szybko temu zaradziła. Upuściłem ją na podłogę, gdzie wylądowała w szybko

rozlewającej się kałuży krwi i pękła niczym serce Wolfiego. Zapadła błogosławiona cisza. Przeszedłem nad znieruchomiałym ciałem i poszedłem się ubrać. Będę musiał zostawić sprzątacze cholernie wysoki napiwek. I po co mi to było? Nie należy wysyłać psa, żeby odwalał pracę mroknika.

Na szczęście mój plan pozbycia się Nika i Filuta był już gotowy. Co do George, to chwilowo trzeba było odstawić ją na boczny tor. Albo nic nie powiedziała, albo i tak jest już za późno, by ją powstrzymać. Intuicja podpowiadała mi, że raczej milczała. Widziałem, jak płacze w łodziarni. Fatalizm otaczał ją niczym błękitna aureola. Uważała, że co ma się stać, to się stanie - i nie było w tym ani krzty optymizmu. Niektórzy wyznają teorię, że nie da się zmienić przeznaczenia, zmanipulować go ani oszukać. Jeśli ktoś w to wierzy, to przekazywanie złych wiadomości staje się bezcelowe... Chyba że chce się popatrzeć na wyraz twarzy człowieka, który właśnie usłyszał, że w przyszłą środę spadnie mu na głowę fortepian. Ja bym tak zrobił, ale mała, słodka Georgie miała skrupuły.

A jak wyglądała moja filozofia? Była bardzo prosta: żyj chwilą. Tak, tak, jestem pewien, że już to słyszeliście. Każdy to powtarza: autorzy poradników, pseudooswiecone oszołomy, każdy domorosły filozof, który sądzi, że jego przemyślenia są choć trochę głębsze od kałuży na parkingu. Jasne, to trochę kiczowata sentencja, ale jakże prawdziwa. Niech auphe martwią się o swoją chwalebłą przeszłość i niegościnną przyszłość. Przeszłość pełna była wspaniałych wspomnień, a przyszłość aż roiała się od nowych możliwości, ale co z tego? Tak naprawdę liczy się tylko tu i teraz. Oceany krwi pozostałe z dawnych, dobrych dni nie były warte nawet jednej szkarłatnej kropelki pomiędzy palcami uronionej tu i teraz. Jeśli ciągle rozpamiętuje się przeszłe dokonania, trudno jest popełniać - a co dopiero doceniać - obecne akty przemocy.

Ale to oczywiście tylko moje zdanie i, choć wierzyłem w nie z całych sił, moi szefowie raczej nie postanowiliby się do niego

przychylić. Prawdopodobnie gównem ich to obchodziło. Porządkując rozproszone myśli, wyszedłem z hotelu. Wcześniej czy później ktoś zacznie mnie ścigać za tego martwego wilkołaka na posadźce. W regulaminie hotelu napisano wyraźnie: „żadnych zwierząt”.

Wyszedłem na ulicę, złapałem metro, przejechałem kawałek, a potem znów poszedłem na piechotę. Gdy dotarłem do wybranego skrzyżowania, wykonałem kolejny telefon. Tym razem dodzwoniłem się do Nika i, rany, jaki był wściekły.

- Tak? - spytał krótko. Równie dobrze mógł wyrzeźbić to słowo z suchego lodu. Było w nim tyle czystej, skoncentrowanej furii ukrytej pod warstwą arktycznej tundry, że aż poczułem w środku przyjemne ciepło. Igranie z Nikiem było jak zabawa z ogniem - każdy piroman powie wam, że to zabawniejsze niż beczka pełna wściekłych małp.

- Hej, Nik, jak leci? - Pomachałem do odźwiernego po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna zmrużył oczy i zasalutował do czapki - najwyraźniej pamiętał, że wczoraj tu byłem. - Zgadnij, kto dzwoni?

- To ty. - Mój brat zawsze był konkretny do bólu.

- A co to za zachowanie? - spytałem z pretensją. - Dlaczego nie mówisz mi „Kai”, braciszku? W końcu nadal jesteśmy rodziną.

- Kai jest moją rodziną. Wiem, jak się nazywasz, mrokniku. Wiem, czym jesteś, ale z całą pewnością nie jesteś moim bratem. Nie sądz, że wciągniesz mnie w jakąś idiotyczną gierkę.

- Dlaczego? Ty nie miałeś skrupułów, żeby wciągać mnie w swoje gierki. To mnie podciąłeś, to znowu sponiewierałeś. Oczywiście wszystko dla mojego dobra, żebym wiedział, jak się obronić. Nie jesteś ciekaw, ile się nauczyłem? - Uśmiechnąłem się drapieźnie. Niko wprawdzie nie widział mojej twarzy, ale

wiedziałem, że słyszy ten grymas w moim głosie. - Ja jestem ciekaw.

-Nie nazwałbym tego ciekawością - odparł obojętnie mój brat _ Ale jeśli zachęci cię to do spotkania twarzą w twarz, to nie mam nic przeciwko.

„Nie mam nic przeciwko” stanowiło poważne niedopowiedzenie, nawet jak na Nika. Zrobiliby wszystko, żeby znów ujrzeć brata. Szkoda, że już nigdy mu się to nie uda, nawet jeśli spojrzy mi prosto w oczy. Zastanawiałem się, czy pożyje na tyle długo, by się o tym przekonać.

- Twarzą w twarz - powtórzyłem. - I niejasno jak w zwierciadle. Już niedługo, Cyrano. Jeszcze nie jestem gotowy, ale już niedługo - skłamałem bez skrępowań i dodałem: - Czy Promise miała coś pod tym szlafrokiem? A może tylko gładką skórę i białe perły? Wiesz co? Może sam się o tym przekonam. - Rozłączyłem się bez ostrzeżenia. A teraz, braciszku, przekonamy się, ile jesteś wart.

Zjawili się niedługo - dwaj superbohaterowie, Niko i jego gadatliwy pomocnik. Na szczęście rajtuzy i pasy z mieczami zostały w sypialni. Filut beztrudnie wjechał swym sportowym wozem na chodnik i pobiegł w ślad za Nikiem do budynku. Ignorując wściekłe gesty odźwiernego, zmierzali prosto do środka, gdy znów zadzwoniłem.

-Wyprzedziłeś mnie, braciszku - powiedziałem tęsknie do słuchawki. - Ale czy na pewno? - Wiedziałem, że Niko na pewno zadzwonił, by ostrzec Promise, ale zawsze pozostawała niepewność skreślająca wnętrze i paląca w gardle. - Wiedziałeś, że wampiry wcale nie rozsypują się w proch? Zostawiają kałużę mazi. Strasznie lepka. Daj znać służącej, żeby przyniosła zapasowego mopa.

-Ty...

Nie czekałem na radosne epitety pod moim adresem, które prawdopodobnie padły później. Przywołałem gestem dzieciaka stojącego dziesięć kroków dalej. Żując gumę niczym nieco

opóźniony kuzyn krowy Krasuli, wcisnął dwudziestkę do kieszeni, a potem walnął łokciem w mercedesa stojącego na chodniku. Zakląłem przekonująco, a dźwięk autoalarmu rozległ się jednocześnie w telefonie i na ulicy. Spojrzałem w stronę Nika i Robina i zobaczyłem, że odwracają się jednocześnie w moją stronę - w ich oczach pojawił się wyraz zrozumienia. Wtedy rzuciłem telefon i pogałem przed siebie.

Kai był szybki i zwinny - urodzony sprinter. Ja byłem jeszcze szybszy. Taka kombinacja sprawiała, że musiałem celowo zwalniać, by zachować normalne, ludzkie tempo. Przedzierałem się przez tłum idący chodnikiem, na chwilę wyskoczyłem na jezdnię i pozwoliłem, by samochód potrafił mnie w biodro. Upadłem z jękiem i podrapałem sobie ręce na asfalcie, wszystko w imię dobrego przedstawienia. Metoda Stanisławskiego - oto podstawa wiarygodności. Zerwałem się na nogi, gdy drzwi samochodu otworzyły się na ulicę, a w mroku zamajaczył błądy owal. Przyciemniane szyby, skórzane kanapy, kierowca z twarzą neandertalczyka... Powinienem był rozpoznać ten samochód.

- Dziewczyna z perłą. - Uśmiech, który wypełził mi na twarz, był mroczniejszy niż jej szyby i paskudny jak gnijąca krew. - Myślałem, że czekasz na górze, by zaoferować mi taką przejażdżkę jak wcześniej mojemu bratu.

Jej twarz pozostała zupełnie spokojna. Tym razem nie miała pereł, wyciągnęła do mnie tylko dłoń w jedwabnej fioletowej rękawiczce.

- Chodź ze mną, Kai. Zabiorę cię do domu.

Dlaczego wciąż próbowali? Czemu nie chcieli zrozumieć?

- Mylisz się, wampirzyco. - Splunąłem. - To ja przyprowadzę dom do ciebie. Do tego całego przekłętego świata. - Odwróciłem się plecami do jej dłoni, wciąż zawieszony w powietrzu, i znów popędziłem przed siebie, by nadrobić straty.

Park nie był daleko. Oglądając się przez ramię, dostrzegłem za sobą Nika - jego i tego śmiecia Filuta. Uznałem, że z przyjemnością pokażę temu lubieżnemu capowi, że powinien się trzymać

swego naturalnego powołania, to jest ciupciana wszystkiego wokół. Ten szlachetny wizerunek superbohatera zaczynał mi działać na nerwy. Napalony dachowiec, któremu ubzdurało się, że jest tygrysem. Wiedział przecież, kim jestem, wiedział, do czego jestem zdolny. Jeśli uważał, że jest w stanie ze mną wygrać, to chyba powinien przystopować z piciem.

W parku było trochę przechodniów, ale nie tyle co zwykle. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Mogłem być zwykłym amatorem joggingu. Mogłem być bandytą ścigającym ofiarę. Sam mogłem być ofiarą napadu. Nieważne. To był Central Park. Wszyscy przechodnie zajmowali się swoimi sprawami, a ja swoimi. Już po chwili wpadłem pomiędzy drzewa i podążyłem w stronę dzikszej części parku. W końcu schowałem się w gęstym poszyciu i wziąłem kilka głębokich oddechów, by doprowadzić się do przetlenienia.

Niko sam nauczył mnie tej sztuczki. Gdy po chwili nadszedł z Robinem, wstrzymałem oddech. Nie wydawałem teraz żadnego dźwięku, chyba że ktoś usłyszałby bicie serca. Niko miał dobry słuch - jak na człowieka. Filut miał liczne zdolności, ale dobry słuch do nich nie należał.

Patrzyłem, jak przechodzą obok. Niko przyklęknął i lekko przesunął ręką po pożółkłej trawie. Wstał i bez słowa spojrzął na Robina. Wiedzieli, że tu byłem. To dość oczywiste, jeśli umie się czytać ślady: złamane źdźbło, zgnieciony liść. Nie starałem się przecież maskować śladów. Jednak to, co znajdowało się pod tą trawą, było znacznie mniej oczywiste. Bobok, zakopany w ziemi, stanowczo zbyt mało płynnej jak na jego gust, czekał tam cierpliwie, niczym pająk w sieci. A gdy wynurzył się spod ziemi, zrobił to z pajączą szybkością. Przepiękny widok.

Rzucili się do ucieczki, próbując ścigać mnie dalej. Niko był ubrany w swój tradycyjny czarny płaszcz, na tyle długi, by ukryć pod nim przynajmniej dwadzieścia zabójczych ostrzy. Filut miał na sobie ciemnozielony sweter, artystycznie powycierane džinsy i brązowy skórzany płaszcz podobnej długości. Strój

Nika nadawał się do walki, ale Piotruś Pan wyglądał jakby szedł na sesję zdjęciową - jesienna kolekcja dla pogromców potworów. Pewnie chcecie wiedzieć, czy miałem frajdę, kiedy Bobok porwał te fatalaszki na strzepy. Jak cholera.

Zdążyli zrobić ledwie dwa kroki, zanim Bobok ich dorwał. Wyrwał się spod ziemi niczym pocisk z systemem naprowadzania. Wystarczył jeden cios jego wielkiej łapy i Filut wyleciał w powietrze jakby nic nie ważył. Na długich czarnych szponach zostały nitki zielonej wełny, potwór tymczasem zwrócił się w stronę Nika. Cios chybił. Nie byłem zaskoczony. Bob nie mógł się samotnie mierzyć z moim bratem. Na szczęście, tym razem nie był sam. Gdy Nik płynnym ruchem wymknął się z uścisku stwora, wyszedłem z zarośli, wycelowałem i strzeliłem równie płynnym ruchem. Był to świetny moment, by powiedzieć coś kąśliwego i zabawnego, rzucić jeden z tych tekstów, dzięki którym filmy zarabiają tyle pieniędzy. Bardzo satysfakcjonujące, ale mogłoby mnie spowolnić. Byłem bardzo skutecznym potworem, ale mój brat był bardzo skutecznym zabójcą potworów. W walce jeden na jednego powinienem dać sobie radę. Od czasu węża reklamującego jabłko nie było nikogo, kto zdołałby mi podskoczyć. Cyrano nie był wyjątkiem, ale wiedziałem, że może mnie dosięgnąć. Był prawie tak zabójczy jak ja i nie zamierzał tanio sprzedać skóry. Auphe nie będą zadowolone, jeśli dowiedzą się, że porozbijałem swoją powłokę. Nie będą zadowolone, jeśli tylko dowiedzą się o tym starciu.

A zatem bez ostrzeżenia. Żadnych komentarzy. Żadnych żartów. Tylko cisza i kula prosto w pierś. Impet odrzucił Nika kilka kroków w tył, gdzie zwałił się na ziemię. Leżał na plecach, bez ruchu, z rozrzuconymi rękami i nogami. Twarz miał zupełnie obojętną, a oczy zupełnie bez wyrazu. Wpatrywały się w niebo, bez śladu zaskoczenia czy szoku, nie wypełniał ich ból ani strach, nie odbijała się w nich chwała niebios ani żar piekła. Nic z tych rzeczy. Tylko pustka.

Musiałem przyznać, że trochę mnie to rozczarowało. Kompletny brak dramatyizmu. Poczulem w powietrzu ostry zapach kordytu i poklepałem Boboka po zabłoconym ramieniu.

- Dobra robota, Bob. A teraz wyrwij nogi temu drugiemu, okej? Za chwilę się nim zajmę i nie chcę, żeby mi wcześniej uciekł.

Filut dostał szansę ucieczki i nie skorzystał z niej. Teraz zamierzałem dać mu nauczkę. Zatknałem za pasek spodni pistolet - kolejna z pamiątek Boboka - i rozkoszowałem się dotykiem ciepłej lufy. Klękając na ziemi obok zwłok Nika, chwyciłem go za warkocz i pociągnąłem pieścizotliwie.

- Punkt dla mnie, braciszku. Pewnie nie przypuszczałeś, że ten mniejszy okaże się groźniejszym potworem? - Położyłem warkocz na jego piersi i wygładziłem kołnierz płaszcza. - Zawsze ci powtarzałem, że ja też nim jestem. Ale ty nigdy nie słuchałeś.

Dopiero gdy dłoń chwyciła mnie za nadgarstek, zorientowałem się, że na piersi nie ma krwi. Tylko spalone ubranie.

Rzekomy trup zamrugał powiekami, a pustka zmieniła się w coś groźnego.

- Ty jesteś potworem. - Jego głos był ochrypły, szorstki od bólu. - Ale mój brat nie.

Kamizelka... Ten gnojek nosił kamizelkę kuloodporną. Nagle zdałem sobie sprawę, że Niko zna połowę mnie równie dobrze jak ja jego. Wiedział, że Kai nie przepada za mieczami - wolał broń palną. Oczywiście, w sytuacji krytycznej potrafił wykorzystać każdą broń, ale osobiste upodobania zawsze biorą górę. Wiedziałem, że więzy rodzinne w końcu wyjdą mi bokiem. Ucisk na nadgarstku, od którego kości zaczęły trzeć o siebie, też nie był zbyt przyjemny. Drugą dłonią szybko sięgnąłem po broń zatknietą za paskiem. Zaciskałem już palce na gumowanej rękojeści, gdy nagle poczułem ostry ból tuż nad mostkiem. Jakieś pół cala ulubionego sztyletu Nika wbijało mi się w koszulę - nie wspominając już o skórze. Gdy puściłem pistolet, wokół ostrza wykwitła już plama krwi wielkości ćwierćdolarówki.

- Auć - powiedziałem łagodnie, dotykając ostrza palcem. -Ostro grasz, braciszku.

Szare oczy - identyczne jak niegdyś moje - zwęziły się niebezpiecznie, ale Nik wciąż milczał. Puścił moją rękę, wydobył pistolet zza mojego paska i rzucił go w krzaki. Potem wstał jednym zdecydowanym ruchem - zupełnie nie zachowywał się jak człowiek z uszkodzonymi żebrami. Prawdziwy stoik - ukrywał zarówno ból fizyczny, jak i psychiczny. Nóż nawet nie drgnął, ani o milimetr.

- Co powiedziałyby na to mama? - Cmoknąłem językiem z dezaprobatą. - Ach, wiem. Że trzeba mnie było utopić zaraz po urodzeniu. I wiesz co? Miała chyba rację. - Pochyliłem się, celowo wbijając nóż jeszcze głębiej. Oczy koloru popiołu spojrzały w srebrzyste. - A wiesz co jeszcze, Nik? - Położyłem rękę na jego dłoni i popchnąłem nóż, aż wbił się o włos mocniej. - Nie masz na to dość jaj.

- On może nie, ty żaloszny koszmarmku, ale ja tak. - Usłyszałem za sobą głos Filuta, ostry i kipiący wściekłością. Chwycił mnie za włosy i szarpnął do tyłu. Leżąc na ziemi, w podobnej pozycji jak przed chwilą Niko, spojrzałem na Robina. Był dość mocno sponiewierany - płaszcz miał w strzępach, podobnie jak sweter, a źrenice tak rozszerzone z wściekłości; że całe tęczęwki zdawały się czarne. Ta sama wściekłość pchnęła jego rękę wymierzającą cios mieczem w moją szyję, tak szybko, że usłyszałem świst powietrza. Zdałem sobie sprawę, że dokonałem błędu w obliczeniach. Wiedziałem, że Niko mnie nie zabije, przez wzgląd na Kala, ale Filut nie miał takich skrupułów. Może i lubił tego smarkacza, ale prawdopodobnie sam siebie lubił znacznie bardziej. W jego przypadku współczucie musiało ustąpić przed instynktem samozachowawczym. Była to jego jedyna dobra cecha. Szkoda, że jedyna rzecz, za którą go podziwiałem, mogła mnie wykończyć.

Mogła, ale nie musiała.

Niko pospieszył na ratunek, jak zawsze. W ostatniej chwili odbił ostrze Robina i cicho oznajmił:

-Nie.

Dyszząc z wyczerpania i frustracji, Filut spojrział na Nika, który stał teraz obok, nieświadomie przyciskając rękę do boku, jakby próbował coś osłaniać. Robił dobrą minę do złej gry, ale widziałem, że zdołałem go trochę poturbować. Miałem nadzieję, że później zdołam poturbować go bardziej... Może nawet zabić. Czubek miecza wciąż dotykał mojej szyi.

- Nik, musisz zrozumieć... - Po chwili puk uspokoił się trochę i ciągnął, jakby wbrew sobie. - Twój brat nie chciałby tak żyć. Z tego, co mi opowiedziałeś, i z tego, co sam widziałem... byłby wściekły. Pogardzałby tą istotą z całej duszy.

Rozłożyłem się wygodniej na trawie, splatając ręce za głową, i uniosłem brwi.

- „Z tego, co mi opowiadałeś”? - powtórzyłem cynicznie, z niedowierzaniem. - Strasznie się zaprzyjaźniliście pod moją nieobecność. Chyba nie zostawiłeś dla niego Promise, co? Boże, powiedz mi, proszę, że nie była to jakaś idiotyczna afirmacja życia. Oszczędzę ci kłopotu i sam umrę z zażenowania.

-Nie radzę ci zaczepiać Promise... Tak jak próbowałeś zaczepiać Georginę - odparł obojętnie Niko. - Możemy łatwo powtórzyć to, co zrobiliśmy twoim przyjaciołom. Nie sądzę, by Kał miał nam za złe, gdybyśmy w tej sytuacji solidnie sprali ci skórę.

- Moi futrzani przyjaciele. - Udałem, że ocieram łzę. - Moje chodzące dywaniki sprzed kominka nie żyją. No cóż, i tak nie byłoby mnie stać na opiekę dentystyczną. Powiedz mi chociaż, że zdołały trochę podgryźć Georgie. Odgryzły nos? Ucho? Może mały paluszek?

Chyba im się to nie spodobało. W przypadku Nika jedyną oznakę wzburzenia stanowiły tężejące rysy twarzy, aż w końcu wyglądał jak kamienny posąg. Filut miał więcej ekspresji - zaciskał rękę na głowicy miecza.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego - powiedział w końcu z nieskrywanym obrzydzeniem. - To tylko dziecko.

- Ludzkie dziecko - odparłem z lekkim uśmiechem. - A najlepsze w dzieciach jest to, że tak łatwo je zabić. - Odwróciłem się, wypatrując Boboka. Nigdzie nie było go widać. Jeśli ten tchórzliwy gnojek uciekł, to gorzko tego pożałuje. Spojrzałem znów na Robina, stykając kciuki z palcami wskazującymi, jakbym patrzył przez ramkę. Krew, rany szarpane, zniszczone ubranie, a wszystko dzięki mojemu zapaśnikowi w błocie. - Kto jest twoim krawcem, Filut? Podoba mi się ten nowy wizerunek. Z pazurem.

Ta kropla prawie przelała czarę. Niko musiał tym razem użyć więcej siły, by powstrzymać Robina przed zatopieniem mi miecza w szyi.

- Powiedziałem: nie - wychrypiął stanowczo. - Nie opuszczę mojego brata tak łatwo. On gdzieś tam jest i walczy o życie. Robił to, odkąd się urodził, nie podda się tak łatwo. To nie w jego stylu.

- Nie? - spytał miękko Robin. - Ja akurat widzę jedną istotę, która nie ma zamiaru się poddać. Im szybciej się z tym pogodzisz, Niko, tym lepiej dla ciebie - dodał bezlitośnie. - I tym lepiej dla Kala.

To było naprawdę fascynujące, patrzeć, jak testuje cierpliwość mojego brata. Nik zawsze był pragmatyczny do szpiku kości, ale jednej rzeczy nie potrafił spojrzeć w oczy. Kai był jego jedynym słabym punktem, piętą Achillesową. Filut mógł sobie gadać, aż mu zaschnie w gardle, i nic by mu to nie dało. Istniała tylko jedna osoba, która byłaby w stanie przekonać Nika, że dla Kala nie ma już ratunku. Tą osobą był sam Kał, czyli ja. Jedno i to samo, nawet jeśli nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Jedno i to samo, teraz i na zawsze.

- Wszelkie decyzje dotyczące mojego brata będę podejmował ja. - W głosie Nika zabrzmiało ostrzeżenie, jakby słowa owijał drut kolczasty. - Ja i nikt inny.

Robin pochylił głowę, marszcząc brwi. Potem odetchnął z wysiłkiem i skrzywił się z rezygnacją.

- Niezależnie od tego, jak dobre miałyby intencje?

- Niezależnie. - Jego upór pozostał nieugięty, ale lód powlekający słowa trochę stajał. Niko wiedział, że Robin chce pomóc, że jest po jego stronie. Była to poważna zmiana dla kogoś, kto przez całe życie uczył się podejrzliwości. Początek wielkiej przyjaźni. Jakie to słodkie. Miałem wrażenie, że wypełniają mnie puchate szczeniaczki i kociaki, od czubka głowy aż po palce u stóp - tych samych stóp, które chwilę później wbiłem Filutowi w kolana.

Punkt dla mnie.

Cios wytrącił go z równowagi i puk upadł na wznak - taki los spotyka tych, którzy tracą czujność. Puk najwyraźniej zapomniał, że ludzie to ludzie, a my to my. Jeśli ktoś zapomni, po której stronie stoi, jeśli spróbuje przekroczyć tę granicę, musi za to słono zapłacić. I to nie w żetonach z gry Monopol.

Miałem nadzieję, że upadając Robin pociągnie za sobą Nika, przynajmniej na chwilę. Niestety, nie miałem szczęścia. Filut miał dość przytomności umysłu, by przewrócić się w drugą stronę. To oznaczało, że mój brat pozostał w grze, co było co najmniej niepożądane. A zatem gdy Bobok wyskoczył spod ziemi niczym orka spod powierzchni morza, oficjalnie uznałem go za mego najlepszego przyjaciela. Najwyraźniej nie doceniłem jego odwagi i niechęci, jaką darzył Nika. Otrząsając się z ziemi, chwycił mojego brata za płaszcz, uniósł go w powietrze i potrząsnął gwałtownie. Jasna głowa odskoczyła w tył - co wyglądało bardzo boleśnie - a Bobok wydał tryumfalny gardłowy ryk. Był to przepiękny widok, przynajmniej do momentu, gdy Niko obciął mu prawą rękę.

Reakcja Boboka była spektakularna. Czarna krew, gęsta i obrzydliwa, trysnęła z kikuta niczym lawa. Przez krótką chwilę, ledwie ułamek sekundy, stwór wpatrywał się w osłupieniu w fontannę krwi. Była to bardzo krótka chwila, ale znacznie dłuższa niż potrzeba było Nikowi, by zatopić miecz w wyłupiastym pomarańczowym ślepiu. Wrzask Boboka rozdarł powietrze,

a jego ocalała ręka puściła ofiarę. Sprawy znów zaczęły wyglądać kiepsko dla drużyny gospodarzy, ale po raz kolejny nie doceniłem Boba. Wciąż wyjąc, zamachnął się ręką, uderzył Nika i odrzucił go w tył na piętnaście kroków. Mając nadzieję, że przez chwilę zajmą się sobą, odwróciłem się do Filuta.

Mój przysłowiowy cierń w boku powoli unosił się, by usiąść na ziemi, twarz miał wykrzywioną bólem. Może i nie udało mi się wybić mu rzepek kolanowych, ale najwyraźniej dałem mu do myślenia. Zdołał podnieść się tylko do połowy, gdy zaatakowałem, wbijając mu kolano w brzuch. Miecz wypadł mu z ręki. Chwyciłem go natychmiast i z chirurgiczną precyzją przyłożyłem do gardła puka. Krew spłynęła na lśniący metal, a wtedy uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

- I co? Nie masz jeszcze dość swoich nowych przyjaciół, Filut? Zielone lisie oczy zamrugały, ciemne brwi uniosły się, patrzył na mnie z wystudiowanym znudzeniem.

- A ty nie masz już dość zachowywania się jak morderczy kutas?

- Filucie... - Potrząsnąłem głową i wolną ręką pogładziłem puka po jego brązowych lokach, a w końcu klepnąłem boleśnie w policzek. - Robinie. Na co ci przyszło? Spójrz na siebie. Ubłocony, zakrwawiony... Twoje drogie ciuchy zostały zniszczone i Wszystko to dla dobra ludzi. Muszę ci powiedzieć, że bardzo mnie to smuci. Prawie nabrałem ochoty, by zabić cię bezboleśnie. - Naparłem na ostrze. - Prawie. - Powtórzyłem, żałując, że nie zdołałem go zabić równie wolno jak boleśnie, ale Bobok prawdopodobnie nie zdołałby powstrzymać Nika odpowiednio długo. Trzeba się będzie ograniczyć się do szybkiego cięcia i zostawić drania, żeby udławił się własną krwią. A potem zabrać się za brata.

Niestety, mój brat zabrał się za mnie pierwszy. Napinałem właśnie mięśnie, by zadać ostateczny cios, gdy nagle poczułem ostry ból z tyłu uda. Zerkając przez ramię, zobaczyłem, że z nogawki džinsów sterczy mi jakaś strzałka. Niko stał dziesięć kroków dalej, nad nieruchomym i zabłoconym ciałem Boboka.

W rękę trzymał pistolet z krótką lufą. Spluwa. Ten sukinsyn mierzył do mnie z pistoletu. Przez całe swoje życie nie używał broni palnej, nigdy nawet nie wziął jej do ręki, a teraz wykorzystał ją przeciwko mnie. Oszołomiło mnie to równie skutecznie co narkotyk rozchodzący się po krwiobiegu. Odkąd weszliśmy do parku, zdołał mnie zaskoczyć i przechytrzyć nie jeden raz, lecz dwa.

I wtedy, chłopcy i dziewczęta, straciłem dobry humor.

Traciłem również przytomność i to szybko. Wiedziałem, że zaraz padnę, ale nie oznaczało to, że muszę upaść sam. Palce na broni stawały się odrętwiałe i niepewne. Przed oczami widziałem jasny punkcik szybko znikający w czarnym tunelu. Nieważne. Teraz muszę tylko sprawić, by Filut spłynął krwią jak zarzynana świnia. Zdążyłem przyłożyć mu ostrze do gardła. Potrzebny był tylko lekki nacisk, by puk odpłynął razem ze mną w ciemność. Domyślałem się, że w moim przypadku utrata przytomności będzie tylko czasowa, ale postanowiłem, że Filut nie będzie miał tyle szczęścia. Jednak narkotyk był zbyt silny i działał za szybko. Straciłem czucie w palcach, a wtedy Robin odtrącił od siebie ostrze. Myślał, że mnie rozbroił, ale bardzo się mylił. Odslaniając zęby, zasyczałem gardłowo i rzuciłem się naprzód. Przyszedłem na świat na długo przed tym, nim nastąpiła epoka brązu i ludzkie bronie. Zęby i pazury służyły mi wtedy całkiem dobrze. Teraz też się sprawdzają.

Poczułem ciepło jego skóry i słony smak potu. Był to zaledwie blady cień krwi, w której już wkrótce będę się pławił. Lada chwila. Poczułem, że ktoś chwyta mnie za kołnierz kurtki, i po chwili wyleciałem w powietrze, czując jak czas zwalnia, jakby pełznął. Upadłem na ziemię, ale uderzenie odczułem niczym odległe echo. Twarz mojego brata była już tylko bladym, zamglonym zarysem.

- Wszystko w porządku, Kai. W porządku, braciszku - W jego głosie zabrzmiała niezachwiana determinacja. - Uratujemy cię. Przysięgam.

Punkt dla niego.

Wypadłem z gry.

- Pospiesz się, Nik. To coś zaraz się obudzi. „To coś”? Filucie, czy tak się traktuje gości?

- Już skończyłem - odpowiedział mu spokojny głos Nika. Poczułem, że coś szarpie mnie za nadgarstek, a potem ktoś położył mi ciepłą rękę na ramieniu i ścisnął lekko. „Niko”, pomyślałem z zadowoleniem. „Myśl tak dalej, a nie będę musiał cię łamać. Sam się zadreczysz”. Potem przez jakiś czas dryfowałem w stanie półświadomości, próbując ogarnąć sytuację. Byłem tak cholernie głupi - postąpiłem bezmyślnie, igrając z nimi, zamiast po prostu ich wykończyć, pozwoliłem, by moje ego wzięło nade mną górę. Ale nic straconego. Ci dwaj może i wygrali bitwę, ale jeszcze nie wojnę. Wciąż miałem w rękawie kilka asów.

- Może Promise powinna tu zostać - zauważył zmęczonym głosem Filut.

- Lepiej niech chroni Georginę - odparł Niko. - Nie ma pewności, czy mroknik nie wynajął jakichś innych zbirów.

„Dobry pomysł”, stwierdziłem z rozmarzeniem. Szkoda, że nie wynająłem ich więcej. Kilka setek więcej, żeby rozszarpali Promise i Georginę na możliwie najdrobniejsze strzępki. Wciąż dryfowałem sobie bezcelowo, rozkoszując się przyjemną wizją, nie spiesząc się do przebudzenia. Przynajmniej aż do chwili, gdy ktoś podetknął mi pod nos fiolkę z czymś obrzydliwym w środku. Kichnąłem gwałtownie i odsunąłem głowę, mrugając załzawionymi oczami. Zobaczyłem jak Niko odkłada na bok małą fiolkę z amoniakiem.

- Jesteś na tyle przytomny, by rozumieć, co do ciebie mówię? - spytał neutralnym tonem.

Znów zamrugałem i rozejrzałem się wokół. Siedziałem na rozkładanym fotelu w biurze Filuta w komisie samochodowym. Nadgarstki i kostki przypięto mi do mebla metalowymi kajdankami. Ech, kurczę. Auphe skopią mi za to tyłek. Na próbę szarpnąłem się w więzach. Ani drgnęły, mimo że byłem znacznie silniejszy niż Kai przed połączeniem. Spojrzałem na Robina, unosząc szyderczo brew.

- Widzę, że wyciągnąłeś sprzęt do sado-maso, nie pytając o pozwolenie. Jestem dotknięty.

- Tylko tak dalej, a będziesz więcej niż dotknięty. - Filut zacisnął pięści i obnażył zęby w ostrzegawczym uśmiechu.

Niko zupełnie zignorował tę wymianę zdań - przynajmniej to zostało po staremu.

- Posłuchaj, mrokniku, i słuchaj uważnie - oznajmił. - Chcę porozmawiać z moim bratem. Tylko z nim. Czy to jasne?

Zupełnie niezrażony, przewróciłem oczami i rozejrzałem się wokół. Była już noc. Straciłem prawie cały dzień. Komis był zamknięty, a okna zasłonięto roletami. Jedynie przy drzwiach koło wystawy widać było skrawek czerni. Zwróciłem się znów do swoich oprawców i zmierzyłem ich spojrzeniem. Niko stał nieruchomo, opanowany i wyprostowany jak struna, starannie odgarnął włosy z twarzy. Jednak sztywna poza nie była w stanie ukryć cieni pod oczami, które zdradzały wiele bezsennych nocy i ból pękniętych żeber. Filut miał mniej szczęścia. Na jego szyi widniała brzydka czerwona szrama, widziałem też opatrunek wystający spod swetra. Przebrał się w świeże ciuchy - zielony pulower należał już do historii. Rozluźnił pięści i stał teraz z założonymi rękami. Być może wydawało mu się, że też ma nieprzenikniony wyraz twarzy, ale spazmatyczne drganie mięśni szczęki i furia czająca się w głębi oczu bardzo radowały moje serce.

- No, no - wycodziłem złośliwie. - Cała banda w komplecie. Co to za okazja?

Niko chwycił mnie za koszulkę i potrząsnął mocno, brutalnie. Głowa odskoczyła mi w tył, uderzając o fotel, i tylko obicie uratowało mnie przed strasliwym bólem głowy.

- Może nie wyraziłem się dość jasno - stwierdził nieugiętym tonem. - Chcę rozmawiać z Kalem, nie z jego morderczym autostopowiczem. Tylko z Kalem.

To mnie wkurzyło. Ten człowiek, którego zaledwie parę generacji dzieliło od pierwotniaka, zdegradował mnie do statusu autostopowicza. Traktował mnie, jakbym był jakimś pomniejszonym demonem obrażonym na Kościół katolicki. To mnie wkurzyło na tyle, że postanowiłem powiedzieć mu prawdę. Cholera, i tak chciałem to zrobić. Wiedziałem, że Filut uwierzy mi natychmiast, ale Niko - nie. Być może jego umysł przyzna mi rację, ale serce będzie się wahać na tyle długo, że zdążę zyskać przewagę.

Przekrzywiłem głowę charakterystycznym gestem Kalibana.

- Wciąż nie rozumiesz, prawda, Cyrano? Jestem tobą bardzo zawiedziony. Biegam sobie po mieście, szerząc mordy i pożogę. Robię to, na co twój żaloszny braciszek nigdy by się nie odważył.

- Zmrużyłem oczy i zacisnąłem usta. - Jednak mam wszystkie wspomnienia Kala, włącznie z paroma, do których nie chciałem się sam przed sobą przyznać. Co prowadzi do oczywistego wniosku.

Dłoń Nika zacisnęła się mocniej - chyba spodziewał się, co usłyszy. Po raz pierwszy, odkąd się przemieniłem, dostrzegł cień na tle tarczy słonecznej.

- Chcę rozmawiać z Kalem, mrokniku - powtórzył, ale stal, która zabrzmiała w jego głosie, nie była w stanie nagiąć upartej rzeczywistości. - Teraz.

Pozwoliłem, by powieki opadły mi lekko, i oparłem się o fotel, rozleniwiony jak kot w letnie popołudnie.

- Właśnie w tym rzecz, braciszku. Nie ma już Kalibana. Nie ma mroknika. Jesteśmy jednym. Nowe stworzenie. Jedna dusza.

- Usta wygięły mi się w chytrym uśmiechu. - Jedno. A ty nie możesz na to nic poradzić.

Wyraz twarzy Nika nie zmienił się ani na jotę.

- Straciłeś go, Nik - ciągnąłem bezlitośnie, wpatrując się w jego twarz... Czekając. - Kaliban umarł wiele dni temu, w waszym mieszkaniu na podłodze. Umarł na twoich oczach, a ty nawet nie zauważyłeś.

I proszę. Nik nigdy nie okazywał otwarcie uczuć, ale potrafiłem je odczytać. To słynne opanowanie, które było częścią jego istoty tak samo jak kod genetyczny, nagle zniknęło. W jego miejscu pojawiła się próżnia - pustka tak straszliwa, że zabarwiła nawet powietrze wokół niego. Była niczym czarna dziura, połykająca wszystko, co czyniło Nika tym, kim był... Upartą nadzieję, niezachwianą wiarę, determinację. Wszystko to zniknęło... A wraz z nimi także Nik.

„Udław się, gnojku”, pomyślałem z dziką satysfakcją.

Filut po raz pierwszy w życiu powiedział dokładnie to, co należało. Czyli nic. Po prostu położył dłoń na ramieniu Nika i poprowadził go w stronę drzwi. Patrzyłem poprzez szkło, jak zamyka drzwi, a potem wraca, by przynieść mojemu bratu kubek kawy. Jak go znałem, to prawdopodobnie dolał do środka czegoś wysokoprocentowego, ale Niko wypił napój bez wahania. Z zainteresowaniem nasłuchiwałem, co teraz powiedzą.

- Przykro mi, Nik, ale on ma rację. - Słowa Robina były stłumione, ale wyraźne.

- Mówiłeś, że samce banshee nie łączą się z ludźmi, tylko z przedmiotami - odparł beznamiętnie Niko, zaciskając palce na kubku, aż odpłynęła z nich krew. - Jeszcze nigdy wcześniej nie widziałeś nic podobnego. Skąd masz pewność?

„Ach, Cyrano - przecież wie to tak samo dobrze jak ty”, pomyślałem z dziwną czułością. Znow szarpnąłem kajdany. Metal się nie poddał, ale podsunęło mi to pewien pomysł.

- Chyba nie ma sposobu, by zyskać całkowitą pewność. - Robin przetarł twarz gestem znamionującym zmęczenie. - Ale widziałem w życiu już sporo opętania, Niko, choć zdarzają się znacznie rzadziej, niż można by sądzić z filmów. Ta sprawa wygląda zupełnie inaczej. A mroknik jest bardzo potężny. Złośliwy

i małosłowny jak dziecko, ale potężny. Nie wiem, co może zrobić z człowiekiem obecność takiego demona. Efekty mogą być nieodwracalne. - Zerknął na mnie poprzez szkła. - Sam widziałeś: aż się wyrwał, żeby ci o tym powiedzieć. Tak się tym ubawił, że musiała to być prawda.

Niko pochylił głowę, wpatrując się w swój kubek. Miało się wrażenie, że trzyma w ręku szklaną kulę, w której może zobaczyć rozwiązanie wszystkich swoich problemów. Zabić brata czy nie? Tak, nie, spróbuj jeszcze raz? Trudny wybór, ale życie składa się z samych trudnych decyzji. To bardzo podobne do Nika: zignorować najprostsze wyjście i uprzeć się przy innym, trudniejszym. Bardzo mi to odpowiadało. Lepiej, żeby skupiali się na szczegółach, niż żeby próbowali ogarnąć całość.

- Prawda czy nie, ale jest coś jeszcze. - W przeciwieństwie do Filuta, Nik na mnie nie patrzył. Prawdopodobnie nie stanowiłem dla niego zbyt przyjemnego widoku. - Dlaczego ten stwór opętał akurat Kala? Auphe maczały w tym paluchy, to jasne. Ale dlaczego? Przez całe życie uciekaliśmy przed tą chwilą. Muszę... Muszę wiedzieć dlaczego. - Teraz spojrzał mi w oczy. Wzrok miał twardy, ponury i nieubłagany. - A to monstrum zna odpowiedź.

To był sygnał, że czas kończyć zabawę. Nie wiedziałem, jak daleko Niko jest skłonny się posunąć, ile zdoła wytrzymać, ale Filut prawdopodobnie chętnie przejąłby pałeczkę. A zatem postanowiłem stąd zniknąć. Decyzja była bardzo prosta, ale wykonanie trudniejsze. Kajdanki nie dawały się zerwać, nawet z wykorzystaniem mojej siły, ale sam mebel okazał się mniej odporny. Wyrwałem jeden podłokietnik, potem drugi. Nadgarstki spływały mi krwią, ciągle zakute w metal, ale ręce miałem wolne i szybko oswobodziłem nogi. Byłem silny, lecz ludzkie ciało wcale nie zrobiło się dzięki temu bardziej wytrzymałe. Jednak nie była to odpowiednia pora, by rozwodzić się nad jego defektami. Należało zwiewać stąd w cholerę. W końcu, jak głosi powiedzenie, ci, którzy uciekają z pola walki, dożyją kolejnej masakry.

Niko i Robin wpadli do pokoju, gdy podnosiłem biurko Filuta i wyrzucałem przez szklaną ścianę. Skoczyłem za nim, wywijając salto w powietrzu. Rzuciłem się do ucieczki, gdy tylko dotknąłem ziemi. Za mną rozległ się chrzęst szkła i odgłosy pościgu. Wskoczyłem do jednego z modeli stojących na wystawie - było to czerwone porsche i, co najlepsze, miało kluczyki w stacyjce. Przygotowano je na test zapłonu, ale ja miałem ochotę na coś więcej niż tylko posłuchać mrużenia silnika. Postanowiłem odbyć jazdę próbną. Gdy wrzuciłem bieg, ktoś wskoczył na tył samochodu, wgniatając karoserię. Nieważne, który to z nich. Uradowany perspektywą zniszczenia szklanej witryny, tak bardzo cennej dla sprzedawców samochodów, wcisnąłem gaz i wypadłem na ulicę. Przeszkolona ściana rozpadła się jakby była z lodu i już za chwilę jechałem po chodniku, słysząc pisk opon i bardzo satysfakcjonujący odgłos spadającego ciała. Spojrzałem we wsteczne lustro i dojrzałem sylwetkę skuloną na czworakach na ulicy. W świetle latarni jego jasne włosy były prawie białe. Wystawiłem rękę przez okno, by pomachać bratu po raz ostatni. Ostatnie *adiós*. Nadszedł czas, by wziąć się ostro do pracy. Żadnych więcej cholernych gier.

W życiu każdego potwora nadchodzi taka chwila, że trzeba dokonać inwentaryzacji. Trzeba ustalić, gdzie się jest, co do tego doprowadziło i jak wrócić z powrotem na szlak. Wiedziałem, gdzie jestem i jak wrócić. Trudniej było przyznać się przed sobą, w jaki sposób wpakowałem się w aż takie bagno. Ego. Moje wielkie, spalone ego. Bawiłem się z przeciwnikiem, którego należało traktować śmiertelnie poważnie. Przeceniałem sojuszników, a nie doceniałem przeciwnika. Patrząc wstecz, uznałem, że należało zająć się tym samym. Żadnych ostrzeżeń, żadnych kpin. Byle szybko i skutecznie.

Ale dalece nie tak zabawnie.

No cóż. Z każdej przygody można się czegoś nauczyć. Nadal byłem najtwardszym sukinsynem w okolicy. Nie widziałem żadnego powodu, by miało to ulec zmianie. Nie widziałem też powodu, by podzielić się z pracodawcą informacjami o tym zajściu. Po tym ostrzeżeniu, jakiego mi ostatnio udzielili, z pewnością nie przypadłoby im to do gustu. A gdy auphe były niezadowolone, nikt nie był zadowolony. Zostawiłem skradziony samochód kilka przecznic dalej, resztę drogi do magazynu pokonując piechotą. Od ostatniej mojej wizyty zmienił się nie do poznania. Śmieci zostały uprzątnięte, a graty rozstawione pod ścianami, by odsłonić podłogę, która teraz niemal bulgotała od duszącej wściekłości. Prawie widziałem poświatę, niczym ciepłe powietrze unoszące się znad asfaltowej drogi. Przez chwilę stałem nieruchomo, pławiąc się w czystej rozkoszy. Dobra rzecz.

Niechętnie odsunąłem się od tego wiru mrocznych uczuć i poszedłem sprawdzić, co się dzieje w głębi. Jakiś człowiek próbował przekrzyczeć auphe. Ciekawe. Jeśli w powietrzu zaczną latać flaki, to chcę przy tym być. Gdy wszedłem, człowiek odwrócił głowę i wtedy go rozpoznałem. To był Samuel - mój kumpel z baru. A zatem moje podejrzenia okazały się słuszne - okazał się zbyt przyjazny jak na przeciętnego nowojorczyka. Najwyraźniej nie byłem jedynym najemnikiem w okolicy. Sprytnie te auphe. W dziedzinie chytrych planów mało kto im ustępował.

- Sammy! - Uśmiechnąłem się radośnie. - Ależ mnie zaskoczyłeś. Masz zdolności aktorskie, chłopie. Oskar murowany.

Na mój widok twarz mężczyzny pobladła, przybierając popielaty kolor.

- Twoje oczy... Jezu.

Ach, czyżby? Patrzył na auphe bez mrugnięcia powieką, ale moje lśniąco, srebrne oczy go zszokowały? To naprawdę zraniło moje uczucia. Samuel szybko odwrócił wzrok, a wtedy uznałem, że to, co widzę na jego twarzy, to nie obrzydzenie - raczej poczucie winy.

- Jestem trochę ciekaw... - wycedziłem, obejmując go ramieniem. - Szefowie zatrudnili cię, żebyś miał Kala na oku w ciągu jego ostatnich dni wolności. To dość jasne. - Nie żeby mi o tym powiedzieli, skryte sukinkoty. - Moje pytanie brzmi, co ty z tego masz? Co dostałeś za ten kawałek duszy? Coś błyszczącego?

Poczułem, że jego ciało pokrywa gęsia skórka, a potem stracił moją rękę. Konsekwentnie ignorując moje zaczepki, zwrócił się do znużonego auphe przycupniętego przed nim. Matowe spojrzenie szkarłatnych oczu zdradzało, że stwór praktycznie śpi i nie ma siły nawet na okaleczenie tego szczeniaka. Cóż za zawód.

- Obiecaliście, że uleczycie mojego brata. Zrobiłem, co chcieliście. Czas dotrzymać waszej części umowy!

Ten gość przypominał wielkiego pluszowego misia. Choty brat - cóż może być bardziej wzruszającego? Tak, Samuel był

prawdziwym filantropem. Szkoda, że nie szło to w parze ze zdrowym rozsądkiem. Auphe miałyby kogoś uleczyć? Mało prawdopodobne. Gdy odpowiednio zgłodniały, potrafiły zjeść nawet swoich rannych współbraci. Nie miały żadnego uzdrowicielskiego talentu ani nawet nie interesowały się sztuką leczenia, za to były bardzo biegłe w sztuce kłamstwa: drobne kłamstewka, wielkie kłamstwa i wszystkie odcienie pomiędzy.

W sennych oczach tego konkretnego auphe widać było błysk rozbawienia świadczący o tym, jak bardzo podobało mu się podpuszczanie Samuela. Jednak należało to przerwać. Auphe nie potrzebowały już gitarzysty - ale ja tak. Właśnie się nad tym zastanawiałem, gdy auphe ziewnął szeroko, ukazując miękkie aksamitny język skryty za kilkoma rzędami metalicznych zębów. To wyczerpało cierpliwość Samuela. Chwycił stwora za wąskie barki i potrząsnął:

- Ty gnojku, przecież obiecaliście! Przysięgliście! Zauważyliście, że w chwilach stresu ludzie zmieniają się

z powrotem w małe dzieci? Nie dlatego, że oczekują opieki, nie przestają też rozumieć, co się dzieje. Jednak tracą pewną ważną rzecz: świadomość tego, że życie jest niesprawiedliwe. W momencie, gdy całe życie wali im się na głowę, nie chcą tego przyjąć do wiadomości. Rodzą się i umierają jako dzieci. Jest w tym jakaś poezja.

Jednak auphe zdawał się jej nie doceniać. Szponiaste łapy chwyciły mężczyznę za ręce i zacisnęły się, aż popłynęła krew.

- Co za uparta owca. Taka uparta. Co należy zrobić z owcą, która ośmiela się sprzeciwić pasterzowi? - Stwór obudził się szybko, jego czerwone oczy błysnęły przytomnie. Nie wydawał się specjalnie głodny, ale komu z nas nie zdarzyło się przekąsić czegoś z nudów? Wyglądało na to, że mój kumpel Sammy za chwilę zostanie rozszarpany albo zjedzony. Żadna z opcji nie pozostawiłaby mu nawet częściowej funkcjonalności. Gdybym go nie potrzebował, pewnie popatrzyłbym na spektakl, ciesząc się z dobrego miejsca.

- Szefie - powiedziałem łagodnie. - Mogę pożyczyć go na chwilę? Chcę, żeby coś dla mnie zrobił.

Wąska twarz wystrzyła się z irytacji, tak że przypominała lisi pysk. Auphe wysyczał kilka słów poprzecinanych dźwiękami tnącymi powietrze niczym zardzewiała żyłka. Żaden człowiek nie byłby ich w stanie zrozumieć - sam dźwięk przyprawia!

o silny ból głowy. Odpowiedziałem w tym samym języku, opisując mniej więcej, co chcę zrobić. Niełatwo było używać mowy składającej się z piętnastu samogłosek i ponad stu spółgłosek przy pomocy ludzkiej krtani, ale jakoś dałem radę. Mój szef prychnął poprzez wilgotne nozdrza, puścił Samuela i odszedł, oblizując krew z długich palców o licznych stawach. „Palce lizać”, pomyślałem łakomie.

Odwrociłem się do Samuela, włożyłem rękę do jego kieszeni

I z ręcznie wydobyłem portfel. Chciałem coś sprawdzić. Nie zwracając uwagi na przekleństwa, odepchnąłem gitarzystę ręką i wybebeszyłem zawartość. Znalazłem w środku kilka zdjęć rodziny i wtedy uśmiechnąłem się z satysfakcją. Wszystko jasne.

- Tak mi się zdawało, że wyglądasz znajomo. - Rzuciłem mu portfel i uśmiechnąłem się z zadowoleniem. - Zobaczyłem cię w zupełnie nowym świetle. - Podeszedłem do drewnianej palety i usiadłem, opierając dłonie na kolanie. - Wiesz, że potrafię śpiewać? To znaczy, nie jest to ściśle biorąc śpiew, raczej... nieważne. Wkrótce się przekonasz. Przejdźmy do konkretów, Sam-Samie. Potrzebny mi wasz sprzęt do nagłośnienia. Masz przynieść go tutaj jutro wieczorem.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić? - Samuel splunął, ściskając odzyskany portfel.

- Chory brat, co? - Traçiłem butem paletę. - Bardzo poważnie chory. To smutne. I dla ciebie, i dla jego żony, i dla jego rudowłosej córki. Słodka mała Georgie nie wie, co porabia jej stryjek? Ciekawe.

Oczywiście, że wiedziała, ale podejrzewałem, że nie usłyszała o tym od niego. Taka właśnie była. To dlatego okłamała Nika

i Kala, a potem płakała. Taka sytuacja pewnie wytrąciłaby każdego z równowagi - niełatwo być małym jasnowidzem, trzymającym rękę na pulsie całego wszechświata. Taka praca. Odnajdujesz zagubionego psa - wtedy jest to dobry dzień. Twój ojciec umiera, a stryjek zdradza swoich przyjaciół... To z kolei zły dzień. Jak wyglądał najgorszy dzień? Tego miała się dopiero dowiedzieć. Jeszcze nigdy nie spotkałem jasnowidza, który żyłby długo i szczęśliwie. A jednak podejrzewałem, że Georgina postara się być ponad wszystko. Nie pozwoli, by ją to zniszczyło, zawsze będzie się starała służyć lepszej sprawie. Co za kicz.

- Georgina - powiedział miękko Samuel. Nie dodał: „Trzymaj się od niej z daleka” ani „Nie mieszaj jej w to”, ani żadnych standardowych tekstów. Chyba spotkanie z auphe nauczyło go, że to nie ma większego sensu. Zamiast tego, spytał porywczo:

- Czy one naprawdę mogą go uleczyć? Czy te stwory mogą pomóc mojemu bratu?

- Nie. - Wstałem, zakołysałem się na piętach i ciągnąłem radośnie: - Nie mogą, nawet gdyby chciały. Według ich filozofii albo się zdrowieje samemu, albo umiera. To cała ich wiedza medyczna. - Przekrzywiłem głowę, widząc bolesny skurcz na jego twarzy. - Ale nie wszystko stracone, Samuelu. Możesz uratować swoją gadatliwą bratanicę. Wiem, gdzie mieszka, gdzie chodzi do szkoły i gdzie jest jej ulubiona lodziarnia. Ciekawe, jak długo zachowa ten swój optymizm, gdy zagram w kocią kołyskę jej wnętrzościami.

Oczywiście wtedy rzucił się na mnie z wściekłością i desperackim gestem chwycił za gardło. Pozwoliłem mu zaciskać ręce, póki przed oczami nie pojawiły mi się czarne kropki, dałem mu trochę nadziei. Znacznie przyjemniej jest pokonać kogoś, kto myśli, że ma jeszcze szansę. Zrezygnowani ludzie są strasznie nudni. Leżą tylko, płaczą i zwijają się w kłębek. Gdzie tu frajda? Samuel warknął i zwiększył ucisk.

Zmęczyła mnie ta zabawa, więc oderwałem jego ręce od szyi, wyrywając jeden palec ze stawu.

- Och, spójrz, co się stało. Nie szkodzi, mama pomoże. -Przytrzymałem jego rękę, choć próbował się wyrwać, i nastawiłem palec z powrotem, słysząc przyjemny trzask kości. Mogłem to zrobić szybciej, ale ten zupełny brak wdzięczności był irytujący. Samuel zacisnął rękę w pięść i patrzył na mnie z furją. Facet miał jaja - musiałem mu to przyznać. Pomyślałem, że później chętnie obejrzę je z bliska. Ale teraz należało załatwić interesy.

- Przyniesi tutaj sprzęt jutro wieczorem - napomniałem łagodnie. - Aha i jeszcze jedno: nie myśl sobie, że zdołasz ją ukryć. Nie zdołasz. Jeśli ja jej nie znajdę, to na pewno zrobią to moi pracodawcy. - Postukałem palcem dolną wargę. - Nie jestem pewien, co byłoby gorsze. Chyba w żadnym wypadku nie zostałyby z niej na tyle dużo, by to wyjaśnić.

Mężczyzna stał nieruchomo, zaciskając zęby. Potem przytaknął spazmatycznie, odwrócił się i odszedł. Był trochę przygnębiony, ale ze szczeniakami należało postępować stanowczo. Psuje człowieka, kto różgi żałuje. Ten zbiór banałów zawierał przynajmniej jedną głęboką prawdę.

Wzdychając ponuro, oparłem się o paletę i przygotowałem się na trudną noc spędzoną na zimnej, twardej podłodze, za całe ogrzewanie mając żar rozwścieczonych duchów. Zgrzyt pazurów, które przesunęły się po drewnie i wbiły mi się w ramię, nie był niespodzianką - oczekiwałem tego, odkąd wszedłem do magazynu.

- Mogę w czymś pomóc, szefie? - spytałem z fałszywą wesołością.

- Co ty wyprawiasz, truchło? - Poczułem na policzku cuchnący oddech auphe i dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie. Nie był to auphe ani jeden z tych stworów, z którymi przez lata prowadziłem interesy. To był grendel. Straszliwy potwór, który porwał mnie z domu, gdy byłem mały i niemal mnie zniszczył. Szybko odegnałem od siebie tę myśl - nie dopuszczałem do siebie nawet faktu, że kiedykolwiek przyszła mi do głowy. Oznaczałoby to, że wciąż jest jakaś istota, która mogła być jej

źródłem. Kai już nie żył, a jego świadomość nie istniała - przynajmniej nie samodzielnie. Była to tylko reakcja emocjonalna zachowana w neuronach tego mózgu.

- Nic, szefie - odparłem szybko. - Ukrywam się, tak jak radziliście. Postępuję zgodnie z planem.

Zimny palec przesunął mi się po szczęce.

- A zatem skąd wziął się ten siniec? Jest prawie tak wielki jak twoje wybujałe ego. Chyba nie kłamiesz, prawda, mrokniku? Nie próbowałbyś oszukać mądrzejszych od siebie.

Zacisnąłem szczęki, przełykając gwałtowną wściekłość. Mądrzejszych? Nie ma mądrzejszych ode mnie, a nawet gdyby byli, to Auphe z pewnością nie zaliczałyby się do tego grona.

- Mała sprzeczka ze złodziejem w parku, który wziął mnie za człowieka. Zapewniam, że nie mam problemu z samoobroną. Wiem, że to ciało jest dla was bardzo cenne. - Uniosłem głowę, by spojrzeć w oczy stworowi przycupniętemu na stosie palet nade mną. - Podobnie jak ja.

Auphe starannie rozważył moje słowa, ale koniec końców został zapędzony w kozi róg. Wiedziałem, co mówię - byłem dla niego równie cenny jak ciało Kalibana. Auphe nie zdołałyby zrealizować swego planu bez pomocy nas obu.

-Złodziej. - W głowie elfa zabrzmiało niedowierzanie, ale chyba nie zamierzał drażnić tematu. - Tracisz formę, mrokniku. -Potem wycofał się, zeskoczył ze stosu i zniknął. Miałem przewagę i on o tym wiedział. Ale po wykonaniu zadania powinienem zacząć na siebie uważać.

Albo uciekać, ile sił w nogach.

Odepchnąłem od siebie te ponure, pesymistyczne myśli. Wyjdę na swoje. Zawsze tak było. Zostawiłem paletę i zwinąłem się w kłębek na podłodze. Teraz nie mogłem już ryzykować wynajmowania pokoju - to była ostatnia noc. Nie będzie już elektrycznych koców, szampana i obsługi hotelowej. Co za świat. A do tego skończy się jutro w nocy.

Dobrze było zasypiać z tą myślą.

Zawsze uwielbiałem spać - nawet wtedy, gdy byłem jeszcze w dwóch połówkach. Lubiłem mrok, ciszę i bezruch otaczające mnie swoimi ramionami. Tym razem było jednak inaczej. Ludzie śnili - ja nie. Nie potrzebowałem tego. Życie zapewniało mi spełnienie wszystkich marzeń, nie miałem też żadnych podświadomych leków. Sam byłem lękiem nawiedzającym sny innych. Żadnych snów, żadnych koszmarów.

To były tylko wspomnienia... Kłęb wspomnień, niegdyś moich, niegdyś jego. Był tam troll, wielki i zadowolony z siebie, tłum auphe i przyczepa buchająca płomieniem. Zgorzkniała kobieta wyrzucająca z siebie słowa równie bolesne jak ciosy noża, a potem lata ucieczki. To wszystko powinno mnie znudzić, ale jakoś nie. Widziałem tam strach, wściekłość, rozpacz i płonący gniew, ale nuda? Nic podobnego. Oczywiście, dzięki naszej dwoistej naturze były tam także moje wspomnienia - te szczęśliwsze. Pożarcie natrętnego rycerza, tak, by nie zniszczyć przy tym jego zbroi. Okazało się to dość trudne do wykonania i narobiłem przy tym mnóstwo bałaganu, ale i tak warto było. Zatopienie canoe pełnego Indian w rzece obfitującej w piranie. Przynajmniej ryby były mi za to wdzięczne. To właśnie jedna z tych rzeczy, które najbardziej lubiłem w swojej pracy - stwarzała okazję do mnóstwa zajęć dodatkowych. Wszyscy szukali skarbów, których akurat strzegłem. Było to jak zamawianie pizzy, tylko lepsze, bo za darmo.

Dobre stare czasy.

Problem polegał na tym, że teraz moje wspomnienia były przemieszane z innymi. To ja tkwiłem w zbroi, gdy tysiące trollowych

macek wślizgiwało do środka, by oderwać mi mięso od kośćca. Auphe chwyciły mnie i wrzucały do mętnej, zamulonej wody, bym został pożarty przez drapieżne ryby. Śmiertelnie piękna kobieta wyśpiewywała przekleństwa, metodycznie odrywając mi członki: ręce, nogi, potem uszy, a na końcu język.

Ale nie były to sny, a już na pewno nie koszmary. Tylko pomieszane wspomnienia. Mentalne odpady. Nie pozwolę, by stały się czymkolwiek więcej.

W rezultacie obudziłem się złany potem, z szaleńczo bijącym sercem. Byłem zirytowany... Bardzo zirytowany. Mój nastrój uległ dodatkowemu pogorszeniu, gdy zobaczyłem nad sobą auphe przycupniętego na stosie skrzynek. Podobnie jak wczoraj, mierzył mnie uważnym spojrzeniem i nadal mi się to nie podobało.

- Na co się gapisz? - spytałem opryskliwie i wstałem, by rozciągnąć mięśnie. Byłem zmarznięty i zły i nie chciało mi się nawet dodawać „szefie” na końcu zdania. Nie dzisiaj.

- Nie kuś losu, mała jaszczurko. - Ciche słowa, które mimo wszystko zabrzmiały groźnie jak pomruk burzy. - Masz przed sobą konkretne zadanie. Panuj nad sobą i zrób, co do ciebie należy. - Stwór wywinął salto i zniknął pomiędzy skrzynkami a ścianą tak zwinnie jak ryba nikiąca w szczelinie. Nie było już żadnych pogroźek ani prób zastraszenia. Auphe prawdopodobnie odgadły, co wczoraj porabiałem. Po otwarciu bramy będą miały na głowie inne sprawy i być może zapomną, jak bardzo im się naraziłem. Doskonale wiedziałem, do czego zdolne są niezadowolone auphe. Nikt nie musiał mi tego tłumaczyć. Ale zarzut, że nie panuję nad sytuacją, wkurzył mnie dostatecznie. Oczywiście, że mam nad wszystkim kontrolę. Jesteśmy jednym, a ja siedzę za kierownicą.

Właśnie tak.

Wstałem, przetarłem twarz i z roztargnieniem spojrzałem na zegarek. Przespałem noc, poranek i część popołudnia. Jak dla mnie, to nie było wcale tak długo - pozostawiony samemu sobie potrafiłem czasem przespać kilka miesięcy. Może nawet lat. Ale dzisiaj - nie, dziś był ostatni dzień. Czas... Jakie to wieloznaczne

słowo. Już niedługo będzie czas na wszystko, a jednocześnie nie będzie żadnego. Już niedługo trzeba będzie otworzyć bramę. A teraz? Teraz czas do szkoły.

Brama miała własną moc, z którą nie należało igrzać. Był to czarnoskrzydły zwiastun burzy - straszliwy omen przyszlých wydarzeń. Jednak gdy rzeczywiście ją otworzyłem, wszystkie te melodramatyczne historyjki nagle zbladły przy rzeczywistości. Nie było to zwykłe otwarcie drzwi. Nie polegało wyłącznie na zebraniu wewnętrznej mocy i rozdarciu materii czasu i przestrzeni. Nic z tych rzeczy, a jednocześnie wszystkie. Jednak ta czynność była czymś więcej - była jak czysty orgazm. Światło i ciemność. Góra i dół. Życie i śmierć. Aha - i jeszcze jedno.

Dawało niezłego kopa.

Wprawdzie to tylko ćwiczenie przed prawdziwym przedstawieniem, ale tak czy inaczej, były niezłe fajerwerki. Jednak lekcje to lekcje, a auphe potrafiły być znacznie bardziej surowe niż zakonnica z linijką w ręku.

Na szczęście większość lekcji stanowiły powtórki. Przez dwa lata zdążyły nauczyć Kala otwierania bram - chłopak okazał się pojętym uczniem. Tortury stanowią wspaniałą motywację. Mieszaniec odrobił pracę domową. W końcu to dzięki temu uciekł z Tumulusu, zabijając auphe gołymi rękami. Proszę

o oklaski dla tego gówniarza. Jednak on sam nie miał o tym pojęcia - nie potrafił sobie przypomnieć, co zrobił i co zrobiono jemu. Od tamtego czasu nigdy nie otworzył bramy. Wspomnienia były zakopane głęboko i związane łańcuchami. Jednak mimo że leżały poza zasięgiem Kalibana, to na pewno nie moim.

- Skup się. Przytrzymaj. - Ostry szpon wbił się w mój biceps. Superniania pewnie skrytykowałyby takie traktowanie ucznia, ale przynajmniej pomogło mi się to skupić na lekcji. - Taaak, pięknie. A teraz puść.

Otwieranie bramy było trudne, nawet z pomocą dawnych i obecnych lekcji, nawet przy odpowiednim uwarunkowaniu genetycznym. Wymagało namysłu i żelaznej dyscypliny. Otwieranie

było trudne, a zamykanie - jeszcze gorsze. Wygaszenie tego ładunku mocy wymagało niemożliwego wysiłku. W samym środku metafizycznego wiru, nie czując już fizycznego bólu, wpadało się w ekstazę, która uzależniała. Fioletowe, złote i purpurowe światełka tańczyły mi przed oczami, a prąd elektryczny przepływał przez każdą komórkę. Chwyciłem oddech pełen ognia i lodu i przytrzymałem bramę jeszcze przed sekundę, a potem wypuściłem.

Drżący owal skurczył się do rozmiarów łebka od szpilki, a potem zniknął. Opuściłem ręce, które aż mrowiły od pozostałej energii, i dmuchnąłem na palce.

- Może być? - spytałem aupte stojącego przy moim łokciu.

Stwór nie odpowiedział - bez słowa zwrócił się do kilku współbraci. Wszyscy wręcz wibrowali z podniecenia. Stojąc w grupce, chichotali jak małe diabliki i krążyli w kółko niczym polujące rekiny. Znów nadszedł ich czas.

Zostawiłem ich w spokoju. Wycofałem się do kąta, starając się zignorować skurcze żołądka. Umierałem z głodu. Gdyby tylko było dość czasu, poszedłbym na hamburgera albo na chińszczy-znę, ale nic z tego. Zegar tykał. Ignorując burczenie w brzuchu, otarłem pot z twarzy rękawem bluzy i założyłem włosy za uszy. Przez Nika i Robina nie miałem teraz żadnego ubrania na zmianę ani nawet szansy na gorący prysznic. Sprowokowali mnie i rozwalili mi harmonogram. Trochę mnie to wkurzyło, choć przecież nie byłem takim gogusiem jak Filut. Jak dobrze pomyśleć, to nawet Beau Brummel nie dorastał mu do pięt, a widziałem go kiedyś w zdobionych diamentami rajtuzach. Wprawdzie puk nie miał sobie równych w dziedzinie mody, ale ja też potrafiłem docenić przyjemności życia. Dzisiaj cały świat był wielką sceną, a ja miałem wykonać solówkę w poplamionych trawą dżinsach i podartym granatowym swetrze. Nie tak to sobie zaplanowałem - zwykle przykładałem większą wagę do swojego show.

Wetknąłem palec w rozdarcie na ramieniu i westchnąłem. Wszystkie te lata spędzone na pilnowaniu skarbów zmieniły

mnie w srokę. Lubiłem rzeczy kolorowe i piękne. Klejnoty, tkaniny, dusze. Miałem żyłkę kolekcjonera, choć aż do dzisiaj nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ściągnąłem koszulkę i rzuciłem ją na ziemię, czując szczypanie chłodu.

- Przyniosłem sprzęt - rozległ się za mną głos Samuela. Brzmiała w nim głucha wrogość, więc uśmiechnąłem się w duchu. Wygląda na to, że nie ja jeden mam dzisiaj zły humor. Nieszczęścia chodzą parami.

- Dobry z ciebie piesek, Sammy. Tylko tak dalej, a dostaniesz przysmak. - Odwróciłem się i obdarzyłem go promiennym uśmiechem. Słyszałem, jak wchodzi, słyszałem jego oddech i każdy odmierzony krok. Od początku nie wątpiłem, że zrobi to, co kazałem, ale mimo wszystko poczułem satysfakcję. Realizacja planu postępowała bez zarzutu - to dobrze, bo miałem ostatnio aż za wiele niespodzianek.

- Przeprowadziłeś też Dżyngisa? - spytałem, otrzepując dżinsy. - Przydałyby mi się skórzane spodnie. I mała przekąska -dodałem, czując kolejny skurcz głodu.

Dżyngis to nie hamburger, ale jak się nie ma, co się lubi...

- Gdzie mam to postawić? - spytał gitarzysta, ignorując moje zaczepki. Był konkretny, poważny i tak ponury jak baptysta w burdelu.

Przez kilka godzin kombinowałem nad ustawieniem bramy -okazało się, że najważniejszy jest przewód.

- Pod przeciwległą ścianą, jakieś dwadzieścia kroków w głąb. - Wskazałem na jedyną ścianę niezastawioną pudłami i skrzynkami. - Ustaw je z boku i zrób przejście. I podkręć wzmacniacz, ile wlezie, Sam-Samie. Damy czadu.

Mężczyzna skinał głową i odszedł.

- Potrzebujesz pomocy, kolego? - zawołałem za nim. - Będzie jak za dawnych czasów. Tym razem nawet nie musisz mi płacić.

- Nie, dzięki - odparł, nie odwracając głowy. - Nie mam dziś ochoty tańczyć z diabłem w bladym świetle księżyca.

„Zabawny gnojek”, pomyślałem, patrząc, jak odchodzi. Mogłem mu powiedzieć, że nie ma żadnego diabła. Gdyby rzeczywiście istniał, to pewnie nie ścierpielibyśmy takiej konkurencji. Zostawiłem go w spokoju, żeby ustawił głośniki - były naprawdę imponujące jak na sprzęt podrzędnej kapeli. Samuel przywiózł je na przyczepce. Bardzo dobrze. Teraz miałem ciało Kalibana, paranormalną baterię pod podłogą i wskazówki auphe. Ale miałem też coś więcej - własny talent i to właśnie miał być decydujący czynnik. Miliony lat to mnóstwo czasu. Nie zaszkośli podkreślić moc. A jeśli okaże się, że technologia wynaleziona przez ludzi przyczyniła się do ich zagłady, to tylko dodatkowy bonus. Wszelkie wątpliwości na temat zagłady świata, z całym jego luksusem, zniknęły pod samozadowoleniem, jakiego dostarczało mi to zadanie. W całym wszechświecie tylko ja jeden mogłem tego dokonać. Tylko ja miałem odpowiednią moc.

-Gdzie mam postawić mikrofony? - padło kolejne pytanie, bezbarwne i obojętne. Samuel z każdą chwilą stawał się mniej zabawny. Jego twarz zastygła w wyrazie obojętności, oczy miał twarde jak z kamienia. Nawet czekając na moją odpowiedź, gapił się gdzieś w przestrzeń.

Zrobiłem krok w bok, stając na linii jego wzroku. Uznałem, że nie pozwolę mu zignorować tego, co się będzie działo. Nie dam mu się schować. Jednak najbardziej zirytowało mnie coś innego - nie wiedziałem, czy chciała tego część pochodząca od mrokni-ka czy ta część, która kiedyś była Kalibanem.

Uważałem, że auphe rozegrały sprawę z Samuelem bardzo chytrze. W końcu znalazł Kala i jego brata i przez prawie miesiąc obserwowały ich z daleka. Wiedziały o jego przyjaźni z Georginą i o jej umierającym ojcu. Znalazły nawet jej troskliwego stryja Samuela i wykorzystały go bez skrępowań. Mógł zrobić to, co wykraczało poza możliwości auphe: obserwować braci z bliska i na bieżąco informować o wszystkim swoich panów, którzy tymczasem szukali odpowiedniego miejsca na otwarcie bramy. Mógł zbliżyć się do ofiar auphe bardziej niż one same. To właśnie on

domyślił się, że zamierzają zwać. Dobry nos... Jak na człowieka. Trzeba było przyznać szefom jedno: potrafili zawiązać wszystko w jeden, ładny, uniemożliwiający ucieczkę supełek. Godne podziwu.

Oczywiście, Kai byłby pewnie innego zdania. Czułby się raczej zdradzony, wściekły i pełen dobrej, morderczej furii. Nie zrozumcie mnie źle - ja też miałem ochotę zabić naszego drogiego kolegę Samuela. Ale ja zamierzałem zrobić to dla zabawy, podczas gdy Kai pragnąłby zemsty. Sprawiedliwości.

Nic mnie nie obchodziło, czego on by chciał. Kaliban odszedł. Byłem tylko ja i jeśli dręczyłem Samuela, to wyłącznie dla sportu, koniec pieśni. - Nie trzeba stojaka - odparłem w końcu. - Widziałem, że wasz wokalista używa zestawu słuchawkowego. - Musiałem mieć wolne ręce, by otworzyć bramę. Chwyciłem go za ramię, gdy próbował odejść. - Jeszcze jedna rzecz, Samuelu. Byłeś takim dobrym, ludzkim kolegą. - Obnażyłem zęby w parodii uśmiechu, grymasie z czasów, gdy nie miałem jeszcze ludzkiego ciała. - Chciałbym, żebyś został i obejrzał spektakl. Wstęp jest darmowy.

Mniej lub bardziej.

Tym razem nie unikał mojego wzroku - spojrzał na mnie, a oczy miał tak puste jak to, co zostało z jego duszy.

- W porządku. Przyniosę zestaw.

Wiedział, na co się zanosí. Wiedział, a jednak nie próbował tego uniknąć. Wyrzuty sumienia to straszna rzecz - nigdy ich nie miałem, ale słyszałem różne pogłoski.

Puściłem go i patrzyłem, jak przeciska się przez tłum auphe.

Marszczyłem brwi w zamyśleniu. Może to i dobrze, że nie będę miał szansy go zabić. Swoim zachowaniem sprawiał, że zdawało się to za łatwe - odbierał mi całą przyjemność. Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Gdy auphe przejdą przez bramę, nie będzie już żadnego Samuela, którego mógłbym wykończyć. Nie będzie też żadnej Georginy, a gdyby Samuel o tym wiedział, pewnie nie byłby tak uległy.

- Już czas.

Szept auphe powtórzył się setki razy, tworząc atonalny koncert, którego dźwięk poszybował w górę, aż po krokwie. Potem ich słowa przekształciły się w nieartykułowany tęskny jęk, skręcający się w powietrzu, niczym nóż obracany w ranie, zmieniający wnętrzości w miazgę. Był to dźwięk stada potworów tęskniących za domem. Stały ramię przy ramieniu, wpatrzone we mnie, a ich wzrok płonął jak eksplodujące słońce. Setki krwistoczerwonych oczu zwróconych w moją stronę. Czułem żar na twarzy. Oddychały płytko, gorączkowo, ich długie palce zaciskały się, tworząc węzły. Otwarte pyski, wargi odsłaniające ostre zęby. Wokół rozległo się nieopanowane kwilenie. Auphe były prawą ręką śmierci - blade i bezlitosne.

Ktoś o słabszych nerwach prawdopodobnie leżałby teraz na podłodze, ssąc kciuk. Ja zaś rozkoszowałem się ich uwagą. Byłem gwiazdą. Beze mnie auphe nie osiągnęłyby niczego. Byłem kluczem, a brama stanowiła zamek, który tylko ja mogłem otworzyć. W tej jednej chwili - jak zresztą zawsze podejrzewałem - byłem bogiem. Rozłożyłem ręce, odchyliłem głowę i zamknąłem oczy, czując, jak włosy spływają mi na plecy.

- Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie. - Otworzyłem oczy i uśmiechnąłem się łagodnie.

Gdzieś obok rozległo się drżące westchnienie.

- Jezu, słodki Jezu.

Skinąłem głową w stronę Samuela.

- Och, nie, nie, mam znacznie większe ambicje. - Mężczyzna poszarzał na twarzy niczym trup, skóra pokryła mu się zimnym potem. Oderwał wzrok od kłębowiska auphe i znów spojrzał na mnie.

- Co one zrobią? - Jego głos był cichy i pełen napięcia, ale najwyraźniej zubożenie minęło. To dość zrozumiałe - nawet najbardziej zdeterminowany samobójca zawahałby się w obliczu tego tłumy.

Wyjąłem mu słuchawki ze zmartwiałej ręki.

- Chyba już trochę za późno, by się nad tym zastanawiać. -Włożyłem słuchawki i odprowadziłem go spojrzeniem. Samuel wycofywał się wolno, krok za krokiem.

- Równie dobrze możesz zostać, Samuelu. Przed tym nie da się uciec. Nie ma bezpiecznego miejsca na ziemi.

Mężczyzna wciąż się cofał, a ja pozwoliłem mu odejść. Teraz miałem na głowie ważniejsze sprawy. Jeden cel. Jedno pragnienie. Odwróciłem się tyłem do aulki, stając twarzą do pustej ściany, i uniosłem ręce z zacisniętymi pięściami. Za mną znajdowała się publiczność, czekająca, aż zespół wyjdzie na scenę. Prawie wypełniły magazyn po brzegi. Dyszenie przybrało na sile, a potem nagle umilkło, ustępując miejsca śmiertelnej, pełnej oczekiwania ciszy. Przed sobą miałem pustą ścianę z głośnikami po bokach - płótno czekające na rękę artysty. Podo mną - nie-ugaszona furia niespokojnych dusz błagających o wolność.

Zrobiłem, co chciały.

Ich energia uderzyła mnie z siłą rozpędzonego pociągu, a ja rozkoszowałem się nią. Każdą cząstkę mnie otoczyły chciwe, żarłoczne palce, dusze popędziły przeze mnie na wolność. Bezmyślna, bełkocząca furia i żądza, było ich coraz więcej, aż w końcu myślałem, że eksploduję na tysiąc odłamków gniewu i śmierci. I wszystko to dla mnie, tylko dla mnie. Mięśnie napięły mi się gwałtownie, tworząc twarde węzły, poczułem, że unoszą mi się powieki i spojrzałem w nicość. Naładowane cząstki prześlizgnęły się z sykiem po mojej skórze jak błyskawica, a krew niemal zawrzała mi w żyłach i uniosłem się w powietrze. Zawisłem, niczym mucha uwięziona w bursztynie. Strumień dusz płynął nieprzerwanie, jak ocean wlewający się do filizanki. Poczułem, że się rozciągam, napinam, puchnę, aż każda komórka zaczyna wyc z bólu.

A potem wszystko zamarło. Napływ dusz ustał, a ja wisiałem w powietrzu, czując, że palą mnie wnętrzności. Wciąż nic nie widziałem, ale nie musiałem. Rozłożyłem ręce, by objąć bramę, i skupiłem w sobie cały ten szal, dzikość i gniew, tworząc jedną, głośną nutę, od której miała pęknąć ziemia. Umiejętność

śpiewania - ta jedna cecha łączyła mnie z moimi siostrami. Niektórzy nazywali to zawodzeniem, krzykiem albo nawet wyciem, ale to nieprawda. Była to piękna, namiętna pieśń obwieszczająca koniec życia. I to ona przekazała każdą cząsteczkę energii zebranej w moim ciele temu mrocznemu tworowi, zrodzonemu w nienaturalnym akcie.

Brama stanęła otworem.

To było takie proste. Trochę pieśni, trochę tańca, „Sezamie otwórz się” i proszę. Żegnajcie, elektryczne koce, żegnajcie gorące prysznice, markowe ciuchy i szybkie samochody. I żegnaj ty, raso ludzka. W końcu wszystko miało wrócić do równowagi. To naprawdę był koniec wszystkiego.

Odzyskałem wzrok i zobaczyłem, że brama wiruje leniwie na ścianie - miała wysokość osiemnastu stóp i tyle samo szerokości. Przez rozdarcia w spienionych szarych oparach dostrzegałem skrawki aksamitnego, purpurowego nieba pokrytego gwiazdami wielkości pięści. Ze środka buchnęło powietrze - ciepłe, pachnące siarką, piżmem i świeżą trawą. Pamiętałem ten zapach - była to woń strumieni lawy, olbrzymich stworzeń poruszających się majestatycznie niczym statki i trawy o jaskrawym odcieniu zieleni, jakiego obecnie już się nie spotyka. To był...

- Dom - powiedziały auphe. Wymówiły to słowo w swoim zgrzytliwym, ochrypłym języku z szacunkiem, o jaki ich wcześniej nie podejrzewałem. - Dom.

Energia opuściła mnie całkowicie, wyssana przez otworzony portal, i padłem na podłogę. Wciąż wyciągałem przed siebie ręce, drżąc z wysiłku, którego wymagało utrzymanie rozdarcia w czasoprzestrzeni.

-Kujcie żelazo, póki gorące - wycedziłem przez zaciśnięte zęby. - To długo nie potrwa.

Za moimi plecami rozległ się wężowy syk. Wydobywał się z setek gardeł, a jednak jakimś cudem zabrzmiał jak jeden głos. Oto nadeszło ukoronowanie całych wieków ich pracy i auphe

zjednoczyły się w radości. Razem postawiły ten pierwszy krok, idealnie zsynchronizowane. Usłyszałem odgłos ich stóp: dudniący huk, brzącający niczym grzmot burzy. Chwilę później do wtóru załśniła błyskawica - był to błysk miecza, który przeciął siatkę lewego głośnika, a ze środka wypadli Niko z Robinem. Wyglądało to jak sztuczka iluzjonisty: teraz widać, a teraz nie, tyle że oglądana w odwrotnej kolejności. Broń Nika przecięła siatkę jednym szybkim ruchem. Wyszedł na scenę i zatrzymał się na chwilę, spoglądając na zgromadzoną armię auphe. Jego warkocz zniknął. Ciemnoblond włosy, które sięgały mu do pasa, zostały ostrzyżone przy samej czaszce. „To musi coś znaczyć”, pomyślałem jeszcze, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co. Za nim pojawił się Robin i to na chwilę odciągnęło moją uwagę.

Głośnik, cholera, to było genialne. Zauważyłem niewielki defekt, już kiedy śpiewałem, ale uznałem, że musi to być jakaś usterka techniczna. Samuel dostarczył mi głośniki, tak jak prosiłem... Jeden dla mnie i jeden dla siebie. Był to straszliwie niedogodny moment na skrupuły. Musiał poprosić bratanicę, by skontaktowała się z Nikiem, a potem sprowadził go tutaj. Gdy jego sumienie w końcu się ocknęło, zrobiło to z całą mocą. Powinienem był go zjeść, gdy jeszcze miałem okazję.

Pot zebrał mi się na szyi, a brama tymczasem wirowała dalej; czułem, jak przyciąga mnie do siebie. Za kilka minut wyczerpie cały ładunek mocy i zacznie wysysać moje siły życiowe. Jeśli do tego doszło, siła tej reakcji natychmiast wywróciłaby mnie na nice. Byłby to niezły efekt specjalny, ale nie leżał specjalnie w moim interesie. Mogłem pracować dla auphe, ale nie zamierzałem dla nich umierać. Wyglądało jednak, że do tego nie dojdzie. Niko i Filut walczyli z zabójczą skutecznością, ale auphe były górą. Przewaga liczebna, wściekłość i desperacja - temu nawet Nik musiał ulec.

- Nik. - Przesłałem bratu wilczy uśmiech. - Nie mówiłeś, że wpadniesz. Jestem zawiedziony. Jak to szło? - Zanuciłem piosenkę ze starego serialu rysunkowego. - „Brygada RR do dzieła!”

Robin wpatrywał się w bramę z mieszaniną przerażenia i tęsknoty na lisiej twarzy. Położył dłoń na ramieniu Nika i zacisnął ją, aż palce mu zbieleły.

-To niemożliwe... To *ektos mas*. Niko, to przeszłość. Czas przed nastaniem epoki ludzi. Jeśli *auphe* tam przejdą... - Nie musiał kończyć, widziałem, że Nik natychmiast dopowiedział sobie resztę.

- Zamknij to. - Przesunął się, stając pomiędzy mną a bramą. Czubek ostrza oparł mi się o zagłębienie pomiędzy obojczykami. - Teraz.

Krew ciekąca z rany spłynęła mi po piersi, tworząc smugę tuż nad sercem. Słyszałem, jak *auphe* rzucają się naprzód, były tuż, tuż. Czułem ich morderczy gniew niczym nadciągającą falę gorąca. A potem obrzyny splunęły ogniem. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak Robin i Samuel okrążają mnie z obu stron i strzelają w tłum. Co to ma, kurna, być? Obrobili po drodze Johna Rambo? Wciąż przykuty do bramy, patrzyłem, jak *auphe* wylatują w powietrze, niektóre w kawałkach.

- Ech, szlag. - Zatoczyłem się i znów spojrzałem na bramę. Zaczynała się destabilizować. Stałem pewniej na nogach, ująłem ją mocno i wyrzuciłem z siebie stek przekleństw we własnym języku, który składał się niemal wyłącznie z takich wyrażen.

Niko nie spuszczał ze mnie oczu nawet na chwilę.

- Zamknij bramę, mrokniku. Zamknij albo cię rozpruję.

- Naprawdę chcemy do tego wracać? - warknąłem, czując, że kończy mi się cierpliwość. Zobaczyłem, że brama za plecami Nika przybiera bardziej stabilny kształt, dobrze. - Nie odważysz się na to, braciszku. Już raz tego dowiedliśmy.

Filut i Samuel wypalili z obu luf, a potem odrzucili broń i sięgnęli pod płaszcze po nową. To wyglądało na broń automatyczną i z irytacją zacząłem się zastanawiać, gdzie mają miotacze ognia. Jeszcze jeden dowód na to, że w Wielkim Jabłku można dostać wszystko, trzeba tylko zapukać do właściwych drzwi. Gdy znów

otworzyli ogień, zaryzykowałem kolejne spojrzenie przez ramię. Podejrzywałem, że nawet stojąc naprzeciw karabinów maszynowych, auphe się nie cofną... Nie teraz, gdy zaszły już tak daleko. One najwyraźniej były tego samego zdania.

Przeskakiwały przez zabitych i wciąż parły na przód - ranne i zakrwawione, pokryte strzępkami ciała, wciąż nadchodziły. Ołowiana śmierć nie była w stanie ich zatrzymać. Z tego, co widziałem, nie zdołała nawet spowolnić ich marszu. A czy auphe wejdą do środka po trupach tej trójki - to naprawdę nie miało znaczenia. Wynik był przesądzony. Na tym etapie gry nie sposób już go zmienić.

Mój brat nie zamierzał się z tym pogodzić. Ten sukinsyn zawsze był uparty. Rozstawiał mnie po kątach, odkąd tylko nauczyłem się chodzić. Właściwie usiłował to robić z całym światem, jednak nigdy nie zdołał osiągnąć jedynej rzeczy, na której mu naprawdę zależało. Nie zdołał zmusić świata, by zostawił nas w spokoju. Stał teraz przede mną, podejmując ostatnią próbę, choć wiedział, że to daremne. Jednak nie poddał się, bo taki już był.

- Zamknij ją. - Miecz na moim gardle nawet nie drgnął. -Więcej prosił nie będę.

- Zmarnowałeś mnóstwo czasu, prosząc mnie już trzy razy. -Nie mogłem się bronić rękami, ale Niko nauczył mnie, jak się obywać bez nich. Moje talenty drapieżnika też się przydały. Wymierzyłem mu kopniaka w kolano, którego uniknął z łatwością. Jednak był to tylko zwód - nie oczekiwałem, że trafię. Niko zupełnie nie spodziewał się kolejnego manewru, gdy splunąłem mu jadem w twarz. Mimo że odwróciłem jego uwagę kopniakiem, i tak zdołał się uchylić na tyle, że jad nie prysnął mu w oczy. Zatoczył się, a skóra z lewej strony jego twarzy zaczęła czerwienieć i puchnąć. Taka ilość nie wystarczyła, by go zabić - mogła nawet nie wywołać mdłości. Moje nowe ciało bardzo powoli produkowało toksynę. Przez cały ten czas zebrałem jej tylko tyle, daleko jej też było do normalnej mocy. Jednak gdybym trafił Nika

w oczy, zdołałbym go oślepić. A tak mogłem liczyć tylko na straszliwie bolesną reakcję alergiczną.

A tymczasem mogłem spróbować go po prostu skopać na śmierć. Może nie będzie to równie widowiskowe jak ślepotą, konwulsje i wymiotowanie wnętrznościami, ale musiało wystarczyć. Gorączkowo pocierając twarz wolną ręką, Nik zatoczył się w bok i opadł na kolano. Wyprowadziłem kopniak, trafiając przeciwnika w udo i powalając go na ziemię. Kolejne uderzenie trafiło w żebra. Słuchawki spadły mi z głowy. Już miałem wymierzyć kolejnego kopniaka, gdy dostrzegłem coś kątem oka. Pierwszy atak na bazę startową.

Pociski wciąż świstały, jednak jeden z auphe przedarł się przez ich zasłonę, jakby był to tylko łagodny letni deszcz. Minał mnie w biegu i skoczył w stronę bramy, zwinny niczym kropla rtęci. Prawie mu się udało. Był jakieś trzy kroki od bramy i wciąż w powietrzu, gdy miecz Nika rozciął go na pół. Jeszcze przed chwilą mój brat leżał na podłodze, z moją stopą na żebrach, ułamek sekundy później zerwał się na nogi, obrócił i jednym ciosem załatwił auphe. Jego gładka jasna głowa obróciła się w stronę Filuta i Samuela.

- Nie dajcie im podejść!

- Ach, więc taki jest plan? - odparł kwaśno Robin. - Może powinienem sobie to zapisać. - Zamachnął się bronią i wbił ją w pysk auphe, który podszedł za blisko. Śluz i posoka trysnęły w powietrze, tworząc bardzo artystyczny wzór.

Samuel wciąż strzelał. Miał wprawdzie mniej do powiedzenia, ale był znacznie bardziej rzeczowy:

- Pospiesz się, do diabła!

A potem jasna głowa odwróciła się do mnie. Wiedziałem, że nie będzie więcej ostrzeżeń. Żadnych kolejnych szans. Wtedy przypomniałem sobie, o co chodziło z włosami. Wspomnienie wydobyło się z głębi mózgu i usłyszałem odległy, aksamitny śmiech mamusi. Opowiedziała nam to kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze byłem na tyle mały, że brałem jej pijackie bredzenia za bajki na dobranoc. Ta

opowieść dotyczyła jej cygańskich korzeni. Technicznie rzecz biorąc, były to też nasze korzenie, chociaż nigdy nie zadbała o to, byśmy się do nich poczuli. Sophia pochodziła z greckich Cyganów, którzy przejęli kilka tradycji z kultury swoich gospodarzy.

Włosy obcinano dla zmarłych. Był to symbol żałoby.

- Cyrano. - Spojrzałem mu w oczy, które kiedyś miały ten sam kolor co moje. - Doprawdy?

Mogłem go powstrzymać. Straciłbym bramę, ale mógłbym to zrobić. Miałem w myślach zupełnie wyraźny obraz tego, jak mogłaby rozegrać się ta scena. Puszczę bramę, obrócę się i jednym ruchem chwycę Samuela za szyję. Gdy odwrócę się z powrotem, będę już trzymał jego pistolet, a on znajdzie się pomiędzy mną a błyszczącym śmiercionośnym ostrzem.

Nim ostrze przebije serce mojego zakładnika, wystrzelę dość pocisków, by zmienić Nika w odległe wspomnienie. Mógłbym to zrobić.

Ale nie zrobiłem.

Zamiast w serce Samuela, ostrze wbiło mi się w brzuch, jakby wracało do domu. Ręce mi opadły i zacisnęły się mocno na dłoniach Nika. Jego palce były zimne i drżały lekko. Obaj trzymaliśmy rękojeść broni, jakby to była lina ratownicza. Dziwne. Przecież nie niosła ratunku... dla żadnego z nas.

-No proszę... - Ledwie słyszałem własne słowa i urywany oddech. - Jednak Niko mnie słyszał, widziałem to w jego twarzy i w oczach, które przypominały teraz czarne dziury pochłaniające wszelkie światło, nadzieję i wiarę. - Spójrzcie na to. - Padłem na kolana, czując, że chłodny metal wyslizguje się z rany. Uśmiechnąłem się do brata - grymas był niemal szczery. - Myliłem się. Wygląda na to, że jednak masz jaja. Brawo, braciszku. - W tych słowach zabrzmiała jakaś ostateczność. Puściłem ręce Nika i przycisnąłem dłonie do brzucha, z obojętną fascynacją patrząc, jak wypływa ze mnie życie.

W miarę jak słabłem, brama również zaczęła znikać. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się przejście, teraz widniała

jedynie pusta ściana. Oderwałem od niej wzrok, spojrzałem na porzucone ostrze, a potem znów na mojego brata. - Jak to? Nie weźmiesz pamiątki?

Niko nie zareagował na tę zaczepkę ani na kolejną, w której wspomniałem coś o niebie spadającym na głowę. Nie miałem pojęcia, jakie bodźce w ogóle odbiera. Nie zauważył, że strzelanina ucichła, gdy Filutowi i Samuelowi skończyła się amunicja. Prawie dokładnie w tej samej chwili budynek zaczął się walić. Wyglądało na to, że jest całkowicie skupiony na mnie. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Może kilka sekund, jednak miałem wrażenie, że minęło więcej czasu, znacznie więcej. Nie wiem, co widział mój brat. Srebrne oczy, błądą skórę, gasnącą świadomość i kałużę krwi - to jasne. Ale co oprócz tego? Nie wiedziałem. Po raz pierwszy w życiu nie potrafiłem zinterpretować jego zachowania. Widziałem jego desperację, rozpacz, a potem zobaczyłem, jak to wszystko odpływa, ustępując miejsca pustce.

A potem Niko podjął jakąś nieznaną mi decyzję, zamrugał pustymi oczami i zarzucił mnie sobie na ramię, zanim zdołałem zaprotestować. Później puścił się biegiem. Przed oczami zrobiło mi się ciemno i postanowiłem odłożyć decyzję o tym, co robić dalej. Nigdy nie poddawałem się bez walki, w żadnym z moim wcieleń.

Auphe rzuciły się w pogoń za nami. Nigdzie nie dostrzegałem Robina ani Samuela, jednak dobrze widziałem swoich byłych pracodawców. Wciąż odpływałem w duszącą ciemność, ale i tak wiedziałem, że mam przerąbane. Jeśli auphe nas dopadną, to trzeba mnie będzie identyfikować po kodzie DNA. Zawiodłem ich, a co gorsza, zniszczyłem ich królika doświadczalnego. Ciało odniosło potencjalnie śmiertelną ranę. Stało się dla nich bezużyteczne i ja razem z nim. Wściekłość wykrzywiała ich pyski była przeznaczona w równym stopniu dla mnie, co dla Nika, Filuta i Samuela. Żadnych dwóch tygodni wypowiedzenia, żadnej odprawy. Ta myśl zawirowała mi w głowie, a potem zjawiała się kolejna, która przewinęła się już wcześniej. Mogłem powstrzymać Nika. Dlaczego tego nie zrobiłem?

Była to właściwie ostatnia sensowna myśl, do jakiej byłem zdolny. Potem gasnącą świadomością rejestrowałem już tylko przebłyski światła i dźwięku. Sufit walił nam się na głowy, a na pięty następowała mordercza horda. Spory odcinek czasu zupełnie mi umknął, a potem znaleźliśmy się na zewnątrz. Wciąż zwisałem głową w dół i wpatrywałem się w tę część ciała Nika, którą kompletnie nie byłem zainteresowany.

- Widywałem cię już z lepszej strony - wybełkotałem, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Jeśli doczekałem się odpowiedzi, to byłem już zbyt otumaniony, by ją usłyszeć. Nagle wszystko zawirowało, od asfaltu aż po bezgwiazdne niebo, i zrozumiałem, że siedzę na tylnym siedzeniu samochodu.

- Jesteś pewien, Nik? - zawołał Robin, próbując przekrzyczeć ryk silnika. - Wiesz, że go zabiją. Gość nie ma szans.

- Nie mamy wyboru. Jedź. - odpowiedział Niko. Zdałem sobie sprawę, że półleżę na siedzeniu, oparty o jego pierś. Obejmował mnie jedną ręką, mocno przyciskając jakąś szmatkę do rany w brzuchu, co bolało znacznie bardziej, niż powinno. Mimo tego -a może właśnie dlatego - postanowiłem skupić się na czymś innym i spojrzałem przez okno. Widziałem w nim Samuela, ale już bardzo niewyraźnie. Stał w drzwiach magazynu. Broń i naboje były już tylko odległym wspomnieniem. Teraz wymachiwał mieczem Nika, dość niefachowo, ale z niezwykłą siłą. Tylko on stał pomiędzy auphe a wolnością. Jakaś część mnie była pod wrażeniem. Druga, większa część zachichotała złośliwie: „Frajer!”. Potem skręciliśmy za róg i Samuel zniknął. Sekundę później szyby w oknach zadrżały, a wokół zabrzmiał hurgot walącego się budynku. Decyzje. W życiu ciągle trzeba dokonywać wyborów.

Samuel właśnie go dokonał.

Leciałem.

Unosiłem się w aksamitnym nocnym powietrzu, szybowałem i nurkowałem w absolutnej ciszy. Rozkoszowałem się wolnością. Nic nie widziałem, ale nie musiałem. Nie było góry ani dołu, ziemi ani nieba. Gwiazd ani księżyca. Tylko bezkresna przestrzeń i ciemność. I bezkresne wspomnienia.

Miałem pięć lat i biegłem boso po ubitej ścieżce w jakimś odległym mieście. Już dawno zapomniałem, jak się nazywało, a może nigdy tego nie wiedziałem. W ramionach trzymałem ciepłą kulkę, a mokry język radośnie lizał mój podbródek. Szczeniak pachniał mlekiem, a ja śmiałem się wesoło. To Nik dał mi tego psa. Pożyczył go od sąsiada za pięć dolarów. Nawet w tak młodym wieku wiedziałem, że nie możemy go zatrzymać. Nie próbowałem nawet pytać. Sophia sprzedałaby go w mgnieniu oka. Dostałem go tylko na jeden dzień, ostrzegwał Nik. To był jeden z najlepszych dni w moim życiu.

Byłem starszy niż jakakolwiek ludzka cywilizacja i siedziałem przyczajony na sarkofagu z lapis-lazuli. Nie znałem imienia faraona, który zmarł przed stoma dniami, i nie próbowałem się dowiedzieć, jak brzmiało. Na podłodze grobowca piętrzyły się poodrywane członki, piasek pokrywały czerwone plamy. Mieszkałem tu zaledwie od dwóch tygodni, a już napotkałem kilku rabusiów. Kapłan obiecał mi częste odwiedziny i dotrzymał słowa. Bogaty władca wciąż trzymał swój skarb w zmumifikowanych palcach, a ja podłożyłem sobie świeżo urwaną głowę zamiast poduszki. To był dobry dzień. Może nie najlepszy, jaki pamiętałem, ale nie było na co narzekać.

Byłem prawie tak stary jak sam czas, a jednocześnie młodszy niż łąka jednodniówka. Odzyskiwałem przytomność i żałowałem, że nie starcza mi tchu, by przekląć ten nieznośny ból. Z trudem uchyliłem powieki, ale widziałem tylko ciemność. Czyżbym oślepl? Nie. Obok mignęły światła i zdałem sobie sprawę, że wciąż leżę na tylnym siedzeniu samochodu. Czuję, że nie opieram się już o materiał, ale o czyjąś nagą skórę. Z góry dobiegł mnie głos Nika.

- Robin, daj mi swoją koszulę. Moja jest już przesiąknięta.

Przesiąknięta krwią. Mimo starań Nika, krew wciąż wypływała, czułem, jak spływa mi po brzuchu. „Ma własną wolę, tak jak ja”, pomyślałem oszołomiony, kołysząc się jak na fali od jednego paroksyzmu bólu do drugiego. Patrzyłem, jak Robin uprawia akrobatykę za kółkiem. Nie odrywając jednej ręki od kierownicy, drugą podał koszulę Nikowi.

- Co z nim?

Na podłogę upadła mokra szmata, którą Niko zastąpił opatrunkiem zrobionym z koszuli Filuta. Zbył pytanie Robina milczeniem i to była wystarczająca odpowiedź.

- Już niedaleko - stwierdził Nik. Nuta niepokoju w jego głosie została ukryta tak dobrze, że ledwie ją dosłyszałem. - Jedź szybko.

Dokąd właściwie jechaliśmy? Na pewno nie do szpitala. Nie mogli narazić cywilów na kontakt z tak nikczemnym plugastwem jak ja. Poza tym nie zapominajmy, że w szpitalu srebrne oczy nie zostałyby uznane za zwykłą ozdobę. Przyciągnęłyby uwagę - i to najgorszy rodzaj uwagi. Rentgeny i zręczne dłonie chirurga szybko odkryłyby rzeczy, których nie da się zignorować. To zadziwiające, umysł ludzki potrafi zignorować wiele sygnałów, ale w obliczu przekonujących dowodów społeczeństwo nie jest w stanie dłużej chować głowy w piasek. A jednak Niko robił, co mógł, by nie pozwolić mi się wykrwawić. Ciekawe dokąd...

Nie zdążyłem dokończyć tej myśli - głos Filuta przerwał moją koncentrację.

- Mroknik jest uparty. - Zawahał się, po czym ciągnął dalej. - Znalazł sobie wygodny kącik. Naprawdę nie wiem, jak można się go pozbyć, wyłączając zabicie Kala.

- Skręć w Verrazano. - Nik zachowywał się, jakby w ogóle nie słyszał. Most... To znaczyło, że jedziemy na Staten Island. Coś mi to mówiło, ale czułem się, jakbym w głowie miał pełno waty.

Robin westchnął, a po chwili zaśmiał się ponuro.

- Jesteś niemożliwy. Powinienem był wam oddać wszystkie wozy, które miałem na parkingu, i cieszyć się, patrząc, jak odchodzicie.

- Prawdopodobnie byłoby to najrozsądniejsze wyjście. - Niko pochylił się nade mną i dodał poważnie: - Nie myśl, że nie doceniam tego, co dla nas zrobiłeś, Filut. Bez ciebie Kai i ja już byśmy nie żyli...

„I to tylko gdybyśmy mieli szczęście”. Nie dokończył zdania, ale niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

- Pamiętaj też, że pomogłem uratować świat - odparł Robin, w mgnieniu oka odzyskując rezon. - Robin Filut, nasz bohater. Dobrze brzmi, prawda?

Parsknąłem śmiechem, prawie równocześnie z Nikiem. Powieki opadły mi jakiś czas temu i nawet tego nie zauważyłem. Ciemność, którą miałem przed oczami, nie różniła się specjalnie od ciemności za oknem. A jazda poprzez noc wcale nie różniła się tak bardzo od latania. Powoli odpływałem w stan znacznie bardziej nieodwracalny niż zwykły sen. Usłyszałem jeszcze, jak mój brat szepcze.

- Nie śpij, Kai. Już prawie jesteśmy na miejscu. Nie śpij. Wiedział, że jestem przytomny. Przez cały czas to wiedział,

tak jak teraz wyczuł, że zaczynam odpływać. Miałem wrażenie, że grawitacja zwiększyła się dwukrotnie, przyciągając mnie z miażdżącą siłą. Każdy kolejny oddech wymagał coraz więcej wysiłku. Kai nie wiedział, jakie to uczucie umierać, ale ja zabiłem w życiu wystarczająco dużo istot i potrafiłem rozpoznać

oznaki nadchodzącej śmierci. Drżący oddech, słabnące tętno. To ciało zawierające nasze połączone dusze zawisło jakby w stanie nieważkości, a potem zaczęło spadać. Miałem nadzieję, że podjąłem właściwą decyzję i Niko rzeczywiście wyciągnie mnie z tego bagna. Postawiłem wszystko na jedną kartę.

Nie pamiętam, co się stało później. Ból. Duszności. A potem w końcu coś się poruszyło. Ktoś niósł mnie na rękach, wtedy podjąłem ostatni wysiłek, jeszcze raz wynurzyłem się ponad lśniąca tafłę. Płynąłem w górę, ile sił, ale ręce i nogi ciążyły mi jak spętane łańcuchem. Miotalem się w nieruchomej czarnej wodzie, gdy dobiegł mnie czyjś głos. Minęła dłuższa chwila, nim zrozumiałem słowa.

- Szybko. Połóż go na łóżku. Do cholery, Niko, co się stało? Głos brzmiał znajomo. Poczulem, że ktoś kładzie mi dłoń na

brzuchu. Była ciepła. Nie - gorąca, niemal parzyła. To przywiodło mi na myśl pewne wspomnienie. Rozczochrane kasztanowe włosy, niecierpliwe bursztynowe oczy, uniesiona brew przecięta cienką blizną. To był uzdrowiciel. Rafferty. Rafferty Jeftiszczew. Staten Island... Bingo.

- Został pchnięty nożem. Prawie pół godziny temu - wyjaśniał Niko. Jak zawsze był bardzo konkretny, może nawet zbyt lakoniczny. - Stracił sporo krwi. Nie mogłem zatamować.

- „Sporo” w tym przypadku znaczy „wszystko, co do kropelki”. - Ton Rafferty'ego nie wróżył zbyt dobrze. Co to za pesymizm przy łóżku pacjenta? Rafferty jednak nigdy nie owijał w bawełnę i nie miał czasu ani ochoty na zdawkowe pocieszenia. On i Nik dobrali się jak w korcu maku. Ciepło bijące z jego dłoni rozgrzało skórę i wniknęło głębiej.

- Ty tam, Loczku. Idź do kuchni i przynieś dwa worki do in-fuzji, są na górnej półce w lodówce.

Żałowałem, że nie mam dość siły, by otworzyć oczy. Chętnie zobaczyłbym skwaszony grymas, który prawdopodobnie wypełził teraz na zarozumiałą gębę Filuta. Loczek. Prawdopodobnie dopiekło mu to do żywego. Poczulem ciepło, jeszcze wyraźniejsze

niż dotyk ręki, która desperacko próbowała załatać moje wnętrze. Rozległ się chłopot i skrzywienie plastiku. Loczek najwyraźniej wrócił z towarem.

- Co to jest? - spytał cicho Filut.

- Świeże, schłodzone osocze - odparł z roztargnieniem Rafferty. - A teraz zamknij się i pozwól mi pracować, okej? - Potem zaległa cisza. Głęboka, aksamitna i spokojna - na tyle spokojna, że próbowałem odpłynąć. Starłem się postawić stopę na krętej ścieżce wiodącej wszędzie i donikąd. Jednak za każdym razem jakaś uparta siła ściągała mnie z powrotem. Uścisk czyjejś dłoni przywracał mnie do rzeczywistości z bezwzględny uporem.

Bezwzględny, uparty i tak oddany swojej sztuce, że Hipokrates nie sięgał mu do pięt - tak mogłaby wyglądać najkrótsza charakterystyka Rafferty'ego. A poza tym nie znosił głupoty. Ni-ko i ja spotkaliśmy go dwa lata temu i od razu wyczułem w nim prawdziwy talent. On z kolei wyczuł we mnie coś dziwnego, chociaż nigdy nie pozwoliłem mu się dotknąć i przekonać, że rzeczywiście coś jest na rzeczy. Możliwe, że sam wolałby tego nie wiedzieć. A jeśli poznanie tożsamości Kala byłoby dla niego szokiem, to na mój widok z pewnością spadłyby mu buty.

- I jak to wygląda?

Rafferty westchnął zniecierpliwiony.

-Przychodzą mi do głowy tylko dwa określenia „Meksyk w ogniu” i „kompletna masakra”. Wybierz sobie. - Ciepło jego dłoni stało się jeszcze bardziej przejmujące. - Ktoś nieźle go poszatkował. Kto to był?

Na chwilę zapadła cisza, po czym Nik odpowiedział zdecydowanie: -Ja.

- Ach. - Uzdrowiciel albo zaakceptował to wyjaśnienie, albo po prostu pozwolił, by spłynęło po nim jak po kacze. - Domyślam się, że to dlatego zrezygnowałeś ze szpitala.

- Nie. - Usłyszałem odgłos tarcia skóry o skórę, jakby Nik pocierał twarz. - Nie dlatego. Bądź ostrożny. Kai nie jest teraz sam.

- Świetny sobie moment wybrałeś - burknął mężczyzna. - Teraz już nie mogę się wycofać.

Właśnie na tym polegał plan Nika. Gadzia część mego umysłu wbrew woli podziwiała jego przebiegły manewr, pogardzając jednocześnie emocjami, które za nim stały. Reszta mnie po prostu rozpoznała w tym rękę Nika. Kiedyś sam bym tak zrobił. Nie muszę chyba dodawać, że jeśli przeżyję, te dni bezpowrotnie odejdą w niepamięć.

- Im szybciej go uleczysz, tym szybciej możesz się wycofać - dodał szorstko mój brat.

Nie dosłyszałem odpowiedzi Rafferty'ego, ale prawdopodobnie była miażdżąca. Wtedy nagle zrozumiałem, że rzeczywiście zdrowieję. Był to bardzo powolny proces - rana okazała się poważna - ale wciąż postępował. Dźwięki rozbrzmiewające wokół stawały się coraz wyraźniejsze. Wciąż dryfowałem na granicy przytomności, ale zrobiłem się czujniejszy. Wracały mi siły - na tyle, że zdołałem nawet unieść powieki i rozejrzeć się wokół. Spojrzałem prosto w jasne, rdzawobrazowe oczy.

- A niech to, Kai - powiedział ponuro Rafferty. W kącikach ust pojawiły się zmarszczki, a przez jego twarz przebiegł grymas obrzydzenia. - Wyglądasz równie okropnie jak twoje rany.

Dzięki, doktorze House. Obok niego stał Niko - wciąż nie mogłem przywyknąć do widoku jego ogolonej głowy. Dostrzegalem cień straszliwej rozpaczony skryty pod warstwą opanowania, powolne falowanie czarnej wody pod taflą lodu. Zobaczyłem też, że jego twarz odprężyła się nieco, gdy otworzyłem oczy. Na ułamek sekundy przymknął powieki i opuścił ramiona. Potem wziął głęboki oddech, po czym wyprostował się jak struna.

- Uśpij go - rozkazał.

Rafferty spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Co? Jeszcze nie skończyłem go leczyć. Brak snu to chyba jego najmniejszy problem.

- Uśpij go - powtórzył szorstko mój brat. - Natychmiast. Filut podszedł bliżej i też wtrącił swoje dwa grosze.

-Trudno będzie leczyć mroknika, jeśli odgryzie ci rękę w nadgarstku.
Lepiej nie budzić śpiących demonów.

Wiedziałem, że Rafferty nie lubi, gdy mu rozkazują. Jednak tym razem schował dumę do kieszeni i położył mi drugą rękę na czole.

- Śpij - rozkazał. Nie usłyszałem tego, ale jego słowa zadźwięczały mi w myślach echem, raz za razem, aż zmieniły się w niekończącą litanię.
Śpij, śpij, śpij.

I tak zrobiłem.

Był to zupełnie nienaturalny sen. Bez snów, bez poczucia upływu czasu. Bardziej przypominało to nieistnienie. Po przebudzeniu niemal spodziewałem się, że Niko, Filut i Rafferty będą nadal stać w tym samym miejscu, jednak byłem sam. Jakiś szelest przy drzwiach sprawił, że poprawiłem się w myślach: prawie sam. Na podłodze siedział wilk, wpatrując się we mnie okrągłymi żółtymi ślepiami. Górna warga unosiła się lekko, odsłaniając białe zęby. Rudobrazowe futro zjeżyło mu się na karku, a uszy położył płasko. Był to duży basior - do tego bardzo wkurzony.

- Babciu, czemu masz takie wielkie zęby? - mruknąłem szyderczo. Zwierzę otworzyło potężne szczęki, zawarczało bezgłośnie, odwróciło się i zniknęło. Gdy Rudy Rydz już sobie poszedł, spokojnie rozejrzałem się po pokoju. To była sala operacyjna Rafferty'ego. Zmywanie krwi z podłogi musiało być łatwe -prawdopodobnie właśnie dlatego wyłożył ją tanim zielonym linoleum. Na półkach piętrzyły się medykamenty, a w rogu stała stara, rzeżąca lodówka. Nie było żadnych okien. Jeśli dobrze pamiętałem, dom stał na skraju rezerwatu przyrody, ale lepiej nie ryzykować. To, co działo się w tym pokoju, nie było przeznaczone dla oczu zwykłych zjadaczy chleba. Znajdowały się tu trzy łóżka, a moje stało najbliżej wejścia. Wszystkie wyglądały na kupione z drugiej ręki, bo na oparciach miały wyryte imiona „John”, „Timmy” i wyznania w stylu „Bobby kocha Katie”. Miałem na sobie niebieską koszulę szpitalną, przykryto mnie też do pasa prześcieradłem i kocem. Żadna z tych rzeczy nie odpowiadała moim standardom.

Westchnąłem i spojrzałem w sufit. Od narożnika do narożnika przecinało go pęknięcie. Powiodłem wzduż niego wzrokiem. Nie da się ukryć, spieprzyłem sprawę. Zawiodłem auphe, których prawdopodobnie już nie było. Może jeden czy dwa zdołały wydostać się z budynku, ale nie postawiłbym na to dużych pieniędzy. Najprawdopodobniej tylko ja ocalałem. Stanowiłem jedyną pozostałość ich wspaniałego planu, który, szczerze mówiąc, nigdy mnie specjalnie nie rajcował. Obchodziły mnie tylko regularne płatności. Jednak mimo braku sentymentu do auphe, istniała jedna rzecz, która bardzo mnie interesowała, a mianowicie ja sam. Pragnąłem wolności i zemsty - wszystko jedno w jakiej kolejności.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Oparłem się na rękach i usiadłem na posłaniu. Przewiesiłem nogi przez krawędź, przez chwilę chwiałem się niepewnie, po czym stanąłem. Przynajmniej tak to sobie wyobraziłem. W rzeczywistości nic podobnego nie nastąpiło. Ręce wciąż miałem wyciągnięte wzduż ciała, nogi leżały nieruchomo pod okryciem. Wyglądało na to, że mogę poruszać tylko głową. Byłem w stanie odwrócić ją w prawo i w lewo, odchylić się albo dotknąć podbródkiem piersi, ale to wszystko. Może i odzyskałem przytomność, ale ten cholerny sukinsyn Raf-ferty upewnił się, żebym przypadkiem nigdzie nie poszedł. Sparaliżował mnie. Zrozumiałem, że póki nie wróci i nie sprawi, że moje nerwy znów zaczną ze sobą gadać, mam przechlapane. Ostatnio za często się to zdarzało.

Teraz musiałem zaczekać. W końcu musiał odwrócić te czary. Przecież podjęli już najważniejszą decyzję: nie pozwolili mi umrzeć. Stało się dokładnie to, czego oczekiwałem: Niko przegapił swoją szansę. Miał możliwość - i zamiar - pozbawić mnie życia, ale nie skorzystał. W ostatniej chwili zmienił położenie ostrza. A jeśli wtedy mnie nie zabił, to bardzo wątpię, by zrobił to teraz. Rafferty może i pomógł mi wyzdrowieć, ale prawdopodobnie nie miał zamiaru zostać moją pielęgniarką i karmić mnie galaretką do końca mojego biologicznego życia. W którymś momencie

będzie musiał mnie wypuścić. A wtedy powinien natychmiast dać w długą, bo to, co zamierzałem mu zrobić w odwecie, sprawiłoby, że paraliż zacząłby przypominać wakacje w tropikach.

Nawet fantazje o siekaniu Rafferty'ego na plasterki nie wystarczyły, by oderwać myśli od innego problemu: dlaczego właściwie pozwoliłem Nikowi tak się załatwić. Marzenia nie zdołały mnie rozproszyć, ale z całą pewnością dokonały tego zbliżające się głosy. Byłem im dziwnie wdzięczny - nie miałem ochoty rozmyślać nad tym zagadnieniem, nawet z braku lepszych zajęć. Przechylając głowę w stronę drzwi, zobaczyłem kuchnię. Trójka przyjaciół weszła właśnie kuchennymi drzwiami, wpuszczając do środka zapach liści, oszronionej trawy i lodowatego wiatru. Niko i Robin usiedli przy stole, a Rafferty otworzył lodówkę. Wyjął ze środka trzy mrożone dania i wepchnął je do kuchenki mikrofalowej. Filut z obawą patrzył, jak gospodarz ustawia je jedno na drugim, a potem włącza urządzenie.

- To nie wygląda dobrze - stwierdził ponuro, przeczesując loki palcami. - Nie widziałem jeszcze jadalnej potrawy, która wyszłaby z tego urządzenia.

- Ech, puku małej wiary - burknął Rafferty. Spojrzał na mnie przez korytarz. - No proszę, dziecko już nie śpi? Mam go wyłączyć?

Niko potrząsnął głową.

- Zostaw go. Nic nam nie może zrobić.

To mnie naprawdę dotknęło. Wargi uniosły mi się same, całkiem jak u mojego rudego gościa. Nie zwrócili uwagi na moje warczenie ani w ogóle na mnie. To było jeszcze gorsze. Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że w całym moim długim życiu jeszcze nigdy nikt mnie nie zignorował. Wszyscy trzej odwrócili się, oddając się czemuś, co wśród owiec uchodzi za rozmowę. Bee, bee, bee.

- Jak tam żebra? - Rafferty nie czekał na odpowiedź Nika. Po prostu położył mu rękę na ramieniu i na moment zamknął oczy. - Zrastają się. Boli, co? Może chcesz trochę tylenolu?

Przez twarz Nika przebiegł cień rozbawienia.

- Myślałem, że ulecysz mnie swoją mocą.

- Uwierz mi - wolę zachować swoją moc na lepsze okazje. -W tej samej chwili kuchenka wydała z siebie krótkie „dzyń” a uzdrowiciel zawołał: - Łapacz, przynieś tylenol!

Za chwilę rozległ się stukot pazurów na drewnianych klepkach i do kuchni wszedł wilk, niosąc w zębach duże białoczerwone pudełko. Robin aż uniósł brwi.

- Mądry pies.

Zobaczyłem, że barki uzdrowiciela napinają się gwałtownie, a dzięki wspomnieniom Kala wiedziałem, o co chodzi. Udając, że nie usłyszał komentarza, wyjął obiad z mikrofalówki i postawił na stole, po czym wziął pudełko i wytarł papierowym ręcznikiem. Wytrząsnął ze środka dwie tabletki i włożył Nikowi do ręki.

- Jedzcie. Koryto pełne.

Robin oderwał folię z pojemnika, dziobnął parującą potrawę widelcem i skrzywił się wyraźnie.

- Tak, jestem skłonny uwierzyć, że znalazłeś to właśnie w korycie. Powiem więcej: obecność małych gryzoni albo ludzkiego kciuka też by mnie nie zdziwiła.

- Marudziłeś przy śniadaniu, marudziłeś przy obiedzie, a teraz znowu to samo. Jeśli chcesz, możesz sam coś ugotować. Nie wiem, co cię powstrzymuje. - Rafferty z apetytem zabrał się do jedzenia.

-Nic - nie licząc braku najbardziej podstawowych produktów. - Robin odłożył widelec i odepchnął od siebie nietknięty posiłek. - W spiżarni masz pusto, a w lodówce rozwijają się nowe cywilizacje. Może twój przyjaciel podzieli się z nami miską psiej karmy.

Niko szturchnął go ostrzegawczo.

- To nie jest dobry temat. Daj temu spokój.

Filut wyglądał na zaskoczonego, co zresztą nie było dziwne. Nieludzie - potwory czy też stwory udające ludzi, jak nasz puk -instyktownie wyczuwali swoich. Niektórzy czuli ich zapach, inni dostrzegali kolor aury albo wykorzystywali jakieś zupełnie mi

nieznane zmysły. Tak czy inaczej, zawsze wiedzieli. Jednak Łapacz nie miał w sobie nic, co sugerowałoby cokolwiek oprócz psa/wilka, przynajmniej z punktu widzenia zmysłów paranormalnych.

Potem zapadła cisza - najwyraźniej nikomu nie przyszedł do głowy żaden bezpieczny temat. Robin oparł podbródek na dłoni, wpatrując się w przestrzeń. Rafferty dojadł wzgardzony przez niego obiad. Niko oddał swoją porcję Łapaczowi, stawiając ją ostrożnie na podłodze. Wilk spojrzał z powątpiewaniem na ten poczęstunek, po czym delikatnie złapał pudełko zębami, uniósł i wrzucił do kosza stojącego przy drzwiach.

- Ten to potrafi zachęcić - wycedził Robin.

- Zamknij się! - Rafferty spiorunował Filuta wzrokiem, a potem zwrócił się do mnie. - A ty... A ty śpij, do cholery. - Gdybym potrzebował dowodu na to, jaką mocą dysponuje uzdrowiciel, to właśnie go dostałem. Natychmiast stoczyłem się w ciemność, jakby ktoś pstryknął mi wyłącznikiem w głowie. A on zrobił to z odległości dwudziestu metrów. Byłoby to upokarzające dla kogoś mniej przekonanego o własnej wyższości. Spadając w mrok, usłyszałem jeszcze, jak dodaje:

- Wybacz, ale ciągle gapił się na mnie tymi srebrnymi oczami. Jezu, ależ one są upiorne.

Sennie zastanowiłem się jeszcze, co uzdrowiciel pomyśli o własnych oczach, gdy już wyrwę mu je z oczodołów i wepchnę do gardła. A potem straciłem przytomność.

Gdy znów się obudziłem, cały dom był pogrążony w mroku. Jedyne źródło światła stanowiła samotna lampa, której żółtawy blask rozlewał się po korytarzu. Prawdopodobnie znajdowała się gdzieś w pobliżu legowiska Rafferty'ego - ten człowiek był stanowczo zbyt praktyczny, by urządzić salon. Prawdopodobnie niszczył meble jeszcze szybciej niż Łapacz.

Zauważyłem, że leżę teraz w innej pozycji - na boku, z poduszką pod plecami. Może i darzyli mnie szczerą nienawiścią, ale troszczyli się o to ciało, które wciąż uważali za własność Kala. Natychmiast spróbowałem rozerwać kępujące mnie więzy.

Prawdopodobnie nie miało to żadnego sensu, ale nigdy nie wiadomo, co można osiągnąć dzięki czystej wściekłości. A chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak wściekły. Zamknięty we własnym ciele niczym sokół w klatce - to już dawno przestało być irytujące i stało się nieznośne. Chciałem zabijać, rozszarpać. Obnażyłem zęby i potrząsnąłem gwałtownie głową, ale tylko nabawiłem się migreny. Próbowałem zacisnąć dłonie w pięści, odrzucić kopniakiem okrycie. Nic z tego. Byłem bezwładny jak kawał drewna. Martwy. Niedoczekanie.

Zlany potem, dyszący ze złości, usłyszałem czyjeś głosy. Z korytarza, z tamtego oświetlonego miejsca dobiegł mnie krzyk. To był Rafferty:

- Nie! Nie zgadzam się! Niko, do cholery, przecież nie mogę! Głos Nika był bardzo cichy - zrozumiałem tylko:

- Rozumiem... Przykro mi...

-Nie, nie rozumiesz. Gdybyś rozumiał, nigdy byś o to nie poprosił. Jestem uzdrowicielem. Nikogo nie zabijam. Nie zgadzam się na to.

- Próbowaliśmy już wszystkiego - wtrącił się Robin. - Nie mamy już innej opcji. To nie będzie bolało. Kai zasłużył sobie na to - w ten sposób oszczędzisz mu dalszego cierpienia. Jako uzdrowiciel powinieneś to zrozumieć.

- A zatem uratowaliście mu życie tylko po to, aby je teraz odebrać? - spytał z goryczą Rafferty. - Po co przywieźliście go tutaj? Czemu nie zostawiliście sprawy w rękach natury?

- To był błąd. - Niko odezwał się nieco głośniejszym głosem, bardziej stanowczo, ale w życiu nie słyszałem, żeby wydawał się tak zrezygnowany. - Mój błąd. Wydawało mi się, że widzę... - Urwał, nie kończąc. - Teraz to bez znaczenia. Słuchaj, Rafferty, jeśli ty się nie zgodzisz, to ja to zrobię. Już i tak mam na rękach krew swojego brata. Skończę to, co zacząłem.

- Jezu. - Głos Rafferty'ego był równie zrezygnowany. -Słodki Jezu...

Lepiej, żeby to był żart. Jeden, wielki, pieprzony żart. Zabić Kala? Zabić to ciało? Po tym jak udało się je uratować? Czy ci ludzie nie mogli się w końcu na coś zdecydować?

Najwyraźniej się zdecydowali. Po jakichś dwudziestu minutach ciszy w korytarzu rozległ się odgłos kroków. Natychmiast porzuciłem wszelkie pozory człowieczeństwa. Wargi mi się uniosły, odsłaniając zęby, oczy zwięzły się z wściekłości bliskiej szaleństwu. Ludzie. Owce. Przychodzą, by zabrać mi to, co należy do mnie. Gnoje. Nie mają pojęcia, z czym się mierzą, nawet Filut. Naprawdę wydaje im się, że tak łatwo się mnie pozbędą? To się mylą. I będzie to ostatnia pomyłka w ich życiu.

-Kai?

W drzwiach stanął Niko. Podkrążone oczy zdradzały, że nie spał przynajmniej od kilku dni. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się wyraźnie, gdy spojrzał na mnie. W jego oczach zobaczyłem ból, ale i spokój. Takie spojrzenie widywało się czasem u ludzi śmiertelnie chorych. Była w nim akceptacja. Milcząca zgoda. Miłość.

O, jasna cholera. Naprawdę mówili poważnie.

- Zawiodłem cię, Kai - powiedział, wchodząc do pokoju. - Przykro mi. Ale ty to wiesz, prawda? - Uśmiechnął się smutno i potarł ręką powierzchnię koca. - Wszyscy twierdzą, że młodszy bracia są niezdolni. - Kolejne słowa wymówił bardzo cicho, ale i tak go usłyszałem. - Ale moim zdaniem, nie mają racji. - Podciągnął mi koc do piersi i wygładził starannie. - Żegnaj, braciszku.

Rafferty i Filut cicho podążyli jego śladem. Robin szedł za Nikiem jak cień. Rafferty stanął po drugiej stronie łóżka i wyciągnął spode mnie poduszkę, przewracając mnie na plecy. Nie patrzył na mnie, tak jakby nie mógł się na to zdobyć. Mocno zaciskał szczęki, jego cera miała zielonkawy odcień.

-1 co? Będziecie tak stać i patrzeć, jak popełniam morderstwo? Może jeszcze skoczycie po popcorn? - warknął brutalnie uzdrowiciel.

Twarz Filuta stężała jak lód.

- Jeśli nie zdołasz tego zrobić, to odejdz. - W jego ręce błysnął nóż, mały, lecz zabójczy. - Jeśli nie chcesz pomóc Kaliba-nowi, my to zrobimy.

Gniew zniknął z jego twarzy, pozostawiając jedynie tępą rozpacz.

- Nie. - Rafferty przetarł oburącz twarz. - Nie. Masz rację. Mogę go uwolnić i to całkiem bezboleśnie. - Niechętnie spojrzał mi w oczy.

- Dotknij mnie, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w swoim nędznym życiu - ostrzegłem. Jad zaczął wyciekać mi z kącików ust. - I obiecuję ci, że nie będzie to bezbolesne. Niekończący się, trawiący duszę ból. - W tej samej chwili ktoś położył mi na ustach złożony ręcznik, nie pozwalając przerobić twarzy uzdrowiciela na siekane mięso. Ach, Niko. Zawsze przygotowany.

Nie odrywając ode mnie wzroku, Rafferty położył mi rękę na piersi i oznajmił poważnie.

- Kai... jeśli mnie słyszysz... obiecuję, że to nie potrwa długo. Zatrzymam twoje serce. Nic nie poczujesz. - Druga dłoń spoczęła mi na czole - tym razem to był Niko, przesyłający ostatnie, milczące pożegnanie.

Nienawidziłem przegrywać. Ale jeśli już miałem przegrać, to zamierzałem sprawić, by te beczące owce skończyły równie źle.

W tej samej chwili poczułem, jak przeraźliwe zimno wkręca mi się we wnętrzości, a lodowate palce zaciskają się w bezwzględny uścisku. Serce na chwilę mi zamarło, straciło rytm, a potem powoli stanęło. Przez ułamek sekundy byłem zupełnie znieruchomiał, zastygnięty pomiędzy światłem i ciemnością, życiem i śmiercią.

A potem rozdzieliłem się na dwoje. Połowa została wydartą, pozostawiając poszarpaną, krwawiącą ranę, tak dużą, że mogłaby pochłonąć mnie w całości. Mroknik unosił się w powietrzu, spoglądając na mnie srebrnymi oczami. Czułem się,

jakbym patrzył z dwóch miejsc równocześnie, byłem sobą i nim jednocześnie. Byłem połową całości i... O Boże, o Boże, czułem się, jakbym umierał. Drgnąłem spazmatycznie i naprawdę umarłem. Umarłem i zostałem wciągnięty w nieskończony wir mroku i oślepiającego blasku. Nie było tu powietrza, ale ja i tak nie oddychałem. Nie było żadnych dźwięków, a jednak wszystko dźwięczało. Ja sam byłem dźwiękiem, jedną nutą rezonującą przez całą wieczność. Znalazłem się w zupełnie obcym miejscu, a jednak czułem się jak w domu.

A potem wróciłem. Wstrząsały mną dreszcze, ale czułem, że moje serce znów bije. Zacisnąłem powieki i spróbowałem odetchnąć. Okazało się to trudniejsze, niż myślałem. Każdy oddech był ciężki i mozolny, a płuca bolały mnie jak odmrożone. Ale żyłem, a skoro żyłem, to znaczy, że nie umarłem.

Nie umarłem?

Nie. Genialny blef, Niko. Szkoda, że nigdy nie zajrzeliśmy do kasyna w Las Vegas. Świetne przedstawienie, Rafferty. Filut, zasłużyłeś na Oscara. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem przed sobą twarz uzdrowiciela, ściągniętą nieskrywaną troską.

-Kai?

- Raff? - Zakaszlałem słabo. - Tylko mi się zdawało, czy ja umarłem?

- Tylko na chwilę, przysięgam. - Jego uśmiech wyglądał na szczery.

Instynktownie chciałem uśmiechnąć się w odpowiedzi, ale grymas zamarł mi na ustach, gdy przypomniałem sobie resztę. Wszystko wróciło do mnie w jednym, oślepiającym ciągu obrazów... Wszystko co powiedziałem, wszystko co zrobiłem. Mroknik miał rację - w końcu dowiedziałem się, co to znaczy być potworem. Nie byłem pewien, czy zdołam z tym żyć.

Usłyszałem, jak Robin klnie, a mroknik chichocze z maniacką radością. Przetykając żółć napływającą do gardła, przetoczyłem się na bok, umykając z rąk Rafferty'ego, i wylądowałem na podłodze. Upadek trochę pomógł mi oprzytomnieć, więc

szybko skupiłem się na scenie rozgrywającej się tuż obok. Mroknik igrał z nimi. Przyczaił się na suficie, przekrzywiając głowę pod nienaturalnym kątem.

- Skaczcicie, pieski - szydził. - Skaczcicie wyżej. - Drażnił się z nimi jak szkolny łobuziak - mógł przecież odejść w każdej chwili. W pokoju nie było żadnych luster, ale on ich nie potrzebował. Dzięki nim przemieszczał się znacznie szybciej, ale zawsze mógł po prostu przepłynąć między atomami ściany, jakby to była rzeka. Ale nie, postanowił zachować cielesną postać. Miałby się rozproszyć? Odejść? A gdzie tu zabawa? Chciał się na nich odegrać, zanim... zanim znów wślizgnie się przez klapę, którą zostawił w moim umyśle. Teraz, gdy już wiedział, jak go oszukano, „odegrać się” stanowiło zbyt łagodne określenie na jego plany.

Wszyscy trzej dobrze wiedzieli, co jest grane. Podejrzewali, że mroknik nie umrze razem ze mną, nieważne, jak głęboko zakorzenił się w moim ciele. Chwyciłem się łóżka, próbując usiąść na podłodze. Uniosłem wzrok, by zerknąć na Rafferty'ego, który przechylił się ponad łóżkiem, by mi pomóc.

- Jak? Skąd...? - wykrztusiłem.

- Skąd wiedziałem, że zostawił sobie drogę ucieczki? -Uzdrowiciel zacisnął wargi. - Nie wiedzieliśmy. Nie mieliśmy żadnej pewności. Tylko nadzieję.

Z jego pomocą udało mi się przybrać pozycję siedzącą, którą w najlepszym przypadku można było uznać za bardzo niestabilną.

- Dajcie mi jakąś broń - powiedziałem ponuro, wpatrując się w trójkę walczących.

- Może w następnym życiu, kolego. - Dłoń Rafferty'ego zacisnęła się na moim ramieniu jak stalowa obręcz. - Przypominam ci, że obecne zaczęło się jakąś minutę temu.

- Broń. Teraz - wydyszałem. Niko musiał mi coś zostawić, na wypadek gdyby ich szalony plan zadziałał. Nie zostawiłby mnie bezbronnego w sytuacji, gdy potwór, który pożarł moją duszę, przebywał na wolności.

Rafferty westchnął i zamruczał gniewnie:

- Cholerny uparty sukin... Pod łóżkiem.

Nie odwracając się, sięgnąłem za siebie. Dotykając chłodnego metalu, patrzyłem jak mroknik spada z sufitu. Tylne łapy wbiły się w bark Filuta, a srebrne oczy odszukały moje spojrzenie.

- *Deja vu, czyi nie?* - zamruczał. - Tęsknisz za mną, Kai? Bo ja za tobą bardzo. - Wężowy język strzelił w powietrze. - Ale to nie potrwa długo.

Wiedziałem, że zamierza dotrzymać tej obietnicy.

Nigdy. Nie powiedziałem tego ani głośno, ani w myślach, ale nie musiałem. Była to niewypowiedziana prawda, nieodwołalna jak wschody i zachody słońca. Miecz, który trzymałem w ręce, był przeznaczony dla mojego osobistego potwora. Ale gdyby przyszło do najgorszego... Już raz dziś umarłem. I nie było wcale tak źle. Pochylając głowę, mroknik kłapnął zębami tuż przy szyi Robina. Niko chwycił go za gardło i ściągnął z puka. Z czarnych szponów spłynęło kilka kropli krwi, gdy stwór wyrwał się z uścisku Nika i wywinął salto w powietrzu. Wpadł głową na ścianę, a potem przebiegł po niej wokół pokoju, szybki niczym pies gończy. Robin okręcił się, namierzył cel i rzucił nożem. Ostrze zawirowało i wbiło się czubkiem w gips, mijając mroknika o kilka milimetrów.

- Nieźle. Ale nie rezygnuj z obecnej pracy - burknął Rafferty. Puk obrzucił go lodowatym spojrzeniem, które złagodniało nieco na mój widok.

- Kaliban? - To chwilowe odwrócenie uwagi drogo go kosztowało. Mroknik wpadł na niego z taką siłą, że Robin wyleciał w powietrze i wpadł na przeciwległą ścianę. Sycząc z bólu, zdołał poderwać kolano i na chwilę odepchnąć przeciwnika. Nie było to dużo, ale wystarczyło, by zdążył wyjąć kolejny nóż - nie mam pojęcia, gdzie je wszystkie trzymał. Z rozmachem skierował go w pokryty łuską brzuch. Mroknik, zwinnie niczym wąż, okręcił się i prawie uniknął ciosu. Czubek ostrza drasnął go w bok i w bark. Z szerokim uśmiechem stwór wyrwał Robinowi

broń i dotknął ostrzem języka, smakując własną krew. Była niemal biała i dziwnie pianista. Przypominała wnętrzości gąsienicy, na którą przypadkiem nadepnałem, gdy miałem jakieś cztery lata.

Blade oczy zalśniły, podczas gdy usta bez warg zlizywały bledszy od nich płyn.

- Jak dobre wino. Proszę, spróbuj. - Stwór okręcił się i wbił Nikowi nóż w ramię, bez wysiłku, jakby wbijał szpikulec do lodu w mokry karton. Nik bezszelestnie zaszedł go od tyłu, szykując miecz do zadania ostatecznego ciosu. Mroknik nie mógł go usłyszeć, niezależnie od tego, jak dobry miał słuch. Z punktu widzenia genetyki, Nik był tylko człowiekiem, ale miał pewne umiejętności, które wykraczały poza standardowe ludzkie możliwości. Skąd mroknik mógł wiedzieć? Czyżby dojrzał coś kątem oka?

Przeze mnie.

Mieszkał w moim ciele na tyle długo, by poznać Nika równie dobrze, jak ja sam go znałem. Potrafił przewidzieć jego ruchy.

Niko zatoczył się w tył, z nożem wciąż wbitym w ramię. Nie jęknął nawet - po prostu odzyskał równowagę i przerzucił miecz do drugiej ręki. Z twarzą tak niewzruszoną jak kamienny posąg, rzucił się walki. Nie zawracał sobie głowy bólem i nie zawracał sobie głowy mną. Wiedział, że odzyskałem przytomność, był równie świadomy moich ruchów jak ruchów mroknika. I całą swoją uwagę skupił na tym, żeby mnie ratować.

Problem polegał na tym, że miałem już dosyć bycia ratowanym. Naprawdę sprzykrzyło mi się, że wciąż żyję jak na wulkanie, bo matka potrzebowała kiedyś trochę gotówki i dała się przelecieć potworowi. Miałem dość uciekania i dość bycia łapanym. Tak czy inaczej, należało skończyć z tym monstrum.

Ale czy miałem tu na myśli mroknika, czy siebie?

Nie wiedziałem.

Niezgrabnie zacisnąłem palce na rękojeści pożyczanego miecza i poruszyłem nogami, które zdawały się należeć do kogoś

innego, aż w końcu niezgrabny przysiad zmienił się w pozycję wyjściową do skoku. Rafferty wciąż trzymał mi rękę na ramieniu, ale poza tym był skupiony na walce. Robin rzucił się na podłogę i wytoczył spod mroknika, sięgając po kolejny sztylet ukryty z tyłu. Potwór wywinął salto w tył, zeskakując ze ściany i lądując pośrodku pokoju. Splunął na Nika jadłem, który rozpylił się w powietrzu jak lśniąca mgiełka. Nik przyklęknął, uchylił się i znów skoczył naprzód. Jednak rana zaczynała dawać o sobie znać. Koszulkę miał przesiąkniętą krwią, a na czole zbierał mu się pot. Wiedziałem, że to go nie powstrzyma. Nie powstrzyma go nic z wyjątkiem śmierci.

- Szybki jesteś. - Mroknik lekko zaklaskał w dłonie. - Jak na owcę. Ale wcześniej ci to jakoś nie pomogło, Cyrano, więc teraz też nie pomoże. - Przekrzywił głowę. - Jestem mu coś winien, wiesz. Młodszy braciszek należy do mnie. Byłem w nim... W każdej komórce, każdej cząsteczce jego istoty. Jest mój. Nic na to nie poradzisz. - Jego głos miał w sobie tysiąc razy więcej jadu od każdej trucizny. Cichy, poufały i całkowicie pozbawiony wyrazu. - Wezmę go sobie, tak jak wcześniej. A ty nie możesz mi w tym przeszkodzić.

- Ale ja mogę.

Miecz przebił jego pierś na wylot i wynurzył się po drugiej stronie w fontannie pianistej krwi. Mój głos zabrzmiał ochryple, gdy powtórzyłem:

- Ja mogę, ty sukinsynu.

Gadzia głowa odwróciła się w moją stronę, srebrne oczy spojrzały z niedowierzaniem. „Nie spodziewałeś się tego, co? - pomyślałem z satysfakcją. - Nie sądziłeś, że na wpół martwa owca zdoła zrobić coś więcej, niż tylko leżeć bezwładnie”. Wyszarpnąłem ostrze z jego ciała, obracając je nieco w swoją stronę. Potem dla pewności wbiłem miecz w brzuch. Usłyszałem jak metal zgrzyta o kręgosłup.

- A ty wcale nie jesteś taki szybki. - Uśmiech, który wypełził mi na twarz, był równie nienaturalny co strumień białawego płynu spływający na linoleum. - Nawet dla owcy.

Przechyliłem się w bok i wbiłem stopę poniżej broni, zsuwając ciało z ostrza. Kątem oka zobaczyłem, jak Nik przytrzymuje Robina, który próbował przyjść mi z pomocą.

Mroknik runął na podłogę, szponiaste łapy na próżno usiłowały zatamować krew.

- Nie. NIE! - Zaskrzeczał i, co najdziwniejsze, wyciągnął do mnie łapę... Tak jakby się spodziewał, że ją ujmę. - Jesteśmy jednym... Ty i ja. Jedno.

Kolejny cios wymierzyłem w gardło. Zamachnąłem się i rąbałem szyję, ile tylko miałem sił. Łuski zapewniały pewną ochronę, więc głowa wisiała jeszcze na włóknach mięśni, ale już ledwie, ledwie. Z jego ust buchnęła krew, bulgocząc obrzydliwie, gdy potwór próbował chwycić powietrze przebitą tchawicą. Z rany w podbrzuszu wyciekały teraz jakieś inne płyny, zielonkawa maź, która syczała i dymiła, spływając na podłogę. Wtedy dopiero rozkręciłem się na dobre. Nie wiem, ile czasu minęło, ale nagle Niko znalazł się obok i wyrwał mi miecz z ręki. Robin przyniósł prześcieradło i przykrył nim stos posiekanego mięsa, strzaskanych kości i zmiażdżonych organów. Trudno byłoby się teraz domyślić, jakie stworzenie znajdowało się tu wcześniej. Trudno było rozpoznać to, co wcześniej żyło we mnie, kontrolowało moje myśli, pochłonęło mnie.

Mroknik pożarł mnie żywcem, a jednak wciąż tu byłem. Jak to możliwe? Upadłem na kolana. Zabiłem kogoś i sam zostałem zabity. Kiedyś byłem bladym cieniem potwora, a potem prawdziwym potworem - zadowolonym z siebie i w pełni świadomym. Zostałem połknięty, a moja dusza rozplynęła się nicości. A jednak wróciłem.

I zdałem sobie sprawę, że nie wiem, czy to dobrze.

Nagle opuściły mnie wszystkie siły. Nie mogłem chodzić ani nawet wstać. Ale mogłem się czołgać i to właśnie zrobiłem. Poruszyłem odporne ręce, potem kolana, i robiłem, co mogłem, byle tylko znaleźć się z dala od pozostałych. Teraz, gdy już było po

wszystkim, nie chciałem nawet przebywać z nimi w jednym pokoju. Zwiesiłem głowę, nie zwracając uwagi na to, że ktoś wykrzykuje moje imię. Próbowałem czołgać się szybciej.

- Kał. - Głos Nika, spokojny i kojący, przebił się przez watę spowijającą mój umysł. Broniłem się. Znow poruszyłem ręką, potem kolaniem, byle dalej. Tak trzeba. Gdy poczułem dotyk czyjejś ręki na ramieniu, drgnąłem gwałtownie, próbując uciec.

- Odejdź! - wykrzyknąłem rozpaczliwie. - Zostaw mnie!

Filut zachłysnął się powietrzem, jakby zszokowany. Nie rozumiał, o co mi chodzi, ale Niko - tak. On zawsze potrafił mnie przejrzeć, jakbym był ze szkła. Ale powinienem był też wiedzieć, że mnie nie posłucha. Stał mi na drodze, a potem opadł na kolana i otoczył mnie rękami. Ścisnął mnie tak mocno, że aż czułem ból. Tak mocno, że nie mogłem go dłużej ignorować. I -nieprzypadkowo - na tyle mocno, by uniemożliwić mi ucieczkę.

- Nie zrobisz nam krzywdy, braciszku - powiedział, kładąc mi rękę na plecach. - Nie pozwolimy ci uciec. Nie po to cię odzyskaliśmy.

Potrząsnąłem głową. Jakim cudem on nadal w to wierzył? Dlaczego uważał, że ich nie skrzywdzę, że nie spróbuję ich znow zabić? Jakim cudem on w to wierzył, skoro ja sam nie potrafiłem? Nie powiedziałem tego głośno, ale Niko i tak usłyszał:

- To nie byłeś ty - zapewnił żarliwie. - Ani przez chwilę. Ten drań nie żyje, Kai. Ten potwór odszedł. Zrozum to.

Odszedł. Tak, w to mogłem uwierzyć. Problem polegał na tym, że mógł zabrać ze sobą to, co miałem najlepszego. Naparłem na Nika, bezskutecznie próbując przełamać jego chwyt. Nie było ucieczki. Milczałem - po prostu nie mogłem znaleźć właściwych słów. Nie wiem, czy w ogóle istniały takowe. Ale mogłem spytać o jedno...

- Moje oczy. - Przełknąłem ślinę. - Moje oczy... są szare? Uścisk Nika na chwilę zelżał, po czym znow powrócił.

- Tak. Kai. Są szare. - Zacisnął usta, po czym zwrócił się do Rafferty'ego. - Zrób to!

Uzdrowiciel stał tuż obok. Niepewnie uniósł dłoń nad moją głowę, ale się zawahał. Niko najwyraźniej nie miał dziś cierpliwości:

- Nie może tego pamiętać. Zrób to, do jasnej cholery!

Ręka uzdrowiciela dotknęła moich włosów i usłyszałem jego łagodny głos.

- Nie mogę sprawić, że o tym zapomnisz. Wiem, że to straszne wspomnienia, ale nie mogę ci ich odebrać. Poza tym kiedyś jeszcze możesz ich potrzebować. - Jego głos zabrzmiał pewniej, kiedy dodał: - Ale mogę je wyciszyć. - Jego słowa popłynęły' przeze mnie, aż dotarły do ciemnego, nieruchomego miejsca w mojej głowie, i w końcu stopiły się w jedno. Było bezgłośnie ale i tak je usłyszałem: - Cisza.

Wszyscy ucichliśmy, i wspomnienia, i ja sam. Czulem, że moje myśli blakną jak stary portret w sepii. A potem, tak jak mroknik, ucichły i przestały mnie niepokoić.

Nie chciałem się budzić.

Tak, wiem. W moim przypadku to nic nowego. Ale tym razem było inaczej. Żadnego przewracania się na drugi bok i zagrzebywania w pościeli, bo na zewnątrz jest za zimno. Nie było to także zmęczenie całego ciała, które przykuwało mnie do materaca, gdy przepracowałem za wiele nocy. Nie było to także moje legendarne lenistwo wypływające z czystego uwielbienia snu. Prawdziwy powód nie było łatwo nazwać.

Nie chciałem się budzić, bo wtedy wszystko stałoby się prawdą. Konkretnie i namacalne. Musiałbym się zmierzyć ze świadomością, że to nie był zły sen. Musiałbym przyjąć do wiadomości, że kilka ostatnich dni nie było tylko koszmarem. I że to sama rzeczywistość zamieniła się w koszmar.

Kto chciałby się obudzić w takim świecie?

Jednak - jak w większości sytuacji - nie miałem wyboru. Charakterystyczna woń psiego oddechu wprawiła mnie w stan, w którym najbardziej nie chciałem się teraz znajdować: w stan przytomności. Zakrztusiłem się i pomachałem ręką.

- Wiem, że potrafisz się polizać po jajach. Nie musisz mi tego udowadniać.

W polu mojego widzenia pojawił się szeroki łobuzerski uśmiech pełen żółtawych zębów i mający różowy język. Łapacz parsknął przez wilgotne nozdrza, opryskując mi twarz drobnymi, zimnymi kropelkami.

- Aaa! - wrzasnąłem, przetoczyłem się na drugi bok i usiadłem na łóżku. - Już wstaje, już wstaje, Jezu. Tylko przestań! -

Potężna łapa wielkości małej miski opadła mi na nogę, lekko drapiąc skórę, nawet przez spodnie szpitalnej piżamy. - W porządku, wygrałeś - przyznałem, wstając szybko z łóżka. Łapacz od razu zajął moje miejsce i zwinął się w kłębek. Żółte oczy spojrzały na mnie zaczepnie, a potem wilk spokojnie zapadł w drzemkę.

Jedną ręką podtrzymywałem spodnie, drugą w tym czasie przeczesalem włosy, które w dotyku przypominały gniazdo ostatniego ptaka dodo. Potem rozejrzałem się wokół. Nic dziwnego, że wilk był tak uparty. To był jego pokój. Najwyraźniej zostałem wypisany ze szpitala, a może po prostu uznali, że nie chciałbym się tam obudzić. Mieli rację. Żadne szorowanie i żadne detergenty nie zdołałyby oczyścić ani podłogi, ani mojego umysłu ze wspomnień tego, co się na niej znalazło.

- No proszę, obudziła się Śpiąca Królowna. Czy twój futrzany książę dał ci całusa? Mam nadzieję, że bez jęczyczka.

W drzwiach stanął Filut, zdawał się być w drażliwym nastroju, ale jednocześnie zadowolony. Powód tego rozdrażnienia był dość oczywisty - puk miał na sobie jakieś stare używane ciuchy: znoszone džinsy i bluzę, która kiedyś prawdopodobnie była jaskrawoniebieska. Z przodu widniało logo jakiegoś dawno zamkniętego wesołego miasteczka, przedstawiające kolejkę górską i machające kreskówkowe postacie. Nie założyłbym czegoś podobnego nawet gdybym miał dziesięć lat mniej.

- Dobrze wyglądasz, Papo Smerfie - stwierdziłem i ziewnąłem ostentacyjnie, zadowolony, że mogę zmienić temat.

- Ależ jesteś dziś wesoły. - Robin skrzywił się, ale nie zdołał utrzymać tej miny zbyt długo. Grymas zmienił się w prawdziwy uśmiech, który prawdopodobnie nieczęsto gościł na jego twarzy. Nie było w nim żadnej kpiny, żadnej wyższości, żadnego „Hej, marynarzu, dawno przyplynałeś?”. Tylko głębokie zadowolenie i szczerza ulga.

- Sam też wyglądasz nieźle.

- Tak? - Spojrzałem na swoje stopy, nieco posiniałe od stania na zimnej drewnianej podłodze. Od dobrego wyglądu do dobrego

samopoczucia było daleko, cholernie daleko. Ale mimo wszystko stanowiło to jakiś postęp.

Pamiętałem wszystko - od chwili, gdy mroknik stopił się ze mną, aż do momentu, gdy Rafferty sprawił, że świeże, bolesne, niezdolne wspomnienia zmieniły się w stare. Tylko to pozwoliło mi zachować zdrowie psychiczne i życie. Może i nie czułem się za dobrze, ale nie zwariowałem... I to już samo w sobie zakrawało na cud.

- Chyba wszystko ze mną w porządku. - Wargi mi zadrgały, więc dodałem. - Mniej lub bardziej. Gdzie jest Nik?

- Ciagle śpi. - Uśmiechnął się lubieżnie i wtedy zrozumiałem, że oto powrócił Robin, którego znałem. - Może zostanę jego księciem.

Z całą pewnością byłoby zabawne popatrzeć, jak Niko goni Robina po całym domu z mieczem w ręku, uznałem jednak, że warto oszczędzić Rafferty'emu kolejnych atrakcji.

- Nik chyba już upatrzył sobie pewną miłą wampirzycę - zauważyłem współczująco. Mój brat przez całe życie zostawiał za sobą szlak złamanych serc. Wszystkie moje koleżanki ze szkoły, Promise, Meredith. O Jezu, Meny...

- Wiem - odparł nonszalancko. - Ale lubię się z nim drażnić. Nie potrzebowałem swoich paranormalnych umiejętności, by

wyczuć kłamstwo. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego Robin postanowił nam pomóc. To, co zobaczyłem w jego oczach, ta straszliwa samotność była prawdą, ale teraz wiedziałem, że jest też coś więcej. Fakt, że uczucie było nieodwzajemnione i - biorąc pod uwagę orientację Nika - beznadziejne, wcale nie zmienił jego podejścia. Puk prawdopodobnie żył na świecie już od tysięcy lat i powinien wiedzieć lepiej, ale to też nic nie zmieniło. Nieważne, czy masz tysiąc lat, czy niecałe szesnaście, serce zawsze cię zdradzi. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, rozmyślając nad tym, co mogłoby się stać i co się naprawdę stało. W końcu Robin przerwał ciszę:

- A skoro mowa o Niku... - Spuścił wzrok i potrząsnął głową, jakby czemuś zaprzeczał. Nie mógł widzieć rany na moim brzuchu

- szpitalny kaftan wszystko zasłaniał - ale prawdopodobnie widział ją oczyma wyobraźni. - W innym przypadku nigdy by tego nie zrobił. Gdyby istniał inny sposób... Musisz zrozumieć... - powiedział gardłowo, po czym urwał.

- Robin... - zacząłem, ale przerwał mi:

- Gdybyś tylko widział, co się działo przez ostatni tydzień - powiedział z żarem, dziwnie kontrastującym z jego zwykłą nonszalancją. - Jeśli choć na chwilę położył się spać, to ja tego nie widziałem. Przetrzęsaliśmy całe miasto. Nik namierzył każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z naszym rodzajem. Wystarczyło, że czyjaś prababcia choć raz spojrzała na sąsiada wilczym okiem albo sprawiła, że obsypały go krosty. Przyciskał wszystkich do muru. Poszedł nawet do tej małej jasnowidzki i błagał, żeby... -Urwał gwałtownie, przypominając sobie, że nasłalem na nią wilkołaki.

Zapadła cisza. Próba zamordowania nastoletniej dziewczynki to zawsze drażliwy temat.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Wzruszyłem ramionami, przyjmując tak obojętny wyraz twarzy, że aż mnie zaboląła szczęka.

Robina chyba to nie zmyliło, ale ciągnął dalej.

- Obwiniął się o to, co zaszło. O to, że stracił ciebie i pozwolił mroknikowi uciec. Nie powiedział ani słowa, ale nie musiał... A do tego ta brama. Ty i ta po trzykroć przeklęta brama. - Ręka z długimi palcami przeczesła nerwowo brązowe loki. - Co mógł więcej zrobić?

Nic. Nie mógł zrobić nic innego, niż tylko mnie zabić. Należało to zrobić... I z całą pewnością by to zrobił, gdyby nie to, co zobaczył pod koniec. Mroknik zawahał się na chwilę, Nik zobaczył, jak wyciągam do niego rękę. Zobaczył mnie, nawet w takiej chwili, gdy sam siebie nie widziałem.

Jednak gdyby nie miał wyboru, gdyby mógł mnie uwolnić tylko w ten jeden jedyny sposób, to Niko na pewno nie wyszedłby z tego magazynu. Nie zostawiłby mnie samego. Przez całe

życie byliśmy razem i zawsze będziemy razem, gdziekolwiek trafimy.

- W porządku. - Uśmiechnąłem się uspokajająco. - Zrobił to, co musiał. Nigdy w to nie wątpiłem. - Zielone oczy wpatrywały się we mnie uważnie - puk uwierzył mi na słowo.

Senny warkot Łapacza sprowadził nas na ziemię.

- Wybacz - powiedziałem. - Wiem, że to twój pokój. Już sobie idziemy.

- Jego pokój? - spytał ze zdziwieniem Robin, zadowolony, że może się zająć czymś innym. Rozejrzał się, rejestrując kłaki rudej sierści zebrane pod łóżkiem. Potem przeniósł wzrok na największą kość świata opartą o wezłowie łóżka i miskę z wodą ustawioną na ręczniku.

- Ach. Większość z tych gratów to jego rzeczy, prawda? Sam się rozejrzałem.

W jednym rogu stała podniszczona gitara akustyczna, w drugim - para nart. W otwartej szafie widać było wiszące ubrania, parę tramppek i kij bejsbolowy. Na pokrytym kurzem sekretarzyku leżał portfel, trochę drobnych, a na samym końcu stało oprawione zdjęcie. Zarówno ramka, jak i szkło były nieskazitelnie czyste. Przedstawiało dwóch mężczyzn stojących na stoku, obejmujących się ramionami. Jednym z nich był Rafferty, na głowie miał wełnianą czapkę, a nos czerwony z zimna. Jego towarzysz był do niego tak podobny, że mógłby udawać jego bliźniaka. Kasztanowe włosy były jednak nieco ciemniejsze, a bursztynowe oczy - jaśniejsze... W zasadzie to nawet żółte.

Spojrzałem w identyczne żółte oczy, szukając znaku potwierdzenia. Nim wilk znowu zamknął powieki, wyczułem akceptację-

- To jego rzeczy - powiedziałem cicho. - Co do jednej. - Potem wypchnąłem Filuta z pokoju, zostawiając Łapacza samego, pośród pamiątek z poprzedniego życia.

Robin wyglądał na zbitego z tropu. Spojrzał mi przez ramię i jeszcze raz zajrzał do pokoju.

- Ale... - Zmarszczyłem ostrzegawczo brwi, więc zniżył głos - choć po prawdzie nie miało to wielkiego znaczenia, Łapacz i tak słyszał. - To nie wilkołak. Nie ma w nim ani cienia inności. Jak to możliwe?

- To nie nasza sprawa - wyjaśniłem. - Musiałbyś zapytać Rafferty'ego. Ja mogę co najwyżej obstawiać zakłady, czy ci odpowie, czy po prostu da w zęby. - Rafferty nie miał zwyczaju zdradzać sekretów rodzinnych, ani wstydliwych, ani w ogóle żadnych. Ale mimo wszystko... Robin zrobił dla nas bardzo dużo. Zaryzykował dla nas życie - dla kompletnie obcych ludzi -choć rozsądek nakazywał uciekać jak najdalej. Zawdzięczałem mu więcej, niż byłem w stanie kiedykolwiek odpłacić.

- Łapacz jest chory - mruknąłem w końcu. - Rafferty nie jest w stanie go uleczyć.

W tej historii było coś więcej, ale sam tylko tyle wiedziałem. Zatrzymałem się przed drzwiami łazienki i zmieniłem temat:

- Pójdę wziąć prysznic - oznajmiłem. Filut zmarszczył krytycznie nos, co świadczyło, że nie jest to taki zły pomysł. Parsknąłem, na wpół zirytowany, na wpół rozbawiony. - Ty to jesteś aparat. Czasem mam ochotę zapomnieć, że uratowałeś mi dupę.

- Nie tylko tobie - poprawił mnie z dumą. - Uratowałem dupę całej ludzkości. Właściwie to określenie „zbawca świata” wcale nie stanowiłoby przesady. Hmm, może wygraweruję to sobie na tabliczce i powieszę w biurze. Złote wykończenie. Polerowane drewno różane. Moje szlachetne oblicze wpatrzone w dal.

Najgorsze było to, że prawdopodobnie rzeczywiście zamierzał to zrobić - puk uwielbiał prowokować. Irytujący, egocentryczny, zadowolony z siebie i tak złąkniony seksu, że na jego widok nawet Mae West uciekłyby, gdzie pieprz rośnie. Jednak przy tym był także lojalny, inteligentny, odważny i nieugięty w obliczu śmierci. Gdyby nie on, nie przeżylibyśmy tego. Ja wciąż byłbym uwięziony w trzewiach potwora, a Niko zostałby zabity... albo wręcz posłany w niebyt. Wiedziałem, że do końca życia nie spłacę tego długu.

- Robinie...

Wyraz satysfakcji na twarzy Robina zmienił się w coś smutniejszego i prawdziwszego.

- Nie mów nic. Nie rujnuj mojej reputacji. Co sobie pomyślą moi wielbiciele?

- Pewnie to samo co ja: że porządny z ciebie chłop - powiedziałem całkowicie szczerze. - Mam u ciebie dług. - Położyłem mu rękę na ramieniu, lekko zacisnąłem, a potem szturchnąłem. -A poza tym sam to powiedziałeś, gdy tu jechaliśmy: jesteś bohaterem. I wiesz co? Naprawdę jesteś. Cokolwiek się stanie, nigdy nie próbuj w to wątpić.

Spojrzał na mnie niepewnym wzrokiem - nie sądziłem, że jest do tego zdolny.

- Jestem bohaterem - powtórzył jak echo, rozbawiony, jakby nie do końca rozumiał znaczenie tego słowa. Ja wprawdzie wierzyłem w to całego serca, ale oswojenie się z tą świadomością mogło zająć Robinowi trochę czasu.

- Co nie znaczy, że przestałeś być irytującym pajacem - dodałem, szczerząc zęby, i szybko zniknąłem w łazience. Puk chyba nie zauważył mojej rejterady. Przez drzwi usłyszałem, jak znów powtarza „bohater”. To słowo zabrzmiało teraz zupełnie inaczej -kpiący ton, jakim wymówił je w samochodzie, teraz zniknął bez śladu. Może jeśli będzie je często powtarzał, w końcu się z nim oswoi. Miałem taką nadzieję. W końcu na to zasłużył.

Rozebrałem się i obejrzałem ranę na brzuchu. Rafferty odwalił kawał dobrej roboty. Była już prawie zagojona, została tylko sina blizna. Dotknąłem jej palcem, myśląc o tym, ile kosztowała Nika ta decyzja. Nagle coś wyrwało mnie z tych ponurych rozmyślań. Zalśniło jak diament na skraju pola widzenia.

Lustro.

Jakież to dziwne, że coś tak zwykłego i niepozornego może zacząć działać na człowieka jak grzechot przemykającego skorpiona, syk węża albo widok ręki wynurzającej się z grobu. Odkręciłem kurek prysznic, ile tylko się dało. Szum wody

zagłuszył to, co zrobiłem później - owinałem pięść ręcznikiem i rozwaliłem lustro wiszące nad zlewem. Dopiero wtedy zdołałem odwrócić się do niego plecami i wejść pod prysznic. Dopiero wtedy poczułem się bezpieczny.

Ściśle rzecz biorąc, zamiast kabiny prysznicowej była tu stara wanna na nóżkach. Sądząc po wyglądzie, pamiętała lepsze dni. Zasłonka wisiała na metalowym pręcie zgiętym w kształt litery U. Od zewnątrz na emalii widać było rdzę i pomarańczowe ślady, jednak w środku była nieskazitelnie czysta i pachniała detergentem. Podniosłem kostkę mydła i z roztargnieniem namydliłem dłonie, czując jak gorąca woda moczy mi włosy i spływa strumieniami po plecach. Chwilę później mydło wyśliznęło mi się z rąk i wylądowało na dnie wanny. Spojrzałem na nie obojętnie. W tej konkretnej chwili podnoszenie go wydało mi się bezcelowe. Nie tylko tu i teraz, ale bezsensowne w skali całego kosmosu. Tak jakby to los zdecydował, że mydło powinno leżeć tam, gdzie się znalazło, i rozpuszczać się w wodzie. Ponieważ ostatnimi czasy ostro zmagalem się z przeznaczeniem, tym razem postanowiłem zrobić coś innego. Usiadłem w wannie i schowałem twarz w dłoniach. A potem?

Potem rozplakałem się jak dziecko.

Najlepszym dowodem gehenny jaką musiał przejść Niko był fakt, że wciąż jeszcze spał, gdy wywlokłem się spod prysznic. Gorąca woda dawno się skończyła i wyszedłem z wanny, drżąc na całym ciele, z palcami pomarszczonymi jak suszone śliwki. Owinąłem się ręcznikiem i zajrzałem do pokoju Łapacza, by pożyczyć od niego jakiś dres. Potem poszedłem do sali operacyjnej, licząc na to, że znajdę tam Nika. Uchylając drzwi, zobaczyłem, że rzeczywiście leży w jednym z łóżek. Nie w tym, w którym położyli mnie - doskonale go rozumiałem. Krótko przycięte włosy sprawiały, że jego nos wyglądał jeszcze bardziej klasycznie. Uśmiechnąłem się wbrew sobie. Wiedziałem, że jeszcze przez długi czas nie będę w stanie z tego żartować. Ciężko mi było wyobrazić sobie, że znów miałbym mu dokuczać, po tym wszystkim, co dla mnie zrobił. Ale wiedziałem, że ten dzień nadejdzie - tak to już jest między braćmi. Zachowałem sobie ten obraz w pamięci, by mieć amunicję na potem.

Powędrowałem spojrzeniem do jego ramienia, tego, które przebiłem... które mroknik przebił sztyletem. Teraz jedynym śladem tego zdarzenia był mały różowy punkcik.

Prawdopodobnie daliśmy Rafferty'emu wycisk, jakiego szybko nie zapomni. Przez jakąś minutę patrzyłem jak Nik śpi. Zawsze sypiał tylko tyle, ile naprawdę musiał. Twierdził, że nadmiar snu szkodzi ciału i rozleniwia duszę. Jeśli tak, to stanowiłem żywy dowód tej drugiej tezy. Niko był zawsze przytomny, wiecznie czymś zajęty. Ćwiczył umysł i ciało i bez powodzenia

próbował mnie skłonić, bym robił jedno i drugie. Obecna zamiana ról była bardzo niepokojąca.

Cicho zamknąłem drzwi i oparłem się ścianę obok nich. Czego się spodziewałem? Rafferty potrafił połatać ciało, ale istniały rzeczy, którym nawet on nie był w stanie podołać. Nie umiał zrekompensować pacjentowi utraty snu równie łatwo jak utraty krwi. Potrafił przyspieszyć produkcję czerwonych krwinek, ale nie mógł wyczarować ich z powietrza. Uzdrawianie nie było magią - pomagał ciału zrobić to, co naturalne, tyle że szybciej. Nawet z jego pomocą przeżycia Nika odcisnęły na nim swoje piętno, a on nie mógł go usunąć. To musiał zrobić sam pacjent. Jakie są cztery najstraszniejsze słowa w ludzkim języku? „To dla twojego dobra”.

W końcu odepchnąłem się od ściany i ruszyłem do kuchni. Nie miałem ochoty na jedzenie, ale mój żołądek miał na ten temat inne zdanie. Nie wiedziałem, dokąd poniosło Robina, ale Rafferty był w ogródku i naprawiał płot. Wziąłem sobie to, co znalazłem w lodówce - czyli prawie nic - a potem przetrząsałem szafki. Zgromadziłem w ten sposób puszkę zupy i trzy kanapki z masłem orzechowym. Na szczęście nigdy nie byłem wybredny, jeśli chodzi o jedzenie. Popiłem wszystko mlekiem z kartonu o bardzo bliskim terminie przydatności do spożycia i wytarłem usta rękawem, patrząc, jak Rafferty pracuje w ogródku.

W najlepszym wypadku mógłbym go określić jako naszego znajomego. Może gdybyśmy znali się dłużej, zostalibyśmy przyjaciółmi. Biorąc jednak pod uwagę naszą rodzinną paranoję, było to bardzo nieprawdopodobne. Oczywiście, nazywanie go po prostu kolegą byłoby teraz bardzo niesprawiedliwe. W końcu uratował nam życie, a w moim przypadku - może nawet więcej. Wrzuciłem kartonik do kosza i wyszedłem na zewnątrz.

Uzdrowiciel zerknął przez ramię, zmierzył mnie wzrokiem, a potem skinął głową.

- Dobrze wyglądasz. Zjadłeś coś?

-Wszystko, co było w domu - potwierdziłem, siadając na pożółkłej trawie i opierając ręce na kolanach. - Potrzebujesz pomocy? - Moim zdaniem ogrodzeniu niczego nie brakowało. Było wykonane z metalowej siatki, co dziwnie wyglądało na tym sielskim odludziu, a teraz Rafferty oplatał je u góry drutem. Nie znałem się na tym, ale chyba był to elektryczny pastuch. Budował sobie zaporę pod napięciem, a ja podejrzewałem, że wiem, dla kogo jest przeznaczona. Łapacz cierpiał na pewne... ataki. Widziałem jeden z nich i nie zamierzałem powtarzać tego doświadczenia. Byłoby nieprzyjemnie - cholernie nieprzyjemnie -gdyby zdołał stąd uciec w takim stanie.

- Nie. Już prawie skończyłem. - Komunikat był jasny: „Trzymaj się z daleka”.

Uszanowałem jego niewypowiedzianą prośbę. Na jego miejscu prawdopodobnie też nie byłbym rozmowny.

- Jasne - odparłem. - I tak nie jestem dobry w pracach ręcznych. Spytaj Nika.

Wtedy uzdrowiciel na chwilę przerwał. Odłożył narzędzia, odwrócił się i spojrzał prosto na mnie.

- Nic mu nie jest, wiesz? Zdrów jak koń. Połatałem go, ale pewnie dałby sobie radę sam. Ciało i krew jest dla mięczaków. Twój brat jest zrobiony ze stali i strun fortepianowych.

- Tak, to prawda. - Niewiarygodne, Rafferty próbował mnie pocieszyć - dziś chyba był dzień bicia rekordów. Mroknik ocenił go właściwie, ten człowiek nie miał zbyt wielu okazji do prezentowania dobrych manier, za dużo czasu kosztowało go utrzymywanie pacjentów przy życiu. W sytuacji podbramkowej, a do takich go zwykle wzywano, często musiał wybierać między jednym a drugim. Przez chwilę bawiłem się żdźbłem trawy, potem zebrałem się w sobie i spojrzałem mu w oczy.

- Przepraszam za całe to gówno, które przywlekliśmy ci do domu. - Nawet przez mgłę, którą otoczył moje wspomnienia, wciąż pamiętałem wyraz jego twarzy widziany srebrnymi oczami.

Czysta odraza, jakby patrzył na coś zupełnie sprzecznego z naturą. - Nie mówiąc już o tym, co przyniosłem w środku.

- Tylko nie popadnij w pychę, Kai. Widywałem już gorsze rzeczy. Czasem nawet we własnym sedesie.

Oczywiście było to kłamstwo, każde jego słowo, ale doceniałem starania.

- O rany, nie miałem pojęcia, że taki z ciebie twardziel -stwierdziłem neutralnie. Pomyślałem, że lepiej nie dyskutować na temat higieny panującej w jego łazience.

- Ale zawsze uważałem, że bystry z ciebie chłopak - warknął, biorąc się z powrotem do pracy. - Idź i obudź brata. Najwyższy czas, żeby coś zjadł. A potem wyślij go z powrotem do łóżka. Jeśli odmówi... - Dostrzegłem jego uśmiech tylko kątem oka, ale i tak byłem bardzo zadowolony, że nie jestem na miejscu Nika -...to przyjdź i mi powiedz.

Sam byłem w stanie poradzić sobie z Nikiem, co nie oznaczało, że nie miałbym ochoty popatrzeć, jak miota się zdany na łaskę kogoś innego.

- Okej. - Wstałem i z wahaniem dodałem. - Dzięki, Raff. Za to, że ocaliłeś mi życie, że uchroniłeś mnie od obłędu. Nie wiem, jak ci...

Uzdrowiciel nie dał mi dokończyć, zamachał tylko niecierpliwie ręką.

- Zmykaj stąd, co? Nigdy tego nie skończę, jeśli będziesz tak nade mną stał.

Oznaczało to, że podziękowania zostały przyjęte.

Poszedłem do kuchni, żeby przygotować Nikowi coś na lunch. Mogłem się założyć, że w promieniu dwudziestu kilometrów nie było nic, co mój brat uznałby za odpowiednie jedzenie. Kanapki z masłem orzechowym znów okazały się hitem. Zrobiłem cztery sztuki i ułożyłem na talerzu, jedną na drugiej. Wypiłem już całe mleko, więc wziąłem ze sobą butelkę soku pomarańczowego, który jakimś cudem nie rozpoczął jeszcze procesu fermentacji. Prawdziwe znalezisko. Po wejściu do sali operacyjnej ominąłem

szerokim łukiem miejsce, gdzie umarł mroknik. A mówiąc bez ogródek, miejsce, w którym zamieniłem go w poszatkiowany stos krwistego mięsa. Ale uczciwość wobec siebie jest przereklamowana.

Postawiłem jedzenie na stoliku obok łóżka, a potem pochyliłem się i potrząsałem Nika za ramię. Ile razy w życiu zdarzyło mi się go budzić? Chyba mógłbym to policzyć na palcach jednej ręki.

- Wstawaj, Cyrano - zachęciłem. Ciemne rzęsy rozchyliły się natychmiast, ukazując zirytowane szare oczy. Po chwili opadły, jakby nie znalazły wokół nic interesującego.

- Dobra, niech będzie - wycodziłem. - Zawsze mogę zawołać Robina. Wspominał coś o śpiącej królownie i księciu. Nie dosłyszałem reszty, ale na pewno chętnie mi wytłumaczy, o co chodziło. A może nawet zademonstruje.

Moje postanowienie, by powstrzymać się na jakiś czas od żartów, poszło właśnie z dymem. Ale cel uświęca środki. A poza tym podziałało.

Wrogie spojrzenie przekrwionych oczu stanowiło tego najlepsze potwierdzenie. Złagodniało, gdy tylko Nik oprzytomniał dostatecznie. Rafferty naprawdę musiał się przyłożyć, by uspić go na tak długo. Niko chwycił mnie za bluzę, usiadł na łóżku i uściśnął ramieniem. Gest był szybki i szorstki, a jego krótkie włosy potarły o moją szczękę jak szczotka. Oddałem uścisk równie mocno. Po raz pierwszy od dłuższego czasu byliśmy po prostu sobą. Nik nie był już rozpaczoną bratem, dokładającym wszystkich sił, by dokonać niemożliwego. Ja nie byłem potworem myślącym tylko o śmierci i zniszczeniu ani zszokowanym strzępką człowieka pełzającym po podłodze w ataku paniki. Byliśmy po prostu rodziną.

- Kai - powiedział szorstko mój brat. Potem odkaszlnął, puścił mnie i usiadł o własnych siłach. - Wyglądasz lepiej. - Nie powiedział drugiej oczywistej rzeczy - że jestem w końcu sobą. Niko niechętnie kłamał, nawet w słusznym celu. Był wyznawcą

teorii, że rzeczy, które z początku wydają się łatwe, na koniec robią się znacznie gorsze. Wygładził moje pogniecione ubranie niemal matczynym gestem - wcześniej kpiłem z tego tysiące razy.

- Mam nadzieję, że to nie dla mnie - powiedział z naciskiem Usiadłem na skraju łóżka i podałem mu obiekt jego pogardy. -Nie bądź snobem. Jeśli nadawały się dla Elyisa, to nadadzą się i dla ciebie.

Niko z wahaniem podniósł z talerza jedną z kanapek i zajrzał pomiędzy kromki chleba.

- A gdzie plasterki banana?

- Daj spokój, chłopie. To prawdziwe pustkowie. Nawet nie ma z czego zrobić hot doga.

- Skandal - mruknął Niko, odgryzł kęs kanapki i przeżuł bez entuzjazmu. - Konsorcja produkujące pulpę mięsną już pewnie grożą strajkiem.

Cierpliwie patrzyłem, jak kończy pierwszą kanapkę i bierze się za drugą. Potem spytałem neutralnym tonem:

- Może mi opowiesz, co się działo? Filut trochę mi powiedział, a my... Mroknik też się czegoś domyślił.

Niko zauważył przejęzyczenie, ale go nie skomentował. Zamiast tego wygłosił krótkie streszczenie tego, co zaszło, gdy byłem zajęty czymś innym. „Zajęty czymś innym” to zgrabny eufemizm na to, co rzeczywiście robiłem - niszczyłem wszystko wokół. Widząc, że odpływam myślami, Niko przyciągnął moją uwagę, stukając mnie energicznie w kolano. Tak jak powiedział wcześniej Robin, szukali mnie po całym mieście, ale bez rezultatu. George odmawiała pomocy. Jeśli coś zobaczyła, to nic nie powiedziała, nawet kiedy Niko odpędził sprzed jej domu parę wilkołaków. Teraz wiedziałem, że cokolwiek by nie zrobiła musiała kogoś zdradzić. Każdego mogłoby to załamać, a dla osoby pokroju George musiało to być istne piekło.

- A Samuel? - spytałem ponuro. To on nas wszystkich uratował. Mroknik miał rację - pod koniec nawet on przejrzał grendele. Podjął decyzję, która przeraziłaby każdego, i zrobił to

z niezwykłą odwagą. Zwrócił się do swojej siostrzenicy i tym samym zdjął ciężar z jej barków. Podała mu nasz adres, a on wskazał Nikowi położenie magazynu. Razem ustalili, jak prze-szmuglować mojego brata i Filuta do budynku. Samuel pomagał przy wszystkim, a potem walczył z nimi ramię w ramię. Gdy widziałem go po raz ostatni, magazyn walił się w gruzy, a on odpierał atak grendeli, jak Samson w świątyni.

- Odkupił swoje winy - stwierdził Nik. Mój brat nie był religijny, ale miał własny kodeks moralny, który z pewnością zyskałby aprobatę nawet Matki Teresy. Samuel zrobił coś strasznego, ale w oczach mojego brata zdołał to w pełni odkupić.

- Myślisz, że udało mu się uciec?

Niko wziął trzecią kanapkę i podał mi ostatnią.

- Wszystko jest możliwe - odpowiedział ostrożnie. - Pewnie z czasem się dowiemy.

Wiedzieliśmy, że niewiele historii ma szczęśliwe zakończenia, a nawet te dobre zakończenia rzadko wytrzymują próbę czasu. Zacisnąłem rękę na miękkim pieczywie i odgryzłem kęs.

- W głębi duszy był dobrym człowiekiem - mruknąłem z pełnymi ustami. - Tylko to się liczy.

- Może nawet wielkim człowiekiem - zgodził się Nik i zostawił na talerzu niedokończoną kanapkę. Wpatrywał się we mnie z uwagą, gdy kończyłem swoją porcję. Minęło kilka minut, nim o coś spytał. Ktoś inny mógłby się poczuć nieswojo, ale ten typ tak miał - byłem przyzwyczajony. Wiedziałem, że odezwie się, gdy będzie na to gotów - i ani chwili wcześniej. Jego pierwsze słowa, gdy w końcu padły - były z pozoru dość niewinne:

- Jak się czujesz, Kai?

Jak się czułem? Proste pytanie, prawda? Konkretne. Bezpośrednie. I naładowane znaczeniem jak pistolet dealera narkotyków ołowiem.

- Nie przerabialiśmy już tego przypadkiem? - Zamrugałem oczami i zliziałem masło orzechowe z palców. - Znakomicie. Zdrów jak ryba. Mam mówić dalej? - Wiedziałem jednak, że

Nik nie podda się łatwo. Nie sądziłem tylko, że zaatakuje tak wcześnie.

- Tak - pod warunkiem, że powiesz mi, co się naprawdę dzieje... - puknął mnie palcem w pierś, a potem w czoło. - tutaj i tutaj.

Zawsze byłem kiepskim kłamcą, przynajmniej Nika rzadko udawało mu się nabrać. Można by pomyśleć, że talent do krętactw mamy zupełnie ominął nasze pokolenie. Nieczęsto jednak musiałem okłamywać brata. Teraz, u progu epoki postmrokni-kowej, czułem się bardziej skrupowany w obecności Nika niż kogokolwiek innego. Nietrudno było zrozumieć dlaczego Próbowałem zabć Filuta i pewnie zrobiłbym to samo z Raffertym gdybym tylko miał szansę. Zdrada to zdrada, ale co było a nie jest, me p,sze się w rejestr. Krzywda, jaką wyrządziłem Nikowi który przez całe życie starał się mnie chronić, to zupełnie inna sprawa. Znałem swojego brata jak nikt inny i wiedziałem dokładnie, co zrobić, żeby sprawić mu największy ból. W pewien sposób żałowałem swoich słów nawet bardziej niż zamachów na jego życie.

- Kai? - zagadnął pytająco Nik, a w jego głosie zabrzmiała troska .Gdy nadal milczałem, chwycił mnie za nadgarstek i ścisnął lekko. - Chyba wiesz, że nie pytam z pustej ciekawości Chcę wiedzieć, co wtedy czułeś. Chcę zrozumieć

A zatem mogłem mu pomóc. Przynajmniej jedna osoba do- wiedziałaby się, co dokładnie czułem. Wiedziałem też, że sprawi mu to przykrość, ale to go nie powstrzyma. Poczulem dziwną chęć, by zakryć oczy jak dziecko. Czego nie widać tego me ma. Niestety, za każdym razem widziałem wszystko pod powiekami. ^F

- Pamiętam wszystko, wiesz, Cyrano? - powiedziałem wolno - Każdą rzecz, każde uczucie, każdy dźwięk, każde wrażenie' jakbym sam tam był. - Spuściłem wzrok i odetchnąłem z trudem. - Próbowałem spalić człowieka żywcem, drugiego pobiłem do nieprzytomności. Próbowałem zabić George. - Potrząsałem

głową, przełknąłem ślinę i ciągnąłem dalej. - Apotem strzeliłem do ciebie... i pchnąłem cię nożem...

Przerwałem, potarłem twarz i chciałem wstać, ale Nik chwycił mnie za ramię. Walka albo ucieczka - ten prosty odruch towarzyszył mi przez całe życie. Usiadłem i mówiłem dalej.

- Pamiętam, co czułem wtedy mroknik. Radość. Satysfakcję. Noszę to w sobie. Mam wszystkie jego wspomnienia i na samą myśl robi mi się niedobrze. - To prawda. Miałem fizyczne mdłości, ale to nie wszystko. - Nie mogę znieść myśli, że przelałem twoją krew. Skrzywdziłem cię. Ciebie, Nik. Wiesz, co jest najgorsze? Co mnie naprawdę przeraża? Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłem. - Wstałem gwałtownie i zacząłem przechadzać się po pokoju. - To nie byłem ja. Ale, Jezu, pamiętam to tak dobrze, jakbym przy tym był.

Niko wyslizgnął się z łóżka, podszedł do mnie i chwycił za rękę.

- Kai, posłuchaj. Masz rację. To nie byłeś ty. Może w tej chwili nie widzisz specjalnej różnicy, ale z czasem ją dostrzeżesz. Te wspomnienia, uczucia, zblakną. - Dzięki Rafferty'emu i tak było lepiej, niż się spodziewałem. Gdyby tego nie zrobił, to nie mam pojęcia, co by się ze mną teraz działo. - Będzie lepiej. Musi tylko upłynąć trochę czasu.

- Nie wiem, czy jestem w stanie poczekać tak długo. - Uśmiechnąłem się słabo, ale już po chwili spoważniałem. Nie ja jeden miałem złe wspomnienia i nie ja jeden bałem się zamknąć oczy. Nik też miał parę traumatycznych przeżyć. Może nawet gorszych niż ja. Zrobił kilka rzeczy, których z pewnością teraz żałował, niezależnie od tego, że były nieuniknione. - Wybacz, Nik. Tak mi cholernie przykro.

- Myślę, że obu nam będzie przykro jeszcze przez długi czas. - Niko przesłał mi spojrzenie tak pełne melancholii i braterskiej czułości, że znów poczułem się jak dziecko, jak mały chłopczyk, pełen podziwu dla starszego, mądrzejszego brata.

Niko skierował mnie z powrotem do łóżka i gestem poprosił, żebym usiadł.

-Żadnej z tych rzeczy nie zrobiłeś z własnej woli. To był mroknik, tylko on. Nie chcę, żebyś jeszcze kiedykolwiek przeproszał za to, co nie wynikało z twojej winy, jasne? - Otworzyłem usta i chciałem zaprotestować, ale Niko powtórzył nieznoszącym sprzeciwu tonem: - Jasne?

Poddałem się, ale stawiając pewien warunek.

- Tak, ale najpierw przyznaj, że nie było sposobu, byś zdołał przeszkodzić mroknikowi w opętaniu mnie. Nie straciłeś mnie, Nik. Nie jestem portfelem ani kurtką. Nie straciłeś mnie, bo nie było takiej możliwości. Przyznaj to, a będziemy kwita.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu, stojąc naprzeciwko. W końcu zaciśnięte kąciaki ust wygładziły się nieco.

- Spróbuję - powiedział, siadając koło mnie. - Ty spróbuj, ja spróbuję i zobaczymy, kto będzie pierwszy.

- Tylko mroknik potrafiłby skraść grendelom ich moment chwały, a przecież próbowały zniszczyć świat - mruknąłem ochryple i schowałem twarz w dłoniach.

- Tak, tylko on - zgodził się Nik, kładąc mi na karku ciepłą dłoń.

Wyprostowałem się i spojrzałem krytycznie na jego fryzurę. Włosy wyglądały jak przycięte kosiarką - to prawdopodobnie nieuniknione, gdy człowiek strzyże się sam. Pociągnąłem za dłuższy kosmyk.

- Lepiej idź z tym do fryzjera, Kojaku.

- No proszę, a do tego zyskałem nowe przezwisko - mruknął Nik. Ale widziałem, że docenia moje starania.

Pomyślałem, że przez kilka kolejnych dni powinienem mieć się na baczności, inaczej niewykluczone, że obudzę się łysy jak kolano. Ale nawet jeśli... To pewnie śmiałbym się sam z siebie. Teraz chyba niewiele będzie rzeczy, których nie potrafiłbym zbyć śmiechem. Wszystko jest kwestią odpowiedniej perspektywy. Biorąc pod uwagę, co przeżyliśmy, to od tej pory musi już być z górki. Wszyscy mieliśmy swoje koszmary, to prawda, i poczucie winy, które należało przepracować, zanim przeżre nas

na wylot. Wiedziałem, że będzie to trudne, ale nie niewykonalne. W końcu byliśmy wojownikami. Wyczerpani, ale zwycięscy. Przygłędzi do ziemi, ale niezłomni. Niepokonani.

Spotkaliśmy się wszyscy dopiero po zachodzie słońca. Ogród był zasypany rdzawymi liśćmi zerwanymi z drzew przez porywisty wiatr. Szedłem zamaszystym krokiem, nasłuchując trzasków pod nogami, smakując zapach jesieni. Podniosłem krążek frisbee i rzuciłem Łapaczowi, który zatoczył półkole i skoczył w górę na półtora metra, by chwycić zabawkę w powietrzu. Robin stał koło mnie, drżąc w zbyt cienkiej dżinsowej kurtce.

- Dałbym wszystko, żeby mieć takie futro jak on - mruknął, a z ust unióśł mu się obłoczek pary przypominający białe pierze. - Ale tylko futro. Samym oddechem mógłby zabić trolla z piętnastu metrów. Może przyśle mu paczkę miętówek, jak już wrócę do miasta.

- Prawdziwy z ciebie łaskawca. - Niko ćwiczył kata na trawie, jego wolne ruchy przecinały powietrze ze zwodniczą gracją.

- A wy? - Filut odebrał zabawkę od Łapacza i rzucił ją w powietrze - znacznie wyżej niż ja potrafiłem, i to jednym krótkim ruchem nadgarstka.

- Zamierzacie wrócić?

Pytanie było znacznie poważniejsze, niż wskazywałby na to jego lekki ton. Pod wieloma względami Robin był równie zagubiony jak Niko i ja. Jak do tego doszło? Prawdopodobnie kryła się za tym długa historia. Puki były zbyt towarzyskimi stworzeniami, by żył samotnie bez powodu. Pomyślałem, że może któregoś dnia się tego dowiemy.

- Chyba tak - odparłem beztrosko, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie Nika. Było to trochę ryzykowne, przyznaję. Grendele zdemolowały bar, zamordowały mojego szefa, zmasakrowały

Meny. Pozostając pod wpływem - jeśli można tak powiedzieć - ja sam spaliłem lombard i zostawiłem w hotelu ciało zamordowanego wilkołaka. Z pewnością nie uszło to uwadze policji. Jednak z drugiej strony, Nowy Jork stanowił świat sam w sobie. Jeśli zmieniałbym trochę wygląd, ufarbował albo obciął włosy i unikał ulubionych miejsc, stałbym się na powrót niewidzialny. Dokumenty, które znaleziono w barze, były fałszywe. Niko i ja zawsze żyliśmy jak duchy. Jeśli teraz postanowilibyśmy się zmaterializować, to kto zwróciłby na to uwagę? Poza tym była jeszcze jedna nierozwiązana sprawa: Promise. Jak często dwoje ludzi w tym mrocznym świecie ma szansę znaleźć bratnią duszę? Zupełnym przypadkiem Niko znalazł kobietę, której nie musiałby okłamywać ani nic przed nią ukrywać; kobietę, która zrozumiałaby, co przeżył. Był to prawdziwy łut szczęścia i nie zamierzałem mu tego odbierać. Poza tym była też George...

- To dobrze. - Robin założył ręce na piersiach z niezbyt wiarygodną nonszalancją i odchrząknął znacząco. - Ale lepiej znajdźcie sobie pracę. Jesteście mi winni dwadzieścia tysięcy za ten samochód z wystawy.

Niko i ja wymieniliśmy ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się, w co się właściwie wpakowaliśmy. Było to dobre uczucie, tak normalne i znajome, że aż się uśmiechnąłem.

- Nie widzę, żeby ktoś się spieszył do zapłacenia mojego rachunku - dodał gderliwie Rafferty.

Łapacz znów przyniósł nam frisbee i tym razem ja je rzuciłem. Wilk pobiegł za nim jak wiatr, tak szybko, że jego łapy rozmyły się w jedną smugę.

- Spłacamy go właśnie teraz - powiedziałem tylko. Rafferty stanął koło mnie i patrzył, jak jego kuzyn biega po trawie.

- Jest szczęśliwy - stwierdził. W jego głosie zabrzmiało zaskoczenie, ale i nutka melancholii.

- Spójrz na mnie, Raff. - Szturchnąłem go łokciem. - Nie da się wybrać, kim chciałbyś być. Nieważne, jak bardzo się starasz,

niektóre rzeczy się nie zmieniają. A może nawet nie powinny. -Minęło wiele czasu, nim sam to zrozumiałem. - Może kiedyś zdołasz przywrócić Łapaczowi jego prawdziwą postać - nie wiem. Ale na razie? Akceptuj go takiego, jakim jest. - „I pozwól mu zaakceptować się samemu”, dokończyłem w myślach.

W tej samej chwili Łapacz wrócił i tym razem ofiarował frisbee Rafferty'emu. Wiatr na chwilę zamarł, a złociste oczy spojrzały w bursztynowe. Coś przemknęło pomiędzy tą dwójką, coś tak osobistego i tajemniczego jak księżyc. Nie wiedziałem co, ale Rafferty wyciągnął rękę i z wahaniem wziął zabawkę. Przesunął palcem po brzegu krążka, a potem w końcu rzucił go w powietrze. Łapacz okręcił się w miejscu i natychmiast za nim popędził. Rafferty uśmiechnął się lekko - był w tym głęboki smutek, ale widać było, że ten uśmiech wyrwał mu się spontanicznie. Czasem tylko na to można liczyć.

Patrzyłem, jak Łapacz bryka pod różowiejącym niebem, i podziwiałem jego piękno. Nie był człowiekiem, ale nie był też potworem. Nie były to jedyne możliwe opcje. Było to tak proste, a jednak zrozumienie tej prawdy zabrało mi tyle czasu. Łapacz nie był potworem.

I ja także nie.